

ANNE McCAFFREY

LOT PEGAZA

(Przełożyła: Lucyna Targosz)

REBIS

1995

Byli na wielkiej uczcie języków i skradli okrawki.

William Shakespeare

PROLOG

U schyłku dwudziestego wieku, kiedy to coraz intensywniej badano kosmos, miał miejsce znamieny przełom w odkrywaniu i dokumentowaniu przypadków percepcji pozazmysłowej, czyli tak zwanych paranormalnych, psionicznych uzdolnień. Na jerhattańskim oddziale intensywnej opieki medycznej zastosowano Goosegg do monitorowania pewnego przypadku urazu czaszki - i niechcący odkryto nowe zastosowanie owego przyrządu (Goosegg to niezmiernie czuły elektroencefalograf, skonstruowany po to, by badać fale mózgowo astronautów, którzy uskarżali się niekiedy na „jaskrawe błyski”, uznawane za efekt zaburzeń pracy mózgu lub siatkówki). Owym pacjentem był Henry Darrow, samozwańczy jasnowidz, o zadziwiająco wysokim odsetku „prawidłowych trafień”. Goosegg zapisywał fale mózgowo Darrowa i przy okazji zarejestrował osobliwe wyładowanie elektryczne, towarzyszące epizodowi jasnowidzenia. Tak oto po raz pierwszy uzyskano naukowe potwierdzenie percepcji pozazmysłowej.

Henry Darrow powrócił do zdrowia i ufundował pierwszy w Jerhattanie Ośrodek dla Parapsychików oraz sformułował etyczne i moralne zasady, które miały określić powinności osób obdarzonych udokumentowanymi talentami psionicznymi i zarazem zagwarantować im pewne przywileje w społeczności nastawionej sceptycznie lub wręcz wrogo do takich uzdolnień.

Percepcja pozazmysłowa - czyli Talent, jak ją zaczęto nazywać - przybierała rozmaite formy i zakresy. Najpowszechniejsza była zwykła telepatia o krótkim zasięgu; ów Talent ujawniał się po usunięciu psychicznych zahamowań. Istnieli również „jednokierunkowi” telepaci: niektórzy z nich mogli tylko odbierać myśli, a inni - tylko nadawać. Niektórzy ludzie byli empatami - wyczuwali emocje i reagowali na nie, czasami zupełnie nieświadomie. Telepaci potrafili wyczuć bardziej ekstremalne lub występujące w większej odległości emocje i odpowiedzieć na nie; niektórzy z nich mogli stłumić negatywne a wzmocnić pozytywne aury - takie talenty były niezastąpione w kontrolowaniu zgromadzeń, bo zapobiegały przemianie tłumu w bezmyślną tłuszcę. Jednak najcenniejsi byli tacy telepaci, którzy potrafili odbierać i przysyłać myśli, „rozmawiać” z umysłami innych, rozsianych po całym świecie.

Równie cenni byli telekinetycy - Talenty potrafiące manipulować przedmiotami za pomocą energii myśli; jedni z nich mogli pracować na największych obiektach, inni - na mikroskopijnych.

Jasnowidze, czyli prekogsi, obdarzeni byli zdolnością widzenia przyszłych wydarzeń: tych najbliższych albo i odległych w czasie. Ich wizje często umożliwiały zmianę przyszłości i zapobieganie nieszczęściom. Niektórzy jasnowidze mieli specyficzne predylekcje: jedni wyczuwali zdarzenia związane z ogniem, wodą czy wiatrem; drudzy byli „ukierunkowani” na dzieci, akty przemocy, przestępcze zamierzenia.

„Poszukiwacze” także mieli swoje predylekcje - niektórzy z nich odnajdowali ludzi i zwierzęta, inni - przedmioty nieożywione; również i te uzdolnienia miały różną moc i zasięg.

Talenty przybierały rozmaite formy, przy czym jeszcze nie wszystkie zostały rozpoznane. Specjalistyczne ośrodki, rozsiane po całym świecie, wciąż poszukiwały nowych Talentów, bo zapotrzebowanie było o wiele większe niż „podaż”. Uzdolnionych - ciągle zbyt nielicznych - czekało intensywne szkolenie, a uzyskiwane rekompensaty nie zawsze wynagradzały trud i poświęcenie, jakich wymagano od Talentów.

Pomimo to wielu marzyło o tym, by się stać uznanym Talentem - lecz było to dane tylko nielicznym.

Tirla, jak zwykle, wychyliła się z bocznej uliczki i zerknęła w główną aleję liniowca G. Dziewczynka cofnęła się natychmiast i przywarła chudym, dwunastoletnim ciałkiem do ściany z płyt plastikowych. Wszędzie roiło się od pracowników Urzędu Zdrowia Publicznego; otaczali poranny tłum krzepkich robotników, studiujących tablicę ogłoszeń w poszukiwaniu pracy na dziś; kłębili się wokół matek prowadzących upośledzone dzieciaki do ośrodków Rehabu; zaganiali legalne dzieci idące do siłowni.

Dziewczynka ostrożnie zerknęła jeszcze raz, żeby zobaczyć, co też ci z UZP ustawiali na swoich stolikach: jakieś fiolki i duże butle ze sprężonym powietrzem do hyposprayów. Tirla cofnęła się; to, co ujrzała, wskazywało na kolejne masowe szczepienia. To dziwne, bo nie słyszała o żadnej nowej zarazie. Należy im oddać sprawiedliwość: pracownicy UZP zapobiegali nieszczęściu, zanim jeszcze się ono ujawniło!

Tirla pospiesznie przejrzała w myślach swój prywatny spis matek nielegalnych dzieci, które powinna o tym powiadomić: najpierw te, które jej płaciły, aby je ostrzegła, że mają schować dzieciaki; potem te, które mogłyby zapłacić za skradzione fiolki z dzisiejszą szczepionką. Liczyła na palcach: na pewno Elpidia, Pilau, Bilala; no i spyta Mameę Bobczik, czy nie ma jakichś noworodków, bo one potrzebują szczepienia; i jeszcze Zawieta, Ariesan i Cyoto. A, i dla siebie też,

cokolwiek by to było; może się jej uda zwędzić pudełko, zależy, jak ten dzisiejszy towar jest popakowany. Wszystko od tego zależy. Mirda Khan - tak, lepiej powie tej starej żoźie, zaraz gdy ostrzeże Mamę.

Potem trzeba się przebrać w czyste ciuchy; myła się, ale łaszki miały już pięć dni, a wyglądały na osiem. Ci z UZP mieli oko na takie detale. Od Mamy Bobczik zawsze można wydebić świeże ciuchy, zwłaszcza jeśli Tirla jej pierwszej doniesie, co się dzieje. To może być całkiem niezły dzionek, pomyślała dziewczynka w nagłym przypiywie optymizmu i ruszyła uliczką ku awaryjnym schodkom, ku mecie Mamy Bobczik.

Większość swego dwunastoletniego życia Tirla przetrwała całkiem nielegalnie, pasożytując na tej wieloetnicznej, trzydziestopiętrowej wspólności. Nie mogła sobie pozwolić na przeoczenie czegokolwiek - na przykład dzisiejszej nieoczekiwanej obławy UZP - bo tylko w ten sposób była w stanie uniknąć surowych kontroli, podstępnych zasadzek i małych pułapek pomysłowo zastawianych przez Radę Administracyjną Kompleksu Jerhattan i przez Organizację Prawa i Porządku; za pomocą takich podstępnych działań chciano identyfikować i kontrolować każdą osobę z niesfornej społeczności liniowców.

Narody może i zanikały, ale grupy etniczne na pewno nie, więc choć każdy potrafił się porozumieć w basiku, to mieszkalne liniowce były wielojęzyczne. I na tym właśnie opierała się Tirla.

Nie istniał żaden oficjalny ślad narodzin Tirli - a przecież była piątym dzieckiem Dikki; legalne było tylko pierwsze - Kail. (Oni

sterylizowali kobietę, która urodziła drugie dziecko. Więc Firza, Lenny, Ahmed i Tirla przyszli na świat w mieszkanku Dikki; przy porodzie pomagała Mama Bobczik, która co rok - dopóki jej łono nie wyszło - wydawała na świat nielegalne dziecko). Kail był legalny, dopóki go Dikka nie sprzedała, gdy miał dziesięć lat. Firza korzystała z bransolety ID brata, póki matka korzystnie nie rozporządziła córką. W następnym roku Dikka, Lenny i Ahmed zmarli na zarazę (takie epidemie wybuchały co jakiś czas i dziesiątkowały mieszkańców liniowców).

Tirla odziedziczyła dwie bransolety ID, bo w pośpiechu i zamieszaniu nie odnotowano oficjalnie śmierci Dikki. Samodzielnej i zaradnej dziewczynce udało się zatrzymać mieszkanko matki i odbierać dwa przydziały, dopóki nie wykreślono ID Dikki, która nie stawiała się na kontrolne badania medyczne.

Tirla świetnie się orientowała w prawach regulujących życie jej społeczności, więc nie dała się zaskoczyć. Znała na pamięć warunki najmu, paragrafy i podpunkty, toteż bez trudu wyliczyła termin anulowania umowy. Dwa dni wcześniej wyniosła swój skromny dobytek - grzałkę, najlepszy śpiwór, magnetofon i błyskotki, jakie Dikka czasem dostawała od swoich facetów. Dziewczynce bardzo brakowało całonocnych programów informacyjnych Tri-D. Wielkie publiczne Tri-D kończyło nadawanie o północy. Bystry, lotny, logiczny umysł Tirli rejestrował wszystko, co widziała lub słyszała. Ponieważ miała ID Kaila, udało jej się otrzeć o szkołę. Jeden z facetów Dikki mawiał, że należy poznać prawa, zanim się je zacznie łamać.

Nowa kwatery dziewczynki znajdowała się pięć poziomów poniżej głównej alei, w sekcji zasilania liniowca G, tuż obok będącej pod napięciem kraty, która zagradyła dostęp do maszynowni. Potężne przewody, zanim wygięły się i ruszyły w górę wewnętrznej ściany, tworzyły tu szeroką platformę; tylko drobna i zwinna osóбка mogła się dostać do owego orlego gniazda. Tirla podłączyła grzałkę i magnetofon do biegnących nad głową kabli - była pewna, że nikt nie zauważy tak niewielkiego zużycia prądu.

Dziewczynka kierowała się specyficznymi zasadami moralnymi, typowymi dla ludzi żyjących na własny rachunek. Wiedziała, kiedy należy być przymilną, a kiedy trzeba się postawić. Wiedziała, jaką grzeczność komu wyświadczyć i nigdy o tym nie zapomniała. Ci, którzy znali Tirlę, dobrze się orientowali, że była „nielegalna”. Nikt jednak nie doniósł o jej bezprawnej egzystencji, bo dziewczynka była bardzo użyteczna dla mieszkańców liniowca G, no a poza tym i tak oficjalnie nie istniała.

Tirla nigdy nie opowiadała o „sprawach”, które załatwiała. Często dostawała za nie „wolne” żetony kredytowe. Żetony takie, płatne na okaziciela, były legalnym środkiem płatniczym; nie można było kontrolować ich obiegu i wciąż przechodziły z rąk do rąk. Skarb Jerhattanu oraz wszystkie banki i domy handlowe zgodnie ignorowały krążenie niewielkich ilości owych „wolniaków”, tak jak ignorowały pomniejszych kupczyków, dopóki ci nie sprawiali kłopotów i handlowali nieszkodliwym towarem.

Bransoleta Kaila jeszcze przez dwa lata zapewniała młodszej siostrze codzienne wyżywienie, tygodniowy przydział ubrania i inne ułatwienia - potem „Kail” nie stawił się w Centrum Ewaluagi, choć miał na to trzy tygodnie po swoich szesnastych urodzinach. Wykreślenie brata z oficjalnych rejestrów nie przysporzyło Tirli żadnych kłopotów - była już dobrze ustawiona, a klienci i szefowie gangów w okolicznych kompleksach przemysłowych prawie nie mogli się bez niej obejść. Potrafiła tłumaczyć na każdy z blisko dziewięćdziesięciu dialektów i języków, dzięki czemu klienci unikali nieporozumień i nie musieli spędzać całych godzin w oficjalnych ośrodkach tłumaczeń.

Trzydzieści masywnych poziomów liniowca G górowało nad przysadzistymi, pozbawionymi wyrazu bryłami ośrodków handlowych F i H, w których pracowali mieszkańcy liniowców E, G oraz I. Pewnego wolnego dnia Tirła (miała wtedy jeszcze ID brata) poszła z Mamą Bobczik na Great Palisades Promenade; kłębiły się tam wielotysięczne tłumy ludzi, którzy przyszli, żeby radować się pięknym wiosennym dniem, popatrzeć na wspaniałe place, tarasy i olbrzymie stożkowate kompleksy Manhattan Island oraz żeby pozachwycać się jednoszynowymi pojazdami, które - duże i mniejsze - śmigały po torach oplatających budowle lśniącymi, kolorowymi nitkami. Wtedy to po raz pierwszy ujrzała pływające po wodzie okręty i wielkie powietrzne statki wycieczkowe. Wydawano wówczas świąteczną żywność, o całe nieco lepszą niż zwykłe codzienne racje. Burył, syn Mamy, miał specjalny klucz, którym otwierał dozowniki; solidnie się najedli, zanim

włączył się alarm. Dla Tirli był to cudowny dzień. Nawet nie podejrzewała, że świat jest taki wielki

Owego pamiętnego dnia Burył opowiedział dziewczynce o kosmicznych platformach - właśnie je budowano i potrzeba było do tego mnóstwa robotników. Kiedy już będą gotowe, to wszyscy dostatecznie bogaci i mający „właściwe pochodzenie” mieszkańcy Manhattanu będą mogli przenieść się w przestrzeń i znaleźć sobie inne światy do zasiedlenia. A wtedy te piękne budowle opustoszeją i ci, którzy teraz gniją się w klitkach liniowców, zyskają wielkie apartamenty z sypialnią dla każdego członka rodziny, nie będzie już UZP i OPP i nikt więcej nie wysterylizuje żadnego mężczyzny i żadnej kobiety, bo to tylko hańbi ludzkość.

Tirla zaskrobała do drzwi Mamy Bobczik; usłyszała, jak stara kobieta, sapiąc i jęcząc, dźwiga się z legowiska.

- *Kto stuczitsia? Pieriestantie udariatsia. Ochchch, kak bolit golowa!*

Dziewczynka uśmiechnęła się. O, Mama znowu ma kaca po wódce pędzonej z kartofli, które ona, Tirla, dla niej ściągnęła. Łatwo będzie coś wyłudzić.

- To ja, Tirla. UZP jest już w alei.

- *Boże moj! Eto tak? Czyżbym się jeszcze nie dość nacierpiała?*

Ale drzwi uchyliły się na tyle, że Tirla zdołała się wśliznąć do środka.

- Co mówiłaś? Znowu UZP? Tak prędko? I czegoś chcą?

- Wygląda to na jakieś nowe szczepienie. Łapią każdego: roboli, studentów, matki z upośledzonymi dziećmiakami.

- Ach, musimy się pospieszyć. Elpidia, Zawieta... - i Mama Bobczik zaczęła recytować listę nazwisk swoich położnic; Tirla szturchnęła ją w ramię. - *Nu, zaczem bespokoisz mienia? Czego chcesz?*

- Nie będę mogła pomóc, jeśli nie dostanę czystych ciuchów - odparła dziewczynka; dołożyła starań, żeby nędznie wyglądać i żeby jej głos zabrzmiał kompetentnie.

Burył zablokował otwór dystrybutora ubrań znajdującego się w mieszkaniu matki i dzięki temu mogli ich wyciągać więcej, niż im się należało. Chłopak miał całe mnóstwo „dojść” tego typu, dopóki Yassim - Tirla na samą myśl o tym człowieku uczyniła gest odczyniający - nie zapłacił Mamie olbrzymiej sumy. Burył nie podzielił zwykłego losu nabytków Yassima, bo miał niezwykłą zdolność „blokowania” państwowego sprzętu; nie był to jednak Talent; Mama nie pozwoliłaby, żeby go poddano testom i zabrano od niej - wiedziała przecież, że „wolniaki”, jakie dostanie za syna, zapewnią jej spokojną starość.

Mama Bobczik zamrugła zaczerwienionymi i mętnymi oczami i spojrzała na drobną dziewczynkę.

- *Da, da prawo że! Racja!*

Pogłaskała włosy Tirli i podeszła do dystrybutora ubrań; potężna sylwetka zasłoniła otwór dystrybutora i dziewczynka nie zdołała dostrzec, co Mama tam zrobiła. Stara kobieta odwróciła się, trzymała w ręce paczkę.

- Myłam się rano - oznajmiła Tirla i natychmiast wyskoczyła ze starego łaszka.

Musiała oczywiście zrolować rękawy i nogawki nowego stroju. Obcisnęła równiutko wyloty wokół nadgarstków i kostek, ułożyła rękawy i nogawki tak, żeby całość ładniej wyglądała. Opasała się plecionym paskiem, który odziedziczyła po matce, nadmiar materiału sfałdowała na plecach.

- Teraz zawiadomię Mirdeę Khan, oblecę ten poziom, a potem górę i dół. Chyba tylko na to starczy mi czasu. Przydałoby mi się ID. Zgarną mnie, jak zobaczą goły przegub.

Autentyczna, ważna bransoleta ID - to było to, czego Tirla pragnęła najbardziej; miałyby wtedy legalne mieszkanie, mogłyby korzystać z Tri-D, jeść trzy razy dziennie, co tydzień dostawać nowy strój. Jej własne, najbardziej własne ID! Które nigdy nie należało do kogoś innego! Miałyby nawet dostęp do szkolnych programów - prawie żaden ze znanych jej dzieciaków nic interesował się nimi.

Dziewczynka popatrzyła na Mamę Bobczik; doskonale wiedziała, że musi mieć ID, skoro kłębi się tu tyłu pracowników UZP. Mania udawała, że się namyśla, niech się mała trochę poniepokoi

- *Eto tak!* Weźmiemy jedną dla UZP.

Zakołysała spódnicami - pulchne ciało Mamy nie zmieściłoby się w kombinezon - i odwróciła się tyłem. Tirla nasłuchiwała z całych sił, lecz nie wykryła, skąd Mama Bobczik wydołała owe bezcenne imitacje, wykombinowane, a jakżeby inaczej, przez Buryła. Były to „jednodniowe” ID: akceptował je co prawda przenośny czytnik - jak te,

w których UZP gromadził dane zaszczepionych - ale oszustwo wychodziło na jaw, kiedy sprawdzano całodzienne spisy.

Mama Bobczik odwróciła się i pomachała cenną bransoletą ID.

- Podzielisz się ze mną wpływami za ostrzeżenie. Jak zawsze - oznajmiła; Tirla potwierdziła skinieniem głowy, wpatrzona w ID. - Jeśli zwędzisz sporo szczepionki, to dam ci trzydzieści procent jej wartości.

- Sześćdziesiąt. Przecież mogą mnie przymknąć - parsknęła dziewczynka.

- No to czterdzieści. W końcu dałam ci za darmo ID i wykosztowałam się na wtryskiwacz.

- Czterdzieści pięć!

Obie targujące się damy wpatrywały się uparcie w siebie; w końcu na szerokiej twarzy Mamy pojawił się uśmiech, wywołany nieustępliwością Tirli. Splunęła w dłoń i wyciągnęła ją ku dziewczynce, żeby ta przybiła na zgodę.

- Sprytna jesteś. A teraz szybko, pospiesz się.

Mała wyśliznęła się przez uchylone drzwi i ruszyła ostrzegać innych. Z trudem zdążyła wykonać zadanie, zanim na poszczególnych poziomach zaroilo się od pracowników UZP, sprawdzających ID mieszkańców każdego numeru i zaganiających ich na dół, do kolejki po hypospray.

Tirla wkrótce się dowiedziała, że to nie żadna zaraza, tylko zjadliwe choróbko jelit, które zaczęło się w liniowcu B i zdziesiątkowało tamtejszych. Szczepiono wszystkich ludzi z

liniowców - miało to powstrzymać plagę. Z głośników stale płynęły krótkie wyjaśnienia, nadawane we wszystkich językach używanych w liniowcu G; niektóre co bardziej nerwowe matki prosiły dziewczynkę, żeby im przetłumaczyła, o co chodzi.

- To po prostu jeszcze jedno zatrucie pokarmowe - zapewniała Tirla niedowiarków. - Znaleźli źródło, łupnęli im potężny mandat i odebrali licencję.

- Hmmm! - odezwała się Mirda Khan; w jej ciemnych oczach błysnęło niedowierzanie. - I tak ją dostaną z powrotem, jak tylko wpłaca, gdzie trzeba, odpowiednią ilość forsy. Jak długo będzie działać ta szczepionka?

- Przez cały rok!

- Rok? Ale zrobili postępy!

Długa kolejka przesuwiała się powoli Tirla i Mama Bobczik dotarły w końcu do UZP, przesunęły bransolety nad czytnikiem i dostały zastrzyk. Mama natychmiast udała, że jej słabo i oparła się ciężko o stolik. Podczas gdy kobieta z UZP zażegnywała ów kłopot. Tirla zsunęła całą tacę ampulek szczepionki do torby na zakupy, podstawionej przez Mirde Khan (bo i ona ruszyła na pomoc Mamie).

- *Ochchch, kak bolit gołowa!* - zajęczała słabym głosem Mama, przykładając do czoła pulchną dłoń; i nie było to całkiem udawane, przecież miała potężnego kaca.

- Co ona mówi? - zainteresowała się pracowniczka UZP, wahając się pomiędzy irytacją a zatroskaniem; w poszczególnych grupach

etnicznych szczepionka mogła wywoływać najdziwniejsze skutki uboczne.

- Głowa ją boli - odparła Tirla.

- To na pewno nie po tym zastrzyku! - zawyrokowała twardo urzędniczka. - Dalej! Nie blokujcie miejsca!

Mirda Khan i dziewczynka podparły troskliwie Mamę Bobczik, która powolutku dreptała w stronę najbliższego bocznego przejścia. Jak tylko znalazły się w bezpiecznym miejscu, Mama natychmiast złapała torbę Mirdy i zajrzała do środka.

- Cały pojemniczek? Cudownie, Tirlo, naprawdę wspaniale. To więcej, niż się spodziewałam. Biegnij i powiedz im, żeby przychodziły, ale w małych grupkach. UZP już sprawdził nasze trzy poziomy, jest bezpiecznie.

Dziewczynka ruszyła w trasę; po drodze próbowała swoją bransoletę ID na wszystkich dozownikach, które się jej nawinęły, bez względu na to, co wypluwały. Każdą zdobycz chowała pod sfałdowany na plecach kombinezon, w rękawach lub w nogawce. Obciążało ją to coraz bardziej i spowolniało, ale poradziła sobie.

Kiedy dzień się skończył, miała dość „wolniaków” i nielegalnie zdobytych dóbr, żeby spokojnie przeżyć następny miesiąc. A może i sześć tygodni; potem rozejrzy się za kolejną robotą.

- Nie było w tym niebezpieczeństwa czy groźby - tłumaczyła Rhyssa Owen Saszy Rozninowi, który stał obok jej posłania; w oczach Saszy płonął gniew; dotknęła jego ramienia, chcąc rozładować napięcie i poparła słowa myślowym przekazem: - *Popatrz, to ciekawość. „Włamanie”, nie groźba.*

Roznin „zobaczył” i uspokoił się, lecz nadal wpatrywał się z pretensją w zapis porannego snu Rhyssy: duża czarna plama świadczyła, że jakiś „myślowy” intruz wyrwał Rhyssę z fazy REM i gwałtownie obudził.

Rhyssa Owen, dyrektor Centrum dla Parapsychologicznych Talentów Wschodniego Wybrzeża Ameryki Północnej, mieszkała w dawnej posiadłości Hennera - ostoji drzew, gazonów i ogrodów - w Palisades, nad rzeką Hudson. Ów archaiczny relikw dwudziestowiecznych willowych suburpii przerywał monotonię liniowców zamieszkiwanych przez miliony tych, którzy żyli i pracowali w kolosalnym kompleksie Jerhattanu. Dom Rhyssy niczym się nie wyróżniał spośród innych, prawie że wiejskich, trzypiętrowych budyneczków, rozrzuconych wśród drzew i ogrodów. Podobnie jak wszystkie inne siedziby Talentów, były one ekranowane i chronione przed niezapowiedzianymi wtargnięciami. Owe ekrany były tak pomysłowe, że o istnieniu Centrum nie wiedzieli nawet ci, którzy zamieszkiwali wielkie liniowce zbudowane na obrzeżach jego

rozległych terenów. Nikt więc nie powinien się wdzierać do umysłu Rhyssy, tym bardziej podczas jej snu.

- Paskudne, że tak cię poderwali. Potrzebujesz każdej chwili wypoczynku, jaką ci się uda zdobyć - i Sasza „wysłał” obraz siebie i Rhyssy, zwiniętych w kłębek w jej łóżku i opatulonych grubym, puchatym kocem.

- Tak, tak - odparła Rhyssa; zareplikowała obrazem stopy wypychającej Saszę z łóżka. - *I tak byś nic nie poradził, misiaczku, nawet gdybyś tu był. To wszystko działo się w mojej głowie, w snach. Poza tym to twój koc, nie mój. Ja nigdy nie korzystam z pledów.*

Rhyssa uśmiechnęła się doń i zamrugła powiekami, kpiąc z projekcji Saszy. Z rezygnacją uniósł brwi. Obydwoje uwielbiali tę gierkę. Bawili się tak od lat.

- *Dobra, dobra. Nie wykręcaj się* - powiedział Sasza. - Chciałbym wiedzieć, kto wdarł się do twego umysłu? I po co?

- Otóż to! - Rhyssa skrzyżowała ramiona i zapatrzyła się na niskie chmury i przygnębiający deszcz, zasłaniający wspaniałą panoramę Jerhattanu. - *To mnie niepokoi i zdumiewa.*

- *Nie myśl teraz o tym, Streaky. Będiesz potrzebować całej swojej energii, żeby sobie poradzić z zelotami.* - Tu Sasza przesłał obraz trzech osób; każda z nich miała tak splątane kończyny, że przypominała orientalny fetysz, na karykaturalnych twarzach malowało się nieprzejednanie i sceptycyzm.

- *O, nie! Przestań!* - Rhyssa ze śmiechem rozplątywała ramiona i nogi, przywracając każdej postaci właściwy wygląd, wygładzając

tuniki i spodnie. - *Przecież nie mogę pamiętać takiego obrazu, jeśli mam z nimi poważnie rozmawiać o pilnym zapotrzebowaniu na Talenty, których nie znalazłam. I tak są wystarczająco zabawni.*

- W porządku. Zasłużyli sobie na to. Czy mam poprosić Sirikit, żeby przejrzała zapisy i sprawdziła, kiedy to się zdarzyło po raz pierwszy? *Co za zuchwalstwo!* - Sasza dał wyraz swojej irytacji.

- To jest myśl. - Rhyssa uśmiechnęła się ponuro. - Dopiero tego ranka wpadłam na pomysł sprawdzenia zapisu. Naprawdę potrzebuję snu.

- Pewno to jakiś ujawniający się Talent, który nie ma pojęcia o elementarnych zasadach. Tak bym chciał, żeby nie nadużywali swoich nowo odkrytych zdolności umysłowych.

- I to Talent o potężnej mocy! - Rhyssa złośliwie przesłała obraz młodziutkiej Madlyn Luvaro i ludzi uciekających przed falami dźwięku wydobywającymi się z szeroko otwartych ust dziewczyny.

Sasza skrzywił się. Madlyn Luvaro dysponowała umiejętnością wysyłania „myślowego” wrzasku, który mógł osiągnąć stacji kosmicznej i dowolnego z jej doków. Roznin zajmował się szkoleniem i to właśnie on miał nauczyć Madlyn, jak ogniskować i łagodzić ów „myślowy” głos. Dziewczyna adorowała go żarliwie i okazywała kłopotliwą zaborczość: coraz trudniej było mu to ignorować, więc z uporem podtrzymywał wrażenie, że on i Rhyssa już, już mają zawrzeć trwałą związek. Rhyssa - uprzejmie - temu nie zaprzeczała.

- Powiem Sirikit, żeby sprawdziła, czy nie ma innych „włamań”.

Rhyssa potrząsnęła głową, ziewnęła i usiadła przy biurku; sięgnęła kinetycznie po plik zapisów, układając je w wachlarz tak, żeby kod był widoczny. Wybrała ten, o który jej chodziło, a pozostałe ułożyła w równy stosik, kodami na zewnątrz. Wybrany zapis wsunął się w odtwarzacz; siateczka czytnika spłynęła z zaczepu i lekko osiadła na głowie kobiety. Rhyssa poprawiła palcem przylgę na lewej skroni.

- Nie znajdziemy go tutaj - powiedziała i była równie zaskoczona jak Sasza, że powiedziała „go”, a nie „jej”. - Cóż, chyba ten przelotny kontakt dał mi więcej informacji, niż podejrzewałam.

- Jakiś tajemniczy kochanek?

- Może i tak - mruknęła Rhyssa.

****Obraz: przebiegły uśmiezek i zalotna minka skierowane do jakiegoś mglistego cienia.**** Chociaż starała się zachować beztroski ton, Roznin wyczuł, jak zdumiała ją nawet taka nikła identyfikacja.

- Sprawdzę to - oznajmił i wyszedł.

Kiedy spadał szybem antygravitacyjnym z wieży Rhyssy do rozległego kompleksu podziemnego, gdzie prowadzono większość badań i szkolenia, towarzyszył mu pulsujący życiem myślowy obraz Rhyssy Owen siedzącej przy biurku; jej czarne włosy okrywała siateczka czytnika, wyraźnie widoczna na tle szerokiego, srebrzystego pasma, rozjaśniającego czuprynę kobiety od dziesiątego roku życia. Owo pasmo poszerzało się z każdym rokiem - kiedy Rhyssa dobiegnie czterdziestki, jej włosy będą jak celtyckie srebro.

Sasza pomyślał, że Rhyssa Owen zawsze zachowa młodzieńczą twarz, tak jak jej ojciec i znakomity dziadek, Daffyd op Owen;

młodzieńczą, pełną życia, z ciemnymi niebieskimi oczami błyszczącymi inteligencją, poczuciem humoru i nieposkromioną energią. Rhyssa była niemal równie wysoka jak mężczyźni z jej rodziny; odrobinę za szczupłą, ubierała się elegancko, chociaż często dość dziwacznie: zazwyczaj w długie, powiewne szaty, wyróżniające ją w społeczeństwie, które ograniczyło do minimum ozdobność stroju.

Nie była ładna - rysy twarzy, choć delikatne, były nieregularne i „źle dopasowane”; prawy oczodół, nieco krzywy, nadawał jej często łobuzerski wyraz, na co nie dałby się nabrać nikt, kto ją znał. Lekko garbaty nosek sprawiał, że miała dumny i wyniosły profil; i jeszcze mocno zarysowana szczęka oraz zbyt wydatne usta. Jednak nikt, kto spotkał Rhyssę Owen, nie zwracał uwagi na takie szczegóły. Po swoich rodzicach odziedziczyła charyzmatyczną osobowość i silne uzdolnienia psioniczne, a po dziadku - który walczył o zachowanie pozycji Talentów w obecnej socjo-ekonomiczno-politycznej atmosferze - wyrafinowanie i przebiegłość.

Sasza Roznin - Talent już trzeciej generacji, o trzy miesiące młodszy od Rhyssy - wolał swoje obecne stanowisko naczelnego szkoleniowca i szefa werbunku w Centrum, bo przez całe życie usiłował poskromić swój donkiszotowski temperament. Nie dla niego owe kontakty z oficjelami, z czym tak wspaniale radziła sobie Rhyssa. Ona potrafiła „być ponad” szarpiącymi nerwy nasiadówkami z zarządcami Jerhattanu i innymi paskudnymi detalami, które jego już po pięciu minutach doprowadziłyby do furii.

Za to Sasza wykazywał niezmierzoną wręcz cierpliwość wobec świeżo ujawnionych Talentów: schlebiał im, rozpieszczał je, utrzymywał w karbach, umiejętnie rozpraszał ich obawy oraz pozwalał zyskać pewność siebie. A kiedy Rhyssa wypomniała przy pewnej okazji, że takie rozwijające się Talenty są - na swój sposób - równie nieznośne jak zarządcy, Roznin twardo odparł, że Talenty przynajmniej uczą się na swoich błędach.

Istniało tak wiele odmian Talentów, o rozmaitej mocy: jasnowidze, którzy potrafili przewidzieć zdarzenia, zwykle takie, co miały katastrofalny wpływ na życie mnóstwa innych ludzi; tacy, których „wizje” ograniczały się do ludzi im znanych lub powierzonych ich pieczy; wreszcie ci, których prekognicja dotyczyła ognia, wody, kobiet, mężczyzn, dzieci - „wybór” możliwości równie rozległy jak siła percepcji.

Najpowszechniej spotykanym Talentem była telepatia, choć niektórzy mogli tylko odbierać myśli, a inni - tylko nadawać. Telepaci wyczuwali emocje i reagowali na te, które przeważały. Jednakże wyszkolony teleempata był w stanie albo stłumić negatywne aury, albo wzmocnić te pozytywne; potrafił rozładować napięcie tłumy i tym samym zapobiec jego przemianie w tłuszczę.

Istniały Talenty, które umiały „znajdować” obiekty na podstawie wzoru, a w przypadku ludzi czy zwierząt - na podstawie czegoś, z czym mieli lub miały bezpośredni kontakt.

Telekinetycy mogli pracować na największych przedmiotach lub na cząsteczkach niewidocznych gołym okiem albo nawet w

mikroskopie; lecz był tylko jeden Talent manipulujący genami - Ruth Horvath. Telekinetycy byli niezbędni w tak wielu dziedzinach życia, że ludzi obdarzonych takimi uzdolnieniami zachęcano do wydawania na świat jak największej liczby dzieci.

Najrzadziej trafiali się „pełnokrwisci” podwójni telepaci - jak Rhyssa - którzy mogli wysyłać i odbierać komunikaty jak świat długi i szeroki, dopóki nie natrafili na osobę, z którą chcieli „rozmawiać”. Rhyssa umiała wniknąć do każdego mózgu nie chronionego czy to cieniątką metalową powłoką noszoną przez nerwicowców, czy to wrodzoną „tarczą” daną bardzo niewielu ludziom.

Sasza także był podwójnym telepatą, obdarzonym dużą mocą, lecz nie miał takiego fenomenalnego zasięgu jak Rhyssa; i nie żałował tego. Kiedy tylko jej dziadek zorientował się w zasięgu i mocy uzdolnień wnuczki, dziewczynę przypisano do kierownictwa Centrum i związanych z tym obowiązków. Roznin wymyślił sobie kilka sztuczek, dzięki którym nigdy się nie czuł przez Rhyssę zagrożony ani jej nie zazdrościł. Swobodnie korzystała ze swego Talentu.

Sasza usłyszał Madlyn Luvaro, zanim wylądował na poziomie suterenu. Próbowwała milczeć z takim skutkiem, jakby stepowała na powierzchni wzmacniającej dźwięk.

- To się nie uda, Madlyn, dopóki się nie nauczysz tłumić swojej emanacji. Niewłaściwy przepływ! Żeby się „uciszyć”, potrzebujesz słabej pozytywnej energii.

- O kurczę, myślałam, że właśnie ją mam!

Przesłana odpowiedź była pełna skruchy i zniechęcenia.

Sasza wyszedł z szybu i zobaczył przyciśniętą do ściany dziewczynę.

- „Słyszałam”, że nadchodzisz.

- *Wielki postęp!* - „odmyślał”.

Przechodząc obok niej, żartobliwie szarpnął ją za kosmyk skłębionych, gęstych, czarnych włosów. Zastąpiła mu drogę; wielkie, wyraziste oczy patrzyły ponuro. Madlyn była wspaniale zbudowaną osiemnastolatką; usposobienie odpowiadało zmysłowemu wyglądowi. I ona, i jej Talent dojrzały, gdy miała czternaście lat i od tej pory Sasza usiłował wpoić dziewczynie niezbędną dyscyplinę, której musiał się nauczyć każdy Talent; a już ona na pewno powinna się temu poddać, zanim będzie można wykorzystać jej zdolności.

- *Sirikit już się tym zajęła.* - Roznin nie próbował stłumić niepokoju.

- *Ktoś niepokoi Rhyssę?*

****Obraz Madlyn duszącej wielkiego, bezkształtnego intruza, zwijającej go w kulkę, którą spuszcza z wodą w toalecie.****

Sasza parsknął: dziewczyna naprawdę mogłaby zaatakować to, co zagrażałoby Rhyssie. I kto w Centrum by tego nie zrobił?

Jedną z zalet teleemпатii było to, że natychmiast rozumiano twoje potrzeby. Sirikit już przeglądała encefalogramy Rhyssy z całego poprzedniego miesiąca. Na niektórych widniały znaki świadczące o wymuszonym przebudzeniu. „Gęsie jajko” - wymyślone po to, żeby monitorować dziwne świetlne rozbłyski dręczące kosmonautów - było znakomite do rejestrowania mózgowych fal delta, będących, jak to

odkryto, siedliskiem paranormalnych, czyli pozazmysłowych uzdolnień. Talent nauczony rozpoznawania niewielkich zmian poprzedzających aktywność paranormalną, wkładał siatkę rejestrującą działalność mózgu. Wiele Talentów - szczególnie jasnowidze - nosiło takie siatki dzień i noc. Były leciuteńkie, z mocnych, delikatnych drucików w kolorze włosów danej osoby. Taka siatka miała bezpośrednią lub zdalną łączność z głównym bankiem danych Centrum, więc przypadki paranormalnej aktywności mogły być oficjalnie zapisywane, badane i konsultowane. Można było udowodnić wszystkim niedowiarkom, że pozazmysłowa percepcja istniała naprawdę.

- Spójrz na zapisy Rhyssy. Nie ma wątpliwości, że incydenty są coraz częstsze - zwróciła się Sirikit do Saszy, kiedy podszedł do urządzenia używanego do takich porównań. - Pierwszy wydarzył się przed trzema tygodniami, drugi - cztery dni po nim, następny po trzech dniach, a w ostatnim tygodniu noc po nocy, ze cztery razy.

Sasza: Osobliwa pora dla podglądacza!

Sirikit: Kiedy trzy czwarte populacji śpi w łózkach.

Madlyn: Bezsenność?

Sasza uśmiechnął się - nie tylko przyciszyła odpowiednio „głos”, ale i odebrała ową krótką wymianę myśli. Madlyn może i była obdarzonym dużą mocą „nadawczą”, ale „słyszała” tylko tych, którzy byli blisko niej.

Roznin: Nastolatka zwykle trzeba siłą wyrywać ze snu. Rhyssa sądzi, że to jakiś rozkwitający Talent.

Madlyn: *W kółko mi powtarzasz, że rozkwitający Talent nie przestrzega żadnych zasad.*

- Co z rejestrem bezsennych? - spytała Sirikit.

- Zaraz to zaprogramuję - odparła Madlyn.

Odrzuciła w tył bujną grzywę, usiadła przed monitorem i wstukała przypisane Centrum kody umożliwiające dostęp do każdego banku danych na świecie. Pozwalało jej to na korzystanie ze zwykłych danych, choć trzeba było znać specjalne hasła, żeby się dostać do poufnych plików. Madlyn może i raziała nadmiernym seksualizmem, lecz umysł - zawsze dostępny kontroli - miała równie przejrzysty i szczery jak dziecko.

- Cóż, to nic nie da - orzekła dziewczyna. - Bezsenność może się przytrafić każdemu. Najczęstszą przyczyną jest lęk. Niektórzy ludzie, zwłaszcza starsi, śpią tylko przez cztery godziny w ciągu nocy! **Grymas przerażenia nakładający się na skulone ciało w skłębionym pośłaniu.** A ja jestem rozbita, jeśli nie prześpię ośmiu godzin!

Sirikit podniosła się znad bębnow ustawionych tak, żeby uwidocznic „ślady włamania”.

Sirikit: *Trzecia trzydzieści do czwartej, za wcześnie dla większości pracujących na dniówki, nawet dla obsługujących transport i tłoczenie powietrza.*

Roznin nachylił się ponad jej ramieniem i wpatrywał w szpule, jakby chciał zmusić zagadkę, żeby się rozwiązała.

Sasza: *Podłącz się do jej siatki.*

Madlyn głęboko wciągnęła powietrze i wpatrywała się w niego nieruchomo. Sirikit zamrugała powiekami, westchnęła i podeszła do głównej klawiatury, żeby wpisać odpowiedni program.

- Jakiś poranny poszukiwacz wrażeń musi przelatywać nad Centrum. Podłącz alarm do jej siatki i złapiemy go na gorącym uczynku. - W głosie Saszy brzmiała chęć zemsty.

Madlyn posłała mu zatroskane spojrzenie. Czuła bijącą odeń falę silnej, negatywnej energii.

Barczenka, Duoml i zarządca, jego wysokość księżę Phanibal Shimaz byli gotowi do spotkania z dyrektorem Centrum Parapsychologicznego, Rhyssą Owen, w wieży zarządcy Jerhattanu, olbrzymiej budowli w środku Central Parku, ostatniego reliktu dziewiętnaste- i dwudziestowiecznego Manhattanu. Wieża górowała ponad najwyższymi budowlami o charakterze handlowym; na wierzchu tkwiły grona „mis” łącznościowych, przez co wyglądała jak groteskowy pęk sztywnych stokrotek wetkniętych w olbrzymią szklaną kostkę. Pojazdy latające, osadzone na lądowisku, przypominały obwódkę z wielobarwnych liści.

Pierwsza weszła Ludmiła Barczenka; dziwaczny podskakujący chód świadczył, że wzięła buty antygravitacyjne. Stanowisko zarządcy budowy stacji kosmicznej sprawiało, że nieczęste powroty jej wzniosłości pani inżynier w zasięg działania ciężenia ziemskiego stawały się niełatwą próbą - dla tych, z którymi się kontaktowała. Powierzchność Ludmiły ani trochę nie łagodziła szorstkiego usposobienia: była to niewiasta krępa, grubokoścista, lecz nie otyła; twarz miała szeroką i płaską, o pospolitych rysach; krótko ostrzyżone włosy próżniowca dopełniały obrazu twardej osobowości. Jasne, błękitne oczy tylko wzmagaly ogólne wrażenie zimnej, nieugiętej nieustępliwości. Na domiar wszystkiego Ludmiła zawsze nosiła cienki, metalowy kask ekranujący - co stanowiło niemal obelgę dla Rhyssy

jako dyrektora Wschodniego Centrum. Nic nie można było zarzucić oddaniu jej wniosłości pani inżynier, lecz ów kask, niestety, raz jeszcze dowodził, że kompletnie jej brakowało taktu i manier.

Rhyssa nie była pewna, czy Barczenka „ekranowała się” po to, żeby mieć całkowite poczucie bezpieczeństwa, czy też dlatego, że się chorobliwie obawiała Talentów, których usług potrzebowała równie rozpaczliwie, jak bolała nad ich uzdolnieniami. Sasza był przekonany, że Ludmiła ma jakiś Talent - chociaż nie można tego sprawdzić - i że z całych sił odpycha uznanie takiej możliwości. Druga Stacja miała zostać ukończona - i to bez przekroczenia budżetu - do końca tego roku. Jeśli się weźmie pod uwagę, że opóźnienia w budowie Pierwszej Stacji Laboratoryjnej wynosiły pięć lat i że przekroczone budżet o całe tryliony - to należy przyznać, że jej wniosłość pani inżynier dokonała nie byle jakiego wyczynu. Możliwość podróży międzygwiazdnych i fakt, że planety nadające się do zamieszkania znajdowały się w dwóch „pobliskich” systemach, powodowały wręcz niewiarygodną presję, żeby wreszcie zapoczątkować program kolonizacji. Lecz najpierw trzeba było skończyć Drugą Stację - najważniejszą odskocznię ku gwiazdom. Projekt miał ogólnoświatowy priorytet i entuzjastyczne poparcie każdej politycznej i ekonomicznej frakcji na Ziemi.

Rhyssa wiedziała - choć tego nie rozgłaszano - że jej wniosłość pani inżynier, pomimo wszystkich wysiłków, zaczynała pozostawać w tyle za harmonogramem. Krążyły pogłoski, że Barczenka sypia tylko cztery godziny, że za dnia wykonuje olbrzymią partię roboty i że oczekuje tego samego od wszystkich pracujących przy Projekcie. Tak

się jednak nieszczęśliwie złożyło, że nie miała ani osobowości, ani umiejętności postępowania, które budziłyby lojalność czy to wobec niej, czy względem Projektu. Talenty początkowo zgodziły się pomóc, ale potem jeden po drugim odmawiały odnowienia kontraktu. Na nic się zdały wszelkie próby zwabienia ich z powrotem do pracy przy Drugiej Stacji.

Za Ludmiłą szedł szef personelu, Per Duoml; poruszał się ciężko, jak ktoś przyzwyczajony do mniejszego ciężenia, ale radził sobie bez butów antygravitacyjnych. Pochodził z Finlandii; był równie zdolny i oddany sprawie jak Barczenka, lecz nieco przystępniejszy niż ona. Talenty lubiły pracować z Duomlem: był uczciwy, kompetentny i udało mu się namówić kilka z nich do zawarcia specjalnych, krótkoterminowych umów. Z licznej warstwy bezrobotnych z całego świata werbowano od czasu do czasu chętnych do fizycznej pracy przy budowie Drugiej; Talenty mogłyby wykonać tę robotę sprawniej i z mniejszym ryzykiem. Niektóre z nich nawet pracowały na krótkich kontraktach przy konstrukcji zrębu Drugiej, ale się nie zgodziły na rozszerzenie zakresu swoich obowiązków, a nie można ich było do tego zmusić. I choć Rhyssa skontaktowała się z dyrektorami wszystkich światowych Centrów, nie zdobyła dla Duomla nikogo.

Za Perem wkroczył dostojnie zarządca programu, księżę Phanibal Shimaz; jego obecność wcale się Rhyssie nie podobała. Wykorzystywał każdą sposobność, żeby się o nią otrzeć. Był wszechobecny: arogancki i zupełnie nieczuły na otwarcie mu okazywaną niechęć, trawiony nieodwzajemnionym pożądaniem, które

Rhyssa uważała za wstrętne od samego początku, od czasów kiedy była tylko asystentką dziadka. Księżę był komputerowym geniuszem - niektórzy twierdzili, że już w żłobku myślał kodami dwójkowymi, a przy ząbkowaniu zamiast gryzaka dostawał chipsy; tuż w okolicach dwudziestki opanował zastosowanie Węzłów Josephsona (dla niego było to „idiotycznie proste”) do absolutnie bezkolizyjnego sterowania nasilonym ruchem powietrznych transportowców i dronów obsługujących główne magazyny i latających ponad gęsto zaludnionymi obszarami. Teraz pracował nad ustaleniem reguł równie bezpiecznego i płynnego transportu kosmicznego.

Rhyssa przybrała odpowiedni wyraz twarzy i „nastroiła” umysł; owa trójka sadowiła się, a ona uśmiechała się z serdecznością, której wcale wobec nich nie odczuwała.

- Oczywiście nie macie potrzebnej nam ekipy - zaczęła prosto z mostu Ludmiła głębokim, gardłowym głosem, prawie bez śladów akcentu ojczystego języka; jasne oczy patrzyły oskarżycielsko na Rhyssę.

- Stale ci powtarzam, zarządco, że nie mogę i nie chcę zmuszać Talentów do pracy w przestrzeni.

Ludmiła uderzyła pięścią w stół - pełne bólu skrzywienie zdradziło Rhyssie, że zawiedziona jej wzniosłość pani inżynier zapomniała o różnicach ciężenia. Jej wzniosłość wyciągnęła zmaltretowaną dłoń w geście, który w stacji kosmicznej byłby pełen ognia - tu natomiast był nieco przyciężki i bez gracji.

- Powinnaś nalegać...

- Mogę nalegać, a oni mogą się temu opierać - wyjaśniła spokojnie Rhyssa.

- Jakże mogę dotrzymywać terminów, skoro brak mi ludzi do wykonywania niezbędnych prac? Co dnia zostajemy o parę minut w tyle; minut, które twoi ludzie mogliby nadrobić w sekundę. Nie zostanę w tyle za harmonogramem. Zdażymy na czas. Musimy mieć odpowiednich pracowników. Mówiłaś mi, że ich masz, a oto dowód. - Ludmiła wyciągnęła spod tuniki płytkę i machnęła nią przed Rhyssa.

- W tym nagraniu z całą pewnością mówię, że skontaktuję się z każdym Centrum i przedstawię twoje specyficzne zapotrzebowanie. Natomiast nigdy nie obiecywałam, że uzupełnię braki w zatrudnieniu.

- Stale kogoś werbujesz. Wszystkim wiadomo, że znalazłaś nowe Talenty... - Wypłowiałe oczy Barczenki zwięziły się, patrzyły groźnie i jadowicie.

- Ale to wcale nie znaczy, że ci nowo zwerbowani mają poszukiwane przez ciebie kinetyczne uzdolnienia - wtrąciła gładko Rhyssa, zanim Ludmiła odzyskała głos. - I na pewno nie będę namawiać „surowych” Talentów, żeby się narażały na niebezpieczeństwa przestrzeni...

- Czemu nie? - Barczenka zbyła tę uwagę zamaszystym machnięciem ręki, chowając przy okazji płytkę do kieszeni. - W trakcie pracy uczyliby się przydatności, ostrożności, zdobywaliby specjalizacje. Pokochaliby kosmos. Zarobiliby wiele kredytów i staliby się bogaci.

- Talenty nie gromadzą bogactw, zarządco - oznajmił Per Duoml monotonnym, matowym głosem; ani na moment nie odwracał spokojnych oczu od twarzy Rhyssy.

- Bzdura! Każdy gromadzi bogactwa! - Ludmiła żywiła zdecydowaną pogardę dla altruistów. - Na początku pracowało dla nas wiele Talentów.

- Chcieliśmy wspierać Projekt - wtrąciła Rhyssa - lecz nie zgodziłaś się na ich warunki, kiedy przyszło do odnawiania kontraktów.

- Jakieś głupie wymagania, dla nas nie do przyjęcia. Co najwyżej sześciogodzinne zmiany, a przecież my pracujemy na platformie przez dwadzieścia cztery godziny. Specjalna ochrona przed hałasem. W przestrzeni nie ma hałasu. - Barczenka pogardliwie i gniewnie patrzyła na Rhyssę.

- Owe dźwięki są niedosłyszalne dla ciebie, lecz nad wyraz nieprzyjemne dla nadwrażliwych...

- Ba! Nadwrażliwi! - Ludmiła znów zbyła tę uwagę niedbałym gestem. - Zepsuci, rozpieszczeni; zbyt się o nich troszczycie.

- Nie, madame Barczenka, wcale nie zepsuci i nie rozpieszczeni. Lecz na pewno się o nich troszczymy - zdenerwowała się Rhyssa. - Talenty to wykwalifikowany personel i należą się im pewne względy, żeby mogli jak najlepiej wykorzystać swoje uzdolnienia we wrogim środowisku przestrzeni.

- To niewiarygodne, że tak nieliczna grupka może mieć aż taki wpływ na gospodarkę naszego świata - ciągnęła Barczenka, jakby nie

słyszała powyższej uwagi. - Kiedy zamawiam potrzebne nam materiały, to wszędzie - na lotniskach, na kosmodromach, w przemyśle - spotykam Talenty, które są mi niezbędne do ukończenia najważniejszego na świecie Projektu; Projektu cieszącego się powszechnym poparciem; Projektu, dzięki któremu ludzkość zdoła się wyrwać poza granice Układu Słonecznego i będzie mogła badać gwiazdy. A ty i dyrektorzy pozostałych Centrów nie pozwalacie, żebym zaangażowała potrzebnych mi specjalistów.

- Tu wcale nie chodzi o zgodę dyrektorów Centrów, lecz o decyzję samych zainteresowanych - przypomniała jej, Rhyssa. - Dyrektorzy Centrów tylko negocjują poszczególne kontrakty zawierające stosowne gwarancje.

- Mogę kupić kontrakty - zabrzmiało to jak groźba.

- Takich kontraktów się nie sprzedaje, inżynier Barczenka. Gdybyś się zgodziła na niezbędne gwarancje, miałabyś więcej szczęścia w angażowaniu Talentów! - odparła twardo Rhyssa, której dogmatyzm Ludmiły już zaczynał działać na nerwy.

Rhyssa Owen mogła nie dostrzegać żalobnej miny Pera Duomla; udawało się jej nie patrzeć w płonące oczy księcia Phanibala, na jego lekko wilgotne wargi i nozdrza pulsujące przyspieszonym oddechem - lecz owe trzy pary bezustannie wpatrzonych w nią oczu wyprowadzały ją z równowagi. Zwiększyła kontrolę nad obwodowym układem i udało się jej zachować uśmiech na wargach.

- Możesz nalegać - powtórzyła Ludmiła. - We wszystkich kontraktach jest klauzula, że w razie nagłej potrzeby Centrum może je unieważnić.

Rhyssa opanowała gwałtowny przypływ gniewu wywołany przez fakt, że Barcencie pokazano kontrakty Talentów; potem przypomniała sobie, że treść takich kontraktów była ogólnie znana.

- Moi koledzy dyrektorzy najwyraźniej nie uważają, że jesteś w krytycznej sytuacji, inżynier Barczenka.

- A ja twierdzę, że tak! - Ludmiła po raz pierwszy się zdenerwowała. - Twierdzę, że muszę mieć więcej ludzi, żeby skończyć na czas ów Projekt o ogólnościowym priorytecie!

- Masz nieograniczony dostęp do całej puli robotników.

- Też coś! Oni są do niczego. Tępe, niewykształcone, nie dające się do niczego przyuczyć wieprze! Nie zbuduję platformy, mając tylko ich. Potrzebni mi są kinetycy. I będę ich mieć. Daję ci na to moje słowo!

Ludmiła odwróciła się na pięcie i chwiejnie odmaszerowała; książe Phanibal podążył za nią.

- Nawet i sześciu kinetyków znakomicie poprawiłoby sytuację - rzekł z ukłonem Per Duoml.

- Już parę razy to wyjaśniałam, Perze Duoml: zapewnijcie Talentom ekranowane kwatery i sześciogodzinne zmiany, a na pewno ich zdobędziecie. Skoro macie tyle kredytów, że możecie sobie pozwolić na liczne podróże na Ziemię w celu werbowaniu Talentów, to

na pewno wystarczy wam środków, żeby tym ludziom zapewnić na Drugiej odpowiednie warunki!

- Inżynier Barczenka musi ściśle trzymać się ustalonego budżetu. W pomieszczeniach personelu nie można dokonywać żadnych zmian.

- No, to niech inżynier Barczenka sama się martwi o wyniki. - Rhyssa gorąco pragnęła, żeby Per Duoml „odsłonił” swój umysł; przekazałaby mu wtedy bezpośrednio wiadomość, której nie mogła ubrać w słowa. - Potrzebni wam są kinetycy, którzy przy montażu Drugiej zdołaliby przemieszczać obiekty znacznej wielkości. Musicie też mieć kinetyków zdolnych łączyć w próżni najprecyzyjniejsze elementy. Oba zadania wymagają tej samej energii kinetycznej i są bardzo wyczerpujące. Wykonujący je ludzie potrzebują spokoju, żeby odzyskać siły; są wyczuleni na drgania samej Drugiej, na nieludzkie zagęszczenie pomieszczeń, na brak możliwości odizolowania się i na przerażająco nędzne racje żywności, zbyt małe, żeby mogli zregenerować ciała i umysły.

Per Duoml obojętnie skinął głową, potem wzruszył ramionami - nie miał ochoty tego komentować; odwrócił się i odszedł. Zostawił Rhyssie jakieś niejasne, niemile przeczucia. „Pomyślała” pytanie do Sirikit, pełniącej dyżur w punkcie kontrolnym Centrum:

- *Nadają jacyś jasnowidze?*

Sirikit: *Nie. A spodziewasz się jakiegoś?*

Rhyssa: ****Obraz ponurej, zawziętej twarzy Ludmiły Barczenki.**** Może!

Chłopiec mrugnął trzy razy i kanał na sufitowym ekranie znów się zmienił. Westchnął. Znowu jakaś starość, którą widział już tyle razy, że pamięta najlepsze kawałki. Mrugał, zmieniając kanały, aż zdał sobie sprawę, że nie znajdzie niczego ciekawego. Nie było nawet żadnego nowego programu edukacyjnego. Fajnie było oglądać Tri-D podczas długich nocy w pierwszych tygodniach spędzonych w szpitalnej sali. „Wyłączał się”, gdy przestały go dręczyć bóle głowy. Czasem mu ich brakowało - wtedy przynajmniej *czuł* coś w swoim ciele.

Znów westchnął. Przypomniawszy sobie, że może czuć, jeśli będzie myślał pozytywnie; terapeutka Sue twierdziła, że musi pozytywnie myśleć. Nie pojmował całego mnóstwa z, tego, co doń mówiła; na przykład, że powinien sobie wyobrazić, iż chodzi i biega jak kiedyś - zanim przywalała go ceglana ściana, kiedy przebiegał koło ruin.

Dlaczego? To dręczące pytanie sprawiło, że stracił oddech. A już się łudził, że z tym skończył! Zastanawianie się „dlaczego” było zdecydowanie negatywne i zawsze wpędzało go w straszliwą depresję. Dlaczego ściana zwała się akurat wtedy, gdy on, Peter Reidinger, przebiegał obok niej? Czyżby wytrącił jakiś odłamek, co spowodowało zawal? Czemu, skoro stała z pięćdziesiąt albo i sto lat, wybrała akurat ten moment, żeby się zwalić? Jeszcze tylko trzy sekundy i byłby bezpieczny - umknąłby i ścianie, i chłopcom, którzy go ścigali. Dlaczego skręcił w ten zakazany obszar? Przy końcu uliczki miał

wybór: ponad murem - ale wydawał mu się taki wysoki, bez podparcia dla stóp; w prawo - lecz wtedy wróciłby na terytorium Kotów Zaułka, którzy mogli miń czyhać w zasadzce; albo w lewo - klucząc wśród ruin. co by im utrudniło pościg. DLACZEGO?

Negatywne! Negatywne! Peter napiął wszystkie mięśnie twarzy, a potem je rozluźnił, grupa po grupie. Później się uśmiechnął, powoli i świadomie rozciągając usta, unosząc ich kąciki, aż policzki się podciągnęły, broda opadła, a wargi się rozchyliły, ukazując zęby; chciał, żeby impulsy nerwów twarzy zmieniły nerwy kończyn. Przypomniwał sobie najszcześniejsze chwile (tak jak go nauczyła Sue): swoje jedenaste urodziny, kiedy to ojciec dostał urlop z kosmicznej stacji i zdążył na czas na przyjęcie.

Peter zdecydowanie przeciwstawił owe wspomnienia dręczącemu „dlaczego” i dotąd powtarzał sobie szczegóły tego wydarzenia, tego szczęśliwego wydarzenia, aż mógł wszystko jeszcze raz przeżyć: od chwili, kiedy gong przy drzwiach oznajmił, że ojciec wrócił do domu, do momentu, gdy tata ułożył go do snu. Wspomnienia były tak żywe, że nawet poczuł na czole dotknięcie ojcowskiej dłoni.

Dobrze, że tata dotknął właśnie jego czoła. To jedyne miejsce, w którym zachował czucie. Peter znów westchnął, ponownie poczuł dotknięcie ojcowskiej dłoni. Zamknął oczy i „usłyszał”, jak tata wychodzi z pokoju, „usłyszał” przyciszone głosy rodziców, ich śmiech. Jeszcze raz głęboko westchnął.

Miał szczęście. Już mógł samodzielnie oddychać. Sue taka była z niego dumna, kiedy odzyskał tę umiejętność. Peter nabrał w płuca

powietrza; wiedział, że unosi się jego klatka piersiowa, że się napina przepona. Prawie że czuł powietrze w tchawicy. Wstrzymywał oddech tak długo, jak tylko zdołał, aż mroczki zatańczyły mu przed oczami; potem pozwolił sobie na wydech.

Natychmiast usłyszał kroki dyżurnej pielęgniarki. Miz Allen nie lubiła, kiedy jej przeszkadzano, a zwłaszcza wtedy, gdy na oddziale dwunastym mieli bardzo ciężki przypadek. Peter naliczył dziesięć kroków i Allen już nań patrzyła, nawiązując kontakt wzrokowy. Potem spojrzała na czujniki.

- Jakies zaburzenia oddechu, Peter?

- Hmm, właśnie robiłem ćwiczenia oddechowe.

- Wcale nie. - Miz Allen przez chwilę spoglądała na niego gniewnie, a potem jej długa, wąska twarz się wypogodziła; lekko dotknęła czoła chłopca, przesunęła palcem po jego policzku, przycisnęła palec do warg. - Majstrowałeś coś. Nie igraj ze swoim oddechem, Peter. Twój mózg potrzebuje tlenu. I snu także. Piętnaście po czwartej. Powinieneś spać. Przecież wiesz, jak się rozluźnić. Bądź grzecznym chłopcem i zrób, co należy.

Obydwoje usłyszeli nagłe kwilenie poparzonej dziewczynki leżącej po przeciwnej stronie kolistej sali.

Miz Allen - pełen wyrzutu uśmiech i tak dalej - zniknęła i Peter liczył jej kroki - dwadzieścia jeden - do owego ciężkiego przypadku. Potem policzył do trzydziestu i kwilenie ucichło. Wiedział, jak bardzo bolą oparzenia. Tak by chciał czuć cokolwiek, nawet oparzenia!

Chłopiec natychmiast „przestawił” swój umysł na jedyne dostępne mu ćwiczenia: rozluźnianie każdego mięśnia twarzy, szyi, głowy. Nie mógł poruszać głową, ale zachował czucie w szyi. Rozluźnił się całkowicie i ostrożnie pomyślał o SWOIM miejscu, poczuł trawę pod stopami, usłyszał szemrzące na wietrze liście, poczuł wonie ogrodu, niebo nad głową, słońce grzejące mu plecy. Znow zaczął szybować. Miał uczucie, jakby „wypływał” z bezwładnego, leżącego na powietrznym materacu ciała; zdumiała go i zdenerwowały rozmaite rurki i przewody przyłączone do owego ciała - nigdy ich nie czuł.

Ogród z jego marzeń dzieliły od Jerhattan u całe mile. Był częścią wczasowiska, które odwiedził z rodzicami, kiedy miał osiem lat. Doznanie to całkowicie oszołomiło chłopca wychowanego w liniowcu Jerhattan, gdzie był bezustannie otoczony gwarem, zapachami ludzi i urządzeń umożliwiających funkcjonowanie liniowca. Peter wiedział, że w kompleksie Jerhattan były niewielkie „zielone pasy”: odwiedził kilka, bezskutecznie próbując jeszcze raz przeżyć tamte wakacje. Ale żadne z tych miejsc tak nań nie podziałało; były zbyt małe i znajdowały się za blisko nieustannego gwaru miasta.

Mimo to chłopiec znalazł miejsce, do którego mógł poszybować, kiedy się dostatecznie rozluźnił. Były tam drzewa i trawa, ledwo dostrzegalne w tajemniczej poświacie przedświt. Petera ciągnęły tam jeszcze inne osobliwe doznania: przynoszące otuchę okruchy myśli, kuszące go, żeby tam dłużej zabawiał. Przyciągało go zwłaszcza jedno „źródło” myśli i krążył wokół niego tak blisko, jak tylko mógł, dręczony zwodniczym poczuciem niezmaconej zażyłości.

I nagle omal go nie oślepił potężny blask, który zalał cały teren. Chwila paniki. Peter nie mógł powstrzymać krzyku; uspokoił się dopiero wtedy, gdy usłyszał kroki Miz Allen. Nie otworzył oczu, dopóki nie poczuł na czole jej dłoni i nie UWIERZYŁ, że bezpiecznie wrócił do łóżka numer siedem na oddziale dwunastym.

- Co się stało, Peter? - Miz Allen zawsze wiedziała, kiedy się oszukiwało; spojrzała na czujniki. - Zły sen?

- Tak, zły sen.

Nie udało mu się opanować drżenia głosu; Miz Allen zmiękła. Nie tolerowała fałszywych alarmów.

- Tak. Gwałtownie wzrósł ci poziom endorfin. Sądzę, że potrzebujesz snu.

Chłopiec potwierdził z ulgą.

- Jutro mam VMR... - nie wiedział, ile zdążył powiedzieć, zanim otoczyła go ciemność.

* * *

- *Odstraszyłeś go!* - oskarżyła Ragnar Rhyssa, wściekła, że ktoś podłączył się do jej siatki i zaalarmował ochronę Centrum, kiedy w zapisie snu pojawiła się anomalia. Cały teren zalało oślepiające światło. Chwilę później Rhyssa usłyszała warkot taksówek powietrznych, śmigających we wszystkich kierunkach.

- *Sasza!* - wściekła się.

Tylko on mógł ustanowić ów dozór!

- *Złapiemy tego typka!*

- *NIE W TEN SPOSÓB!*

Rhyssa z trudem zapanowała nad dziką wściekłością. Sasza nadużył władzy - a nawet wykorzystał łączące ich więzi przyjaźni.

- *Wcale nie!*

Rhyssa głęboko wciągnęła powietrze; czuła, że drży. Wysłała owo tchnienie aż do koniuszków palców stóp, „parła” je w dół, dopóki mięśnie brzucha nie zeszywniały.

- *NIE było żadnego zagrożenia!* - oznajmiła.

- *Ale BYŁO wtargnięcie!* - Wyczuła przerwę w jego myślach, kiedy reagował na jakiś zewnętrzny bodziec. - *To piekielnie dziwne. NIE było wtargnięcia. A przynajmniej fizycznego wtargnięcia. Żaden ekran nie ujawnił czegoś, co by się nie dało wyjaśnić. I nic* - zwróć na to uwagę - *nic nie naruszyło naszej przestrzeni powietrznej.*

- *Nowik!* - Rhyssa zabarwiła tę myśl zadowoleniem. - *O ile przez ciebie Talent mu się nie zablokuje!*

Obraz Rhyssy układającej się na brzuchu, opatulającej się puchatym kocem w pastelowe wzory i chowającej głowę pod poduszkę w pastelowej powłoczce. I naprawdę to zrobiła.

* * *

- *Nowik, ale skąd?* - to pytanie zadawano sobie w pokoju kontrolnym.

- *Kto nie śpi o czwartej rano?* - zapytał Sasza.

- Mogę sporządzić krzywą prawdopodobieństwa, eliminując pracowników zmianowych - zaofiarowała się Madlyn.

- Dlaczego mielibyśmy ich eliminować? - spytał Budworth.

- Jeżeli pracują, to nie uprawiają W. P. C.

- A kto powiedział, że to wycieczka poza ciało? - Sasza spojrział ze zdumieniem na Madlyn.

- Cóż by to mogło być innego?

- Możesz mieć rację, Madlyn - uśmiechnął się Roznin. - Jest to tak oczywiste, że aż dziw, iż nikt z nas wcześniej na to nie wpadł. O.K., kto uprawia W. P. C.?

I od razu usłyszał odpowiedź na owo zasadnicze pytanie.

- Ci, co nie lubią ciała, w którym tkwią - rzekła dziewczyna.

- Przecież W. P. C. JEST Talentem - wtrącił się Budworth. - Wszyscy nim obdarzeni są zarejestrowani i mają do roboty ciekawsze rzeczy niż W. P. C.

- Jeżeli są zarejestrowani - przypomniał Sasza.

- Fakt. No to rozejrzemy się za nowymi.

- Otóż to. W szpitalach też.

- Czy ty wiesz, ile szpitali jest w Jerhattanie?! - jęknęła Madlyn.

- Niezbyt się w tym orientuję - uśmiechnął się Sasza i wycelował w nią palec: - Potraktuj to jako sprawdzian szkolenia. Pytaj o sparaliżowanych, o nastoletnich i prawie nastoletnich, o cierpiących na bezsenność...

- Czemu obciążać winą za to nastolatki? - Madlyn z trudem się opanowała.

- Bo jeszcze nie sprawdzano, czy nie mają Talentu. No dobrze - dodał łaskawie Roznin - sprawdź każdego, kogo nagle unieruchomiono. Wziąłbym pod uwagę i więzienia.- Uśmiechnął się, słysząc jęk Madlyn. Jednym z najwspanialszych Talentów okazał się chłopiec uciekający przed sadystycznym strażnikiem.

- To Centrum może uwalniać więźniów? - Oczy Madlyn rozwarły się szeroko ze zdumienia.

- Czyżbyś nie znała historii własnego Centrum? - zachichotał Budworth. - Założono go dla wyrzutków z więzień i szpitali psychiatrycznych i... - zerknął łobuzersko na Roznina - ...i dla wszystkich innych aspołecznych lub ekscentrycznych osobników.

- Gdyby tu był mój brat... - Sasza pogroził mu palcem.

- Hmm! - parsknął Budworth. Wcale się nie boję twojego brata, chociaż jest wielkim i potężnym komisarzem OPP!

- A ja bym się bał - odciął się Sasza. To mi przypomina, że już się spóźniłem na umówione spotkanie. Sprawdźcie szpitale i więzienia. Ty zaś, Buddy, możesz się zająć zakładami psychiatrycznymi. Wdzięczny jestem, że mi o nich przypomniałeś.

- Ha! - rzekła Madlyn do Budwortha, kiedy Sasza wychodził z pokoju kontrolnego.

* * *

- Skąd tu tyle nielegalnych dzieci? - spytała Harva Dunstera, szefa medycznego, Teresa Aiello, zarządca miasta Jerhattan. - Podobno twoi ludzie sterylizują po drugiej ciąży.

- Tylko wtedy, gdy odbierają poród - odparł Harv z ponurą miną. - Przecież wiesz, że niektóre grupy etniczne wciąż nie chcą stosować antykoncepcji. Nielegalne porody będą się zdarzać, dopóki nie uzyskamy pozwolenia na dodawanie środków sterylizujących do żywności; i będą się powtarzać przypadki sprzedawania niedorostków seksualnym dewiantom czy do źle opłacanej pracy w nielegalnych fabrykach. Zaś tych z odpowiednimi wskaźnikami krwi i zdrowymi narządami kupują najbogatsi, kiedy potrzebni im dawcy przeszczepów. - Wskazał na stertę wydruków z faksu zalegającą biurko Teresy Aiello.

- A bezlitośni ludzie wciąż będą usuwać tych, których już wykorzystano dodał Borys Roznin, komisarz OPP. - Nawet nielegalne dzieci mają jakieś prawa - spojrzał z ukosa na faksy.

Teresa też na nie mimowolnie zerknęła. Była twardą kobietą, lecz miała dziesięcioletnią córkę, a faks o wzdętych ciałach, unoszących się na powierzchni morza u pomocnego wybrzeża Long Island, poruszyłby i najmniej wrażliwego osobnika. Odwróciła oczy. Koroner donosił, że najstarsi mieli po dwanaście lat, najmłodszy - po pięć.

Borys Roznin skontaktował się z Teresą Aiello, zaraz gdy dokonano owego straszliwego odkrycia. Nigdy nie było wiadomo, jak Jerhattan zareaguje na takie wieści, więc Teresa zwołała swoich komisarzy, żeby się przygotować na ewentualny wybuch, gdyby ta sprawa przeciekła do mediów. Bliźniak Borysa, Sasza, powinien

przynieść propozycje Centrum Parapsychologicznego. Cała czwórka - ze względu na konieczność zachowania owej tragedii w tajemnicy - spotykała się w ekranowanym biurze zarządcy miasta.

- Ach! - Borys ubiegł Teresę, która właśnie chciała coś powiedzieć; prawą dłonią lekko musnął skroń na znak, że dotarł doń przekaz telepatyczny. - Stwierdzili, że jedno z ID należy do dziewczynki Waddellów porwanej przed sześcioma tygodniami...

Teresa skrzywiła się i jęknęła. Waddellowie byli jej znajomymi, funkcjonariuszami kadry zarządzającej; ich córeczka, bystra i bardzo ładna, była szkolną przyjaciółką jej dziewczynki. Teresa nadała sprawie porwania Waddellówny najwyższy priorytet i oficjalnie zażądała, żeby Rhyssa Owen przekazała ten przypadek swemu najlepszemu „odnajdywaczowi”.

- Dwa następne dzieciaki były zarejestrowane jako uciekinierzy, zaginęły dwa miesiące temu. Co do pozostałych... - Roznin wzruszył ramionami, spojrzął na szefa służby zdrowia. - Wszystko, co można zrobić, to ustalić ich genotypy i pochodzenie.

Każdy obywatel Zjednoczonego Świata jeżeli nie był nosicielem zakazanych genów recesywnych mógł powołać do życia swego następcę. Jeden rodzic, jedno dziecko. Dwoje rodziców, dwoje dzieci. ZPG miało być ściśle przestrzegane, dopóki nie będzie można „rozgęścić” Ziemi, wysyłając nadmiar populacji na planety nadające się do kolonizacji - już odkryte, lecz jeszcze niedostępne. Prawa o posiadaniu potomstwa łatwiej było narzucić w społecznościach

wiejskich niż w olbrzymich miejskich mrowiskach - jak Jerhattan - z których każde miało ponad trzydzieści milionów mieszkańców.

- Nie zaprzestałeś testów, Borysie? - spytała Teresa szefa OPP.

- Niech to diabli, nie, ale i tak nie wykrywamy wczesnych ciąży, bez względu na to, jak się staramy. Wyłapałibyśmy więcej, gdybyśmy mieli ludzi do jednoczesnych prób na poszczególnych poziomach. - Borys wykonał taki gest, jakby ściągał sieć; na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Wspaniale nam poszło w dzielnicach mieszkaniowych w sześć tygodni po ostatnim masowym przekwitaniu, ale to już przeszłość. - Rozłożył ręce, zrezygnowany jak Dunster. - Znasz naszą sytuację. Dajemy sobie radę z największymi problemami - jeśli się im zdecydowanie przeciwstawiamy. Nie potrzeba nam więcej takich ciał.

- Do tych, którzy odrzucają kontrolę państwa - rzekł strapiiony Harv - nie docierają żadne programy nauczania czy higieny, bez względu na to, w jakim języku są nadawane.

- Czyli brak jakiegokolwiek wskazówki, skąd porwano te biedne dzieciaki? - skrzywiła się Teresa.

- Mogły pochodzić z każdej warstwy - potrząsnął głową Roznin.

- W poprzednim takim makabrycznym połowie, tym sprzed trzech miesięcy, tylko u czterech udało się ustalić typ etniczny - powiedział ponuro Harv Dunster. - Bliskowschodni: libański i arabski. Dwoje Tajlandczyków; dziesięciu ciemnoskórych, no i jeden był nosicielem HIV - może dlatego... pozbyto się ich. - Lekarz ciężko westchnął. - Coś mi się zdaje, że w laboratorium wśród tych ostatnich znajdują seropozytywnych...

- Oszczędź mi tego, Harv - uciszyła go twardo Teresa i wywołała na ekranie plan Jerhattanu. - UZP dopiero co zrobił rundkę po dzielnicach mieszkaniowych. Nie mamy funduszy na kolejną taką akcję. Gdzie dokładnie znaleziono te ciała, Borysie?

Czekała na odpowiedź, zwiesiwszy dłonie nad terminalem.

- Wyrzuciło je na brzeg koło Glen Cove, w pobliżu tych trochę lepszych mrowiskowców sąsiadujących z Sound.

- Cudownie! - rzuciła sarkastycznie Teresa; a potem zwróciła się do Borysa, choć to powinna była mieć w raportach: - Żadnego z tych incydentów nie przewidziano?

- Sztorm tak, zwłoki - nie.

- Czyż twój brat nie powinien już tu być? - Aiello zmarszczyła brwi, spoglądając na zegar w rogu głównego ekranu. - Potrzebujemy wszechstronnego wsparcia, żeby rozwiązać tę sprawę.

Błękitne oczy Borysa Roznina znieruchomiały na moment, kiedy nawiązywał kontakt myślowy ze swoim „młodszym” bratem.

- Korki mu przeszkadzają. Ale mówi... tu zmienił się ton głosu Borysa, stał się niższy; specyficzny Talent pozwalał, by jeden bliźniak przemawiał poprzez drugiego: - Słuchajcie, chcę oszczędzić czasu sobie i wam. Owe morderstwa są częścią o wiele większej afery, tu nie chodzi tylko o śmierć trzydziściorga nieletnich zostawcie w spokoju HIV, nie ma tu nic do rzeczy. Te dzieciaki zabito, bo dotarliśmy zbyt blisko - ale niewystarczająco blisko i niewystarczająco szybko. Tereso, Cartnen „była na nasłuchu” od chwili, kiedy przekazałaś nam sprawę porwania Waddellówny. Raz czy dwa wyczuła emanacje grozy, ale

nigdy nie były na tyle wyraźne, żeby można było ustalić, skąd dochodziły. Miała wrażenie, że jakoś łączą się z wodą. - Wydatne wargi Borysa zadrżały, odzwierciedlając smutek Saszy. - Większość tych dzieciaków musiała być nielegalna. Wszyscy wiemy, że działa grupa pederastów, że dostarcza im się wciąż nowe ofiary, i to pomimo międzynarodowych starań żeby zlikwidować ów handel. Wiemy, że dzieciaki są kupowane jako tania siła robocza i wywożone nie wiadomo dokąd. I że niektóre z nich służą jako dawcy przeszczepów. Nie próżnowaliśmy - ciągnął głos Saszy. - To może być przełom, na który czekaliśmy. Dotarliśmy zbyt blisko. Dobrze by było się dowiedzieć... - przy tych słowach otwarły się drzwi gabinetu Teresy Aiello i wszedł Sasza Roznin, obdarzając każdego promiennym uśmiechem; ścisnął ramię brata i kontynuował: - ...do czego właściwie tak się zbliżyliśmy. Pracujemy nad tym i mam nadzieję, Tereso i Harvie, że dzięki waszej pomocy przygwoździmy tych drani.

Tu Sasza uśmiechnął się do wszystkich, po czym spojrzał porozumiewawczo na brata i mrugnął doń. Twarz Borysa rozjaśniała się, w miarę jak „czytał” w umyśle Saszy.

- Oznakować dzieciaki włókienkami? To może zadziałać! A i pomóc nam tym razem złapać tych cholernych złodziei dzieci. - Borys pochylił się nad stołem. - Wszyscy oczywiście znacie te cieniutkie włókienka, które dopiero co wynaleziono? Zdarza się, że opleceni nimi uciekają, zanim zdążymy ich złapać. Zmieniono nieco skład włókienek i teraz można je wykryć także po sześciu miesiącach. Jest jeszcze parę

spraw do rozwiązania, ale na pewno warto oznakować wszystkie dzieci z grupy ryzyka.

- Masz na myśli tę stronę rzeki? - Teresa wskazała widok roztaczający się z okna na grupę eleganckich budowli mieszkalnych rysujących się ostro w blasku poranka. - Jednak, statystycznie rzecz biorąc, to dzieciaki z liniowców są najbardziej zagrożone.

- Gdybyśmy zdołali złapać te nielegalne dzieci i oznakować je, byłby to ogromny postęp. - Borys uniósł dłonie w geście pełnym rezygnacji. - Na razie naznaczmy tyle dzieci z obu brzegów rzeki, ile tylko zdołamy, i nie traćmy nadziei.

- Nadziei? - spytał miękko Sasza.

- *Rhyssa!* - rozpoznała przekaz Johnna Greene'a, Utalentowanego goryla Vernona Altenbacha, ministra do spraw kosmosu.

Rhyssa: *Mamy jakieś kłopoty?*

Johnny: *Dziewczyno, zasługujesz na wszelkie dolegliwości rządu, skoro potrafisz aż tyle wywąchać z tego, jak wymawiani twoje imię!*

Rhyssa: *Wcale nie muszę być jasnowidzem, J. G. Zawracasz mi głowę tylko wtedy, kiedy politycy szykują jakiś numer. O co chodzi tym razem?*

Johnny: *O ustawę, żeby kierować Talenty wszędzie tam, gdzie rząd ich potrzebuje!*

- O nie, znowu? - „nadała” na wpół rozbawiona, na wpół zirytowana Rhyssa.

Agendy rządowe próbowały w przeszłości ograniczyć zagwarantowaną Talentom swobodę wyboru. Działo się to, zanim owe agendy zaczęły doceniać korzystanie z ich usług. Po tym, jak jej znakomity dziadek, Daffyd op Owen, namówiony przez senatora Joela Andresa walczył o prawne zagwarantowanie nietykalności Talentom wykorzystującym w pracy swoje uzdolnienia. Immunitet był szczególnie ważny dla jasnowidzów: kiedy ostrzegli o jakichś nieszczęściach, których dzięki temu zdołano uniknąć, ciągnano ich potem po sądach, przez co tracili czas i pieniądze. Od tamtej pory co

jakiś czas zdarzały się próby - od śmiesznych po śmiertelnie poważne - ograniczenia swobody wyboru i zmuszenia Talentów do pracy wyłącznie na potrzeby armii, administracji państwowej lub kompanii handlowych. Lecz Talentom zawsze się udawało - całkiem legalnie i bez nadużywania specyficznych uzdolnień - stopować owe zakusy. Wielu z nich poświęciło swoją osobistą swobodę i zgodziło się służyć w państwowych instytucjach, nieraz przez całe życie, aby w ten sposób strzec dla swoich współbraci prawa wyboru. Uczynili tak i rodzice Rhyssy, dzięki czemu mogła osiągnąć swoją obecną pozycję.

- Znowu, i tym razem to nie zabawa - ciągnął Johnny. - Kosmos jest w tarapatach. Platformę trzeba ukończyć w terminie, zanim populacja Ziemi całkiem się wymknie spod kontroli!

Rhyssa: Czyli Ludmiła zdobyła poparcie?

Johnny: Zyskała mocne poparcie i „Kosmos” jest pod silną presją. Jestem najdonioślejszym „głosem” waszyngtońsko-luksemburskim, więc nawiązałem z tobą kontakt w imieniu wszystkich strażników. Nie pozwolono nam uczestniczyć w o wiele większej liczbie sesji, niżby należało: a brali w nich udział najzagorzalsi przeciwnicy naszego immunitetu, jacy kiedykolwiek się skrzyknęli przeciwko Talentom. Jak sobie przypomnę, że sam pomogłem „Kosmosowi” ekranować się przed wścibskim „zerkaniem w umysł”, to mnie krew zalewa! Drań wykorzystuje to przeciwko mnie!

Strzeżenie znajdujących się na topie oficjeli było jedną z najdelikatniejszych funkcji powierzanych empatycznym Talentom. Terroryzm wciąż jeszcze nie zniknął z politycznego życia: od czasu do

czasu pojawiali się fanatycy mający i dostęp do wymyślnych urządzeń, i możliwość uśmiercania ważnych osobistości; często występowali w imieniu zepchniętych na margines. Masowe przesiedlenia i budowa liniowców w pobliżu każdego obszaru wielkomiejskiego nieco osłabiły napięcia związane z uchodźcami i mniejszościami, dzięki czemu gwałtownie zmalała liczba zabójstw - nadal jednak zatrudniano empatów jako strażników, „goryli” polityków na topie, którym groziło, że mogą się stać celem ataków wciąż pojawiających się fanatyków.

Rządy już dawno przestały reagować na emocjonalny szantaż. Jednostki specjalne uwalniały zakładników: często składały się z tych, którzy niedawno sami brali zakładników. Jednakowoż, ogólnie rzecz ujmując, Talenty-goryle sprawnie zapewniali bezpieczeństwo najbardziej narażonym osobom. Tacy goryle jak Johnny Greene.

Rhyssa wyczuła w głosie Johnny’ego urazę, że Vernon Altenbach osłaniał swoje myśli przed kimś, kto był nie tylko jego najlepszym przyjacielem, ale i szwagrem. Oficjalnie Greene pracował jako podsekretarz w Ministerstwie Spraw Kosmosu. Przedtem był doświadczonym pilotem Ziemia-platforma: dwadzieścia pomyślnych startów na koncie; dwudziesty pierwszy skazał go na stały pobyt na Ziemi. Talent Johnny’ego ocalił załogę od śmierci, ale nie uratował swego nosiciela przed utratą lewej nogi i lewej ręki. Protetyka stała co prawda na wysokim poziomie, jednak Greene musiał pomyśleć o innej karierze. Teraz znakomicie wypełniał swoje nowe, podwójne obowiązki. Udaremnił już cztery próby zabójstwa i porwania ministra spraw kosmosu, Altenbacha.

Johnny: *Powinienem był uczestniczyć w tych ostatnich rozmowach, ale mnie z tego wyłączyli.*

Rhyssa: *To znaczy, że debatowali o Talentach. Barczenka i Duoml chcieliby na platformę więcej kinetyków, lecz na gorszych warunkach. Robię, co mogę...*

Johnny; bezkompromisowo: *Czyżby nikt nie powiedział Barczence, że to przez nią Talenty nie chcą tam pracować?*

Rhyssa: *Lance Baden jej to powiedział. Sądzi, że ona cierpi na wybiórczą amnezję. Ale przez te rekordowe osiągnięcia nie uda się jej nikim zastąpić!*

Johnny: *Vernon próbował! Ona jest diabelnie dobra w swoim fachu... tylko te jej metody. Pozostanę w kontakcie; sądziliśmy, że trzeba cię ostrzec.*

W jego głosie pojawiła się nutka nagany.

Rhyssa: *Żaden jasnowidz niczego nie wykrył, Johnny.*

Johnny: *Wiem, wiem. I to mnie właśnie martwi. To musi być wielka sprawa, nawet Mallie nic nie zwąchała!*

Amalda Vaden była jednym z najbardziej wyczulonych jasnowidzów, jakich Centrum dało światu, toteż zdumiewał fakt, że niczego nie „wyczuła” (o ile Johnny właściwie ocenił to, co się działo, a bez wątplenia tak się stało).

Rhyssa: *No to pewno cała sprawa zostanie rozwiązana, zanim osiągnie punkt krytyczny.*

Starła się, żeby jej przekaz zabrzmiał optymistycznie, choć czuła dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Ktoś powinien był coś wyczuć!

- *Będę w kontakcie - zapewnił ją Johnny. - Sprawdzę, co w trawie piszczy. Sama wiesz, jak bardzo by chcieli pomieszać nam szyki.*

Rhyssa: *Myszę, że spróbują frontalnego ataku. Chyba się do was wybiorę.*

- *Więc kiedy cię zobaczę? - ożywił się Johnny.*

- *Dziś, jeśli to możliwe. Daj mi rozkład zajęć Vernona.*

Greene zaczął wyliczać „rozkład jazdy”, Rhyssa przerwała mu przy lunchu.

- *Smakuję mi tamtejsze potrawy! Wtedy wpadnę!*

* * *

Widok Johnny’ego zawsze nieco dziwił Rhyssę, bo głos nie „przystawał” do sylwetki. Greene był średniego wzrostu, wymuskany i nikt - patrząc, jak chodzi czy posługuje się sztucami - nie odgadłby, że uległ tak poważnej kontuzji. Utajone zdolności kinetyczne pomogły zwalczyć skutki amputacji. Johnny wstał, widząc Rhyssę podchodzącą do stolika, przy którym siedział wraz z ministrem spraw kosmosu, Vernonem Altenbachem, jej wzniosłością panią inżynier Ludmiłą Barczenką i szefem personelu Drugiej, Perem Duomlem. Uśmiechnął się promiennie do nowo przybyłej, uścisnęli się i ucałowali.

- *Czy odważyłabyś się tak cudownie wyglądać, gdyby był tu również zakochany Phanibal?*

Oczy Johnny’ego, bursztynowe z zielonymi cętkami, błysnęły łobuzersko.

Rhyssa: *Dlaczegoż ten obmierzły typ nie wraca na Pacific Island, która go zrodziła, żeby się zająć rodzinnymi plantacjami?*

Johnny: *Musisz znaleźć jakiegoś krzepkiego przystojniaka, który by go odstraszył. Twoje przybycie wprowadziło ich w zakłopotanie, choć jeszcze nic niewłaściwego nie powiedzieli* - dodał; wymienili owe myśli w krótkiej chwili powitania.

- Oto i osoby, które miałam nadzieję zobaczyć - powiedziała Rhyssa, obdarzając Altenbacha uśmiechem pełnym szczerego zadowoleniu, kłaniając się uprzejmie Barcencie (która rzucała groźne spojrzenia) i Perowi Duomłowi (mającemu, jak zwykle, uprzejmą minę). - Kiedy się dowiedziałam, madame Barczenka, że ma pani być w Waszyngtonie, uznałam, że i ja powinnam się tu zjawić, zanim sprawy wymkną się spod kontroli

- Ależ Rhyss - odezwał się Altenbach, dając jednocześnie znak kelnerowi, żeby przyniósł krzesło i nakrycia dla nieoczekiwanego gościa - nie możesz zakłócać ustalonej procedury nacisku. To nic fair.

- Działanie poza moimi plecami też nie jest zbyt uczciwe. - Rhyssa uśmiechnęła się, żeby złagodzić ostrze krytyki, po czym zwróciła się do Barczenki: - Musisz się trzymać planu. Nie bierzesz jednego pod uwagę: Talentu nie można zaplanować, nie można go też zmusić, żeby się objawił. Kinecy, których tak rozpaczliwie potrzebujesz, nie pojawią się znikąd, żeby ci pomóc w dotrzymaniu terminów. Takiej ilości kinecyków po prostu nie ma. Talent to bardzo rzadka, wysoce osobliwa cecha, a nie coś wymuszonego. Ktoś, kto próbuje narzucać warunki osobie obdarzonej Talentem, nie może

oczekiwać, żeby owa osoba wykorzystywała pełną moc swoich uzdolnień. Przymus „gasi” Talent, jest to równie pewne jak fakt, że choroba morska odbiera apetyt. Żadna ustawa na świecie nie zdoła zakuć umysłu w kajdany.

- Ale są ustawy, które umożliwią, werbowanie osób niezbędnych do wykonania pracy mającej priorytet na całym świecie - flegmatyczny głos Barczenki harmonizował z jej nieprzejednaną miną. - Platforma będzie ukończona w terminie. Kinecy się do tego przyczynią.

Rhyssa wyczuła jeszcze jedną silną emanację; tym razem był to Per Duoml potwierdzający, solennym skinieniem głowy, oświadczenie Ludmiły.

- Są na to sposoby - dodała Barczenka, taksując Rhyssę zimnym wzrokiem: jej elegancką fryzurę, delikatny makijaż, toaletę.

- Legalne? - uśmiechnęła się leciutko Rhyssa; ów uśmiech wyrażał jej niedoścignioną wyższość nad kłocowatą i niemodnie ubraną Ludmiłą.

Minister odchrząknął i podał nieoczekiwanemu gościowi kartę dań.

- Dalej uważam, że ów... impas... można rozwiązać tak, by dać satysfakcję wszystkim zainteresowanym - oznajmił Altenbach.

Barczenka parsknęła z niedowierzaniem i dokończyła uważnie przeglądanie menu, przerwane pojawieniem się Rhyssy. Po chwili odłożyła niedbale kartę na stół.

- Wołałabym jakieś pożywne jedzenie... - orzekła.

Johnny Greene skinął na maitre d'hôtel, który słynął z tego, że potrafił zachować zimną krew w najtrudniejszych sytuacjach spośród tych, w jakie obfitował Waszyngton:

- D'Amato, zarządca Barczenka życzy sobie inne menu.

D'Amato pstryknął palcami; jak spod ziemi wyrósł jego podwładny i z promiennym uśmiechem wręczył Barczence cieniutką kartę dań. Ludmiła spojrzała nań - i na Johnny'ego - z sardonicznym wyrazem twarzy, który przeszedł w miłe zdumienie, gdy odczytała spis pożywienia dostępnego na platformie.

- Pięć, dwanaście i dwadzieścia, z herbatą - zadysponowała głosem wibrującym powściąganym gniewem.

- *Uważaj, Rhyssa!* - ostrzegął Johnny. - *Zauważyłaś ten błysk? Jest cholernie pewna swego!*

Podobne ostrzeżenia napłynęły w tej samej chwili od trzech innych teleempatów jedzących posiłek z osobistościami, których strzegli.

- *Świetnie! Teraz trzeba dociec, co ma w zanadrzu!* - „nadała” Rhyssa, zamawiając zupę (restauracja słynęła z zimnych zup owocowych) i sałatkę. - *Gordie, czy mógłbyś szybko przejrzeć przestarzałe ustawy, które mogłaby wykorzystać?*

- *Ja i moi urzędnicy spędziliśmy nad tym całe godziny* - odparł Gordon Havers, najmłodszy w całej historii sędzia Sądu Najwyższego.

- *W NASZEJ konstytucji nie ma nic takiego. Ale skoro Sowietci dostali kontrakt na Drugą, to może w ich sekcji coś jest! Ich prawa są równie pokrętne jak gramatyka!*

- Możesz się, oczywiście, powołać na jakąś zapomnianą, lecz wciąż obowiązującą ustawę - rzuciła słodziutko Rhyssa, uważnie śledząc reakcję - która ci pozwoli „zarekwirować” Talenty.

Tak Barczenka jak i Duoml drgnęli, słysząc te bezceremonialne słowa.

- *Bingo!* - krzyknął Gordie. - *Zajmę się rosyjską częścią Ustawy Kosmicznej!*

- ...lecz zawsze się okazywało - ciągnęła gładko Rhyssa - jak niemądre było zmuszanie Talentów do pracy w dziedzinie, która im osobiście lub zawodowo nie odpowiadała.

- Byliśmy zbyt wyrozumiali dla twoich kaprysów i sztuczek. - Barczenka, wściekła na Rhyssę Owen, pochyliła się nad stolikiem. - To zrobicie, a tego już nie! - rzuciła głosikiem rozdrażnionego bachora. - Poczyniliśmy wiele ustępstw, żeby uczynić zadość fanaberiom i zachciankom twoich Talentów, a wciąż tak mało ich się zgłasza do pracy nad najważniejszym w historii ludzkości Projektem. Taka postawa jest nie do przyjęcia.

- Powtarzam raz jeszcze, że wcale nie stwarzam przeszkód; po prostu chronię moich kolegów - podjęła Rhyssa; Barczenka i Duoml nie zdołali ukryć wrażeń, jakie wywarły na nich jej słowa. - I powtarzam, że zmuszanie Talentów do pracy, która im nie odpowiadała, nigdy nie przyniosło nic dobrego; i to do pracy w fatalnych warunkach.

- To się zmieni! To się musi zmienić! Platforma będzie gotowa na czas! - Ludmiła coraz bardziej podnosiła głos, aż umilkły wszelkie inne

rozmowy, nieco chwiejnie - przyzwyczajona do mniejszego ciężenia podniosła kłocowatą postać z krzesła i kopnęła je na bok. - Nie mam zamiaru tolerować niesubordynacji!

I z tymi słowy odeszła.

- Zrobiłem dla ciebie, co tylko mogłem - powiedział Rhyssie Vernon Altenbach głosem pełnym rezygnacji; wstał, a czujny kelner odsunął jego krzesło.

- Pani nie rozumie naszej sytuacji, dyrektor Owen - dorzucił Per Duoml. - Musimy się uciec do nieprzyjemnych środków, żeby zapobiec poważnym katastrofom zagrażającym światu!

- Może mi się uda ją uspokoić i nakłonić do rozsądku - rzekł Vernon i dał znak Johnny'emu, żeby został. - Każ zanieść jej i moje dania do gabinetu, D'Amato. Będę tam.

- Czy naprawdę wierzysz, Perze Duoml - Rhyssa pochyliła się doń nad stolikiem - że się uchylamy od spełnienia naszych obowiązków wobec świata?

Wzruszył ramionami; ekran chroniący jego umysł był równie twardy, jak niechęć Pera do zrozumienia natury Talentu.

- Panuje opinia, że owo... uchylanie się... naraża Projekt na niebezpieczeństwo - odparł Duoml.

- To Ludmiła Barczenka zagraża Projektowi - rzuciła Rhyssa z większym żarem, niż by chciała, i uśmiechnęła się pospiesznie, pragnąc w ten sposób naprawić szkody wyrządzone przez nadmierną szczerość; Per Duoml może i nie miał Talentu, ale głupi na pewno nie był.

- Ach! Moja szacowna koleżanka miała słuszość.

- Wcale jej NIE przeszkadzam. Chronię moich ludzi tak, jak ona swój projekt. - Rhyssa pożałowała tamtej chwili szczerości.

- *Przecież to przez NIĄ Talenty nie chcą pracować* - pocieszał dziewczynę Johnny. - *I wszyscy o tym wiemy!*

Gordie: *Pewno, ale ona zostaje! To będzie fascynująca walka, oczywiście z czysto naukowego punktu widzenia!*

- Podziwiam niekwestionowane kompetencje Barcenki jako kosmicznego inżyniera. Byłoby mi miło, gdyby odwzajemniła ów „profesjonalny” komplement - rzekła uprzejmie Rhyssa. - Ta zupa jest wspaniała, Perze Duoml. Delektujemy się nią.

- *Bingo!* - powiedział nazajutrz Rhyssie Gordie Havers, a w jego głosie nie było ani cienia radości.

- *To znaczy, że Barczenka MOŻE „zarekwirować” Talenty?* - Dziewczynę ogarnął lodowaty chłód.

- *Odgadłaś! Przystudiowałem ich ustawę jeszcze rosyjską, sprzed głośności, tak archaiczną, iż już dawno należało ją znieść! W starych, dobrych dniach bolszewizmu pozostawanie bez pracy było nielegalne - rozumiesz, NIELEGALNE. Jedyńm pracodawcą było państwo. Ergo, każdy pracował. Przeto - w systemie, w którym bycie bez pracy jest nielegalne - jedyny pracodawca może uczynić ze swoją siłą roboczą, co uzna za stosowne. To daje Barczence prawo - zgodnie z Międzynarodowym Statutem Drugiej - ściągnięcia na platformę każdego technika, specjalisty czy robotnika, którego potrzebuje do wykonania Projektu. Projekt Kosmiczny w oryginalnej wersji był rosyjski. Owo prawo dalej obowiązuje i Barczenka może dzięki różnym kruczkom - zastosować je wobec Talentów. Rzecz jasna możemy z tym walczyć!*

- *I..* - przynagliła go, bo nagle zamilkł.

- *Mając tak wymownego adwokata, jak Lester Favelly, moglibyśmy wygrać. Ale proces ciągnąłby się całymi latami i Ludmiła potraktowałaby to jako potwierdzenie jej zarzutów, że Talenty*

przeszkadzają w wykonaniu Projektu. - Zamilkł znacząco. - A może byśmy tak pozwolili, żeby się sama pogrążyła?

- Talenty będą nieszczęśliwe i nie zdołają dobrze pracować...

I to właśnie dręczyło Rhyssę, urażało jej wyczułone poczucie uczciwości. Talenty zawsze dawały z siebie wszystko, bez względu na warunki, w jakich im przyszło pracować. Nawet najdelikatniejsza sugestia, żeby oszczędzały siły, byłaby naruszeniem najsurowszej zasady postępowania Talentów. No, ale w kosmosie - wymęczeniu ciężkimi warunkami i psychiczną stagnacją, której nie dadzą rady tam uniknąć - na pewno nie będą tak skuteczni jak zwykle.

- Otóż to. Zaproś pozostałych dyrektorów. Musisz sprawiać wrażenie, jakbyś akceptowała to, co nieuniknione.

- Zła prasa, jaką to robi Talentom, może zniszczyć robotę z całego ostatniego stulecia - powiedziała rozpaczliwie Rhyssa.

- Wiem. Ale mam coś, co ci osłodzi tę bardzo gorzką pigułkę. Amalda Vaden widzi, że wszystko dobrze pójdzie.

- Po czyjej ona jest stronie? - Rhyssa nie zdołała usunąć z głosu nutki rozgoryczenia.

- Po naszej, jak dobrze wiesz - odparł szorstko Gordon Havers. - Ergo, damy sobie z tym radę dzięki naszej ustepliwości. Skonsultuj się, Rhyssso. Szybkie działanie może przeciągnąć ogół na naszą stronę.

Nie wszyscy z dyrektorów pozostałych czternastu Centrów byli zadowoleni, kiedy w środku nocy dotarł do nich naglący przekaz Rhyssy zwołującej naradę; niektórzy szemrali. Gdy tylko byli gotowi, wyjaśniła, w czym rzecz.

- *A z jakich to równie ważnych stanowisk możemy ściągnąć, zdaniem tej Rosjanki, potrzebnych jej kinetyków?* - spytał Baden, dyrektor z Australii. Rhyssę zawsze dziwiło, że jego telepatyczny głos nie miał tamtejszego akcentu. - *Wysyłamy jej każdego, którego uda nam się przekupić lub zaszantażować. Tylko cholerne poczucie obowiązku trzyma ich na miejscu; moim ludziom zostali już sami dźwigacze kukurydzy i piór.*

- *Już niejeden raz mówiłem Ludmile Iwanownie* - rzekł skruszonym i przeproszającym tonem Wsiewołod Giebrowski z Biura Leningradzkiego - *że niemal wszyscy sowieccy kinetycy pracują za dwóch i za trzech, żeby zaspokoić podstawowe potrzeby kraju. Wiercie mi, próbowałem ją przywołać do rzeczywistości...*

- *Ależ wierzymy ci, Geb, wierzymy* - odparli chórem, co go podniosło na duchu.

- *Ilu chce, Rhyssso?* - spytał Miklos Horvath, dyrektor Zachodniego Wybrzeża.

- *Żąda stu czterdziestu pięciu kinetyków!* - odparła ponuro i natychmiast się ekranowała przed krzykami pełnymi oburzenia.

Każdy dyrektor znał liczbę Talentów zarejestrowanych w poszczególnych Centrach. W razie konieczności przenoszono potrzebne Talenty z jednego Centrum do drugiego.

- *Nie mamy zbyt wielu kinetyków - odezwała się rozeźlona Brazylia. - Poza tym spędziłem tam sześć miesięcy, to najpaskudniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem. Bezustanny hałas! Ohydne żarcie - ta ich „kaloryczna” żywność mogłaby mieć przynajmniej jakiś konkretny smak. Jak ona może oczekiwać, że będziemy pracować...*

- *Jeśli posłużymy się klauzulą uznaniową, to zbierzemy żadaną grupę, zabierając ich z handlu i przemysłu...* - zaczął na swój powolny, rozważny sposób Max Perigeaux z dużego Centrum Europejskiego.

- *Nie zwracając uwagi na wściekłe protesty...*

- *W tych warunkach nie podlegamy sankcjom karnym...*

- *To prawdziwa pociecha dla tych, którzy będą zmuszeni do pracy na Drugiej...*

- *Handel i przemysł chcą tej Stacji, więc niech piją to piwo razem z nami...*

- *...i dając przyuczanych tam, gdzie można ich dozorować - ciągnął spokojnie Max, nie zwracając uwagi na komentarze. - Ale jak możemy oczekiwać, żeby nasi ludzie wydajnie pracowali w warunkach panujących na Stacji? Obniżenie wydajności zaszkodzi naszej reputacji, lecz czy ktokolwiek by zdołał w pełni wykorzystać swoje zdolności w takim środowisku!? I w takim hałasie!? - Wysoki, wymuskany mężczyzna przesłał „obraz” dreszczu pełnego wstrętu.*

- *Trzeba COŚ zrobić na rzecz tych z przymusowego naboru!*

- *Barczenka uważa, że żądamy ekranowanych kwater i krótszych godzin pracy tylko dlatego, żeby opóźnić Projekt* - powiedziała Rhyssa. - *Poinformowano mnie, że w pustce kosmosu nie ma żadnego hałasu i że ze względu na brak grawitacji obciążenie fizyczne jest dużo mniejsze, więc można pracować dłużej, a nie krócej.*

- *Ta baba nie ma za grosz empatii czy rozumu* - odezwała się Północna Afryka.

- *Czy ktoś PRÓBOWAŁ dostroić jej umysł?* - spytał Jimmy z Hongkongu.

- *Nigdy się nie spotkałeś z Barczenką, prawda? Ekranowanie ściślejsze niż pas cnoty!* - odparł kwaśno Baden.

- *A co to jest pas cnoty??* - zainteresował się, tonem świętej niewinności, Jimmy z Hongkongu.

Dziewięciu skorych do pomocy telepatów ochoczo oświeciło ignoranta. Rhyssa była mu wdzięczna za rozładowanie narastającego napięcia.

- *Musimy się podporządkować!* - rzekł grobowym tonem Perigeaux. - *I to bezzwłocznie; więc powinniśmy wytargować jak najlepsze warunki dla tych, którzy się muszą poświęcić. A może by tak rotacyjność...*

- *Skoro chce tyle luda, to nici z rotacji!*

- *Mogę spróbować obstawać przy krótkoterminowych kontraktach* - oznajmiła Rhyssa.

- *No i rozgłośmy, jakie tam w górze panują warunki* - zasugerował Miklos Horvath.

- Nie wiem, czy to coś da, skoro musi zaangażować tylu ludzi. Orientujesz się przecież, że tych poniżej ósmego poziomu służby państwowej znajdzie tylko w schroniskach.

- Ale ludność powinna się dowiedzieć, że Talenty nie protestują bez powodu...

- Barczenka jest wystarczającym powodem...

- Czy NIKT nie ma na nią wpływu?

- Próbowano...

- A co z jej współpracownikiem, Perem Duomlem? Żadnych szczelin w pancerzu?

- Przecież to nie jest tak, że my nie chcemy pomóc w Projekcie; ona jest swoim największym wrogiem.

- Czy wymieniła tylko kinetyków?

- Nikt jej nie powiedział, że niektórzy z nich są także telepatami!

- I niech nikt się nie waży o tym wspomnieć! - rzekł porywczo Lance Baden.

- Też coś! Nawet się jej o tym nie śniło!

- Myślisz, że ona o tym NIE wie?

- Ludmiła Iwanowna wie tylko to, co chce wiedzieć - rzekł znużonym głosem Wsiewołod. - Słucha tylko tych wyjaśnień, które chce usłyszeć.

Po dwunastu minutach szybkiej wymiany komunikatów Talenty uzgodniły trudny, ale realny plan działania. Maxim, Baden i Jimmy zrobią „przeгляд” kinetyków o odpowiedniej mocy. Niektóre z Talentów wykreśli się ze względu na ułomność, ciężę czy zbyt niskie

kwalfikacje - choć dwaj z „żółtodziobów” Badena potrafili dokonać precyzyjnego zestrojenia. Rhyssa, Miklos i Dolores z Centrum Brazylijskiego spróbują wytargować ekranowanie kwater i co najwyżej sześciogodzinny dzień pracy; czterogodzinny dla mniej doświadczonych kinetyków. Barczenka może sobie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale osiem godzin telekinezy to nadmierne obciążenie, nawet w kosmosie i przy 0,5 g.

- *Musimy też dla własnego dobra zorganizować system reagowania w razie nieszczęścia* - powiedziała Kayankira z Delhi, kiedy już omówili najważniejsze sprawy.

W jej umyśle pojawiły się obrazy ubiegłorocznych katastrofalnych powodzi na subkontynencie indyjskim, których skutki złagodzą tylko dzięki pospiesznej mobilizacji setek kinetyków, kiedy jasnowidz wyczuł, co się szykuje.

- *Kayan, masz o wiele większe doświadczenie w tych sprawach niż ktokolwiek z nas* - odezwał się Baden z nieoczekiwaną pokorą. - *Doradź nam, a my się podporządkujemy.*

- *Jak zawsze! Musimy ogłosić wszystkie podrzędne zakłady przemysłowe i zredukować do niezbędnego minimum personel kierowniczy portów. A i tak będzie nam brakować tych najpotrzebniejszych.*

- *Pomyślnej pogody!* - zażartował Jimmy z Hongkongu. - *Kiedy znajdziemy synoptyka?*

- *Jeśli przetrwamy tę burzę* - odparł Miklos - *to każdy z nas będzie się mógł ubiegać o to stanowisko!*

Ustała łączność telepatyczna; ów kontakt dodał jednak otuchy dyrektorom Centrów, choć czekało ich wiele pracy. Rhyssa poinformowała Gordiego Haversa o tym, co uradzili, a on głośno „zakrzyknął”: hura!

- *Będzie całe mnóstwo okropnie nieszczęśliwych kinetyków!* - poinformowała Haversa Rhyssa. - *Musimy огоłosić każde Centrum: a ja się zbroję, żeby godnie znieść ciosy rozwścieczonego biznesu.*

- *Przed kinetykami istniały rozmaite maszyny, a ludzie korzystali z własnych mięśni. Niech powrócą do tradycyjnych metod. Docenią nas jak nigdy dotąd.* - Gordie przesłał obraz archaicznego bloku i wielokrążka, używanych do przenoszenia ciężarów, które teraz, „dźwigali” kinetycy. - *Kto się zajmuje prasą?*

Rhyssa: *Z tym musimy być bańko ostrożni... żeby Barczenka nie mogła powiedzieć, że się jej czepiamy... że przeszkadzamy w naborze pracowników...*

Gordie: *Człowiek, o którym myślę, nie jest być może znakomitym Talentem, ale za to wspaniałym dziennikarzem, Rhyssu. Chciałbym, żeby Dave Lehardt reprezentował nasze interesy.*

Rhyssa: *Dave Lehardt?*

Gordie: *Wpakował naszego czcigodnego prezydenta do Białego Domu...*

Rhyssa: *I on NIE ma Talentu?! To nie fair! Ta kampania wymagała geniusza!*

Gordie: *Wiesz, że musimy dać niemym trochę przywilejów. Czy mogę go wybadać?*

Rhyssa: *Oczywiście. Zrobię wszystko, żeby mu pomóc.*

Gordie: *Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że większość twoich działań jest całkowicie nielegalna w Szkocji, gdzie nadal obowiązują prawa przeciwko gustom?*

Rhyssa: *Nie donoś na mnie!*

Gordie: *Nie doniosłem i popatrz, co nas dopadło. Dotarłem do Ruskich poprzez Wyspy Brytyjskie i Skandynawię. Wielka szkoda! Nigdy nie wiesz, gdzie zacząć, żeby zlikwidować zamierzchły fanatyzm!*

Kiedy Gordie się „wyłączył”, Rhyssa nawiązała kontakt z Saszą.

- *Znów coś się działo?* - spytał.

- *Miałam ożywione kontakty umysłowe.*

Przekazała mu wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie pół godziny. Sasza aż gwizdnął.

- *Ale się nam dostanie od handlu i przemysłu!*

Rhyssa: *Nie mogą trzymać dwóch srok za ogon. To oni zagrozili Barczence różnymi karami, jeżeli nie zdąży na czas. I to się teraz na nich mści tam, gdzie tego nie oczekiwali. Niech odkurzą swoje maszyny i wzmocnią mięśnie. Za bardzo im ułatwiliśmy życie...*

Sasza: *A co będzie, jeśli im się spodobają dawne metody i nie będą chcieli znów przyjąć naszych ludzi?*

Rhyssa parsknęła drwiąco.

- *Weź pod uwagę, ile przemysł rocznie oszczędza dzięki kinetykom na sprzęcie i konserwacji; takim argumentem się przecież posłużyliśmy, żeby zatrudniali przede wszystkim kinetyków!*

Sasza: *Taaa, ale jak my to wytłumaczymy naszym kinetykom?*

Rhyssa: ******Ona na kolanach, rwąca włosy z głowy, przemawiająca do niewyraźnych twarzy, ofiarująca klejnoty i sztaby złota.** *Dobrowolne zgłoszenie się zawsze było lepsze od przymusowego naboru. I możemy się UPIERAĆ przy ekranowaniu i krótkich zmianach. Stracimy tę możliwość, jeśli ona wykorzysta te drakońskie zarządzenia. Nie mamy innego wyjścia i każdy Talent powinien sobie z tego zdawać sprawę!*

Sasza: *Wsiewołod nic nie może dla nas zrobić?*

Rhyssa: *Był przerażony, skruszony i w ogóle, ale szlag go trafił, że to jego rodaczka wykręca nam taki numer.*

Sasza: *Nie było mowy o skasowaniu tego prawa?*

- *Gordie nad tym pracuje!*

Rhyssa nawet się nie postarała złagodzić swoją zawziętość.

Wściekłość Talentów dorównywała jedynie rozpaczycy Rhyssy, próbującej ustalić kinetykom „grafik” (niektórzy z nich już kiedyś odcierpieli staż na Stacji). Pani dyrektor wykorzystała ową wściekłość i desperację w ostrych negocjacjach z szefami kosmicznej platformy. Pomagał jej w tym Dave Lehardt, utalentowany dziennikarz Gordiego Haversa.

Dave Lehardt wpadł do biura Rhyssy w posiadłości Hennera już w godzinę po tym, jak Talenty z niechęcią zaakceptowały to, co nieuniknione.

- O Boże! Ty chyba masz skrzydła? - spytała Rhyssa, kiedy energiczny Lehardt potrząsał jej dłonią.

Dave miał dwa metry wzrostu, był atletycznie zbudowany i emanował fachowością oraz jowialnością tak, jak to potrafi tylko ktoś świadomy swoich możliwości. Dave był dość przystojnym, niebieskookim szatynem o regularnych rysach twarzy; ubierał się ze skromną elegancją.

- Nie skrzydła, a śmigła! Są pewniejsze! - Uśmiechnął się czarująco; zaczął przeglądać dokumenty w swojej walizeczce. - Gordie mówił, że to pilne, no i oglądałem wiadomości. O co chodzi? Czyżby mnie krosty obsypały? - zainteresował się, widząc zmieszanie Rhyssy.

- Ależ skąd. Chodzi o to, że nie masz ani krzty Talentu, a powinieneś mieć.

- Niby po co? - Dave wzruszył ramionami. - Nigdy mi to nie było potrzebne. Jestem wnikliwym badaczem ludzkiej psychiki i bystrym obserwatorem „mowy ciała”.

Umysł Lehardta chroniła wrodzona, nieprzenikliwa tarcza. Rhyssa, pomimo swojej wprawy i Talentu, nie mogła odczytać jego myśli.

- A teraz, zanim Barczenca przyjdzie do głowy triumfować - oznajmił Dave, przysuwając krzesło ku Rhyssie i układając przed nią projekty anonsów i plansz - pokażemy ludziom, że Talenty ochoczo mobilizują cały będący do dyspozycji personel, bo chcą mieć pewność, że Druga Stacja zostanie ukończona w terminie... zrobimy to tak, by zasugerować, że Ludmiła na pewno by tego nie dokonała bez pomocy Talentów.

- Przecież to prawda - stwierdziła twardo Rhyssa.

- Ach, przecież jedną rzecz można powiedzieć na tak wiele sposobów - rzekł Dave Lehardt z naprawdę podstępny uśmiechem.

- Miałem już kiedyś do czynienia z tępym uporem Barczenki, więc - wierz mi - jestem po twojej stronie!

Rhyssa uśmiechnęła się do siebie. Dave Lehardt jednak miał Talent - wiara w siebie emanowała zeń jak aura. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego, jak on: kogoś, do czyich myśli nie mogła się dostać, nawet najostrożniej. To było całkiem nowe doświadczenie; stwierdziła, że bacznie obserwuje wyrazistą twarz gościa, zauważyła, że gestem dłoni punktuje rzeczy warte podkreślenia, że ruchem ramienia wzmacnia słowa. Czasem patrzył na nią, a jego jasne oczy nie

umykały przed jej wzrokiem (niewiele nie-Talentów wytrzymało jej spojrzenie). Zupełnie się nie przejmował tym, że siedzi obok jednego z największych telepatycznych Talentów.

- Marzę o tym, żeby przytrzeć nosa naszej uroczej „Milli”. - Przez twarz Dave’a przemknął błysk jakiegoś szybko stłumionego odczucia, lecz Rhyssa, mimo całej swojej wrażliwości, nie zdołała go rozszyfrować.

- Milla ponad wszystko, rozpaczliwie (nawet kosztem długotrwałych powiązań z sektorem publicznym, kosztem osobistych wyrzeczeń) pragnie wsparcia Talentów - a nie płaci ustalonych stawek, bo ma priorytetowy kontrakt i poparcie całego świata...

- Pewno nie wierzy, że pieniądze cokolwiek znaczą...

- Czy wiesz, ile dostanie, jeśli skończy Stację w terminie?

- To jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic Talentów. - Uśmiechnęła się Rhyssa. - Wiemy też, ile będzie musiała wybulić, jeżeli zawiedzie...

- Jesteś świetnie poinformowana! - Dave umilkł na chwilę z miną pełną nadziei, a potem westchnął, bo jego rozmówczyni tylko się uśmiechnęła. - O nie, nie łudziłem się, że mi to zdradzisz. - Złapał róg jakiejś planszy i wyciągnął ją z całej sterty. - Co do twoich głównych żądań - sześciogodzinnego dnia pracy i ekranowania... czy przedstawiłaś tę sprawę?

- Co rozumiesz przez przedstawiłaś?

- Analiza czasu i czynności, wydatkowania energii i inne dane tego typu, które można zarejestrować; ja widziałem twoich kinetyków

w akcji, ale wątpić, czy Ludmiła, a nawet Per Duoml zadali sobie trud przyjrzenia się ich pracy. Za bardzo byli zajęci jazgotaniem o braku ciężenia i o ciszy kosmosu, żeby docenić, jakiego wysiłku wymaga kineza. Wpadło mi do głowy, że o tym nie pomyślałaś. Więc uciałem sobie pogawędkę z Talentem, który był na platformie, a on udzielił mi paru cennych wskazówek co do organizacji pracy. Jeśli materiał jest właściwie przygotowany, to kinetyk może „ułożyć” wszystko tam, gdzie trzeba, przygotować robotnikom do spawania i łączenia. Teraz hałas... Samjan zaprezentował mi parę takich dźwięków. - Lehardt skrzywił się i zmrużył oczy ze współczuciem. - I pomyślałem sobie, że jeśli przygotujemy nagrania tego, co nadwrażliwcy słyszą w nieekranowanych pomieszczeniach i odtworzymy je...

- Nie Ludmile. Ona się upiera, że w przestrzeni nie ma hałasu...

- Jest jeszcze bardziej „głucha” niż ja...

- Rozumiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście nie pomyślałam o takiej sztuczce.

- To nie sztuczka, moja droga, lecz prezentacja, a w tym jestem mistrzem. - Uśmiechnął się bezwstydnie i przebiegle.

Po raz pierwszy w życiu Rhyssa była zafascynowana „głuchym”; częściowo dlatego, że nie mogła przewidzieć, co Dave zrobi czy powie. Fajnie się z nim żartowało; dzięki temu uciążliwe działania zyskiwały trochę lekkości.

Dave Lehardt był u boku Rhyssy podczas wstępnego spotkania z Barczenką; Ludmiła wprost ociekała samozadowoleniem i wcale nie próbowała tego kryć. Dziewczyna z trudem zachowywała opanowanie i

dobre maniery, tak ją Milla denerwowała. Dave mówił tak prędko, że pani inżynier musiała bardzo uważnie słuchać, żeby nie stracić wątku. Per Duoml jak zwykle towarzyszył szefowej, ale tym razem oszczędzono Rhyssie widoku księcia Phanibala.

- Tracimy czas na próżne gadanie - oznajmiła Barczenka, kiedy Lehardt omówił dwie kwestie: krótki czas pracy i ekranowanie. - W przestrzeni nawet upośledzeni fizycznie mogą pracować w pełnym wymiarze: brak ciężenia i hałasu! - tu spojrzała oskarżycielsko na Rhyssę.

- Przecież tu nie chodzi o grawitację czy próżnię. Ludmiło Iwanowno, przygotowałem pokaz...

- Nie mam czasu na żadne pokazy - przerwała jej wzniosłość pani inżynier. - Muszę wracać na platformę. Wystąpiły pewne opóźnienia, które należy nadrobić.

- Oczywiście, inżynier Barczenka - odparł pojednawczo Dave, z należytym szacunkiem i zrozumieniem. - Być może Per Duoml zechciałby to zobaczyć. Owa demonstracja pozwoli spojrzeć pod właściwym kątem na zasadnicze kwestie i dzięki temu umożliwi nam takie ich rozwiązanie, które będzie najkorzystniejsze dla waszego Projektu.

Z Duomlem łatwiej się będzie dogadać: był równie oddany Projektowi jak Barczenka, lecz nie tak zatwardziały jak ona. Gdyby zdołali przekonać Pera, wykonaliby połowę roboty.

- Wydaje mi się, że Ludmiła była rozczarowana, iż nie miała okazji wspomnieć o tej ohydnej ustawie - opowiadała Rhyssa Saszy.

- Myślisz, że za łatwo ustąpiliśmy? - zapytał. - W wiadomościach cytują Barcenkę, która nazywa to „tchórzliwą kapitulacją dekadentów”.

- Niech jej będzie. Gdybyśmy tak zdołali przeciągnąć Duomla na naszą stronę. - Rhyssa zmarszczyła brwi. - Nie mam pojęcia, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Dave Lehardt bada opinię publiczną. Jedno jest pewne: wszyscy by chcieli, żeby ukończyć Drugą, każdy uważa, że ktoś inny (byle nie on) powinien tam pracować i wszyscy są przekonani, że tylko szaleńcy zgłaszają się dobrowolnie i bezinteresownie.

Dave Lehardt i Rhyssa Owen zaprowadzili nazajutrz szefa personelu, Pera Duomla do najślawniejszego kompleksu sportowego w Jerhattanie: ów kompleks zajmował pierwsze dziewięć pięter wieży mieszkalnej wznoszącej się w pobliżu Central parku. W największej hali znajdowały się trzy stanowiska wymyślnych urządzeń monitorujących wysiłek i obsługujący je technicy, trzy piramidy standardowych pakunków, podnośnik widelcowy, grono bezstronnych obserwatorów oraz dyrektor owego ośrodka, wielokrotny złoty medalista olimpijski.

Menasherat Ibn Malik wywarł wielkie wrażenie na Perze Duomlu. Na Rhyssie zresztą też, bo była odeń witalność i fachowość. Talentu miał nie więcej niż Dave Lehardt, z którym byli w dobrej komitywie. Dave przyglądał się z leciutkim uśmieszkiem, jak Menasherat przyjął hołd Duomla i rozmawiał łaskawie z szefem personelu.

- Zarządco Duomlu - rzekł Menasherat, wskazując trzech mężczyzn, którzy weszli bocznymi drzwiami (byli ubrani w szorty i oplatani przewodami łączącymi ich z aparaturą). - Pozwoli pan sobie przedstawić tę trójkę. Pavel Korl, brązowy medalista wagi ciężkiej w boksie. Chet Huntley, operator podnośnika z międzynarodowym certyfikatem. Rick Hobson, kinetyk.

Rhyssa była prawie tak samo zaszokowana jak Per Duoml. Korl i Huntley byli potężnymi mężczyznami, o wiele wyższymi od Duomla i od Hobsona, niepozornego faceta średniego wzrostu.

- Gdyby pan zechciał sprawdzić ciężary w każdej stercie, panie zarządco, żeby się przekonać, iż są jednakowe... - dorzucił Malik; Per Duoml dobrze się musiał naszarpać, zanim zdołał podnieść pakunek. - A więc możemy przystąpić do testów, bo nasze króliki doświadczalne są już gotowe. To będzie bardzo proste doświadczenie. Każdy z nich ma przemieścić „swoją” stertę, posługując się maszyną, siłą własnych mięśni czy umysłu. Monitory pokażą nam poziom wydatkowanej energii, natężenie wysiłku i spalanie kalorii. Na Drugiej - Menasherat wskazał na wielki ścienny ekran, używany przy zawodach sportowych - w hangarze Q, trzech mężczyzn wykona dokładnie to samo zadanie. Hej tam, na Drugiej, jesteście gotowi? - rzucił do mikrofonu i ekran pojaśniał, ukazując podobną scenę; różniła się tylko tym, że ludzie byli w skafandrach. - W kosmosie naszym „fizycznym” będzie Jesus Manrique, operatorem podnośnika - Ginny Stanley, a kinetykiem - Kevin Clark. Wszyscy gotowi? Na miejsca! - Złoty medalista uniósł rękę. - Przygotować się, START! - Opuścił rękę, a w hali i w hangarze

Q zawrzała praca. - Test potrwa z godzinę - poinformował Malik Pera Duomla i gestem zaprosił gości, żeby usiedli.

Per Duoml już po kilku minutach przestał obserwować krzepkiego Korla przenoszącego pakunki czy Huntleya śmigającego tam i z powrotem na podnośniku. Patrzył wyłącznie na Ricka, który usiadł sobie przy stoliku i bez widocznego wysiłku, ciągłym strumieniem, przemieszczał ciężary oraz - na kinetyka z platformy, wspartego o stempel. Od czasu do czasu zerkał na monitory ze stukotem wypluwające wydruki.

Oba Talenty wykonały swoją pracę o połowę szybciej niż pozostali. Przyrządy wykazały, że zużyli przy tym o połowę więcej energii i spalili dwa razy tyle kalorii, co tamci.

Kiedy test dobiegł końca, Dave Lehardt oderwał sześć wydruków (wyniki z Drugiej były rejestrowane w hali ośrodka). Złożył je i podał Perowi Duomlowi, który wziął je bez słowa.

„Królikom doświadczalnym” podziękowano i opuściły halę. Rick Hobson mrugnął do Rhyssy.

- Na pewno zamierza pan, zarządco Duomlu, przeanalizować wyniki testu z własnymi ekspertami - powiedział Dave Lehardt - lecz jestem przekonany, że przyzna pan, iż brak grawitacji nie daje kinetykom żadnych forów. A co do hałasu... - dziennikarz wyjął z kieszeni odtwarzacz kompaktowy i włączył go.

Rozległ się taki jazgot, trzaski, zgrzyty i metaliczne łomoty, że Per Duoml zasłonił uszy i zszokowany spojrzął na Rhyssę.

- TO właśnie nadwrażliwi słyszą na Stacji - oznajmił Dave, wtrącając słowa pomiędzy najgorsze trzaski; to było znakomite nagranie: strumień świadomości osiemdziesięciu osób - urazy, bólaczki, krzyki, bóle, gniewy i miriady metalicznych hałasów atakowały „próżniowych” kinetyków. - Tam mieszka już dziesięć tysięcy ludzi, więc ów „myślowy” hałas trwa nieprzerwanie przez całą dobę. Cały ten mętlik szarpie im nerwy i źle wpływa na ich wydajność, jeżeli nie mogą się przed nim schronić w ekranowanych pomieszczeniach.

Rhyssa sama ustaliła natężenie dźwięków, więc świetnie wiedziała, że osłonięcie uszu nic Duomlowi nie dało; ale nie przyciszyła nagrania, dopóki Dave nie skończył owej krótkiej przemowy.

- Widzę, że nie zdawałeś sobie sprawy, co określamy słowem „hałas” - odezwała się. - Koszt ekranowania kwater kinetyków będzie o wiele niższy niż koszt materiałów zniszczonych czy utraconych na skutek przeciążenia nadwrażliwych.

- Przedstawiliście swoje argumenty - rzekł ponuro Per Duoml. - Przekażę je Ludmile Barcencie.

- Uczyń to i dopilnuj, żeby spełniono nasze żądania, Perze Duomlu, a uzyskacie tak wam potrzebną pomoc kinetyków. O, jeszcze jedno - uśmiechnęła się Rhyssa, chcąc w ten sposób osłodzić pigułkę. - Barczenka musi przekazywać polecenia kinetykom zwykłymi kanałami. Powinna skończyć z wyganianiem Talentów z ich kwater o najdziwniejszych godzinach i naleganiem na nadprogramową robotę,

bo jej harmonogram opóźnia się o dwie minuty! Czy jasno się wyraziłam?

Per Duoml potaknął z powagą.

Rhyssa miała nadzieję, że Per zdoła przekonać Barczenkę.

- Nie rób tego, proszę! - zawołał Peter Reidinger, kiedy elektryk chciał odłączyć Tri-D; pozostałe dzieci powtórzyły okrzyk.

- Ależ, dzieciaki! Wykryliśmy niezwykley skok poboru mocy i udało się nam ustalić, że to w tej sali. Muszę to naprawić albo wysiądzie jakiś wasz system podtrzymywania - tłumaczył zdesperowany elektryk.

- Nie teraz; proszę, poczekaj - mówił Peter. - To program o Stacji i Talentach...

- Hmmmm? - Technik dokładniej spojrzał na ekran.

- To tylko kilka minut! Wiadomości! - prosił Peter.

- No...

- Ciiii - przerwał mu chłopiec, starając się usłyszeć komentatora.

Peter, prawdę mówiąc, nie potrzebował dźwięku, żeby rozpoznać posiadłość George'a Hennera, jednego z najpierwszych patronów parapsychików. Kamera pokazywała drzewa i trawniki - tak osobliwie swojskie, że aż dziw. To TEGO miejsca szukał: pełna spokoju zieleń, potężne stare drzewa, obrośnięte pnączami budynki. To stąd go wypłoszono. Teraz już wiedział, dlaczego. ONI nie chcieli, żeby ktoś się wdierał na ich teren. ONI potrzebowali odosobnienia i spokoju, by dokonywać tych wszystkich wspaniałych czynów. Jak pomoc w ukończeniu Drugiej Stacji, żeby ludzie w końcu mogli wyruszyć do gwiazd.

- Nie tylko same Talenty stać na wyrzeczenia - ciągnął komentator znajdujący się w owej cudownej oazie - bo tak przemysł jak i handel udzieliły swoim nadwrażliwym pracownikom urlopów, żeby mogli wspomóc realizację Projektu. Zarządca Stacji, Ludmiła Barczenka, twierdzi, że najambitniejszy ze wszystkich dotychczasowych projektów zostanie zakończony zgodnie z harmonogramem. A teraz wracamy do innych wieści z dystryktu Jerhattan...

- O.K., proszę pana - rzekł Peter. - To właśnie chcieliśmy zobaczyć.

- Chcesz pracować w kosmosie? - zażartował niepewnie elektryk; zawsze się czuł nieswojo wśród dzieci z tak ciężkimi obrażeniami.

- Czemu nie? - odparł chłopiec. - Jeśli nie będzie ciężenia, to jeden ruch palca dłoni i stopy tu pomachał owymi palcami, bo tylko nimi po całych miesiącach leczenia mógł poruszać - wystarczy, żebym „pływał”.

- Taa, pewno mógłbyś „pływać”. Siostrze, czy mogę zacząć od tego? - spytał elektryk, wskazując na wieloczynnościowe urządzenie dające Peterowi choć trochę niezależności.

- Tak. Właśnie nadeszła pora na ćwiczenia - powiedziała Sue Romero. - Chodź, Peter.

- Ojej, muszę? Nie mógłbym popatrzeć, co on będzie robił?

- Nie. Przyszedł czas pozytywnego myślenia. Chcę zobaczyć uśmiech na twojej twarzy.

Peter nienawidził ćwiczeń i - jak to w myślach nazywał - owej porannej porcji tortur. Czuł się „ciężki” w całej tej uprzęży, w jego ciele było mniej życia niż zwykle.

- Popatrz, mogę poruszyć palcem wskazującym i dużym palcem stopy...

- Hej, co, u licha...? - wykrzyknął elektryk, bo kontrolny czytnik zarejestrował jakiś impuls.

Chłopiec dzielnie poddał się ćwiczeniom, a technik sprawdził „okablowanie” jego łóżka. Nie znalazł żadnego zwarcia, żadnej nieprawidłowości; tylko to jedno krótkie „biip” na samym wstępie. Zanim wyczerpany Peter znów znalazł się w łóżku, elektryk dokładnie sprawdził całą skomplikowaną aparaturę elektroniczną. Na wszelki wypadek przyczepił niewielki monitor do jedynej części wyposażenia, w której wykrył anomalię (malutką, ale jednak) i wyszedł; ciągłe skoki poboru mocy ogromnie go zbijały z tropu.

Mina Sue Romero świadczyła, że dziewczyna jest niezadowolona z Petera. Próbował przypomnieć swojemu ciału, jak ma się poruszać. „Uprząż” przesyłała elektryczne impulsy do zanikających mięśni chłopca: owe niewielkie elektrowstrząsy powinny były pobudzać działanie nerwów i mięśni. Nienawidził tego jeszcze bardziej niż swojego bezwładu.

- Gdybyś tylko przestał się opierać tej maszynerii, Peter - powiedziała z wyrzutem Sue Romero. - Współdziałaj z nią, uznaj, że może ci pomóc. Mógłbyś się nawet dostać na Stację. Świetnie ci idzie nauka, więc od tej strony nie byłoby żadnych problemów... - przerwała,

walcząc z własnym zniechęceniem; czasem miała takie uczucie, jakby próbowała przebić głową mur (a owym murem - jak w przypadku Petera - było najczęściej samo ciężko kontuzjowane dziecko).

Chłopiec był wyczerpany; oczy miał zamknięte, ręce i nogi rozrzucone, jakby się wyturlał z „uprzęży”. Sue Romero nie mogła sobie pozwolić na litowanie się nad nim; byłoby to sprzeczne z zasadami jej zawodu i nie pomogłoby żadnemu z pacjentów w rehabilitacji - a jednak mu współczuła. Odeszła, sądząc, że Peter śpi. Bardzo by się zdziwiła, gdyby wiedziała, że wspomina Centrum, z jego drzewami i gazonami, i... Rhyssę Owen.

Tej nocy Rhyssa i tak nie spała, wciąż na nowo rozmyślając o telewizyjnym reportażu. Już w czasie nagrywania widać było, że spełni swoje zadanie. Dave Lehardt zrobił świetną robotę. Mogli oczywiście poczekać na wyniki badania opinii publicznej, lecz Rhyssa czuła, że Barczenka - pomimo pozornego triumfu z powodu tchórzliwej kapitulacji dekadentkich Talentów - przeżywa teraz trudne chwile. Może tak i było, a może nie. Wszystko zależało od punktu widzenia. No, ale na tym polegała sztuka układów - trzeba było wyczuć, kiedy ustąpić. Rhyssa się obawiała, że osłabiła „wspólny front” Talentów i rozmyślała nad tym, jakby tu odrobić tę stratę; większość nadwrażliwych uważała, że to nierealne, skoro Ludmiła narzuciła swoją wolę.

Nagle poczuła leciutkie muśnięcie: zazdrość, tęsknotę, żal i tak przeogromny smutek, że z trudem opanowała szloch.

- *Zostań, mały przyjacielu* - szepnęła Rhyssa najłagodniej, jak potrafiła.

- *Co mówisz?* - Przestach - przeprosiny - wyparcie się - odmowa. Gość zniknął - oporny i płochliwy.

Rhyssa próbowała za nim nadążyć, lekko jak piórko, ale umknął zbyt szybko - smużka cienia w księżycowej poświacie za oknem. Pospiesznie zanotowała czas - 3:43. Potem delektowała się tym kontaktem, badała go, analizowała.

Młody, zwinny, szybki umysł; żadne starawe myśli czy doświadczenia nie spowolniały reakcji. Psotny chłopiec... chłopiec? „Wychodzący” poza ciało? Chłopiec w szpitalu - tak, ów zapach był szpitalny - unieruchomiony do tego stopnia, że tylko jego umysł może podróżować?

Wszystkie kamyczki mozaiki złożyły się w całość i Rhyssa wyskoczyła z łóżka, podeszła do konsolki.

- Bud, skontaktuj się ze wszystkimi szpitalnymi Talentami. - W jej głosie brzmiało podniecenie.

- Znów miałaś gościa?

- Tak. Nastolatek, najprawdopodobniej kaleki lub sparaliżowany. Chcę wiedzieć, kto nie spał dziś o 3:43.

- Jeszcze tylko tego brakuje, żeby ci się dziś naprzykrzał jakiś pryszczaty chłoptaś.

- Otóż to, Bud, właśnie tego mi trzeba. Młodziak, który potrafi „wyjść” z ciała? Musi mieć fantastyczny Talent.

- Do czego? - zaciekawiał się Bud.

- Tego musimy się dowiedzieć.

Rhyssa znów się położyła, ale tyle miała do przemyślenia, że trochę potrało, zanim zasnęła. Ileż to czasu upłynęło od chwili, kiedy się ujawnił Talent o takiej mocy? Co to za Talent? Nowy rodzaj kinezy? Tak niewielu kinetyków potrafiło przemieszczać samych siebie! Nieożywione obiekty - tak, żywe istoty - nie. Większość wycieczek poza ciało była efektem urazu; z komercyjnego punktu widzenia nie miały żadnej wartości.

Nie zapominaj, moja droga, że to właśnie komercyjne wykorzystanie Talentów przyniosło im ustawową nietykalność, dobrą pracę i specjalny status, którymi cieszyli się przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Pozwólmy sobie na błogie samozadowolenie. A może to, co nawet kinetycy słyszą w kosmosie, wcale nie jest „hałasem”, lecz jakąś formą międzygwiazdowego porozumiewania się, wielojęzycznym rozgwarem? Otwórz umysł, dziewczyno. Rozejrzyj się wokół siebie. Popatrz na Dave’a Lehardta. On musi mieć jakiś Talent, choć „gęsie jajo” tego nie wykazuje.

Rhyso Owen, dlaczego Dave Lehardt MUSI mieć Talent?

Rozmyślała nad tym i rozmyślała, aż wreszcie usnęła.

- Odkryłem nowe, interesujące aspekty pracy na Stacji - poinformowałam Rhyssę Dave Lehardt dwa dni później w jej biurze. - Wyniknęło to z dalszych rozmów z moją wtyczką na platformie, Samjanem, i z paru przemysłowych ankiet. - Uśmiechnął się niewesoło. - Nieszczęśliwe wypadki.

- Tak, to straszne - zadrżała. - Ale przy pracy w przestrzeni muszą się jakieś zdarzać.

- Jakież? - Dave uniósł brwi. - O tak, nieliczne, ale kiedy sprawdziliśmy to z Johnny Greene'em w biurze Altenbacha, okazało się, że jest kilka wskaźników wypadkowości.

Rhyssa wyprostowała się. Kiedy Lehardt wpadł tak zniechęcony, akurat przeglądała harmonogram pracy kinetyków ze Wschodniego Centrum; przygotowywała się na ich zrozumiałe wyrzuty i protesty. Każda przerwa byk mile widziana.

- No, to spiknąłem J. G. i Samjana, trochę poszperali - ciągnął Dave. - Uzyskali coś, co uważamy za prawdziwe dane. - Ponura mina i nagły bezruch Lehardta ostrzegły Rhyssę przed tym, co miała usłyszeć. - Czy wiesz, jak bezrobotni się boją, że się ich skieruje do pracy na Drugiej? Może i nie mają Talentu, ale za to na pewno instynktownie wyczuwają fataaalną sytuację. I mają ważne powody, żeby się bać takiego przymusowego naboru. ONA traci fizycznych w obłędnym tempie, o wiele większym niż to dopuszczalne. A wszystko głównie

przez to, że Barczenka z tak cholernym uporem dba o ten swój zakichany harmonogram, że nie przerywa roboty, by przyholować dryfujących!

Rhyssa odruchowo próbowała czytać w myślach Dave'a, chciała się upewnić, że właściwie go zrozumiała. Zdawało jej się, że uderzyła boleśnie w jakąś przeszkodę.

- Jeszcze raz, Dave, proszę - powiedziała, starając się otrząsnąć z zakłopotania, że nie potrafi „czytać” w jego umyśle.

- Na pewno widziałaś reklamowe filmiki, w których specjalnie dobrani fizyczni czubkiem palca lub lekkim ruchem stopy przesuwają potężne ciężary?

- Tak...

- Przy prawdziwej robocie, nie w tych reklamowych bzdurach, każdy robotnik, który popchnie za mocno, odpływa sobie w czarną otchłań kosmosu.

- Hmm...

- No i Barczenka nie przerywa roboty po to, żeby ich odłowić. Każdy taki biedak musi czekać, aż skończy się zmiana i jego kumple będą mogli ruszyć mu na pomoc. Oczywiście, jeśli znajdą wolną kapsułę i jeśli odnajdą ciało.

- Czy to jest powszechnie wiadome? - wykrztusiła Rhyssa, przerażona obrazem przywołanym słowami Dave'a.

- Jak myślisz, czemu fizyczni nigdy nie spędzają urlopów tu na dole? - Spojrzał na nią cynicznie. - Wcale nie dlatego, że zarobki im na to nie pozwalają i nie dlatego, że brak dla nich miejsca na promach, ani

też nie dlatego, że nie mają na Ziemi rodziny, którą by chcieli odwiedzić; po prostu nie pozwala się im na takie wycieczki, żeby nie mogli nikomu powiedzieć, co się tam dzieje. Poza tym są dokładnie odseparowani od pozostałych pracowników, żeby nawet uważnemu obserwatorowi trudno się było zorientować, co się wyprawia. J. G. i Samjan poświęcili sporo czasu, by wyłowić prawdę z ogólnie dostępnej fikcji.

- Ale na tych filmach widać liny bezpieczeństwa i... - Część umysłu Rhyssy piała z zachwytu, że udało się przyłapać Barczenkę na stosowaniu wątpliwych metod; druga część protestowała przeciwko tak potwornej zbrodni.

- To są propagandówki, moja miła pani dyrektor. Teoria jest wspaniała. W praktyce Barczenka zrezygnowała z lin bezpieczeństwa: zaplatają się we wszystko i opóźniają jej święty i nienaruszalny harmonogram. Tak więc liny bezpieczeństwa to tylko bajeczka. Ludmiła ma jeszcze wiele innych oszczędnościowych pomysłów. Wykryliśmy na przykład, że odziany w skafander robotnik ma w butlach tylko tyle powietrza, żeby starczyło na godziny pracy; no, może ze dwa wdechy więcej. O, dla inżynierów, nadzorców i wykwalifikowanych techników jest pełno rozmaitych zabezpieczeń, ale nie dla zwykłych robotli. Nic jej nie obchodzi, co się z nimi dzieje. Jeszcze tylu ich jest tu na dole.

- Potwierdziłeś moje przeczucia co do tej kobiety. - Rhyssa była oburzona. - Gwiżdżę na tę uwagę, nie będę narażać moich kinetyków na takie ryzyko!

- Oni są zbyt CENNI, żeby ich narażać - parsknął Dave. - No i jaki byłby skandal, gdyby natychmiast nie „złowiono” dryfującego Talentu! Co do przepracowania - to racja. Samjan potwierdził, że ośmiogodzinne wachty to jeszcze jedno oszustwo. Poza tym wykryłem następną „oszczędność”: radia w skafandrach robotników mają ograniczony zasięg. Nikt nie usłyszy wrzasków o pomoc! Mogłyby przeszkadzać w pracy pozostałym.

Rhyssa wpatrywała się weń z osłupieniem.

- Aha, wśród robotników bardzo często występuje agorafobia i przypadki szału kosmicznego. Chorych się nigdy nie przewozi na Ziemię. Po prostu znikają! Przypadkowy zgon! W żadnym przypadku samobójstwo! W końcu - Dave zaczął naśladować rosyjski akcent - każdy wie, jak niebezpiecznie jest ignorować zasady bezpieczeństwa. No i są jeszcze sposoby prowokowania nagłych wypadków w trakcie rutynowych próbnych manewrów, które się od czasu do czasu - z wielkim hałasem - urządza na Drugiej. - Lehardt umilkł na chwilę. - Sprawdziliśmy i okazało się, że ofiarami owych „wypadków” są zawsze albo ranni, albo ci z zaburzeniami psychicznymi.

- Mój Boże! Dave! - Rhyssa poderwała się z krzesła i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - DLACZEGO żaden z jasnowidzów tego nie wyłapał?

- Zgodnie z tym, co mówiłaś o możliwościach Talentów, jasnowidze zazwyczaj „chwytają” to, co się odnosi do dużej liczby osób. Nigdy nie byli wystarczająco liczni...

- To nie jest żadne usprawiedliwienie... - Rhyssę zdumiała gwałtowność, z jaką zareagowała na rozpacz w jego głosie.

Dave może i nie miał Talentu, ale to wcale nie oznaczało, że nie był bardzo wrażliwy na pewne sprawy. Dziewczyna zastanawiała się, czy i jego umysł - tak jak jej - wypełniały pozbawione twarzy kształty, które wirowały w przestrzeni: coraz dalej i dalej od światła, od oazy powietrza i ciepła w czarnej pustce; przeszył ją gwałtowny dreszcz.

- Spokojnie! - Ciepła dłoń ujęła ramię Rhyssy. - I tak robicie, co możecie. Tylko Bóg jest wszechwiedzący.

Otworzyła oczy i popatrzyła na Dave'a Lehardta. Jego umysł nadal był przed nią zamknięty, lecz w ciepłym spojrzeniu niebieskich oczu wyraźnie czytała współczucie i zrozumienie. Nie powie mu, że Talenty nie cierpią dotykania; dotyk jego dłoni był jej miły.

- Dzięki tym informacjom możesz zapędzić Barczenkę w kozi róg - głos Dave'a brzmiał miękko i przekornie. - O ile rozumiesz, co mam na myśli. A może wy, Talenty, jesteście zbyt czystymi istotami, żeby się zniżać do szantażu?

- Nie wtedy, gdy w grę wchodzi życie i bezpieczeństwo moich Talentów - oznajmiła twardo Rhyssa. - Że już nie wspomnę o tych biedakach, którym nie dano najmniejszej szansy. Będę się upierać przy krótszym dniu pracy i przy ekranowaniu - i dorzucę jeszcze liny bezpieczeństwa dla każdego pracującego na platformie oraz zwiększenie liczby kapsułów ratunkowych. A może i one mają zmniejszoną siłę ciągu i zapas powietrza, żeby było taniej?

- Twoim Talentom i tak nic nie zagrozi. - Dave skrzyżował ramiona na piersiach i uśmiechnął się do niej. - Chyba że opacznie zrozumiałem ich zdolności. Nie ma mowy, żeby Barczenka mogła zastosować wobec nich te same sztuczki, które stosuje wobec robotników. I nie sądzę, żeby twoi - o ile nie jesteś współczującym wyjątkiem - biernie się przyglądali wyczynom Barczenki, gdy się już dowiedzą, o co chodzi. Niektórzy kinetycy są również telepatami, prawda?

- Bardzo nieliczni. - Rhyssa zachichotała sardonicznie. - Nic o tym nie wspomnieliśmy Ludmile, a ona nie ma bladego pojęcia o Talentach.

- Nie cała prawda i nawet nie połowa prawdy, hmm? - roześmiał się Dave i żartobliwie dotknął pięścią podbródka Rhyssy. - Kochana dziewczynka! Czy odległość ma jakieś znaczenie? A próżnia kosmiczna? - Potrząsnęła głową, a on mówił dalej: - No to, chłopaki, zyskacie sympatię robotli, bo będziecie ich ubezpieczeniem. Talent może przyciągnąć dryfującego, prawda? Bez przerywania pracy czy wzywania kapsuły? - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - To dużo da. No i co za cholernie dobry efekt propagandowy. Najlepszy z możliwych: Talenty pomagają zwykłym robotom, których Barczenka zostawia na pastwę losu!

Rhyssa nagle zakryła twarz, nie chciała, żeby Dave zobaczył jej minę.

- *Sasza?* - zawołała. - *Właśnie znalazłam wspaniałą robotę dla Madlyn! Później ci opowiem!*

Sasza: *Umiem czytać w twoim diabelskim umyśle. Przecież ona nawet NIE jest na liście osób do pracy na platformie.*

Rhyssa: *Teraz już jest. Przecież często mówiłeś, że Madlyn usłyszą nawet na platformie. Sprawdzimy to!*

Przybrała „normalny” wyraz twarzy i spojrzała na Dave’a, który bystro jej się przyglądał.

- Z kim przed chwilą rozmawiałaś? I nie próbuj udawać! Nie próbuj się wypierać! Już cię trochę poznałem, kobieto! - W jego głosie brzmiał dziwny ton, oczy mocniej błyszczały.

Rhyssa uśmiechnęła się, na poły zakłopotana jego dociekliwością, na poły zachwycona własnym pomysłem.

- Mamy telepatkę o niezwykle donośnym „głosie”. Wyślemy ją tam do pracy administracyjnej. Jeśli ją damy do radiolokacji, odnajdzie każdego dryfującego i „przypisze” go najbliższemu dlań kinetykowi, żeby go przyholował z powrotem.

- Łaskawa pani nawet sobie nie zdaje sprawy, jak to poprawi morale na platformie! - Dave Lehardt uśmiechnął się tak promiennie, że musiała odwzajemnić ów uśmiech. - Barczenka nie tylko nie wie, że sama jest swoim najgorszym wrogiem, ale i - skoro nie ma bladego pojęcia o Talentach - nie zorientuje się, że oto zaangażowała cały batalion tajnych agentów.

- I to jest boskie! - Rhyssa uśmiechnęła się jeszcze promienniej. - A Duoml się nie domyśli? Lub Phanibal?

- Książę Phanibal mógłby - odparł Dave po krótkim namyśle. - Ale ostatnio rzadko bywa na Stacji: jakiś kryzys w Malezji zatrzymuje

go na Ziemi. Poza tym uważam, że jest na tyle złośliwy, iż zachowałby to dla siebie, żeby z przyjemnością obserwować, jak Ludmiła się wije. A co to za specjalna klauzula, którą Lance Baden chce dopisać do kontraktów?

- Musimy mieć możliwość ściągnięcia tu Talentów, kiedy wyniknie jakaś nagle konieczność. Pamiętasz tę powódź w Indiach podczas ostatnich monsunów i trzęsienia ziemi w Azerbejdżanie? Wiedzieliśmy o nich dziesięć dni wcześniej, więc mogliśmy zorganizować pomoc i złagodzić skutki katastrofy. Kiedy wyślemy Barcencę stu czterdziestu czterech kinetyków, nie będziemy mieć ekipy ratunkowej. Chcemy gwarancji, że zdołamy sprowadzić na czas niezbędnych ludzi.

- Nie możecie ich teleportować na Ziemię?

- Niestety, nie - roześmiała się Rhyssa. - Ale stale nad tym pracujemy. Nasze umiejętności są wyraźnie sprecyzowane, ograniczone i nie obejmują czegoś tak fantastycznego, jak natychmiastowa transmisja. To wymaga więcej energii, niż ludzki umysł jest w stanie wytworzyć.

- Myślałem, że kodeks moralny pozwala w legalnej bioinżynierii...

- Starczy, Dave. - Rhyssa ostrzegawczo uniosła dłoń. - Przeczytaj uważnie kodeks: wady wrodzone - tak, manipulacje - nie. I bardzo wątpię, czy jakiś bionik odważyłby się grzebać w mózgu... nawet w mózgu małpy.

- Gdyby ci się udało takowy znaleźć. A nie sądzisz, że w takim świecie jak nasz ktoś już przeprowadzał nielegalne eksperymenty?

- Jesteś cyniczny, Dave.

- Czasami zakaz pobudza do działania. - Wzruszył ramionami. - Nie wykluczałbym takiej możliwości.

- Bardzo bym chciała zobaczyć dokładny raport o tym, co J. G. i Samjan wykryli na platformie - Rhyssa zdecydowanie wróciła do tematu.

Dave uśmiechnął się i wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki trzy dyskietki.

- Spodziewałem się tego. To ci da fory w przetargach o krótsze zmiany, o ekranowanie...

- ...liny zabezpieczające i kapsuły - dokończyła Rhyssa, biorąc dyskietki i nie cofając dłoni dłużej, niż to było konieczne. - Stokrotne dzięki, wielmożny panie.

Co się z nią, u licha, działo, kiedy Dave Lehardt był przy niej? Stawała się równie figlarna i trzpiotowata jak... jak Madlyn przy Saszy.

Kiedy Per Duoml, księżę Phanibal Shimaz i dwóch mniej ważnych oficjeli (jeden z nich był kwatermistrzem) zjawilo się, żeby uzgodnić „pomniejsze kwestie”, Dave Lehardt zorganizował nowy pokaz, który wszystko zmienił. Rhyssa - siedząca z Maxem Perigeaux, Gordiem Haversem i Lance'em Badenem - stwierdziła, że to było wybitnie udane spotkanie.

Dave Lehardt przedstawił prawdziwą statystykę nieszczęśliwych wypadków - co sprawiło, że twarze Duomla i księcia poblady jak płótno - i ze swadą omówił pewne „pomniejsze” sprawy, którymi mogliby się zająć nadwrażliwi: odnajdywanie osób, którym się popsuły rakiety napędowe, telepatyczna łączność z tymi, co używają „radia o krótkim zasięgu”, system monitorujący i ponadplanowe zatrudnienie Talentów o szerokich umiejętnościach diagnostycznych. Dave wykazał, że oszczędności na paliwie do kapsuł ratunkowych i godzinach pracy przeznaczonych na poszukiwania dryfujących z nawiązką pokryłyby koszt ekranowania kwater Talentów oraz że szybkie rozpoznanie agorafobii zredukowałyby straty roboczogodzin.

Nie było żadnej dyskusji na temat klauzuli „na wypadek nieszczęścia”. Lance Baden oznajmił, że będzie łącznikiem pomiędzy Talentami a personelem technicznym i na tym się skończyło.

Lance: *Co to oni mówili o tchórzliwych kapitulacjach?*

* * *

Ciągłe stresy tak wyczerpały Rhyssę, że nie miała siły cieszyć się z ustępstw wymuszonych na oficjelach Drugiej. Pragnęła już tylko spokojnie coś zjeść i wypocząć. Per Duoml miał wrodzoną „tarczę” osłaniającą umysł, lecz pozostali przedstawiciele Projektu - nie. Trudno się było osłonić przed ich uczuciami, emocjami i gniewem, kiedy fakty, cyfry i kompromitacja zniszczyły ich początkową euforię, że wymuszają na Talentach dodatkową robotę.

Sasza: Opróżniłem cały pierwszy poziom. Odpocznij!

Rhyssa: Och, kochany jesteś!

Sasza: Nareszcie mnie doceniłaś!

Wiedziała, że tylko żartuje.

Rhyssa weszła do domu Hennera, z zadowoleniem pograżyła się w niezmaconej ciszy wypełniającej elegancko urządzone pokoje. Prawie nic tu się nie zmieniło od czasów George’a Hennera, pierwszego dobroczyńcy parapsychików: z pietyzmem dbano o wszystko. Podziemne pomieszczenia, pawilony, jej „wieża” - były nowoczesne, wyposażone w najwymyślniejsze urządzenia; za to owe salony przypominały dawne, wygodniejsze życie. Poszła do kuchni, gdzie staroświeckie szafki kryły nowoczesne udogodnienia. To przestronne pomieszczenie promieniowało spokojem i wygodą; znajdowało się tu staroświeckie, lecz wciąż działające palenisko, wielki stół i wygodne krzesła. Kącik jadalny wychodził na ogrody położone na tyłach głównego budynku, pełne kwiatów i krzewów.

Jakiś troskliwy kinetyk nastawił wodę na herbatę. Akurat zawrzała, więc Rhyssa przygotowała sobie filiżankę napoju, wzięła kanapki z chłodziarki, zdjęła buty i zwinęła się wygodnie w jednym z przytulnych foteli.

Widok ogrodu z kwiatami chwiejącymi się na lekkim wietrze miał w sobie coś zadziwiająco pokrzepiającego. Rhyssa pozwoliła myślom płynąć swobodnie, rozkoszowała się spokojem, choć dręczyło ją jakieś głęboko utajone przeczucie.

- Nie jestem jasnowidzem - powiedziała sama sobie i napiła się herbaty. - To po prostu reakcja na szarpaninę ostatnich dni. Zupełnie zrozumiała depresja.

Potem poczuła owo muśnięcie - i tym razem przepełnione tęsknotą i przeraźliwym smutkiem, który przeszył jej serce i sprawił, że zapomniała o własnym złym samopoczuciu.

Nie ośmieliła się zareagować - bała się, że znów odstraszy chłopca. Bo to był chłopiec, zrozpaczony chłopiec. Czy to jej zły nastrój sprawił, że nawiązał z nią kontakt w środku dnia? A może pragnął pocieszenia? Cóż mogło aż tak trapić takiego młodzika? Można znieść cudzą niedolę - nieszczęście spadające gdzieś tam, daleko, na nieznajomych - ale „czuć”, jak ona teraz, czyjeś dręczące cierpienie to straszne przeżycie.

Rhyssa ostrożnie zajrzała do umysłu chłopca, starając się dowiedzieć, gdzie przebywa. Bał się czegoś i tęsknił za drzewami, kwiatami, łąkami i miejscem, które by nie było szpitalem - owa tęsknota przyspieszyła ponowny kontakt. A umysł Rhyssy, słabiej

kontrolowany wskutek znużenia, przyciągnął myśli chłopca. Czego się bał? Spytała go o to.

- *Ćwiczenia w uprzęży!*

Rhyssa nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Próbowwała podtrzymać minimalny kontakt, choć - co dziwne - mały „był” teraz tuż, tuż.

- *Przecież to ma ci pomóc?*

- *Ale nie pomaga. Rani. To sztuczne, obrzydliwe. To klatka. Już samo łóżko jest wystarczająco paskudne. Nie chcę. Nieee... chcęęę...!*

Dotarł do niej krzyk osamotnionego i niepocieszonego umysłu - i nagle umilkł.

* * *

- Tego popołudnia znów skoczył pobór mocy, a zwykle zdarzało się to po nocach - powiedział szpitalny konserwator, podając wydruk inżynierowi wezwanemu przez administrację szpitala.

Inżynier spojrział na zapis - ostry, nagły skok, trwający siedemdziesiąt dwie sekundy. Zapytał o pozostałe anomalie i przedstawiono mu je.

- O 3:43, 3:03, 3:52 i 3:13 nie powinno być żadnego przeciążenia. Sprawdziłeś całą aparaturę.

- Na kilku piętrach zamontowałem mierniki. Ten z sali dwunastej na ortopedii coś wyłapał, kiedy go instalowałem. No, to sprawdziłem wszystko dokładnie, ale nie znalazłem żadnej awarii. - Nigdy mi się nie

przydarzyło coś takiego. Sam wiesz, jacy oni są wrażliwi przez te wszystkie aparaty wspomagające na punkcie jakichkolwiek zakłóceń.

- No dobra, daj mi schematy aparatury z ortopedii i zobaczmy, co działało. - Inżynier ciężko westchnął, bo przeczuwał, że to będzie ciężki dzień.

Poruszenie na łózkach w kolistej sali zaalarmowało Petera Reidingera, więc prędko mrugnięciem wygasił ekran. W drzwiach stała jakaś starsza dama; Miz Allen, z miną „tylko nie nabrójcie!”, rozejrzała się po sali, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Peter natychmiast zainteresował się starszą damą. Była inna. Ta inność stała się jeszcze wyraźniejsza, kiedy Miz Allen zaczęła przedstawiać gościowi dzieci z sali. Cecily nawet się uśmiechnęła. Odpowiedziała damie - i to był następny cud. Cecily cierpiała na rozszczep rdzenia - przypadłość, którą powinno się było skorygować jeszcze przed urodzeniem dziewczynki (lecz nie uczyniono tego). Musiano amputować jej nogę z powodu osteomyelitis; bardzo powoli odzyskiwała siły po operacji. Brakująca noga straszliwie ją bolała. Pracował z nią Talent; nie Sue Romero, lecz specjalista. Peter aż się spocił, zanim dama do niego dotarła.

- Pani Horvath, to jest Peter Reidinger. - Miz Allen uniosła prawą brew, dając mu znak, że ma być grzeczny.

Pani Horvath uśmiechnęła się do chłopca; jej oczy błyszczały - wcale nie były stare, kaprawe czy twarde. Peter był ciekaw, dlaczego pozwoliła sobie tak „staro” wyglądać.

- *Obiecałam mężowi, że będę się starzeć z wdziękiem* - zdumiała chłopca jej odpowiedź. - *Żeby ludzie się nie płoszyli, kiedy się będę zachowywać nie tak, jak na mój wiek przystało.*

Chłopiec wytrzeszczył na nią oczy. Nie poruszyła wargami, a przecież wyraźnie „słyszał” jej głos w swoim mózgu.

- Peter... - ponagliła go Miz Allen.

- Cholernie mi miło! - udało mu się wykrztusić; Miz Allen chrząknęła ostrzegawczo.

- Dziękuję, Miz Allen, już nie będę pani zatrzymywać. Pogawędzę chwilę z Peterem - powiedziała Dorotea Horvath, przyciągając krzesło ku łóżku chłopca i odprawiając pielęgniarkę w sposób, który go zdumiał. - *Miz Allen nie wierzy ani w telepatię, ani w Talenty. Ostatnio nie mieliśmy okazji zajrzenia do sal dzieciennych i dlatego cię przeoczyliśmy.*

- Przeoczyliście mnie?

Dorotea znów się uśmiechnęła; był to magiczny uśmiech otulający chłopca ciepłem i troskliwością. Gniew i litowanie się nad samym sobą, wywołane nieuchronnie nadciągającą porą ćwiczeń, rozwiały się bez śladu.

- „Namierzyliśmy” cię dopiero wtedy, kiedy zacząłeś odwiedzać Rhyssę.

- Rhyssę?

Coś wniknęło w jego umysł.

- To ja jestem Rhyssa. Wysłałam do ciebie Doroteę, bo uciekłeś ode mnie. Dorotea twierdzi, że już nie umkniesz. Zamieszkać, proszę, z nami w miejscu, do którego - jak wiem - tęsknisz.

- Zostałeś oficjalnie zaproszony; czy się zgadzasz? - spytała Dorotea, rozbawiona zdumieniem i zaskoczeniem chłopca.

- Przecież nie mogę. Jestem sparaliżowany. Nie mogę nigdzie pójść...

- *Cha, cha, cha, cha, cha!* - strofowała go uśmiechnięta Dorotea. - *Chłopak, który robi sobie o trzeciej rano „wycieczki poza ciałem” po Jerhattanie, wcale nie jest kaleką!*

- Nie chcę już tej upręży! - Peter z przerażeniem stwierdza, że beczy, poczuł płynące po twarzy łzy.

Nie płakał od miesiący.

- *Płacz jest zupełnie normalną reakcją rozładowującą emocjonalne napięcie* - powiedziała mądrze Dorotea i otarła mu policzki. - *To właśnie blokowało Talent. Myślę, że i uprzęż miała w tym swój udział. Przez to nie mogły się rozwinąć twoje naturalne zdolności. Ale wydobędziemy je. Jestem TEGO pewna.*

I Peter też pozbył się nagle wszelkich wątpliwości.

- Najpierw musimy, rzecz jasna, uzyskać pozwolenie twoich rodziców. - Dorotea była zawsze ogromnie rzeczowa. - Jak sądzisz, zgodzą się?

- Czy się zgodzą?! - Peter nieomal krzyknął.

Doskonale wiedział, jakim obciążeniem były dla jego rodziców rachunki ze szpitala; i to pomimo olbrzymiego odszkodowania, jakie musiało płacić miasto, bo wypadek wydarzył się na terenach będących własnością miejską. Mama odwiedzała Petera regularnie, lecz wizyty ojca stawały się coraz rzadsze i coraz krótsze. Mama zawsze miała dla taty jakieś usprawiedliwienie, ale chłopiec wiedział swoje.

Oczy Dorotei otwały się nagle szeroko w radosnym zdumieniu.

- Coś mi się wydaje, że nie potrzebujesz zbyt wielu ćwiczeń.

- Słucham?? - Peter uświadomił sobie w tym momencie, że się unosi ponad łóżkiem i że wyłączył się alarm.

- *RHYSSA!* - myślowy okrzyk Dorotei został mile przyjęty.

Dyrektor Wschodniego Centrum nie mogła sama nawiązać owego pierwszego kontaktu z kilku powodów - przede wszystkim dlatego, że sprawy Drugiej miały absolutny priorytet. Poza tym Dorotea wciąż była najlepszą na świecie „łowczynią” Talentów, najzręczniejszą potrafiła uśmierzyć strach i podejrzania.

Dorotea: Peter Reidinger wręcz bucha Talentem, Rhyssso. Nie mam pojęcia, czemu rezydent nie wykrył go już dawno temu - i to pomimo faktu, że chłopak tłumił wrodzoną wrażliwość, bo chciał, żeby go uważali za dzielnego malca. Kiedy się znalazł w szpitalu, musiał wymazać wszelkie sygnały, bo inaczej bez przerwy odczuwałby cudzy ból, choć nie jest pospolitym kinetykiem czy telepatą. Prawdę mówiąc, nigdy się nie zetknęłam z kimś takim jak on. Jedno jest pewne - tak samo potrzebna mu ta uprzęż jak tobie wideofon.

Rhyssa: Czy dasz radę szybko załatwić przeniesienie go do nas?

Dorotea: I to w moim najlepszym „babcinym” stylu! Nie spodziewam się oporów rodziny - dławią ich koszty leczenia. Zorientowałam się, że ojciec ma opory przed odwiedzinami u kalekiego syna. Lżej im będzie, gdy Peter znajdzie się na swoim.

Rhyssa: Bardzo jest poszkodowany?

Dorotea, z „parsknięciem”: Jak tylko przekroczy bramy Centrum, to - z małą pomocą przyjaciół - przestanie być sparaliżowany. Oooojjj!

Właśnie rzucił się na nas rozwścieczony elektryk i ogłupiały konsultant...i - o, Boże!

Dorotea przerwała kontakt, co przeraziło Rhyssę, bo rozmowa na dwa fronty nigdy nie sprawiała starszej pani kłopotów. Dziewczyna czekała, aż jej rozmówczyni znów się odezwie i wyjaśni, co się stało. Upłynęły trzy minuty, a telepatka milczała, więc Rhyssa opornie wróciła do bieżących spraw.

Niepokój o Doroteę i chłopca utrudniał ułożenie nowego harmonogramu dla kinetyków, a trzeba to było załatwić jak najszybciej. We Wschodnim Centrum zostawało ich dziesięciu - a mieli wykonać pracę trzydziestu - i pięciu przyuczanych (im można będzie powierzyć prostsze „dźwignięcia”). Pasażerowie wahadłowców dłużej poczekają na bagaż; wszystkie firmy budowlane utracą kinetyków - przydzielili się ich jedynie do dwóch prawie ukończonych przedsięwzięć, gdzie tylko kineza gwarantowała bezpieczne zainstalowanie ciężkiego sprzętu na najwyższych piętrach.

Rhyssa i Miklos Horvath z Zachodniego Wybrzeża, wnuk Dorotei, mieli również skompletować „oportujące” ekipy - telepatów i kinetyków mogących pracować parami „na odległość”. Było to jednak ogromnie wyczerpujące, więc wchodziło w grę wyłącznie w razie nagłych nieszczęśliwych wypadków.

Dave Lehardt wystąpił z jeszcze jednym pomysłem, który co prawda nie poprawi stosunków z Barczenką i Duomlem, ale na pewno spowoduje lepsze wykorzystanie czterogodzinnych dniówek kinetyków.

- Obejrzałem niektóre analizy czynności roboczych i filmy z dniówek na Drugiej - oznajmił Dave. - Samjan twierdzi, że przez sporą część zmiany po prostu nic nie robi. Czekają, aż przygotują materiał lub dopóki inżynierowie nie usuną pomniejszych usterek. Więc spiknąłem Samjana i Belę Rodomanskiego, który projektował Kosmiczne Laboratorium z Lance'em Badenem, wytrawnym inżynierem. Bela uważa, że większość opóźnień przy budowie Kosmicznego Laboratorium wynika z dezorganizacji w zaopatrzeniu. Lance mówi, że nie udało się z tym poradzić podczas jego dwóch pobytów na Drugiej, lecz że jednym z atutów Barczenki są zdolności organizacyjne. Jeszcze trochę wysiłku z ich strony i kinetyk w cztery godziny ustawi wszystko tak, że fizycy śpiewająco to zespółą przez pozostałe dwadzieścia godzin. Wymaga to, rzecz jasna, reorganizacji w składach Drugiej, a może i przesunięcia dostaw czy pogonienia opornych kooperantów - ale dzięki temu nie będzie się marnowało roboczogodzin.

- Duoml wrócił na Stację - wtrąciła Rhyssa.

- Właśnie ponownie wynajęliśmy hangar Q na jeszcze jeden malutki pokazik. Zajmę się szczegółami. Hej, wspaniale dziś wyglądasz, nowa fryzura? Znakomicie podkreśla twój paskudny, tchórzliwy charakter. - Twarz na ekranie zaprezentowała sławny, budzący zaufanie uśmiech.

Też coś, paskudny, pomyślała, przyglądając włosy. Ale przynajmniej zauważył. Westchnęła i wróciła do swoich analiz. Potem uświadomiła sobie, że Dorotea nie dała znaku życia.

Starsza pani odezwała się równie niespodziewanie, jak umilkła.

- *Hmmm, mówiłam, że się odezwę, gdy tylko zdołam. Za wcześnie, żeby być pewnym, co on właściwie robi, ale najwyraźniej wykorzystuje sieć. Powodował takie skoki poboru mocy, że elektryk i wysoko opłacany konsultant o mało co nie zbzikowali. Przynajmniej wiadomo teraz, czemu nie tolerował upręży: impulsy podawane bezpośrednio do synaps powodowały krótkie spięcia i biedaczek musiał sobie radzić z przeładowaniem. Sue Romero rozpacza, myśląc o tym, co wyrządziła Peterowi, a on, biedulek, nie potrafił jej wytłumaczyć, dlaczego ta cała uprząż jest dla niego zła... Siostra przełożona, Miz Allen należy do ugodowych i wszystko łagodzi. O, rodzina chłopca jest zachwycona, zwłaszcza tym, że Peter nie będzie „upośledzony” - czyli „kaleki, bezużyteczny, finansowo obciążający”. Standardowy kontrakt, dopóki nie skończy szesnastu lat i nie będzie w pełni wyszkolony. Nareszcie jakiś kinetyk, na którym Barczenka nie zdoła położyć swojej kosmicznej łapy!*

Rhyssa: *Kiedy go przywieziesz?*

- *Już do was jedziemy!* - Triumf w głosie Dorotei wypełnił calutkie Centrum. - *Przygotuj pokój Roddy'ego w moim domu. **Obraz: postery Sił Kosmicznych na każdej ścianie; modele kosmicznych promów, hoteli dla pasażerów, laboratoriów i wielkich statków zwieszają się z sufitu; piętrowe łóżko - na dole pulpit, u góry posłanie.** To najmniej przypomina sterylną, szpitalną salę, w której tkwił od miesięcy.*

Spotkanie Rhyssy Owen z Peterem Reidingerem nie sprawiło obu stronom zawodu. Dorotea ostrzegła Rhyssę, że wraz z nimi leci matka chłopca i jego starsza siostra, obie podekscytowane i zarazem przestraszone tym, co się wydarzyło.

Ilsa Reidinger była „miłą” kobietą, ogromnie zaniepokojoną o syna i jednocześnie niezwykle dumną ze swego Petera. Ciężko tyrała, żeby podolać kosztom leczenia. Szesnastoletnia siostra Katya należała do osóbek zwanych przez Doroteę „tupeciarami”; niezadowolona z tego, że Peter ma Talent, a ona nie, próbowała wyniuchać, co zyska na fardzie brata. Dorotea twierdziła, że Katya była zła na chłopca, bo wysokie koszty jego leczenia pozbawiały ją wielu rzeczy, do których miała prawo jako starsza. - *Całkiem zrozumiała reakcja* - powiedziała Rhyssie starsza pani, kiedy sprawnie przewoziły malca do jej domu i do pokoju Roddy’ego.

Obie telepatki wyczuły, jak widok zupełnie nieszpitalnego wnętrza poprawił nastrój chłopca.

- W jaki sposób zdołacie robić przy nim wszystko, co trzeba? - zaczęła Ilsa Reidinger, zdumiona wyglądem pokoju.

- Och, pani Reidinger, Peterowi tylko na początku będzie potrzebna pomoc - powiedziała Dorotea; jej *hej-hop* było sygnałem dla Ricka Hobsona, że ma przenieść chłopca na łóżko. - Zostawmy go teraz, niech się zdomowi. Poza tym - dodała, zaganiając wszystkich

przed sobą - helikopter czeka, żeby przewieźć panią i córkę do domu. O, proszę numer wideofonu. Jak pani widzi, Peter ma aparat w pokoju. Może pani do niego dzwonić, kiedy wola. To nie szpital, tu zaraz będzie wiadomo, co wyczynia.

Dobroduszość Dorotei uniemożliwiła odmowę i helikopter wkrótce wystartował z terenów Centrum.

Dorotea: *Rick, pociągnij przewód z generatora 4,5 k.p.m. do pokoju Petera.*

- Po co? - spytała Rhyssa, podczas gdy tamta wydawała tabuny poleceń.

- *Mówiłam ci, że...* - odparła Dorotea, a potem dodała głośno, bo już były same: - ...chłopak podłącza się do sieci i wspomaga się prądem. Taki rodzaj gestalt. Chciałabym, żeby nasze techniczne Talenty przetestowały to razem ze mną; oczywiście gdy Peter wypocznie. Chwilowo tylko my obie, Rhyssy, możemy się z nim kontaktować. Przeżył takie ciężkie chwile.

Oczy Dorotei wypełniły się łzami i Rhyssa przytuliła ją, przekazała jej swój podziw, miłość i czułość.

- Przepraszam, kochanie. - Starsza pani odsunęła się, lekko pociągając nosem. - Tyle masz teraz kłopotów, że nie powinnam się zmieniać w fontannę, lecz... - i telepatycznie przekazała dziewczynie mieszanię bólu, udreki, przygnębienia, poczucia winy, samooskarżeń i niszczącego strachu; z tym musiał się zmagać Peter.

Rhyssa usadowiła Doroteę na kanapie i usiadła obok niej, wstrząśnięta owym przekazem pomimo wieloletniego doświadczenia z osobliwymi stanami umysłów rozkwitających Talentów.

- Myślę, że dobrze by nam wszystkim zrobiła odrobina herbaty - oznajmiła Dorotea, a dziewczynę rozbawiła jej rzeczowość. - *Peter? Napijesz się herbaty? Cytryna, mleko, cukier?*

- *Tak, poproszę* - odparł ku zdumieniu Rhyssy.

- *Widzisz, wystarczył leciutki prztyczek, żeby zaczął wysyłać myśli, zamiast je tłamsić.* - Starsza pani uśmiechnęła się z przesadnym zadowoleniem.

Delektowali się herbatą, kiedy wpadł Rick Hobson, oplatany przewodem, opięty pasem elektryka.

- Nie wiem, co ci jest potrzebne, Doroteo - rzekł; mrugnął do niej, kiwnął głową Rhyssie i pomachał ręką Peterowi, który obserwował całą scenę ze swojego łóżka.

- No, Peter, czego ci trzeba? - spytała chłopca Dorotea. - W szpitalu podczepiał się do elektronicznego oprzyrządowania łóżka.

Obie kobiety wyczuły wahanie i niepokój chłopaka.

- Nie łam się, potem nam powiesz - rzucił niedbale Rick, łapiąc ostrzegawcze spojrzenie Rhyssy. - Generator działa i jest pod bokiem. Wystarczy, żebyś kiwnął palcem. - Rick pomachał wszystkim serdecznie i wyszedł.

- Trochę za dużo naraz, prawda, Peter? - spytała łagodnie Rhyssa.

- Nie mam pojęcia, czemu uważasz, że się do czegoś nadaję - odparł słabym głosem chłopiec.

- Dorotea twierdzi, że korzystałaś z prądu, by mnie odwiedzać o świcie. - Uśmiechnęła się doń figlarnie, chcąc mu dodać pewności siebie. - Jestem zaszczycona, że to z moim umysłem się łączyłeś, aby się znaleźć tam, gdzie chciałeś być.

- Naprawdę? - Peter odwrócił głowę od słomki w kubeczku i spojrzał na Rhyssę.

- Niewielu mężczyzn wdziera się do mojej sypialni, zapewniam cię.

Dorotea wspomagała ją delikatnie, sączyła w chłopca poczucie, że jego „najście” było zabawne i pomysłowe. Obie kobiety wysyłały podprogowe sygnały, mające wzmocnić jego samoocenę i podnieść niskie poczucie własnej godności - czyli zmienić to wszystko, co blokowało dalszy rozwój Petera.

- Wcale nie chciałem ci się narzucać.

- Szybko się przekonasz, że pomiędzy telepatami taka nocna wizyta nie jest traktowana jak narzucanie się...

- Ale te wszystkie światła...

- Nie słyszałeś, jak ich besztam za to, że cię spłoszyli - i Rhyssa raz jeszcze „pomyślała” irytację, strapienie i przykrość, jakie jej sprawiło tamto nadużycie władzy.

- O tak, była bardzo zła - dodała Dorotea.

- Potrafisz zrobić to, czego wielu bezskutecznie próbowało - ciągnęła Rhyssa.

- Tak?

- To jest to, co nazywamy wycieczką poza ciało - mówiła Rhyssa.
- Bardzo niewielu ludzi osiąga ten stopień kontroli własnego umysłu.
- Nie potrafią?? - Oczy Petera otworzyły się szeroko ze zdumienia. -
Przecież to takie łatwe.

Obie kobiety wymieniły rozbawione spojrzenia.

- Nic nie jest trudne, jeżeli wiesz, jak to zrobić, Peter -
powiedziała Rhyssa. - Ty, jak się wydaje, świetnie opanowałeś tę
sztukę. Dorotea i ja mamy nadzieję, że i nas nauczysz. Nie mam zbyt
dużych zdolności kinetycznych...

Sasza: *I chyba teraz jesteś z tego zadowolona!* **Rhyssa w
skafandrze kosmicznym, krążąca wokół Drugiej, ścigana przez
dzierzącą bat Barczenkę.**

Rhyssa: *Nie waż się przeszkadzać, paskudniku! To jest trudne i
bez twoich docinków! Och, mój Boże!*

Rhyssa nagle zdała sobie sprawę z niebywałych możliwości
młodego Petera Reidingera i z tego, jak by można wykorzystać jego
zdolności; a także dlaczego jego Talent był tak odległy od umiejętności
wyginania łyżeczek, jak współczesna prekognicja od wróżenia z
wnętrznosci zwierząt.

Sasza, Dorotea, Rick, Sirikit, Madlyn: *Wytłum to, Rhyssa!
Litości!!!*

Dorotea: *Już rozumiecie całą sytuację, więc zostawcie nas same z
chłopcem. Nie możemy tego sfuszerować.*

Rhyssa głęboko odetchnęła; miała nadzieję, że to nagłe odkrycie, którego nie była w stanie zachować w tajemnicy przed innymi telepatami Centrum, nie dotarło do Petera. Chłopiec nie reagował.

Dorotea: *Zablokowałam go, Rhyssso. Opanuj się.*

- ...No więc gdyby mi się udało dowiedzieć, co robisz z generatorem, Peter - zdołała powiedzieć młodsza kobieta - to by nam ogromnie pomogło.

Dorotea: *Sama bym tego lepiej nie powiedziała.*

Rhyssa: *Dzięki.*

- Kiedy nie wiem, co robię - zasmucił się Peter.

- Po prostu NIE myślisz o tym, kiedy to robisz. Robisz to, bo tego chcesz lub potrzebujesz. Dorotea i ja pomożemy ci - uśmiechnęła się doń. - Telepatia jest bezkonkurencyjna w przekazywaniu informacji. Słowo mówione może nie być tak jasne, jak powinno, albo może być niewłaściwie zastosowane lub wywołać błędne skojarzenia. Jesteś przyzwyczajony, że słowo znaczy właśnie to, co znaczy, lecz dla innej osoby może ono mieć całkiem inny sens i już się nie porozumiecie. Rozmowa umysłów wyjaśnia takie nieporozumienia. A może tylko jeszcze bardziej wszystko poplątałam?

- To dlatego nie umiałem wyjaśnić Sue Romero, czemu nie cierpię tej uprzejmy - uśmiechnął się nagle Peter.

- Znakomity przykład. Brakowało ci słów, żeby to wytłumaczyć.

- Ale jak będę się poruszał bez tego paskudztwa?

- Dzięki mocy umysłu; bo właśnie tak „spacerujesz” poza ciałem.

A my cię tylko nauczymy zabierać ciało razem z duchem! I wykonywać

większość codziennych czynności. Nie będziesz już zależny od pielęgniarek czy sanitariuszy, staniesz się samodzielny. I w pewnym sensie to jest właśnie to, czego Sue próbowała cię nauczyć - żeby twój umysł zmusił ciało do przypomnienia sobie, czego potrafiło przedtem dokonać. Ty jednak poszedłeś dalej, lecz żadne z was nie wiedziało, że masz utajone zdolności kinetyczne. I dlatego nie mogłeś zrobić tego, czego ona od ciebie oczekiwała. Bo ogromnie ją wyprzedziłeś.

- Jestem kinetykiem? - Peter wciąż nie wierzył.

- Czy wiesz, co znaczy to słowo?

- Pewnie. Ale nie miałem pojęcia, że też taki jestem.

- A jesteś. - Rhyssa wstała. - No więc przemyśl to, bo jesteś i telepatą.

- Odpocznij teraz, skarbie. - Dorotea zabrała mu kubek. - Potem cię oprowadzę po domu, żebyś wiedział, gdzie wszystko jest.

Szkolenie zwykle prowadził Sasza, ale tym razem i Rhyssa postanowiła się w to włączyć - ze względu na więź, która ją połączyła z Peterem.

- Pomogę, ile zdołam - oświadczyła Rhyssie Dorotea ze zrezygnowaną miną - ale mam już osiemdziesiąt cztery lata i straciłam sporo sił. - Tu uśmiechnęła się łobuzersko. - Zawsze lubiłam gotować dla mężczyzn. Poza tym on wkrótce sam o siebie zadba. Jestem tego pewna. Zawsze rozpoznam mocny Talent, kiedy się z nim stuknę umysłem.

Rhyssa, Sasza i Dorotea uroczyście wpisali Petera Reidingera do rejestru Talentów Wschodniego Centrum. Chłopak wciąż jeszcze nie dowierzał szczęściu, które go spotkało. Rick Hobson, empatyk i kinetyk, nadzorował stronę kinetyczną; Don Usenik, wszechstronny lekarz Centrum, dbał o zdrowie chłopca, który mieszkał w domu Dorotei.

- Mogę się podjąć matkowania - rzekła lojalnie starsza pani. - Zwłaszcza że Rhyssa ma tyle spraw na głowie.

Pod koniec tygodnia Peter świetnie sobie radził z problemami higieny osobistej, co było niezmiernie ważne dla wrażliwego chłopca. Jego wychowawcy radośnie uczcili poranek, gdy po raz pierwszy samodzielnie się umył. Peter niemal się poparzył, kiedy spróbował

wziąć prysznic; potem przeholował w drugą stronę i Dorotea musiała go wyciągać z lodowatej wody.

Sporo czasu i wysiłku wymagało przyuczenie się do schodzenia z łóżka tak, aby nie spadać na podłogę. I do spacerowania po domu Dorotei bez obijania się o meble. Peter stopniowo nauczył się precyzyjnego kontrolowania gestu i zaczął „chodzić”: jedynie bardzo wnikliwy obserwator zauważyłby, że stopy chłopca nigdy nie dotykają ziemi i że zginanie kolan tylko przypomina normalny chód. Nie mógł niczego złapać, ale nauczył się tak ustawiać dłonie, że wyglądało jakby niósł dany przedmiot. Te wszystkie osiągnięcia bardzo go zmieniły, stał się innym chłopcem - matka była zdumiona ową zmianą, kiedy go znów odwiedziła.

- Ani w mojej rodzinie, ani w rodzinie męża nigdy nie było żadnych Talentów - zwierzyła się Dorotei. - Pojęcia nie mam, skąd mu się to wzięło.

- Konieczność, pani Reidinger - odparła tamta w babcinym stylu.
- Wypadek wymusił transfer motorycznych funkcji do innej części mózgu. Przecież nawet najlepsi z nas wykorzystują jedynie dwie piąte potencjału swego umysłu.

Ilsa Reidinger nic z tego nie zrozumiała, lecz zaakceptowała owe wyjaśnienia udzielone z wielką powagą.

- Ludzkie ciało uczy się kompensacji - ciągnęła Dorotea. - Peter potrzebował tylko szansy rozwinięcia tych nowych umiejętności. I muszę powiedzieć, że wspaniale sobie poradził. Jesteśmy ogromnie

zadowoleni z jego postępów. - Dorotea uśmiechnęła się pogodnie do swojego gościa.

- Ale co on będzie robił? - spytała żałośnie Ilsa.

- Tu, w Centrum, Peter będzie pomagał innym okaleczonym dzieciom - i dorosłym też - które muszą się nauczyć kompensacji. - Dorotea „usłyszała” wątpliwości pani Reidinger, więc szybko dodała: - O, to świetnie płatne zajęcie. Teraz jest na stypendium szkoleniowym, lecz potem będzie naprawdę dobrze zarabiał. Ma przed sobą znakomitą karierę w Centrum. Będzie pani zeń dumna.

Dorotea świadomie zignorowała następną dominującą myśl Ilsy: jeżeli Peter ma Talent, to Katya na pewno też. Dziewczyna i tak była trudna; chciała wiedzieć, czemu Peter miał taki fart, a ona nie; dalej tkwiła w nudnej szkole i musiała się uczyć, podczas gdy brat mógł realizować swoje plany.

- Czy on może czytać myśli? - spytała Ilsa Reidinger; bardzo ją to niepokoiło.

- Peter ma niewielki zasięg - odparła nieszczercze Dorotea, udając ubolewanie; matka z takim trudem akceptowała nowe zdolności syna. - Potrafi czytać silne myśli, ale sam może je przekazywać tylko na niewielką odległość. Jego Talent to kinetyka. Czy pani rozumie, co to znaczy?

- Tak. To znaczy, że ludzie mogą przesuwać różne rzeczy, wcale ich nie dotykając. Jak ci, co lecą pomóc skończyć Drugą Stację, żebyśmy mogli skolonizować gwiazdy.

Ten gładki frazes był zasługą zręcznej kampanii, jaką Dave Lehardt prowadził w Tri-D.

- Czy Peter poleci w kosmos? - zapytała nieśmiało Ilsa; postanowiła - co Dorotea świetnie „słyszała” - że słówka o tym nie piśnie Katyi, bez względu na to, co jej odpowiedzą.

- Na pewno nie. Platforma będzie skończona, zanim Peter zostanie w pełni wyszkolony.

Sama myśl o tym, że chłopak mógłby wpaść w łapy Barczenki, przyprawiła Doroteę o mdłości; Ilsa Reidinger była rozczarowana (jak każda matka chciała, żeby jej syn był kimś wyjątkowym - i taki był, i sławnym - a tego by Centrum dlań nie chciało, i bogatym - był Talentem, a więc poprzez Centrum zaspokoi wszystkie swoje potrzeby); starsza pani polechtała matczyną dumę:

- On ma naprawdę wyjątkowy Talent.

- No tak, ale co on właściwie robi?

- Widziała pani, jak chodzi i podaje nam herbatę. Osiągnął to dzięki swoim kinetycznym zdolnościom. Teraz już nie potrzebuje żadnych aparatów i protez. Gdy tylko pełniej rozwinie swoje możliwości, damy mu bardziej skomplikowane zadania.

- Będzie mógł pracować?

Pani Reidinger nic nie zrozumiała i nie doceniała osiągnięć syna, pomyślała Dorotea. Dotarło do niej jedynie to, że Peter już nie będzie dla rodziny ciężarem finansowym i emocjonalnym. Była miłą kobieciną, oddaną synowi podczas jego rekonwalescencji - lecz

ogromnie ją to wszystko wyczerpało. Dorotea postanowiła goręcej pochwalić możliwości Petera.

Starszej pani przyszło nagle do głowy, że należałoby uwspółcześić, usprawnić sposoby wyszukiwania, ustalone jeszcze przez Daffyda op Owena. W szpitalach pracowało sporo Talentów o najrozmaitszych zdolnościach. Dlaczego żaden z nich nie wykrył Petera? Powinna o tym pomówić z Rhyssą, kiedy tamta poradzi sobie z Barczenką.

- Uważam, że Peter dokona tego, co sobie postanowi.

- Bo jest kinetykiem?

- I to wyjątkowym, skoro na dodatek musi przewycięzać ciężkie kalectwo.

Pani Reidinger wyjechała: nadal nieco oszołomiona zamieszaniem czynionym wokół chłopca, lecz nareszcie spokojna o jego przyszłość.

Dorotea nigdy nie przypuszczała, że jej słowa - mające ukoić matczyny niepokój - przyniosą nieoczekiwane następstwa. Obie z Rhyssą coraz lepiej zdawały sobie sprawę z olbrzymich możliwości chłopca, lecz nie rozgłaszały tego nawet wśród kolegów.

- W tym przypadku pośpiech nie jest wskazany - powiedziała australijskiemu dyrektorowi Rhyssa.

Lance spędzał więcej czasu w jerhattańskim hotelu dla „próżniaków” niż w Canberze na załatwianiu spraw przed odlotem na Drugą; teraz wpadł do Rhyssy, wracając z kolejnej narady z Dave'em Lehardtem, Samjanem i Rodomanskim.

- Spotkałem paru takich naturszczyków, kiedy miałem do czynienia z Maorysami i Aborygenami - odparł Aussie ze swoim charakterystycznym akcentem, rozsiadając się wygodnie. - Ale ten mały wszystkich zakasował. Jeżeli osiągnął aż tyle, mając do dyspozycji jedynie generator 4,5 k.p.m., to co by osiągnął przy dostępie do prawdziwej energii?

- Jeszcze jeden powód, żeby się nie spieszyć. Nauka kontrolowanego działania stanowi najważniejszą część jego szkolenia. **Obraz Petera śmigającego po Jerhattanie jak kometa i ciągnącego za sobą „ogon” z porwanych przez impet przelotu ludzi, małych pojazdów, rupieci i śmieci.**

Lance uśmiechnął się; zęby wydały się jeszcze bielsze na tle trwałej opalenizny południowca, zielone jak morze oczy zaiskrzyły się:

- Racja, złotko, chwytam, w czym rzecz. Ale z takim Talentem i z odpowiednim generatorem pod ręką moglibyśmy śmignąć do najbliższej planety.

- *Lance, zachowaj to w najtajniejszym zakątku swojego umysłu. Niech nic nie przecieknie na zewnątrz!*

Aussie - nagle zupełnie poważny - wyprostował kanciastą postać.

- *Ja tylko żartowałem!*

Rhyssa wolniutko skinęła głową. Lance przeciągle gwizdnął.

- *Wyobraź sobie minę Barcenki, gdybyśmy jej powiedzieli, że bezcenna Druga już się zdezaktualizowała!*

- Nie całkiem - uśmiechnęła się mściwie Rhyssa, która rozkoszowała się paroma słodkimi marzeniami na ten temat. - Coś takiego jak Druga przyda się nie tylko jako odskocznia ku gwiazdom.

Lance: *Ilu się orientuje co do Petera?*

Rhyssa: *W jego możliwościach? Główny personel wie, że chłopak jest niezwykły. Byłam zbyt podekscytowana, kiedy zdałam sobie sprawę z możliwości tkwiących w jego gestalcie, tym niemniej wiedzą tylko, że byłam podekscytowana. Jedynie trzy osoby - Dorotea, ja i Sasza - wiedzą nieco więcej. Rick Hobson uważa, że Peter jest nadmiernie bystry; potrzebujemy jednak kinetyka do wstępnego szkolenia. Rick, tak jak i ty, leci na Drugą, więc faszerujemy małego techniką, ile się da. On i Peter dobrze się ze sobą zgadzają. CIEBIE wybrałam do dalszego szkolenia, więc nie zrób na Drugiej jakiejś głupoty, dobra?*

- Nie ma mowy! To marchewka, która będzie mi dyndać przed nosem przez sześć długich miesięcy! - Lance wstał. - Jaka szkoda, że Dave Lehardt nie jest prawdziwym Talentem. Cudownie sobie radzi z Finem i z tym obleśnym typkiem.

Rhyssa wzdrygnęła się na samo wspomnienie o księciu Phanibalu.

- Chyba niezbyt go lubisz?

- Oj tak!

- Zawsze wiedziałem, dziecinko, że masz dużo zdrowego rozsądku! - zachichotał Lance.

Rhyssa i Dorotea martwiły się o Petera; obie tały to przed chłopcem, którego teleempatia rozwijała się na równi z kinezą. Nie tylko wyczuwał lub wysyłał emocje; stawał się prawdziwym telepatą, zdolnym nadawać i przyjmować przekazy językowe i abstrakcyjne. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na to, że niekiedy, w chwilach dużego wzburzenia, Peter nie czerpał energii z generatora w trakcie kinetycznych ćwiczeń.

Dorotea uwielbiała gotować dla chłopca, który odzyskał apetyt; gdy tylko nauczył się wykonywać zwykłe czynności, spożytkowała jego kinezę do przygotowywania posiłków. Potrafił obierać jabłka i ziemniaki, skrobać marchew, krajać warzywa, łuskać fasolę - wszystko kinetycznie. Pałaszował każdą potrawę i zaczął nabierać ciała; Rick nauczył go ćwiczeń wzmacniających mięśnie, a godziny spędzone w ogrodzie Dorotei nadały cerze Petera zdrowy wygląd. W niczym już nie przypominał zabiedzonego paralityka z zanikami mięśni. Chłopiec musiał niezmiernie uważać przy wszystkich czynnościach: nadal nie miał czucia w rękach i nogach oraz w dolnej części tułowia, więc łatwo mógłby się zaciąć, skaleczyć lub poparzyć.

Kiedy Rick musiał wreszcie polecieć na Drugą, Peter chodził osowiały niemal przez cały dzień.

- Rick wróci, Peter - pocieszała go Rhyssa podczas kolacji. -
Nauczył cię już wszystkiego, co sam umie. Teraz musisz poznać
samego siebie. Nie będzie to łatwe...

- Sam się mam uczyć? - Chłopiec był tak wstrząśnięty, że
zapomniał o dobrych manierach i jego widelec zawisł nad talerzem.

Peter i Dorotea zawarli umowę: kiedy był sam, mógł przenosić
pożywienie do ust w dowolny sposób, lecz w towarzystwie musiał
ściśle przestrzegać etykiety.

- Oczywiście - odparła Dorotea, jakby to była najnormalniejsza w
świecie rzecz.

- Rick dał ci podstawy - dodała z ciepłym uśmiechem Rhyssa. -
Teraz potrafisz sam o siebie zadbać i pomóc w domu czy ogrodzie.
Przyszła kolej na drugi krok - testowanie samego siebie. Nie martw się.
Rick zostawił ci dłuugi spis tego, co masz zrobić podczas jego pobytu
na Stacji.

- Ale mi nie powiedział jak... - Peter wpadł w popłoch.

- Wiesz jak - odrzekła Rhyssa, udając zdziwienie reakcją chłopca;
Dorotea poparła ją zdecydowanym kiwnięciem głową. - Wszystkie
paranormalne Talenty biorą swój początek na poziomie instynktu.
Wyostrz swoje instynkty. - Uśmiechnęła się doń i poklepała go po
ramieniu. - Instynkt przywiódł cię do Centrum, prawda? Nie kłopotz
się „jak”! Zawierz instynktowi. Korzystaj zeń, wysyłając różne
nieruchome obiekty do coraz dalszych i dalszych miejsc. Zaczynaj od
miejsc, które znasz. Potem przypomnij sobie obrazy Tri-D, a może i

posłuż się matematycznymi koordynatami. O, weźmy na przykład ten widelec z tłuczonymi kartoflami. Dokąd byś je posłał?

Zawartość widelca zniknęła.

Sasza: *Co się tam dzieje?*

Rhyssa: *Chodzi ci o tłuczone kartofle?*

Sasza, nieco zde gustowany: *Tak! **Obraz białej kuli na środku jego biurka.***

- Gdzie je wysłałeś, Peter? - spytała odpowiednim tonem Dorotea.

- Na biurko Saszy. Ale na drewno, nie na jakieś ważne papiery - zapewnił ją chłopiec.

- Nie każę ci tego zjeść, ale sprowadź to z powrotem!

Kartofle wróciły na widelec.

Sasza, sarkastycznie: *Wielkie dzięki!*

Peter: *Nie ma za co!*

I zachichotał jak każdy urwis, który wyciął kawał.

Sasza do Rhyssy i Dorotei: *Dopiero co przyuczyliśmy Madlyn do właściwego zachowania, a już nastał Peter! Czasami... No, ale skoro trzymają się go żarty, to zaczyna się przyzwyczajać do wyjazdu Ricka.*

I następnego dnia Peter ochoczo trenował - tym razem korzystał z generatora, żeby rozsyłać po Centrum rozmaite obiekty. Na początek Dorotea dała mu niewielkie przedmioty, które prznosił do kolejnych pokoi, starając się je ustawić w określonym miejscu; wybierała znane chłopcu lokalizacje. Zakończył ranek przenoszeniem ciężkich bel papieru komputerowego z magazynu do punktu kontrolnego, podnosząc ładunki z narysowanych na podłodze kwadratów. Budworth

wreszcie doniósł, że Peter trafia na medal; i poprosił chłopca, żeby usunął ten bałagan.

- Wygląda na to, że waga nie ma żadnego znaczenia - powiedział Sasza, oglądając przy lunchu wyczyny Petera. - Czy często uciekał się do gestaltu?

- Niezbyt. Mamy odpowiedni wykres - odparła Rhyssa. - Zaczyna się skłaniać ku siłom psychicznym.

- Hmm, ale to nie zmienia faktu, iż zeń korzysta - zadumał się Sasza. - Może to czynić i czyni. Do licha, Rhyssie, on jest nadzwyczajny! Kiedy naprawdę wykorzysta moc generatora, nie ma takiej rzeczy, której by nie przerzucił! - Oczy Roznina lśniły z podekscytowania. - Gdybyśmy tylko zdołali się dowiedzieć, jak sięga po gestalt... - Spojrzał na Rhyssę, która ze smutnym uśmiechem potrząsnęła głową. - A Rick...?

- Rick przeszedł z nim ćwiczenia wstępnego szkolenia kinetycznego - westchnęła Rhyssa. - Na więcej nie miał czasu. Niech diabli porwą Barczenkę. Skąd mieliśmy wiedzieć, że się nam trafi nagły przypadek i będziemy potrzebować kinetyków, których nam wydarła? Czemu nie było żadnej wizji?

Sasza odchylił się w fotelu i z nieoczekiwaną powagą popatrzył na swoją dobrą przyjaciółkę i zarazem dyrektora.

- Rhyssa, kotku, czy potrafisz śledzić jego myśli?

- Jestem biegłą telepatką - roześmiała się. - Lecz Peter dzięki swemu umysłowi dociera tam, gdzie jeszcze nikt przed nim nie dotarł. Może inny kinetyk by to potrafił. Mam zamiar zaanektować Lance'a

Badena do dalszego szkolenia chłopca, jak tylko skończą tę przekłątą Drugą. - I Rhyssa „osmuciła” aurę umysłu obrazami oddającymi jej frustrację; Sasza ze współczuciem pokiwał głową.

- No, to po prostu musimy małemu zapewnić „przedszkole”, dopóki Lance nie będzie wolny. I dbać, żeby jego stan fizyczny się poprawił. Czy Don Usenik widzi jakąś szansę ożywienia uszkodzonych nerwów? Teraz...

- Kłopoty! - ze specjalnego głośnika w biurze Rhyssy rozległ się głos Budwortha.

- *Co się dzieje?*

- Cholera, NATYCHMIAST chcę mówić z dyrektorem Owen! - zagrzemiał czyjś głos, bo Bud przełączył rozmowę do biura.

- To właśnie ja - odparła zimno Rhyssa. - Kim pan jest?

- Kurczę, nie powiedzieli pani? Bob Gaskin z Zarządu Portu Jerhattan. Zabraliście nam kinetyków, a kontener przygniótł trzech ludzi i nie mamy go jak podnieść, by ich uratować. Już tylko barierka ochronna na podnośniku...

- Czy ma to pan na wideo?

- Tak... cały plac...

- Proszę to natychmiast dać na nasz ekran. *Dorotea, przyprowadź Petera do mojego gabinetu. Spróbujemy pomóc. Daję nam tu obraz.*

Dorotea: *Czy POWINNIŚMY ryzykować?*

Rhyssa: *Nie będziemy wiedzieć, dopóki nie spróbujemy. Życie ludzkie jest zagrożone. Chłopak ma odpowiednią moc i dobrze sobie radzi z wielkimi, ciężkimi przedmiotami.*

Dorotea: *Dzieli nas od nich połowa miasta... Peter, mamy coś lepszego niż bele papieru. Idziemy. Spróbuj mnie przegonić!*

Sasza i Rhyssa wpatrywali się w ekran - kontener wciąż jeszcze trzymał się z jednego boku na linach. Przechylił się nieco na ukos przez mały podnośnik i tylko ta mocna konstrukcja chroniła przed zmiążdżeniem operatora i dwóch pracujących w pobliżu ludzi. Talenty widziały ramię jednego z nich sterczące spod kontenera i stopę drugiego wystającą spod narożnika; operatora nie było w ogóle widać.

- Dlaczego lina się zerwała, panie Gaskin? - spytała spokojnie Rhyssa. - Na pewno sprawdził pan całe wyposażenie, zanim je pan znowu uruchomił. - Z rozmysłem przybrała surowy ton.

Otworzyły się drzwi i weszli Dorotea z Peterem. Oczy chłopca natychmiast wpiły się w ekran.

- Gdyby wasze przekłete Centrum nie zabrało nam kinetyków, to by się to nigdy... Jasny gwint! Skąd tak szybko wytrzasnęliście jednego z nich?!

Trójka dorosłych z zapartym tchem patrzyła, jak długi, ciężki kontener unosi się powoli ze zmiążdżonego podnośnika; operator leżał na tablicy rozdzielczej, jeden z robotników był rozplaszczony na podłodze, drugi wstał z trudem, podtrzymując zranioną rękę. Poprzez podłogę biura docierał do nich odległy pomruk. Kontener powoli osiadł na czekającej nań platformie i pomruk ucichł.

- Brawo, Peter, świetnie to zrobiłeś. Wprost cudownie - rzekła Rhyssa i spostrzegła, jak chłopiec osuwa się na podłogę. - O Boże, sforsowałeś się, skarbie?

Sasza dopadł go przed nią, podniósł i posadził w jednym z wygodnych foteli, który od razu dopasował się do kształtów chłopaka.

- Czy nic im nie będzie? - dopytywał się Peter, bladą twarz miał ściągniętą niepokojem. - *Biło od nich tyle bólu.*

- Do rzeczy, młodzieńcze. - Zmarszczył brwi Sasza. - Nic ci nie jest? *Don, galopem tutaj!*

- Na litość boską, jak pani to zrobiła?! - zakrzyknął Bob Gaskin, ocierając twarz drżącymi rękami.

- Nie został pan, panie Gaskin, opuszczony przez Talenty. Mamy tutaj „szkieletową” załogę... **Sasza przesłał Rhyssie obraz drobnej postaci Petera, przesadnie podkreślając każdą kosteczkę; dziewczyna z trudem zachowała powagę.** ...którą możemy wykorzystać w razie nagłych wypadków, takich jak ten. Po prostu brak nam ludzi do zwykłych zadań. - Zignorowała przesadny grymas Roznina; na ekranie zobaczyła lądujący helikopter sanitarny i lekarzy biegnących ku rannym mężczyznom. - Żegnam pana, panie Gaskin.

- Dowiemy się o nich w Southside General Hospital, Peter - pocieszyła chłopca.

- Ale najpierw Don cię zbada, młody człowieku - wtrąciła Dorotea. - Z troską o tamtych ludzi dobrze o tobie świadczy.

- *Wiem, że musieliśmy to zrobić.* - Słowa Saszy były przeznaczone wyłącznie dla Rhyssy. - *Ale czy powinniśmy byli?*

Rhyssa skrzywiła się.

- *Sytuacja bez wyjścia. Na oficjalny użytek podtrzymamy wersję „minimalnej załogi”. A tak nawiasem mówiąc, NIE wygłupiaj się w ten sposób, dobrze?*

Sasza przewrócił oczami, wyrażając skruchę, ale nic nie obiecał.

- *Nie wiem, na jak długo wystarczy im ta wymówka. Czy pozwolisz mi „pójść” za umysłem chłopca, gdy będzie coś podnosił?*

- Tak. Sama cię miałam o to poprosić po tym pokazie jego możliwości. Gdybyśmy zdołali podwoić gestalt, to nawet nasza „waga piórkowa” mogłaby przenosić kontenery.

- No, to co się komu stało? - zaciekawiał się Don Usenik, rozglądając się po pokoju, zanim dostrzegł w fotelu wyczerpanego Petera. - Co wyście tu wyprawiali? Góry przenosiliście?!

- Co chcesz najpierw usłyszeć? Dobre czy złe wieści? - spytał Rhyssę tydzień później Dave Lehardt.

Jego mina nic dziewczynie nie powiedziała; oczy Dave'a bacznie wpatrywały się w jej twarz. Mógł sobie nie być Talentem, za to niezwykle wnikliwie potrafił wychwytywać najdrobniejsze znaki „mowy ciała”. Jego widok tak ją ucieszył, że właściwie nie dbała o wieści, które przyniósł, ale podjęła grę:

- Złe!

- Barczenka jest pewna, że coś przed nią ukrywasz. Słyszała, że masz ekipę kinetyków nie wpisanych do oficjalnego rejestru. Jest bliska narobienia rabanu. I muszę ci też powiedzieć, że słyszałem nadzwyczaj osobliwe pogłoski.

- Niczego przed nią nie ukrywamy - roześmiała się Rhyssa. - Talenty tego nie potrafią. Niech spyta rosyjskich teleempatów. Im powinna uwierzyć. A dobre wieści?

- Wyniki ankiet znów są korzystne dla Talentów. - Dave uniósł brew, nieco sceptycznie. - Kiedy zatrudniające ich zakłady musiały wrócić do staromodnych metod, popularność nadwrażliwych spadła do poziomu nie notowanego od pięćdziesięciu lat - było nawet gorzej niż po tym nieszczęściu z wulkanem na Hawajach - choć każdy jest za Drugą i wnosi swoją działkę. Mówi się, że ta twoja ekipa-widmo

zadziałała, kiedy się zdarzył nieszczęśliwy wypadek. Tylko że nikt nie widział żadnego Talentu.

- To zdalne metody działania, które opracowaliśmy do takich właśnie przypadków - odparła Rhyssa z niewzruszoną miną; nie dlatego, iżby nie miała zaufania do Dave'a Lehardta, lecz po to, aby chronić Petera. - Dzięki temu mogliśmy ogołocić Centra z Talentów i wspomóc Drugą.

- Zdalne sterowanie?

- Tak.

- Żaden z Talentów, z którymi rozmawiałem, nic o tym nie słyszał.

- Powiedziałam, że zdalne - powtórzyła Rhyssa, z trudem zachowując poważny ton; z całą pewnością igrała z prawdą. - Na razie nie chcemy tego rozgłaszać. Powinieneś to zrozumieć!

- Wiec Ludmiła nie może na tym położyć łapy?

- Prawie wszystkich kinetyków zmusiła do pracy na Drugiej. Ma wystarczającą liczbę ludzi i Talentów, żeby skończyć robotę w terminie. Nie powinna być zbyt zachłanna!

- Ona chce skończyć przed terminem i pewno jej się to uda dzięki twoim Talentom.

- Czy wcześniejsze zakończenie gwarantuje jakąś nagrodę? - zirytowała się Rhyssa; niech szlag trafi tę babę!

- Nie wiedziałaś? - zdziwił się Dave.

- Wciąż słyszałam o karach i premii za terminowe ukończenie; lecz, co dziwne, nic się nie mówiło, nawet nie napomknęło, że Ludmiła zamierza wcześniej skończyć.

- Zrobiłem, co tylko mogłem, żeby stłamsić plotki. Jeśli wolno mi coś poradzić: trzymaj tę swoją nową ekipę na uboczu, o ile to możliwe. Żadnych spektakularnych akcji ratowniczych poza moimi plecami, dobrze? Hmmm?

To była bardzo mądra rada i Rhyssa zamierzała jej posłuchać. Od chwili owej akcji ratunkowej ogłędnie wykorzystywała Talent chłopca. Nadmierny wysiłek ogromnie nadwątlił kondycję fizyczną Petera, który teraz codziennie wykonywał ćwiczenia wzmacniające; stało się to niemal jego obsesją. Lecz Talent chłopaka wykorzystywano wyłącznie wtedy, kiedy zagrożone było życie ludzkie - a takie przypadki, na szczęście, rzadko się zdarzały. Podczas sesji treningowych z użyciem zdjęć Sasza sprzęgał się z umysłem Petera, kiedy ten przenosił obiekty do innych Centrów.

- Mogę śledzić wszystkie jego myśli - powiedział Roznin Rhyssie po tygodniu takich ćwiczeń. - Nawet czuję wibracje generatora w jego mózgu, lecz nadal nie wiem, JAK on wykorzystuje gestalt. Poza tym, o ile mogę to ocenić, coraz mniej i mniej korzysta z energii. Przynajmniej przy niniejszych ciężarach.

- Jeśli dalej tak będzie, może się okazać, że Lance ma rację - zauważyła Rhyssa. - Podłącz go do wystarczająco zasobnego źródła energii, a zaspokoi wszystkie potrzeby Drugiej.

Sasza zmrużył oczy. **Mina Barczenki! Konsternacja na obliczach głównych zwolenników Drugiej! Osoby obrzucone jajkami. Mały chłopiec ciska kosmolotami tak, jak jego rówieśnicy papierowymi samolocikami. I wreszcie twarz Saszy z ustami szeroko rozwartymi z podziwu i zdumienia.**

- Potrafiłby?

- Nie powiem, że nie - odparła Rhyssa, śmiejąc się z takiej przesady. - Lecz wiesz równie dobrze jak ja, że każdy Talent ma swoje ograniczenia. Nie wolno wywierać żadnej presji na Petera. To taki radosny chłopak.

- I dzięki Bogu!

Sasza, z uszami zatkanyimi kłębami waty, cierpliwie nadzoruje usychającą z miłości Madlyn Luvaro.

Rhyssa odpowiedziała wizją zabłąkanych porcyjek tłuczonych kartofli, zdobiących jego gabinet:

- Kinetyk ma więcej możliwości niż telepata!

- Łatwiej go wprawić w dobry nastrój niż Madlyn - powiedział Sasza, rozprostowując swoje długie nogi. - Jedno lub dwa zakłócenia ruchu ulicznego dziennie i czuje, że zarobił na swoje utrzymanie. Co mi przypomina, że ostatnio słyszałem od VIP-ów przemysłu parę kąśliwych uwag na temat tej naszej niewidzialnej ekipy. Odpowiedziałem, że się nam udało sprząc szkolonych z doświadczonym „piórkowcem”, dzięki czemu uzyskaliśmy niezbędną siłę udźwigu; lecz że korzystanie z tego jest bardzo ograniczone ze względu na młodociany wiek uczestników.

Rhyssa westchnęła.

- *Ta splątana sieć codzienności, hmmm?*

- Dajesz fory Szekspirowi? - Sasza uniósł brew. - Myślałem, że twoja rodzina jest papistowska.

Rhyssa się roześmiała. ****Wizja jej sławnego dziadka, Daffyda op Owena, jakim go pamiętała: wysoki, smukły, srebrzystowłosy, o twarzy poety i podbródka włoskiego księcia.****

- Czasami bard lepiej pasuje - rzekła. - Którzy przemysłowcy się dopytywali?

- Trafiałś w samo sedno, mała. Każdy z nich dostarcza coś na Drugą! Jak wiesz, były opóźnienia w dostawach materiału na Stację, głównie z powodu kaprysów pogody - gwałtowne burze zwichrowały korytarze startowe.

Rhyssa zmarszczyła brwi i - co jej się rzadko zdarzało - wypaliła nerwowo:

- Ratowanie życia - zgoda; myślę też, że przy swojej technice mógłby przenieść kapsułę na Drugą bez względu na pogodę. Ale nie ma mowy, żeby Peter pomógł jej zdobyć premię czy też uchronił przed płaceniem grzywny.

Sasza uśmiechnął się:

- Nawet mu nie wspomnę, że go pozbawiłaś takiej frajdy, ty paskudo. ****Obraz Saszy pospiesznie wznoszącego solidną osłonę przed strzałami lecącymi z oczu Rhyssy.**** I tak by go nie mogła zatrudnić. Ma zaledwie czternaście lat. Za młody, nawet według sowieckiego prawa!

Dziewczyna przeciągle gwizdnęła, a potem się uśmiechnęła:

- Tak; jest nieletni, nieprawdaż? Dorotea przypomniała mi, że ciężko z tobą pracował. Jutro Peter będzie miał wolny dzień. A ja muszę przejrzeć te papierzyska. - Z rezygnacją wskazała na stertę leżącą na skraju biurka. - Wyniki testów.

- Czemu nie miałybyś mieć wolnego wieczoru? - zasugerował z komicznym uśmieszkiem Sasza. - Mogłabyś gdzieś pójść z Dave'm.

Rhyssa wyprostowała się jak struna i zamknęła umysł.

- Skarbie, wcale nie muszę szperać.

- On nie jest Talentem - jęknęła dziewczyna.

- Żadne prawo nie stanowi, że możesz poślubić wyłącznie Talent.

- Ale w ten sposób zwiększa się...

- Taa, a skąd się niby wziął Peter Reidinger? Czasami sobie myślę, moja najmilsza przyjaciółko... - Sasza pochylił się ku niej przez biurko - ...że powinniśmy patrzeć oczami, a nie głową. Sądzę, że musiałem o tym wspomnieć. Dave jest najlepszym przyjacielem Talentów.

- To nie ode mnie zależy, Sasza - powiedziała Rhyssa i po raz pierwszy poczuła się nieswojo w jego towarzystwie.

- Może tak, a może nie. Lehardt ma dość rozumu, żeby się samemu zareklamować.

I Roznin wyszedł.

Kiedy tylko Tirla weszła na główną aleję liniowca G, od razu wyczuła tłumione podekscytowanie; wiedziała, że lada moment wydarzy się coś, co rozpędzi wszechobecną nudę. Kobiety stanowiły większość wśród stojących tu i tam grupiek. Część robotników spieszyła na główny plac, by sprawdzić, czy na tablicy pojawiły się jakieś oferty pracy. Bardziej ich interesowało zdobycie zajęcia (dzięki czemu unikali przymusowego zatrudnienia) niż wysłuchiwanie trajkotania bab. Żaden z szanujących się mieszkańców liniowca nie chciał, żeby go wysłano na ciężkie roboty lub - co gorsza - w kosmos, do doków wokół Wielkiego Koła. Niewielu stamtąd wracało. A teraz dopadli i Talenty.

Dziewczynka na tyle zbliżyła się do jednej z grupiek - hiszpańskojęzycznej - żeby usłyszeć, o czym mowa.

- Nakłada dłonie...

- Kościół jest zawsze *le mismo*... Śpiew jest do niczego.

- Kiedy mojemu Juanowi przypominano o czystości Dziewicy, to już od jakichś dwóch dni mi nie przyłożył...

- Prawdziwy boży człek dostarcza pokarmu dla duszy...

Tirla parsknęła - duchowa strawa nie miała u niej zbyt wysokich notowań, kiedy żołądek był pusty.

- Słyszałam... - odezwała się z przejęciem Consuela Laguna - ...że kiedy położy dłonie na ułomnego, to go uleczy.

Syn Consueli był tak upośledzony, że nic mu już nie mogło pomóc. Kobieta zawsze prosiła Tirlę o tłumaczenie biuletynów medycznych, bo niezłomnie wierzyła, że wreszcie pojawi się jakaś cudowna terapia, która przywróci zdrowie jej Manuelitowi.

O, pomyślała dziewczynka, dla liniowca G nieoczekiwanie zaplanowano religijne wydarzenie. Dziwne. Dopiero co, przed czterema tygodniami, kręcili się tu pracownicy UZP. Wkręciła się pomiędzy nich - ostrożnie jak zwykle - i zwędziła fiołki z nową szczepionką. W ten to sposób dbała o swoje zdrowie, a nawet co nieco zarabiała, sprzedając nadliczbowe fiołki rodzicom innych nielegalnych. Prawda, pomyślała Tirla, że od dawna nie było tu żadnego wydarzenia religijnego; a jednak coś jej się wydało podejrzane. DWA takie wydarzenia w ciągu czterech tygodni?

Przesunęła się do następnej grupki - same Lewantynki paplające o tym, jakby tu nakłonić swoich chłopów, żeby wieczorem poszli z nimi do kościoła, a nie do Mahmouda, podziwiać nową wykonawczynię tańca brzucha. Po takich widokach wracali do domów w bardzo lubieżnych nastrojach. Nie dbali wcale o to, ile mają nielegalnych dzieci; grunt, żeby nikt nie kwestionował ich męskości. A jeśli dzieciaki jakoś dotrwały do dziesiątych urodzin, to można je było sprzedać i cała sprawa okazywała się opłacalna. Tirla przesunęła się dalej - jakieś azjatyckie babskie gęganie; kobiety trajkotały z podnieceniem o uzdrowieniach i o tym, czy nie zaszkodzi to interesom. Azjaci dostarczali starodawnych leków na wiele pomniejszych dolegliwości trapiących mieszkańców tych ludzkich mrowisk.

- Przyszedł, jak obiecał... - usłyszała, kiedy dotarła do starej Mamy Bobczik; czarne oczy kobiety były szeroko otwarte, policzki zdobiły plamiaste, jaskrawoczerwone rumieńce podekscytowania. - I ty też przyszedłeś, duszko - dodała, chwytając ramię dziewczynki. - Musisz nam dokładnie powtórzyć jego słowa. Ostatnio nie słyszałam, co mówił, i moja dusza jest czarna od grzechu.

- Na koniec - zgodziła się Tirla; w większości przypadków zgromadzeń religijnych ubierano pustkę w przesadnie ozdobne zdania; zabawi się trochę, z góry odgadując banalne zdania i kwieciste słowa. - Więc jednak udzielono pozwolenia? - Musiała podtrzymywać swoją reputację osoby, która wie o wszystkim, co się dzieje w liniowcu.

- *Da, eto tak!* - zapewniła ją radośnie Mama Bobczik. - Mój późnym wieczorem dostał cynk, żeby się przygotować. - Argol Bobczik był jednym z techników sanitarnych liniowca. - Mówi się, że ten pobożny człek jest wszystkowiedzący i ma wspaniałych towarzyszy. Odnieśli duży sukces w liniowcu P. Już tego ranka wielu kupców zarezerwowało miejsca. To będzie wydarzenie. Od miesiący nie mieliśmy tu, w liniowcu G, religii. Wszystkim nam potrzebny duchowy przewodnik. Wiele dusz jest czarnych od grzechów i trzeba je oczyścić.

Tirla potaknęła z powagą. Mama Bobczik na pewno była dość stara, żeby chcieć zrzucić ciężar grzechów ze swojej duszy. Szkoda, że nie usłyszy tego nikt z OPP.

Ale jak to się stało, że Tirla przegapiła tak istotną pogłoskę? Być może rozstrzygnęło się to bardzo późnym wieczorem. W każdym bądź

razie dzięki obecności kupców będzie mogła „wyprać” Yassimowi trefne kredyty. Samo wspomnienie tego imienia przyprawiło dziewczynkę o dreszcz. Nie lubiła zbyt długo przetrzymywać jego pieniędzy. Nie żeby on miał jakieś powody, by jej nie ufać. Po prostu wolała nie ryzykować czegoś takiego. Zwłaszcza jeżeli podejrzewał, że Tirla lada moment dojdzie do „wieku sprzedażnego”. Była tak mała i chuda, że z łatwością można jej było dać te siedem lat, do których się przyznawała. Jednak ktoś w końcu policzy jej latka. Czasem się zastanawiała, co wtedy zrobi. I zawsze się starała mieć sporo „wolniaków” ukrytych w bluzie, żeby w razie czego móc zwać do innego liniowca. Nawet udało się jej zdobyć - kompletnie nielegalną - kopię rozkładu jazdy pociągu towarowego i wyszukała najbliższe wejścia do podziemnej hali dworcowej, ewentualne drogi ucieczki.

Tirla zręcznie się wyśliznęła z tłustych paluchów Mamy Bobczik i przesunęła do Pakistańczyków, paplających o sprowadzeniu krewnych z liniowca E i spierających się co do celowości takiego kroku. Jedni twierdzili, że nie ma żadnego ryzyka, skoro zgromadzenie jest legalne. Potem nadeszła Mirda Khan - osoba, której Tirla zawsze starała się przypodobać - i natychmiast wybiła im z głowy takie idiotyczne uprzejmości.

- Taki lama na pewno udzieli niewielu błogosławieństw - mruknęła gniewnie Mirda, na tyle głośno, żeby ją usłyszeli pobliscy ludzie. - Nie może marnować swojej świętej mocy dla maluczkich. Sakramenty, których łaskawie udzieli, powinny być przeznaczone wyłącznie dla nas, mieszkańców liniowca G. Dla nas. - Tu stuknęła

szerokim, płaskim kciukiem w pierś. - Dla jego wiernych wyznawców z liniowca G.

- Wielebny Pontis Prosit był w liniowcu P - szepnęła ze czcią jedna z kobiet. - Pandit słyszał o cudach, jakie wielebny tam sprawił.

Tirla sceptycznie odnosiła się do cudów: po dokładniejszym zbadaniu sprawy zawsze się okazało, że te wszystkie uzdrowienia, ocalenia i objawienia dawały się wytłumaczyć. I fajnie się było dokopywać do owych wyjaśnień.

- Więc zachowajmy te cuda dla nas! - rzekła srogo Mirda, ignorując sprzeciwy.

Mirda Khan obejrzała się nagle, wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Dziewczynka była jednak szybsza i zdołała się schować za filarem; potem odeszła, bo usłyszała już to, co trzeba.

Więc ten kaznodzieja, ten PZR był sławny? Tirla świetnie się orientowała, ile trzeba było zręczności, żeby nie nadepnąć na odciski wyznawcom rozmaitych zawiłych wierzeń, które istniały w liniowcu. Może i warto by było go posłuchać, tego tam... Pontisa Prosit. I dobrze się przyjrzyć wszystkiemu. Jej niepewna sytuacja sprawiała, że dziewczynka łapczywie chłoneła wszelkie informacje.

O ile to wszystko było legalne. Tirla rozmyślała nad tym, przemykając bocznymi przejściami; w końcu znów się znalazła na głównej alei - na tyle daleko od Pakistańczyków, żeby jej nikt nie rozpoznał. Spojrzała na najbliższy ekran. Najpierw nadawano zwyczajne wiadomości i ogłoszenia, wreszcie, o 20:00, zrelacjonowano wydarzenie.

Ze swadą przedstawiono szczegóły uroczystości, okraszając to fanfarami i migawkami ukazującymi jego wielebność kaznodzieję Pontisa Prositę uśmiechającego się promiennie do tłumów. Obiecywano występ chóru - krótki fragment muzyki i sopranowego śpiewu miały zachęcić do obejrzenia całego widowiska. Tirla lubiła muzykę, dobrą muzykę, przy której nogi same chodzą. Ten wielebny, świątobliwy kaznodzieja ponoć dopiero co powrócił ze wschodnich świętych miast, gdzie oddawał się długotrwałym postom i medytacjom i doznał objawienia. Liniowiec G spotkało niezmiernie szczęście, bo świątobliwy mąż zdołał - pomimo nawału zajęć - wykroić czas na dzisiejsze spotkanie. To znaczy, że akurat nigdzie go nie zaprosili, pomyślała cynicznie dziewczynka. Cóż, kazania były w liniowcach popularne, czasami nawet bardziej niż walki i często o wiele bardziej widowiskowe niż one. Tirla lubiła widowiska. I legalne zgromadzenia.

Ci z UZP niedawno tu myszkowali, więc dziewczynka z doświadczenia wiedziała, że nie ma mowy o drugiej potajemnej inspekcji. Kaznodzieja mógł maskować przedsięwzięcia bardziej nielegalne niż „pranie” forsy, lecz - ze względu na niedawne działania UZP - nie powinni się tu kręcić żadni tajniacy z OPP. Za to na pewno będą kontrolerzy tłumy. To było rutynowe działanie i Tirla знаła większość z nich, choć starali się zmieniać wygląd.

No, ale dziewczynkę czekało najważniejsze zadanie - „wypranie” szmalu Yassima. Nigdy by się na to nie zgodziła, lecz Bulbar nalegał, a „gadacz” - typ, któremu wolałaby się nie narażać - oznajmił jej, że oto ma okazję odwdzińczyć się za przysługi. Poprzednio zawarła umowę z

Mamą Bobczik - następna osoba, której lepiej się nie narażać (ale ona broniłaby Tirli, bo ją przyjmowała na świat) - więc teraz dziewczynka musiała grać na dwa fronty.

Tirla - uspokojona i przygotowująca się na różne ewentualności - zajęła się codziennymi sprawami: zdobywaniem pożywienia, kąpielą i wymianą odzieży na czystą. Stare ciuchy były tak zniszczone, że nie zdołałyby w nich ukryć swoich „wolniaków”, a co dopiero szmalu tamtych.

Raz po raz zatrzymywały dziewczynkę jej stałe klientki; każda chciała, żeby Tirla z nią poszła na owo religijne zgromadzenie: lama-szaman ponoć mówił, „językami”, medytował na świętych wschodnich wyspach i w świętych miejscach, więc tylko ona mogłaby im wiernie przekazać każde słowo wielebnego. Jednak liczba osób, dla których mogła tłumaczyć, była przecież ograniczona. Otoczona przez gadające i gestykulujące kobiety, obecne i przyszłe klientki (żadnej nie chciała się narazić!), Tirla wzięła się na sposób i pogrupowała je:

- Bilala, musisz iść wraz z Pilau... Anna z Mariką... Zawieta z Elpidią... Chi-shu z Lao Wang... Cyoto z Ari-san...

Dwadzieścia par - mniej się nie dało; jak ona sobie poradzi? Tirla dyskretnie zniknęła z pola widzenia, zanim wpadła w następne tarapaty. Musiała wyjąć forszę z kryjówek i schować w ubraniu tak, żeby łatwo ją było wydostać.

- Mamy incydent - odezwała się Sirikit do Budwortha, który miał służbę w sali kontrolnej; jej głos, zwykle radosny, zabrzmiał szorstko.

- Kto? - Budworth śmignął wózkiem ku stanowisku Sirikit; ci, którzy widzieli, jak sprawnie nim manewruje, zapominali, że kręgosłup Buda został zmiażdżony w wypadku i że Bud może ledwo poruszać głową i dwoma palcami.

- Auer - w głosie Sirikit zabrzmiało zdziwienie.

- Kurczę!

- I Bertha!

- Jakieś dziwaczne połączenie.

- Jeśli w grę wchodzi Pontis Prosit, Szarlatan, to nie. Widziałam PA dla liniowca G.

- No to faktycznie mogła jej się wątroba przekręcić - uśmiechnął się ironicznie Budworth.

Bertha Zoccola była osobą spokojną i tolerancyjną, lecz wzmianka o tym kaznodziei wpędzała ją we wściekłość. Bud naraził się na gniew Berthy, opowiadając o wizji dotyczącej owego faceta.

Każdy prekognicyjny Talent, który wychwycił jakiś incydent, nawiązywał łączność z Centrum, żeby złożyć ustny raport ze swego jasnowidzenia. Budworth ustawił wózek przy pulpicie obok stanowiska Sirikit. Potarł brodą o podpórkę podtrzymującą głowę. Jak zawsze w takich chwilach ogarnęła go fala pełnego napięcia oczekiwania.

- No, sieciogłowcy, mówcie!

Sirikit odwróciła głowę od ekranu i uśmiechnęła się do Buda. Rozległ się brzęczyk i obydwójce drgnęli, choć się go spodziewali.

- Tu Auer - oznajmił monotony głos i na jednym z ekranów pojawiła się twarz jasnowidza. - Naprawdę paskudny incydent. Panika, wrzaski, tłumy, stratowane dzieciaki; normalka. Czemu nie złapiecie tego Pontisa i nie wyślecie go w kosmos, do doków? Już mi dojadło chronienie tego sukinsyna.

- Widziałeś Szarlatana we własnej osobie, Auer? - zapytała Sirikit.

Na znak Budwortha przeszła do rutynowych, pytań. Należała do najbieglejszych w tej dziedzinie, zaś Auer zawsze dobrze z nią współdziałał. Bud zajął się rozpracowywaniem planowanych zgromadzeń. Do liniowca G należałoby skierować więcej porządkowych.

- Rzuca się w oczy. - Auer wzruszył ramionami z udaną obojętnością. - Rozpala wszystkich do białego. A potem ucieka. Jak zwykle. Nigdy nie zostaje, żeby uspokoić wzburzenie, które sam wywołał.

- Gdzie? - spytała Sirikit.

- Typowa sala zgromadzeń kompleksu mieszkalnego. Sceneria charakterystyczna dla Pontisa. Nic niezwykłego... chociaż... - Auer przerwał i zmarszczył brwi. - ...Chociaż... to dziwne!

- Co jest dziwne, Auer?

- To dotyczy chudej dziewczuszki... - Spojrzał na nich błędnymi oczami.

- Tak?

- Czuję... grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo. I to się dziś nie skończy. Ona jest Talentem! - powiedział ze zdumieniem Auer, a potem przesunął dłonią przed oczami. - Zniknęło już. Zniknęło.

I ekran ściemniał.

Pojaśniał następny.

- NIE powinniście dawać temu typowi pozwolenia! - Bertha Zoccola pałała oburzeniem. - Tyle razy go przyłapaliście na machlojkach! Ci ludzie mają za mało pieniędzy, żeby je wydawać na mistyczne terapie i cudowne uzdrowienia. Ten Pontis pluje najpaskudniejszą panteistyczną papką. I to w rozpaczliwie mętym stylu!

- Co widziałaś, Bertho? - spytał Bud pulchną kobietkę, która wciąż traktowała jak największy skarb zużytą talię kart do tarota, bo kiedyś pomogły jej prababce uzyskać znaczny rozgłos.

- Ciągłe ci powtarzam, że ten facet oznacza kłopoty. - Podwójny podbródek Berthy drżał, oczy miała niespokojne. - Guzik mnie obchodzi, że po jego występie wzrasta wskaźnik zadowolenia w liniowcu. Czemu my, Talenty, mamy chronić takiego szarlatana, oszusta, faryzeusza, kanciarza, mistyfikatora! Skończony z niego łobuz!

- Przecież wcale go nie ochramiamy! Bertho, co widziałaś?

- Mniej więcej w połowie tej jego bełkotliwej paplaniny... nigdy nie wiesz, co on właściwie mówi w tym swoim ohydny żargonie... po lewej stronie estrady widać jakieś zamieszanie... - Bertha machnęła lewym ramieniem, bransoletki hałaśliwie zagrzechotały. - ...A może po

jego prawej? - Uniosła drugą rękę, ukazując obładowane pierścieniami palce. - Jakieś zamieszanie. Chodzi o sporą grupę kobiet. - Znów machnęła dłonią, zmarszczyła brwi. - I wybucha mętlik! Imię! Wykrzykują jakieś imię! Nie słyszę jakie! Och, nawet święty by się wściekł! Najważniejszy detal! A sądziłam, że tak wyraźnie je słyszę... - przerwała, zacisnęła z wysiłku wargi, a potem powoli potrząsnęła głową i westchnęła. - Nie; to już zniknęło. Przykro mi.

- Dzięki, Bertho, kochanie. Uzupełniłaś parę szczegółów.

- Kto jeszcze to widział? - Zoccola jak zawsze chciała się tego dowiedzieć.

- Auer.

- Hmm? - mruknęła z niedowierzaniem. - I czego się dowiedzieliście? Szukaj dalej, Buddy.

- A pewnie. - Budworth połączył się z biurem Roznina, zaraz gdy jej ekran ściemniał. - Mamy incydent, Sasza.

- Do tego kaznodziei przypisany jest tylko jeden porządkowy - szepnęła do Budwortha Sirikit. - Mieszkamy liniowiec G jest zakwalifikowany jako cichy i spokojny, niebieski.

- No to trzeba mu zmienić kolor, dopóki nie zdołamy tego rozładować. Sasza, coś ma się wydarzyć tego wieczora na spotkaniu z Pontisem w liniowcu G.

- W liniowcu G? - Duże, niebieskie oczy osadzone w słowiańskiej twarzy Saszy rozszerzyły się w zdumieniu. - Nic tam nie planowaliśmy - mruknął do siebie, a do Buda: - Kto to widział?

- Bertha i Auer.

- Co takiego? - Roznin uniósł brwi. - To ci nowina. Zgłoszę się do ciebie później, Buddy. Najpierw muszę się zająć zorganizowaniem penetracji. Rhyssa, nasza szanowna pani dyrektor, poinformowała mnie właśnie, że ona i Peter tak się zagłębili w techniki gestaltu, iż nie mogą teraz tego zostawić, więc tamta sprawa spada na mnie.

Budworth uśmiechnął się i poskrobał po podbródku, ekran z Sasza ściemniał. Miał nadzieję, że będą tam wtyczki. A jeśli maczał w tym palce brat Saszy z OPP, Borys, to pewno będą. Bud lubił uczestniczyć w takich nieoczekiwanych widowiskach. Nigdy nie wiedział, co się wydarzy w trakcie incydentu. W najgłębszym zakątku swego umysłu - jedyne w całym Centrum dyskretne miejsce - uczciwie przyznawał, że przed wypadkiem wcale nie był odważny. Teraz jednak uważał, że to zapierające dech oczekiwanie i ekscytacja są przyjemne dla kogoś, kto jest przykuty do inwalidzkiego wózka.

Sirikit przygotowywała dokumentację dotyczącą incydentu. Choć Talenty obdarzano obecnie ogromnym zaufaniem, a do skrupulatnie prowadzonych codziennych zapisków wgląd miały jedynie organizacje badawcze, to skrupulatnie przestrzegano procedur ustanowionych przez pierwszego administratora Centrum Parapsychologicznego, Henry'ego Darrowa. Nie znano całego zakresu Talentu, zaś pewne jego aspekty nie były w pełni rozwinięte: przykładem - zdolności młodego Petera Reidingera do wykorzystywania energii elektrycznej.

Tirla wolała się nie spóźnić na zgromadzenie; nie chciała jednak zjawić się zbyt wcześnie, żeby uniknąć dodatkowych próśb o usługi. Mogła tłumaczyć tylko dla takiej to a takiej liczby osób jednocześnie - bez względu na to, jaką zapłatę oferowano - zwłaszcza że miała do załatwienia jeszcze inne, i to pilniejsze sprawy. ONE powinny być załatwione przede wszystkim. Postanowiła się zjawić o takiej porze, żeby mieć dość czasu na wypatrzenie najlepszych sprzedawców i zamaskowanych ludzi z OPP i UZP. Wciąż nie dawało jej spokoju niespodziewane pojawienie się tego kaznodziei.

Chyba że... Tirli przyszło do głowy, że w tłumie mogą być ukryci przedstawiciele fiskusa sprawdzający kupców. Że „pranie” było powodem tego wszystkiego. Kapusiów łatwo wypatrzyć. Zawsze tak... starannie... starali się wtopić w tłum.

Dziewczynka dostała się do hali spotkań przez jedno z bocznych, północno-zachodnich wejść; z kobietami była umówiona przy głównej, południowo-wschodniej bramie. Ktoś już zdążył odłączyć „oko” odczytujące ID i liczące wchodzących, więc nie musiała tego robić. Pomniejsi kupcy rozstawili stragany i rozłożyli towar: głównie błyskotki i syntetyczne ciuchy, coś, co łatwo przewozić. Stały tu i poduszkowce wprowadzone przez szersze wejścia - czyli zapowiadał się prawdziwy handel. Wielcy kupcy nie narażaliby na niebezpieczeństwo ani siebie, ani swojego towaru.

Dziewczynka zapamiętywała ceny i przeciskała się przez gęstniejący tłum. Miała nadzieję, że natrafi na jakieś nowości, hmmm, czyli coś, co dopiero niedawno zostało święnięte z podziemnych

składów zaopatrujących rynki Jerhattanu. Za dzisiejszy zarobek zafundowałyby sobie paprykę, marchewkę lub jabłko. Coś, co by mogła schrupać, coś innego niż codzienna papka i chleb wzbogacony proteinami. Chciałyby też zdobyć kawałek prawdziwej gumy do żucia - żeby jej nie zaschło w ustach, kiedy zaczną tłumaczyć. Tłumaczenie dla całej grupy zawsze tak wysuszało Tirli usta, że nie mogła wykrztusić słowa. Ledwo rzuciła okiem na krzątanicę na podwyższeniu: drapowano kotary, instalowano aparaturę nagłaśniającą i oświetleniową, krzyżowały się sprzeczne polecenia. Na dziewczynce opakowanie nigdy nie robiło najmniejszego wrażenia - interesowała ją wyłącznie jakość tego, co zawierało. Gumę znalazła u Feltera i przy okazji „wyprała” mały nominal.

Tirla właśnie się rozkoszowała miętowym smakiem gumy, kiedy kątem oka dostrzegła aż nazbyt znajomą sylwetkę, odzianą w kompletnie obcy syntetyczny ciuch. Był tu Yassim?? Schowała się za potężnego mężczyznę w poplamionym stroju. Wyrzucił w górę oba ramiona i machał do kogoś na podwyższeniu. Tirla omal nie połknęła gumy, kiedy owiała ją woń faceta, ale przynajmniej zyskała dobrą osłonę.

Cóż on tutaj robił? zastanawiała się. Nie miał do niej zaufania? „Osłona” opuściła jedno ramię i zrobiła z dłoni tubę, żeby wrzasnąć jakąś poradę, więc Tirla zaryzykowała kolejne zerknięcie.

Tak, to był on. Niewątpliwie. Uczynił coś ze swoją twarzą, zmienił jej kształt - chyba za pomocą tamponów wypychających policzki i dolną wargę - lecz nie zdołał, nie mógł odmienić długiego,

cienkiego, haczykowatego nosa i wydatnego czoła. Ani sposobu poruszania się - szedł, jakby to miejsce doń należało, dumnie jak paw, powiewając szeroką szatą wierzchnią, którą nie za często prano w trakcie jej długiego żywota. Nakrycie głowy też było zużyte, wymięte i poplamione. Chlubne próby wtopienia się w tłum; szósty zmysł Tirli znów ją ostrzegł. Był tam: szedł sobie wolniutko, oglądał błyskotki, zatrzymywał się, żeby o coś zapytać takiego czy innego kupca; robił wrażenie, jakby przechodził od jednej grupy przyjaciół do następnej. Tirła natychmiast się zorientowała, że owe grupki składały się z obwiesi: bojówkarzy i zawodowych zabójców Yassima. Dyskretnie i dobrze strzeżony - ale co ON tu robił?

Wonna zasłona dziewczynki przesunęła się, a ona wraz z nią. Mężczyzna zatrzymał się i wywrzaskiwał instrukcje, Tirła stała za nim. I zobaczyła, jak ON rozmawia z Lewantynkami, które miały przy sobie dzieci. Natychmiast się domyśliła, po co ON tu przyszedł. Za nic by się nie chciała znaleźć w JEGO pobliżu, kiedy zajmował się kupowaniem dzieci. Usiłowała wbić sobie w pamięć, których ludzi z JEGO obstawy znała. Musiał być wśród nich choć jeden na tyle godny zaufania, by mogła mu wręczyć „wolniaki” uzyskane z wymiany brudnej forsy.

Włączono muzykę, światła w sali zgromadzeń zaczęły się łagodnie zmieniać, obwieszczając początek nabożnego kazania. Tirła zanurkowała za najbliższy stragan i podążyła w kierunku południowo-wschodniej bramy.

Wyglądało na to, że podniecona Mirda Khan ma oczy z tyłu ozdobionej lusterkiem fryzury, bo odwróciła się, jak tylko Tirła się

zbliżyła; twarz miała ostrą, drapieżną. Wbiła boleśnie szpony w ramię dziewczynki i przyciągnęła ją do siebie.

- Gdzie byłaś? Gdzie byłaś? - Potrząsała Tirla, w jej oczach płonął gniew.

Stara kobieta zionęła na dziewczynkę nieświeżym oddechem i kropelkami śliny, więc mała cofnęła się najdalej, jak mogła. Pozostałe niewiasty, które zleciły jej tłumaczenie słów kaznodziei, utworzyły wokół niej krąg. Tirla nie protestowała, bo osłaniały ją przed JEGO wzrokiem.

- Wyceniałam towar - odparła hardo Mirdzie.

Bilala i Pilau próbowały zająć Mirdę z boku i przeciągnąć dziewczynkę do swojego sektora. Mirda Khan przycisnęła mocno Tirlę do swej kościstej postaci, zaś Mama Bobczik capnęła wolne ramię małej, blokując dziewczynkę pomiędzy dwiema potężnymi kobietami.

- ON jest tutaj - poinformowała Tirla Mirdę.

Wiła się, chcąc w ten sposób choć trochę rozluźnić niemiły, krzepki chwyt; powtarzała to zdanko, aż wszystkie zrozumiały.

- ON?! - Mirda wyciągnęła szyję i wyprostowała się, łypiąc ponad głowami pozostałych; prychnęła. - Prędzej Yassim będzie się smażył w piekle, niż mu sprzedam następne dziecko. - Jej palce wpiły się konwulsyjnie w ramię Tirli. - Trzymaj się z dala od niego. Słyszysz, co mówię?

Mała potaknęła z zapalem. Skoro Mirda знаła Yassima, to może uda się ją omotać i przekazać „pranie”? Nie mając przy tym stuprocentowej pewności, że wszystko do NIEGO dotrze.

- Daje dobrą cenę - miauknęła Elpidia.

Elpidia miała dziewczuszkę akurat w „sprzedażnym” wieku. Była narkomanką i na zaspokojenie owego nałogu szły pieniądze uzyskane ze sprzedaży corocznych owoców jej łona. Zastanawiała się teraz, czyby nie wrócić do domu i nie przynieść MU dzieciaka.

- Nie sprzedalabym takiemu jak on! - Czarne oczy Mirdy błysnęły pogardliwie. - Bez względu na cenę. To już lepiej sprzedać Stacji.

- Co ona powiedziała? - spytała Tirlę Elpidia, bo Mirda Khan odezwała się w swoim języku.

- Wynajęłyście mnie do tłumaczenia słów kaznodziei. - Wzruszyła ramionami dziewczynka. - A nie do łagodzenia kłótni pomiędzy wami. Poza tym lepiej jej nie irytować.

Elpidia groźnie łypnęła na Mirde, która okręciła Tirlę, niemal wyrywając jej ramię z łapy Mamy Bobczik.

- Chodź - poleciała Khan.

Ruszyła naprzód, torując drogę przez wciąż jeszcze niezbyt gęsty tłum; zatęchłe fałdy jej „najlepszej” szaty ocierały się o twarz dziewczynki. Kobieta zatrzymała się tuż przed podwyższeniem - tu już nikt nie wpakuje się przed nie i nie będzie im zasłaniał. Zamierzała wypchnąć Tirlę przed siebie, kiedy ta uwolniła się z jej łap.

- Muszę go widzieć. Stanę tam, skąd go będę widzieć i skąd wszystkie będziecie mnie słyszeć - powtarzała to zdanie, dopóki kobiety nie zrozumiały.

Tirla, otoczona kręgiem swoich klientek, czuła się zabezpieczona przed NIM. Zaczynała się uspokajać, a nawet cieszyć muzyką, pomimo

pisikliwych zakłóceń w tle wieloetnicznego repertuaru, jaki grano. Gdzież byli ci ŻYWI wykonawcy? Zapowiadano to jako specjalne wydarzenie! Tirla zauważyła jakieś poruszenie na podwyższeniu, draperie falowały, dostrzegła za nimi gotowych do wyjścia ludzi. Aaa, więc będzie chór. Ogromnie lubiła śpiew „na żywo”.

Po swojej prawej stronie Tirla dojrzała kątem oka jakiegoś wielkiego faceta, przechadzającego się ze zbyt ostentacyjną obojętnością. Wyczuła, jak przenikliwie taksuje jej towarzyszkę spod swojej wymiętoszonej czapki z daszkiem i cichcem przytuliła się do Mamy Bobczik. Natychmiast coś ukoilo jej umysł i sprawiło, że ostre, pisikliwe głosy kobiet opadły do znośniejszego tonu. Nie miała pojęcia, o co tu szło.

Facet nie był z fiskusa. Dziewczynka śledziła jego manewry, zorientowała się, że coś go łączy z dwiema kobietami, które udawały, że go w ogóle nie znają; śmiały się, paplały, przepychając się poprzez tłumek, żeby zająć dobre miejsce w pobliżu podwyższenia. Tirla przyjrzała się im podejrzliwie: niedbale umalowane twarze; jedna z kobiet najwyraźniej ciężarna, choć ubrana w strój prostytutki. Nie znała ich; zaczynała się właśnie zastanawiać, czy to naprawdę fiskus lub UZP zorganizował to zebranie, kiedy trzecia niewiasta, świetnie Tirli znana, podeszła do tamtych; przywitała się z nimi wylewnie i została na ploteczki. Dziewczynka odczytała z ich ust zwykłe, banalne komentarze i uspokoiła się. To JEGO widok tak ją zdenerwował. Co się stało z jego towarem? Rzadko było z nim aż tak cienko, żeby ryzykował jawne interesy. Nie miała u niego aż takiego długu, żeby

przyszedł tu za nią. Nawet zbytnio nie przeciągnęła „prania” kredytów. Dotknęła kieszonek, w których je ukryła (pod zwykłym strojem miała przemysłną kamizelkę) i upewniła się, że wszystkie były na miejscu.

Zabrzmiały fanfary i ucichła nerwowa paplanina, zapanowała pełne napięcia oczekiwanie. Niezła przygrywka, pomyślała Tirla; pragnęła, by ją porwało dobre widowisko.

Potem nieśmiało wyszedł chór i ustawił się - z pewnymi przepychankami - trochę w bok od centrum podwyższenia. Tirla była dość blisko, by dostrzec, że ich kostiumy nie były ani czyste, ani nowe. Nie każdy z nich potrafił dostroić swój głos do nagranej melodii. Dziewczynka знаła piosenkę, którą wykonywali - stary, dobry kawałek; niewybaczalne, że tak źle śpiewali. Musiała ją przetłumaczyć tylko Cyoto i Ari; pozostałe nuciły do wtóru, każda w swoim języku. Tirla pomyślała, że wykonanie byłoby o wiele lepsze, gdyby to UZP organizowało owo zgromadzenie.

Potem wyszedł mistrz ceremonii, fałszywie promienny i ożywiony, i wygłosił mowę, nawijając o naukach i zasługach wielebnego kaznodziei Pontisa Prosita. Powtarzał tę całą gadkę o mistycznym szkoleniu w Azji, która przedtem szła w wiadomościach, więc Tirla zaczęła tłumaczyć dopiero wtedy, kiedy Bilala jej syknęła, żeby wreszcie zarabiała na zapłatę.

Jeszcze jedna rozgrzewająca pieśń, z tych, co to przechodzą od jednej muzycznej formy do drugiej, nie dbając o toniczną czy rytm. Śpiewacy, przewrotnie, wykonali ten utwór znakomicie. Tirla wypatrzyła sześciu, którzy myśleli o czymś zupełnie innym niż śpiew.

To pewno cud uczyniony przez owego kaznodzieję sprawił, że w ogóle mogli śpiewać.

I znów nagrane fanfary i werble, które podziały nawet na cyniczną Tirlę. Bębny bywają tak ekscytujące! Szczęk czyneli - niektórzy śpiewacy ukrywali je w szatach - oślepiające migotanie świateł i wąskich wiązek promieni, ogłuszające crescendo trąbek i wonne dymy - i oto ukazał się przewielebny, świątobliwy kaznodzieja, odziany w iskrzące się szaty.

„Magiczne” pojawienie się kaznodziei wywarło spore wrażenie na jej klientkach, lecz Tirla dostrzegła kwadratowy otwór w podłodze - stąd poprzez kłęb najgęstszego dymu wystrzelił Pontis i zawisł na swojej kolumnie ponad podwyższeniem i ponad przerażonymi widzami. Wolałaby coś bardziej dramatycznego; już tyle razy widziała takie wejścia, że przestały na niej robić wrażenie. Najwyraźniej stanowiła mniejszość. Nawet Mirda udawała, że się przestraszyła i osłaniała twarz rąbkiem chusty.

Kaznodzieja natychmiast zaczął perorę; twarz uniósł ku górze, więc dziewczynka widziała jedynie ciemne nozdrza i drgającą brodę. Blask świateł oślepił, muzyka z taśmy wspierała jego bełkot: bo to był bełkot, sylaby pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, bezładnie przemieszane ze słowami ze wszystkich języków, jakie Tirla słyszała w liniowcu.

- Co mówi święty mąż? - spytała Mirda.

- Powiedz mi, co on gada? - Mama Bobczik przyciągnęła dziewczynkę do siebie.

Bilala i Pilau też chciały wiedzieć; jedna kopnęła Tirlę w goleń, a druga nastąpiła jej na palce.

- Nic! - odparła zdeglustowana dziewczynka. - Nic nie mówi!

Popychano ją, ciągnięto i szarpano.

- Przecież coś mówi.

- Mówi mistycznie.

- Powiedz nam, co mówi.

- O, sama zrozumiałam to słowo! Nic ci nie zapłacę, suko.

Ta groźba rozeźliła Tirlę. Była też wściekła na kaznodzieję. Przetłumaczy, jeżeli on powie coś, co się nada do tłumaczenia. Szczypały ją, potrząsały i biły. Żeby się obronić, zaczęła naśladować kaznodzieję i szeptem wyrzucała z siebie nonsensowny bełkot, tłumacząc zdarzające się tu i tam prawdziwe słowa na tyle języków, na ile musiała, i znów wracała do bełkotu. Kaznodzieja umilkł, szeroko rozpostarł ramiona; pełen szczęścia uśmiech jaśniał w strumieniu światła, które tak oświetlało Pontisa, że wyglądał jak zawieszony w powietrzu ponad estradą. I wtedy Tirla się zorientowała, że patrzy w jej stronę.

Pochylił się - oczy mu płonęły, twarz miał wykrzywioną - i oskarżycielskim gestem, który przeraził tak dziewczynkę jak i jej klientki, wskazał na nią.

- Niewierni profanujący paplaniną święte chwile. Słuchajcie, uczcie się, bądźcie posłuszni, żałujcie za złe postęпки. Niech was oświeci światło świata. Zstąpcie do świętego grobowca. Stopcie się w jedno z ludzkością i wszystkimi kochającymi, zaangażowanymi

istotami. Oczyszćcie się. Dostąpcie zbawienia! ŻYJCIE! -
Oskarżycielsko uniesiona ręka opadła, skąpana w promieniu światła.

Tirla w trakcie tej dramatycznej pauzy tłumaczyła najszybciej, jak mogła, wdzięczna za parę trzymających się kupy zdań. Kobiety słuchały, co mówiła, i wpatrywały się w Pontisa. Przyciągnął uwagę tłum. Dziewczynka nie sądziła, żeby ją mógł wypatrzeć ktoś spoza kręgu; nie ośmieliła się przerwać tłumaczenia. Najbardziej było jej żal smaku zielonej papryki, którą sobie zamierzała kupić za zapłatę od kobiet.

Lama-szaman przyjął następną dramatyczną pozę; tym razem wyciągnął ramiona w błagalnym geście.

- Przeprowadźcie mi waszych chorych, waszych słabowitych, wasze zbłąkane duszyczki. Pozwólcie, bym ich uleczył. Dotyk przyniesie ulgę znękanemu umysłowi, trawionemu gorączką ciała, powykręcany członkom, ociemniałym oczom. Zbliżcie się! Nie obawiajcie się! Ludziom przytrafia się to, na co zasługują. Każdy zasługuje na miłość. Bo to właśnie miłość, miłość, miłość uzdrawia!

Tirla łatwo dała sobie radę z tą przemową; zerkała spoza osłaniających ją ciał, próbując wypatrzeć, kto będzie odgrywał kaleki. Barney ze swoimi jaszczurczymi powiekami: jedno mrugnięcie i miał białe, niewidzące oczy, następne - i znów „widział wyraźnie, alleluja!” Może i Mahmoud, którego podwójne stawy były powykręcane - jedno dotknięcie lamy-szamana i wszystko gra. Maria z sączącymi wrzodami?

Pontis odrzucił głowę w tył; dłonie lśniły złościście w wąskich snopach światła (na pewno używał jakiejś farby). Klientki Tirli westchnęły lękliwie na ten widok; jak urzeczone śledziły mistyczne gesty owych magicznych rąk. Z palców lamy spływały iskrzące się smugi i okruchy, niknące w krótkich rozbłyskach, kiedy się wydostały poza snopy światła. Jakaś nowa sztuczka, pomyślała dziewczynka. Całkiem niezła. Pilau próbowała złapać takie pasemko, ale zniknęło bez śladu i nic nie zostało w jej brudnych paluchach.

I wtedy z estrady wystrzeliła mocniejsza smużka i dotknęła głowy oszołomionego mężczyzny. Był już trochę mniej oszołomiony, kiedy - przy wtórze gromkiej fanfary - Pontis zaczął go przyzywać.

- Zostałeś wybrany, bracie. Pójdź ku mnie! Uściśnij mnie!

Z podwyższenia wysunęła się rampa, wprost ku „wybranemu”, który patrzył na to z lękiem; stojący za nim wepchnęli go na rampę, stojący wzdłuż niej przeciągnęli go ku estradzie.

- Uklęknij, bracie - zaintonował lama-szaman i spłynął w dół.

Tirla ani na chwilę nie przerywała tłumaczenia; czuła lekkie vibracje mechanizmu, ściągającego Pontisa w dół. Bombowa sztuczka. Jak tym sterowali? Frajer pojawił się na podwyższeniu, potężnie zdumiony tym, że został „wybrany”. Ukląkł posłusznie, oczy miał błędne.

- RALLAMADAMOTHURIASTICALLIG
OMAH-NOZIMITHIOAPODOCIAMOT
URIALISTASHADIO-ALISYMQUEPODIAL -
OMATHURTODISPASIONATUSI MPER ADOM

USIGENALLISZWEIGENPOLA-STONUCHEYALISKYRIELISON
ANDIA. MO S

PIRI-ALISTUSQUANDORUULABETODOMOARIGATO-IM
USTENDIATIONA LLAM EGRACHIATUS... - zaintonował
wielebny świątobliwy, trzymając dłonie nad głową faceta.

Znów sylaby i niby-słowa, których Tirla nie zdołała naśladować.
Doceniała i podziwiała wspaniałą łatwość, z jaką wielebny kontrolował
oddech. Zdawało się, że może tak nadawać w nieskończoność!

- Co on mówi? - uszczypnęła ją dotkliwie Mirda.

- Jak mogę usłyszeć, skoro gadasz? - odcięła się dziewczynka i
ułożyła stosowne zdania, które zaraz przełożyła. - Oooo!

Z głową „wybranego” działy się dziwaczne rzeczy. Jak
lama-szaman tego dokonał, skoro miał tak ciasno zapięte mankiety?
zastanawiała się Tirla. Włosy, twarz i szyja faceta lśniły złotem (aż do
bardzo brudnego kołnierzyka). Minę najpierw miał śmieszny, potem
wniebowzięty. Dziewczynka ciekawa była, czego też używał ten
świętobliwy kaznodzieja. Zaczynało ją to bawić.

Wielebny odwrócił się powoli ku publiczności, oczy połyskiwały
biało w złocistej twarzy.

- Moc jest we mnie. Kogo jeszcze wybierze?

Uniósł ramiona, otworzył dłonie; dał ludziom czas, żeby się
przyjrżeli, jaki wpływ miała moc na pierwszego „wybranego”.
Poruszył dłońmi i z palców strzeliły promienie, rozbiegając się we
wszystkie strony. Zanim Tirla zdążyła się uchylić, jeden z nich dotknął
jej głowy. Cokolwiek to było, trzymało się mocno włosów, choć

próbowała to oderwać. Ręce też się do tego przykleiły, nie mogła ich uwolnić. Tirla zaczęła się bać. Nie dla niej publiczne występy. Zwłaszcza wtedy, kiedy ON tu był. I z brudnym szmałem ukrytym w ubraniu - w żadnym przypadku nie miała prawa mieć tej forsy.

Chór zaczął wyśpiewywać, żeby wybrani zbliżyli się i przyjęli moc. Zebrani podchwycili pieśń i brzmiał w niej teraz złowieszczy ton zawiści tych, którzy się czuli godniejsi tego zaszczytu.

- Została wybrana! - darły się Bilala i Pilau, próbując popchnąć Tirlę ku najbliższej rampie; zaczęły tak zawodzić, że dziewczynka wpadła w panikę.

- O nie. Ona musi zostać. Musi nam tłumaczyć. - Mama Bobczik i Mirda Khan nie dały się oszukać; szarpnęły Tirlę z powrotem.

- Cyoto, rozerwij to! Pomóż mi, Lao Wang. Elpidia! Zawieta! - Dziewczynka szamotała się na serio, zlodowaciała z przerażenia.

Pozostali „wybrani” szli ku podwyższeniu. Promień się napiął, naciągnął włosy Tirli. Skręciła się. I nagle była wolna. Padając na krzepką Mamę Bobczik, dostrzegła błysk noża. Zawieta i Mirda zwarły się z wrzeszczącymi Bilala i Pilau, które próbowały odbić dziewczynkę.

Tirla - jak zawsze w takich sytuacjach - padła na podłogę i dała nura w bok, potracając kogoś, kto przygniótł mocno jej lewą stopę. Pełzła dalej, nie zwracając uwagi na ból; szłochała. Wydostała się poza krąg swoich klientek i wstała, przedzierała się przez chór. Ktoś dostrzegł dyndające złociste pasmo i je złapał, o mało nie upadła. Żeby się uwolnić, wyrwała sklejony kosmyk włosów,

- Łapcie ją! - Przerwano śpiew, żeby wykrzyczeć to polecenie.

Tirla wymknęła się wyciągniętym ku niej chciwie dłoniom, zapamiętale dążyła do korytarza i do najbliższego awaryjnego wyjścia.

- Mam ją! - Otoczyły ją krzepkie ramiona.

Uniosła ręce i osunęła się w dół, ktoś ją kopnął w brzuch, zabrakło jej tchu, ale odturlała się, wystarczająco przyzwyczajona do takich nieczystych sposobów, żeby włączył się instynkt samozachowawczy. Mignął jej jeden z JEGO zbirów, z twarzą wykrzywioną triumfalnym grymasem; dotarła pod przeciwległą ścianę i nagle zasłoniła ją para obciążonych spodniami nóg.

Przyjazne dłonie pomogły Tirli wstać; wyczuła kojącą aurę wsparcia, zrozumienia i współczucia. Obolałe palce dziewczynki dotknęły futryny drzwi. Bezpieczeństwo było tuż tuż; wymknęła się dłoniom, wyśliznęła przez drzwi i pognęła westybulem, ignorując prośby, żeby się zatrzymała. Z tyłu wzniósł się niesamowity, wielogłosowy ryk, pełen gniewu i zawodu; dodało to Tirli skrzydeł. Pędziła bocznym przejściem, kiedy z góry dobiegł ją znajomy dźwięk.

OPP! Byli w pobliżu? Przywołano ich? Zanim się zbiorą, upłynie trochę czasu. Tirla odszukała mały, czworokątny kanał, zdjęła pokrywę, wpełzła do środka i - z niejaką trudnością, bo było tu ciasno - zatrzasnęła za sobą klapę. Skuliła się w śmieciach i nieczystościach, uchylając twarz od światła; oddychała ciężko, serce powoli się uspokajało.

Słyszała tupot biegnących ludzi, ich krzyki, kiedy dotarli do ślepej ściany; słyszała, jak zawrócili i szli obok jej kryjówki. Tirla - pomimo tego całego hałasu - zasnęła.

- RHYSSA! - zatrwożonemu głosowi oficera dyżurnego towarzyszył impuls w jej siateczce, który natychmiast ją obudził.

- Tak?

- Wizja wielkiej katastrofy - poinformował Budworth. - Zanotowana w całej Azji. Wygląda na to, że Kayankira będzie miała kolejne monsunowe powodzie. Nie naprawiono tam po tych ostatnich. Jak sobie z tym poradzimy, skoro wszyscy „mocni” kinetycy są na Stacji?

- Mamy czas na to, żeby jakichś tu ściągnąć?

- I tu jest pies pogrzebany! Czasu mamy dość, ale na całym świecie panują nie sprzyjające warunki pogodowe. Nawet jeśli Druga wystrzelił prom, to najbliższe dostępne lądowisko jest w Woomera. Kinetycy powinni być na miejscu zagrożenia, żeby skutecznie działać.

W umyśle Rhyssy zapłonęły słowa, których Bud nie powiedział: „jeżeli Barczenka pozwoli im opuścić Stację”.

- Obudź Saszę, Buddy, dobrze?

- *Już to zrobił. Bierzesz pod uwagę Petera?* - spytał Sasza.

W jego myślach wyczuwało się i chęć wypróbowania takiego rozwiązania, i świadomość związanych z tym niebezpieczeństw.

Rhyssa: *W takiej sytuacji jak ta muszę brać pod uwagę wyjątkowe zdolności Petera.*

Sasza: *Ale jak to zrobić bez narażania bezpieczeństwa chłopca?*

Obydwoje zasłonili umysły, bo wyczuli obce myśli.

Kayankira: *Rhyssa, muszę dostać wszystkich kinetyków, którzy ci zostali. Rozumiem, że nie ma żadnej szansy, żeby ściągnąć jakichś z Drugiej?*

Rhyssa: *Też tak myślę.*

Wsiewołod Giebrowski: *Nie ustąpię! Zwrócę się z tym do Światowego Zgromadzenia! Biadali nad sytuacją w Indiach. Niech przekują słowa w czyny. Zmniejszenie gęstości zaludnienia w tym rejonie Bangladeszu doprowadziło jednocześnie do spadku wydajności siły roboczej, przez co nie wykonano na czas niezbędnych robót. Teraz za to płacimy.*

Miklos Horvath: *Nie, jeśli ściągniemy z Drugiej kinetyków, żeby pomogli. Kineza ułatwi usuwanie szkód!*

Rhyssa: *Jeżeli namówimy pogodę, żeby nam sprzyjała!*

Bessie Dundall z Canberry: *Wszyscy jasnowidze twierdzą, że takich powodzi w Bangladeszu jeszcze nie było. Groble nie zostały naprawione, więc wody zaleją tegoroczne plony; coś mi się zdaje, że przy budowie zapór raz jeszcze dały o sobie znać korupcja i przekupstwo. Musimy coś zrobić!*

Alparacin: *Rhyssa, a co z tą twoją ekipą, o której słyszałem?*

Rhyssa: *Drogi przyjacielu, oni są zbyt mało wyszkoleni jak na taką katastrofę. Wypaliliby się.*

Peter: *Wcale nie.*

Sasza, Rhyssa, Dorotea: *CICHO!*

Peter: *Ja tylko do was.*

Rhyssa wstrzymała oddech, ale żaden Talent nie zapytał o nieznany „głos”.

Rhyssa: *Wschodnie Centrum robi, co się da, to oczywiste. Czy możemy dostać kopie wizji? Zapewniam was jednak, że nawet wysoko wykwalifikowani kinetycy mieliby kłopoty z zaradzeniem takiej katastrofie, a ja mam do dyspozycji jedynie garstkę czternastoletnich kursantów.*

Madlyn: *Tu Madlyn...*

Sasza: *Złotko, ty akurat wcale nie musisz się przedstawiać. Co podłyszałaś? **Przesłał Rhyssie wizję Madlyn Luvaro: wychylona ze śluzy krzyczała coś przez tubę z dłoni ku skrzywionej Ziemi.***

Madlyn: *Lance dostał meldunek o wizjach i spierał się z Barczenką. Ona stanowczo odmawia ryzykowania całości promu i pilota. Sami wiecie, jaka beznadziejna jest pogoda. Widzę to jak na dłoni: mnóstwo burz, i to nie tylko nad indyjskim subkontynentem. Lance mówi, że musi być na Ziemi jakieś miejsce, w którym by mogli wylądować i że powinni pomóc. Zarzuca jej łamanie uzgodnień. Ona odpowiada, że to zbyt niebezpieczne, aby narażać aż tyle Talentów; udaje tę dobrą, co to chroni cię przed twoim własnym altruizmem. Ha! I żaden pilot by nie zaryzykował nurka w ten wrzący kocioł. Chwileczkę! Lance mówi... - i „głos” Madlyn czytał teraz z pamięci - ...że trzeba spróbować. I że wy zrozumiecie, o co mu chodzi. Pojmuje, że to niebezpieczne, ale właśnie nadszedł czas na wypróbowanie tego. Załapaliście, o co mu idzie? - Madlyn była skołowana.*

Sasza: *Pięknie to wszystko przekazałaś, Madlyn. Chwytam.*

Madlyn: *Lance twierdzi, że wizja zapowiada jeszcze potworniejsze szkody niż ostatnim razem, więc Talenty muszą dać kinetyczne wsparcie. Zmusił pilota, żeby poleciał, lecz ten biedaczek boi się lądować. Lance go zapewnia, że wszyscy kinetycy na pokładzie umożliwią bezpieczne lądowanie. Czy Lance zapadł na kosmicznego fiola? W porządku, już im przekazuję. Mówi, że on sam i grupa kinetyków zdolnych zaradzić nieszczęściu będą na pokładzie promu ERASMUS, w hangarze G o 08:00. W przestrzeni sobie poradzą, ale potrzebują wsparcia przy lądowaniu. Nic z tego nie rozumiem, lecz właśnie to miałam wam przekazać.*

Sasza wpadł do pokoju Rhyssy. Zdążył tylko wdziać spodnie, koszulę trzymał w ręce. Ma naprawdę wspaniałe ciało, pomyślała Rhyssa w prywatnym zakątku swojego umysłu. Dlaczego nie łączy nas owa tajemna chemia? Mielibyśmy cudowne dzieci. Był nadzwyczaj rozeźlony.

- Lance ma chyba źle w głowie, skoro sądzi, że Peter poradzi sobie z posadzeniem promu w Dakce przy takiej pogodzie. Przenoszenie palet do składu to zupełnie inna para kaloszy niż sprowadzenie promu pełnego żywych ludzi; przecież nie możemy ich rozsmarować na smaganym zawieruchą pasie lądowiska.

Rhyssa przekazała Szaszy telepatycznie niegdysiejszą rozmowę z Lance'em o możliwościach Petera i sytuacji podobnej do tej.

- Wtedy tylko żartował - rzekła ponuro. - Całkiem uzasadniona ekstrapolacja.

- Nie możemy ryzykować - odpowiedział, chodząc tam i z powrotem po pokoju; Rhyssa wyplątała się spod koca i zaczęła się ubierać. - Gładkie rozwiązanie niedoboru kinetyków.

Rhyssa, z niewymownym smutkiem: *Sasza, kochany, przecież niewiele brakuje, byś pojął, jak on MOŻE to zrobić!*

Obydwoje podskoczyli przestraszeni nieśmiałym pukaniem do drzwi.

- Tak? - Sasza i Rhyssa spojrzeli na siebie: nikt, kogo znali, nie pukał do drzwi.

- To ja, Peter. Mogę wejść?

Roznin dramatycznym gestem wyrzucił w górę ramiona.

- Wejdz, wejdz - powiedziała Rhyssa, przesyłając Saszy ostrzeżenie; skwitował je energicznym skinieniem głową.

Wyczerpany Peter raczej wpłynął, niż wszedł do pokoju.

- Nikt nie zadbał o to, żeby ukierunkować myśli - tłumaczył się chłopiec. - I oczywiście wszystko słyszałem.

- Jasne, że słyszałeś, Peter - stwierdziła Rhyssa.

- *Czy jest tam Peter?* - spytała niespokojnie Dorotea.

- *Jestem?*

- *Jeśli jeszcze raz porzucisz mnie bez słowa, młodzieńcze, to ci wygarbuję skórę!*

Sasza i Rhyssa nigdy przedtem nie słyszeli takiego tonu w głosie Dorotei.

- *Próbowałam mu wyjaśnić całą sprawę, a tu nagle się teleportował.*

- *WIEM, o co chodzi, Doroteo* - powiedział spokojnie Peter. - *Trzeba bezpiecznie posadzić prom w Dakce. I jeżeli dostanę odpowiednią ilość energii, nie będzie to o wiele trudniejsze niż uniesienie tamtego kontenera czy wysłanie stali do San Francisco.*

- Turbulencja monsunu jest całkowicie nieprzewidywalna... - zaczął Sasza.

Mina Petera świadczyła, że nadużywają jego cierpliwości.

- Zasada jest ta sama, bez względu na turbulencje. Nawet będzie łatwiej, bo nie naelektryzowany prom nie odepchnie „chwytu” i nie przyssie się do mojego kształtu.

- Fakt, po takim wyjaśnieniu to jasne jak słońce - rzekł sucho Sasza; potem z irytacją machnął ręką i spojrzął na Rhyssę.

- Odległość, masa promu i turbulencje to coś, z czym jeszcze nie miałeś do czynienia. Nie możemy i nie chcemy ryzykować, że się „wypalisz” - tłumaczyła.

- Nic nie ryzykujecie - uśmiechnął się Peter. - Ale będę potrzebował generator większej mocy. Dla bezpieczeństwa przydałaby mi się prawdziwa moc - jak turbogenerators City. Oni mogliby się zablokować... ja nie.

- Nie wiemy tego, Peter - odezwała się łagodnie Rhyssa, pozwalając, by wyczuł jej niepokój.

- Ale ja to wiem - odparł chłopiec i kwitował na łóżko, gdzie usadowił się obok niej (w miarę prosto, lecz ręce i nogi miał nienaturalnie ułożone; prędko je poprawił, złowiwszy spojrzenie Rhyssy). - Instynktownie!

Przytuliła go, czując wzbierające łzy, łzy dumy z owej wspaniałej wiary w samego siebie, której nabrał przez ostatnie kilka tygodni. Tulila jego wiotkie, chudziutkie ciało i puściła go dopiero wtedy, gdy wyczuła zakłopotanie chłopca; zmierzwiła mu włosy.

- Peter. - Sasza przykucnął obok chłopca. - To JEST coś odmiennego niż ćwiczenia, które ci zadawaliśmy. Twoje uzdolnienia są zupełnie wyjątkowe! Nie możemy ryzykować.

- Dorotea mówi, że powinienem ufać moim instynktom - powiedział chłopiec tak stanowczo, że obydwójce długo mu się przyglądali. - Ja również czytałem raport o wizji. Jeżeli zabraknie kinetyków, to wielu ludzi straci nie tylko życie, ale i to, co z takim trudem stworzyli w ciągu ostatnich dwóch lat. Nastąpi ogromna ekologiczna klęska, zapanuje głód i epidemie. Przecież to wy mi opowiadaliście o naszej, Talentów, odpowiedzialności wobec reszty świata, jak to mamy zapobiegać kieskom i śmiertelnym ofiarom. Skoro jestem gotów podjąć małe ryzyko, to będę prawdziwym Talentem. No a poza tym podsłuchałem, co Madlyn wam mówiła - uśmiechnął się Peter, krzywiąc się, jakby słyszał zbyt donośny głos. - Pan Baden mówił o mnie, prawda? Nadszedł czas, żeby mnie na serio wypróbować.

Sasza usiadł przy drugim boku chłopca i popatrzył bezsilnie na Rhyssę.

- Coś mi się wydaje - ciągnął Peter, najwyraźniej o wiele lepiej panujący nad sytuacją niż jego dorośli nauczyciele - że nie mamy wyboru. Potrzebujemy tych, co są na pokładzie Erasmusa z panem

Badenem. Gdy wtedy przerzuciłem stal, Sasza, to powiedziałaś, że osiągnąłem poziom bardzo użytecznej kinezy. WIEM, że jeśli będę miał do dyspozycji wystarczającą moc, to bezpiecznie posadzę prom.

- Jest jeszcze jedna ważna okoliczność, synku... - Sasza z wolna potrząsnął głową.

- Poczytałem sobie o metodach wytwarzania mocy - mówił chłopak, spokojnie puszczając mimo uszu uwagi o jakichś tam okolicznościach. - A zwłaszcza o turbogeneratorach, bo są najbardziej niezawodne.

- Poczytałeś? - Rhyssę wciąż na nowo zaskakiwała nienasycona chęć wiedzy okazywana przez jej pupilka.

- Cóż, uważałem, że powinienem mieć jakieś podstawy... - Spostrzegł, jakie mają miny, i uśmiechnął się. - Obejrzałem mnóstwo kursów wideo na poziomie college'u. Były o wiele ciekawsze niż nocna papka rozrywkowa. Wymagały wielkiego skupienia, a to pozwalało mi choć na chwilę zapomnieć o całej reszcie. Technika była dobrym pomysłem.

Sasza i Rhyssa mogli tylko potaknąć.

- Tym bardziej... - w oczach Petera zatańczyły iskierki - ...że chyba nikt tak naprawdę nie wie, co począć z moimi uzdolnieniami. I to jest ten drugi powód, żeby nie ujawniać mojego sposobu kinezy, prawda, Sasza?

- Zagiął nas, Rhyssu - oznajmił ze smutną miną Roznin.

- I o to właśnie wam chodzi; ale jestem pewny, że jeśli pilot doprowadzi prom na odpowiednią odległość, to go przejmę,

przeprowadzę poprzez wichury i bezpiecznie posadzę. I pilot wcale nie musi wiedzieć, że to ja zrobiłem, a nie pan Baden i pozostali kinetycy. - Spostrzegł, że poważnie potraktowali jego pomysł, więc dodał: - Przecież to nie to samo, co przyprowadzenie tu promu od samej Drugiej.

- Sądysz, że system zasilania miasta zapewni ci niezbędną moc? - zapytał kwaśno Sasza.

- Powinny wystarczyć turbogeneratory Wschodniej Stacji Zasilania. - Oczy chłopca zaślniły na samą myśl o tym, jaką to moc dostanie do dyspozycji.

Tak jawna zuchwałość rozbawiła Rhyssę i Roznina.

- Wiecie, ja uważam, że to się naprawdę uda - oznajmiła Dorotea, wchodząc do pokoju; nocny strój w blado-liliowym kolorze podkreślał jej siwe włosy i porcelanową cerę. - Z wielką ciekawością śledziłam waszą rozmowę, skoro podsłuchiwanie należy dziś do dobrego tonu. Nie mamy czasu, żeby namówić tego idiotę pełnomocnika do spraw energii na podobne, i to na dokładkę wysoce poufne, eksperymenty. Im mniej ludzi będzie wiedzieć, co robimy, tym lepiej. - Twarz starszej pani przybrała nadzwyczaj przebiegły wyraz, zupełnie dla niej nietypowy. - Nadajmy G i H! - zachichotała, ogromnie z siebie zadowolona. - Wtedy pozostanie nam tylko porozumienie się z Borysem, żeby opróżnił stację zasilania i wprowadził nas tam.

- Nadać G i H? - Rhyssa patrzyła na Doroteę, jakby ją zobaczyła po raz pierwszy.

- Co to znaczy G i H? - zapytał Peter akurat wtedy, kiedy Sasza wybuchnął śmiechem (ale uwadze Rhyssy nie umknął podziw Roznina dla konceptu Dorotei).

- Czemuż wcześniej na to nie wpadłam! - zirytowała się, a zdezorientowanemu Peterowi wyjaśniła: - To takie nasze SOS. G - czyli George, to znaczy George Henner, do którego niegdyś należał ten dom; H - czyli Henry, Henry Darrow - doprowadził do uznania Talentu za dające się zweryfikować paranormalne uzdolnienia. Jeżeli jakiś Talent nada G i H, to uzyska natychmiastową i bezwarunkową pomoc ze strony wszystkich pozostałych Talentów.

- Wiecie, zawsze chciałem mieć pretekst, żeby nadać G i H. - Sasza zatarł ręce. - *G i H, bracie: potrzebna nam eskorta do Wschodniej Stacji Zasilania; Stacja ma być pusta! Wystarczy minimalna nocna zmiana.*

Borys: *G i H? Bosko. Dobry sobie moment wybrałeś na wzywanie G i H - jestem w samym środku rozruchów.*

Sasza: *Potrzebujemy ciebie i helikopterów OPP.*

Borys, sarkastycznie: *Akurat mnie?*

Sasza, ugodowo: *Ciebie, żebyś nam pomógł.*

Borys, szelmowsko: *A co dostanę w zamian?*

Sasza: *To George i Henry, braciszku, nie możesz odmówić.*

Borys.: *Qui pro quo, braciszku. Właśnie miałem zamiar cię wezwać.*

Sasza: *W sprawie rozruchów?*

Borys: *W tym przypadku na pewno się przyda twój szczególny Talent.*

Sasza spojrział pytająco na Rhyssę, a ona - choć niechętnie - przyzwalająco skinęła głową.

- Słyszałeś to, Peter? - spytała Rhyssa, bo na twarzy chłopca wciąż malowało się zdumienie.

- Tak - odparł niepewnie.

- Naprawdę nie będę ci potrzebny, Peter - dodał mu odwagi Sasza - jeśli poleci z tobą Rhyssa...

- I Dorotea... - dorzuciła zdecydowanie starsza pani.

- ...żeby „buforować” twój umysł - ciągnął Roznin. - *I Don także - pomyślał do Rhyssy. - Dlaczego Borys potrzebuje mnie akurat teraz?*

Dorotea: *Borys zawsze miał kłopotliwe pomysły. Wygląda na to, że jest policjantem z powołania.*

- Lepiej się teraz ubierz - powiedziała Peterowi Rhyssa. - Ściągnij tu ubrania. Dorotea, co ma przynieść tobie? Mogłabyś się przebrać w mojej łazience.

- Pójdę do Budwortha po niezbędne dane - oznajmił Sasza. - Ciężar promu, łączność radarowa z promem, lądowisko w Dakce przy dobrej pogodzie, raporty pogodowe. *Jeśli zacznę rozmyślać o tym wszystkim, to zwariuję!* - rzucił do Dorotei i Rhyssy.

- *Nie ty jeden!* - odparły obie kobiety.

- *Jeżeli Peter MYŚLI, że potrafi tego dokonać, wolę być tego samego zdania. W końcu to właśnie myśli się liczą* - dodała jeszcze Rhyssa.

Dorotea: *To załatwia sprawę.*

Zanim przyleciał helikopter OPP, skompletowali potrzebne dane (odległość, ciężar i optymalna prędkość promu, warunki atmosferyczne i turbulencje nad lądowiskiem) i ustalili plan działania.

- Sadziłem, że masz urwanie głowy i przyślesz nam zastępcę - powiedział Sasza, ale poczuł wielką ulgę, że brat osobiście się pojawił.

- Owszem, mam - uśmiechnął się przebiegle Borys. - Lecz to ja najbardziej wam się przydam. Na pewno chciałbyś wziąć w tym udział, braciszku. Mamy zamiar na porywaczy.

Sasza puścił przepiękną wiązkę przekleństw.

- *To równie ważne, Sasza* - przyznała Rhyssa. - *Dorotea, Don i ja wesprzemy Petera i nic mu się nie stanie.*

- *Nie ingerowałem w G i H, gdybym nie musiał* - powiedział pełnomocnik OPP, pomagając Dorotei wsiąść do helikoptera.

- *Porywaczy trzeba powstrzymać, Sasza* - oznajmiła starsza pani tak surowym tonem, że zaskoczyła wszystkich telepatów. - *I już! To postanowione!*

- A to jest Peter Reidinger? - zapytał Borys, kiedy chłopak dotarł do helikoptera swoim posuwistym krokiem.

Rhyssa dostrzegła osłupienie małego i nagle zdała sobie sprawę, że zapomnieli go uprzedzić, iż pełnomocnikiem OPP jest bliźniak Saszy.

- Nie, wcale nie widzisz podwójnie. Jestem starszy o pięć minut - mówił przyjaźnie Borys; zręcznie ujął Petera pod pachy i wciągnął na

pokład. - *Wróć bezpiecznie, braciszku, zanim cię porwę do moich niecnych sprawek. G i H to ze względu na chłopaka?*

Sasza pogroził bratu palcem.

- *Łotrzyk, łotrzyk.*

Wskoczył do helikoptera i zaczął układać sprzęt medyczny podawany przez Dona Usenika; nie zwracał uwagi na gderanie Borysa. Potem Don wsiadł, a Sasza zatrzęsął drzwiami i wielki helikopter poleciał na południowy wschód.

Borys usadowił Petera obok okna; zachwycony chłopiec spoglądał na czarny kanion Hudson i miriady świateł migocących na każdej wieży i każdym trakcie Jerhattanu.

- Zawsze oszałamia, choćby się to nie wiem ile razy widziało - powiedziała Rhyssa, a Peter tylko kiwnął głową, nie odrywając oczu od widoku za oknem maszyny.

Wylądowali na dachu; Talenty natychmiast wyczuły, że wielka budowla jest pusta.

- Dobra robota, Borysie - odezwała się Dorotea. - Tedy, Peter!

- Mam nadzieję, że wiecie, co robicie - zauważył sucho Borys. - Mój urząd jest w to wmieszany!

- Dzięki - wtrąciła Rhyssa. - Czy przylecicie po nas, gdy zawołamy?

- Gdybym nie mógł zwolnić Saszy, to przyślę kogoś, komu będziecie mogli zaufać - odparł pełnomocnik OPP, podając Donowi monitory.

Wielki helikopter odleciał.

Don otworzył właz; Rhyssa wzięła odeń jeden pojemnik ze sprzętem. Peter dostał się do środka i od razu zaczął wprost emanować podnieceniem; oczy mu płonęły. Znaleźli się ponad olbrzymimi turbinami - cicho szumiały, dostarczając energii wielkiej metropolii. Weszli do górującej nad turbinami nastawni; stały tu urządzenia rejestrujące przepływ prądu do rozmaitych podstacji. Peter rozsiadł się w wygodnym fotelu dyżurnego inżyniera i kołysał się leniwie, dopóki dorośli nie ustawili aparatury kontrolnej i nie zaczęli go podłączać.

Ponad przeszkleniem wychodzącym na turbiny znajdowało się sporo ekranów, na których można było wyświetlić to, co chłopiec musiał widzieć. Rhyssa wprowadzała odpowiednie programy i kolejno się ukazywały: *Erasmus*, dane dotyczące promu i symulacja warunków atmosferycznych; na koniec podłączyła komunikatory Stacji do głównej linii NASA, żeby mogli śledzić schodzenie promu. *Erasmus* już był w drodze, wystartował dokładnie o 8:00 czasu Drugiej, 01:30 czasu ziemskiego. Kiedy na ekranach radarowych pojawił się schodzący spiralnie prom, zegar Stacji wskazywał 05:50. Ostatni ekran ukazywał lądowisko w Dakce, smagane deszczem i potężnymi porywami wichru, który włókł poprzez betonowy pas lądowiska pnie drzew, kawałki samochodów, jakieś paki i najrozmaitsze szczątki - to właśnie tutaj Peter miał bezpiecznie posadzić *Erasmusa*.

Kiedy Don Usenik sprawdził sprzęt monitorujący chłopca, Rhyssa i Dorotea usiadły za nimi; ich umysły delikatnie musnęły umysł Petera. Wydawało się, że w ogóle tego nie zauważył - z takim

napięciem śledził lot promu. *Erasmus* dotarł do atmosfery Ziemi - i w tej samej chwili generatory zaczęły grać.

Rhyssa potrząsnęła głową: nikt z ich trójki nie potrafił sięgnąć do tej części umysłu chłopca, która się sprzęgła z potężną mocą turbin. Jęk maszyn narastał, stał się trudny do zniesienia. Dorotea skrzywiła się, zasłoniła uszy. Rhyssa wpatrywała się z niedowierzaniem w niesamowicie zmienione odczyty kontrolne. Don Usenik nie odrywał oczu od aparatury medycznej. Peter zachowywał spokój. Rhyssa zauważyła nieco protekcyjny uśmiezek chłopca i mogła jedynie mieć nadzieję, że mały nie przeholuje. Ona i Don jednocześnie dostrzegli kropelki potu na czole Petera - lecz uśmiech nie znikł. Jęk generatorów wzniósł się do najwyższej nuty i tak trwał. I zmienił się umysł chłopca! Stał się twardy jak kamień. Peter nie zerwał myślowego kontaktu, ale nagle go ograniczył, co oznaczało intensywną koncentrację chłopca. Rhyssa spojrzała na Doroteę, a starsza pani po prostu wskazała na Dona, który spokojnie obserwował monitory. Lot *Erasmusa* stał się pewniejszy i powolniejszy.

- SPROWADZA GO! - szepnęli jednocześnie Rhyssa, Dorotea i Don.

Rhyssa miała nadzieję, że ktoś rejestruje to wydarzenie dla potomności; był to dla Talentów najdonioślejszy moment, od czasu kiedy „gęsie jajo” zapisało wykres fal delta Henry’ego Darrowa w trakcie jasnowidzenia. Wciąż pozostawała w kontakcie z tą częścią umysłu chłopca, która była dostępna dla niej i dla Dorotei; patrzyła, jak *Erasmus* miękko i spokojnie - pomimo porywistego wichru - lądował w

po bliziu terminalu dla pasazerów. Peter zachichotał i nagle pomiędzy promem a terminalem się uciszyło - prawdziwe oko cyklonu. Pasazerowie pospiesznie wysiedli i osłupieli, zdając sobie sprawę z otaczającej ich ciszy. Jeden z nich - na małym ekranie twarz była niewyraźna - uniósł w górę ramiona w geście zwycięstwa; potem wszyscy rażno się schronili w zwodniczo bezpiecznym, smaganym wichrem terminalu.

- Dokąd powinienem przenieść prom, Rhyssso? Jak go puszcę, to wicherzysko zacznie nim ciskać po lądowisku.

- Tego już nie obmyśliłam - zapytana przyznała się Dorotei.

- Mapy pogodowe wskazują, że najbezpieczniejsza byłaby Woomera, ale... - odezwała się Dorotea, pospiesznie przeglądając doniesienia pogodowe.

Szum generatorów nieco się wzmógł i Erasmus powoli się obrócił i ruszył na główny pas.

- Lepiej uprzedźmy pilota, gdzie się go przenosi - odezwała się Rhyssa i połączyła się z Sirikit w Centrum.

- *Mamy tu jakieś niezwykle zaciemnienie* - poinformowała ją Sirikit.

- *Połącz się z Główną Kontrolą Lotniczą i powiedz im, żeby dali znać pilotowi ERASMUSA, że znajdzie się w Woomera.*

- *ERASMUS? Do Woomera?* - Zawsze spokojna Tajlandka w końcu się czymś zdziwiła. - *Oczywiście! Natychmiast!*

- *I to zanim się spoci ze strachu* - dodał Don, rozśmieszając Rhyssę i Dorotce.

Nikt z trójki dorosłych nie wyczuwał w umyśle chłopca nadmiernego napięcia. Peter był całkowicie zatopiony w niezwykłym procesie gestaltu. Wyglądał jeszcze bardziej krucho niż zazwyczaj; zdawało się, że jego czaszka powiększa swoją objętość. Dorośli czuli przepotężną moc przepływającą przezeń, lecz nie mieli pojęcia, w jaki sposób ją kontroluje.

Erasmus popłynął po pasie startowym - powoli, wbrew wszelkim zasadom termodynamiki, na przekór przeciwnemu wichrowi - i przepięknie wystartował.

- Nie wierzę własnym oczom - szepnęła Rhyssa. - Kto go nauczył pilotować?

- Każdy chłopak z tego pokolenia zna się na pilotowaniu promów - rzucił Don Usenik, ale minę miał nie mniej zdumioną niż obie kobiety.

Don patrzył, jak *Erasmus* piał się coraz wyżej w strugi deszczu, w chmury - w końcu zniknął z oczu. Śledzili go aż do poziomu naddźwiękowego.

Generatory znów szumiały spokojnie.

- No! - powiedział nagle Peter z niekłamaną satysfakcją w głosie. - Włącza silniki i teraz już sam sobie poradzi. Doradziłem mu, żeby lądował w Woomera. Ale było fajnie! - dodał z mniejszym wigorem; był bardzo blady i pocił się obficie. - To była wspaniała zabawa! - Oczywiście chłopca lśniły; uśmiechnął się do Dona, który z niedowierzaniem potrząsając głową, wskazał na niemal prawidłowy odczyt bioskanerów.

- Zabawa?! Ty to nazywasz zabawą, Peter?! - wykrzyknęła Rhyssa, dopiero teraz zdając sobie sprawę, w jakim napięciu trwała przez cały ten czas.

- Przy takiej energii łatwiej mi było unieść prom niż pilotowi - powiedział chłopak głosem nagle ochrypłym ze zmęczenia.

Dorotea, nadzwyczaj poufnie, do Rhyssy: *I jak go teraz zatrzymasz w domu, skoro poznał smak życia?* - Tu starsza pani wymownie przewróciła oczami.

- Znaczne zmęczenie, obniżony poziom energii, ale to wszystko w zakresie prawidłowym dla Talentu - oznajmił zbity z tropu Don. - Znakomicie, Peter - dodał z dumą.

- Coś mi się zdaje, że Ludmiła nie uwierzy, iż przetransportowane Talenty umożliwiły TAKŻE ponowny start promu - rzekła słabo Rhyssa.

- Przecież nie mogłem go zostawić na pasie, prawda, Rhyso? - zniecierpliwił się Peter. - Taki prom kosztuje biliony.

Wszyscy telepaci poczuli nagle, że ktoś próbuje „dosięgnąć” ich umysłów.

Kayankira: *Dziękuję wam, dziękuję. JAK tego dokonaliście?*

Rhyssa, Dorotea i Don wymienili spojrzenia.

Dorotea, poufnie, do tej dwójki: *Oj, Rhyso, nie przemyśleliśmy tego dokładnie!*

Rhyssa przełknęła i odparła spokojnie: *Lance tam jest. To był jego pomysł. Prawdziwe G i H, czyż nie, Lance?*

Lance: *Powiem jej. Wolalbym krzyżeć: „Eureka”, ale się powstrzymam. **Wizja wielkiego krokodyla z szeroko rozdziawioną ze zdumienia paszczą i kangura skaczącego z zarysu Australii wysoko, aż na księżyc.** Nigdy nie wiesz na pewno, dopóki nie spróbujesz, prawda, kurczaczku?*

- Wystarczy! - wtrąciła się nagle Dorotea. - Zabierajmy Petera do domu i do łóżka. Nie waź się samodzielnie poruszyć, młody człowieku.

Przez chwilę zdawało się, że chłopak nie posłucha. Potem posmutniał:

- I tak bym nie dał rady.

- Spokojny sen i obfite śniadanie postawią cię na nogi - rzekła dziarsko Dorotea, lecz spojrzenie, jakie rzuciła Rhyssie, mówiło, że może będzie potrzebny dłuższy odpoczynek, i to pomimo optymistycznych odczytów Dona. - Jak go przetransportujemy z powrotem do Centrum? Borys i Sasza są zbyt zajęci uspokajaniem zamieszek.

- *Nadlatuje helikopter Centrum* - odezwała się Sirikit rozbawionym tonem. - *Po prostu zaczekajcie!*

Warkot silników dotarł do nich nawet poprzez ciężki dach przykrywający rozdzielnię. Otworzyło się górne wejście i wśliznął się przez nie jakiś człowiek.

- Nic wam się nie stało?! Kazali mi tu przylecieć i pozbierać szczątki - zawołał Dave Lehardt, zbiegając po trzy stopnie.

Rhyssa omal się nie rozplakała z ulgi. Co to powiedział ten szczwany lis, Borys? „Ktoś, komu możesz zaufać!”

- Cześć, Peter - powitał go Dave. - Coście tu takiego wyczyniali, że aż wyrwano mnie ze snu o tak bezbożnej porze? - Ukląkł obok chłopca i dodał miękko: - Wyglądasz na wykończonego. Potem mi opowiesz, hmm?

Lehardt delikatnie wziął na ręce wyczerpanego Petera i ostrożnie ruszył w górę schodami. Tuż za nim szła Rhyssa, niewymownie wdzięczna za to, że się tak nieoczekiwanie pojawił.

Moduł generacyjny jeszcze w trakcie zajścia znalazł się na szerokim deptaku przed salą zgromadzeń. Talenty i fachowcy z OPP prędko rozładowali wybuchowy nastrój zbierającego się tłumu. Pewna liczba ludzi zdołała się wymknąć bocznymi zaułkami i szlakami ewakuacyjnymi, lecz pozostałym metodycznie sprawdzano ID.

Ze dwadzieścia kobiet z rozmaitych grup etnicznych - jądro całego zajścia - natychmiast odizolowano w jednym z pomieszczeń za główną salą; ekipa Talentów przepytowała je sprawnie, nie zważając na głośne lamenty i zapewnienia o niewinności.

Wielki helikopter przywiózł Borysa i Saszę. Auer i Bertha Zoccola - jasnowidze, którzy przewidzieli ów incydent - jeszcze przed ich przybyciem zdążyli przejrzeć taśmy z kamer dyskretnie umieszczonych na suficie sali zgromadzeń. (Zajęli się tym dwaj elektrycy, którzy zjawili się wraz z ekipą kaznodziei). Obaj bracia zajęli stanowiska obserwacyjne. Ściany modułu pokrywały analizatory podłączone do głównej sieci OPP. Pojawiały się raporty Talentów zajmujących się opanowywaniem tłumu, a personel OPP niecierpliwie odczytywał płachty wydruków spływające z klekocących drukarek w miarę jak przetwarzano odczyty bransolet ID. Pełnomocnik OPP często musiał przerywać obserwację, żeby wydać nakazy zatrzymania. Ale główny bohater incydentu wyprowadził wszystkich w pole. Przewielebny kaznodzieja Pontis Prosit znów zdołał się wymknąć.

- A więc moja wizja dotyczyła głównie kobiet - mówiła Bertha, starając się nie patrzeć na Auera, który z kolei, nie bacząc na Zoccolę, wysuwał dolną wargę i oglądał sceny nagrane na taśmę. - On widział Szarlatana. Kiedy wreszcie przymkniecie tego faceta? To obsceniczna, żałosna larwa ssąca emocje; sami wiecie, co to za typ! Żywiąca się emocjami pijawka; tuczy się, wysysając je z tłumu. Im większa liczba ludzi, tym obfitsza zdobycz. - Zataczała rękami przesadnie rozległe kręgi.

- Już ci mówiłem, Bertho, że on nieświadomie służy naszej sprawie - tłumaczył cierpliwie Borys. - Owszem, rozbudza ich emocje. „Trzymanie ich w garści” może i sprawia mu zdrożną przyjemność, lecz dzięki jego przesadnie teatralnym wystąpieniom rozładowuje się mnóstwo tłumionych emocji; bierne oglądanie Tri-D nie pozwoli im przeżyć takiego catharsis. Czasami Pontis zbliża się do granicy bluźnierstwa, ale zwykle jest nieszkodliwy, a jego słowa nic nie znaczą...

- Otóż to - nic! - mruknęła z oburzeniem Bertha.

- Na ten wieczór wielebny ma sponsorów - podjął Borys. - Jakaś Wschodnioindyjską Grupę Mistyczną, zarejestrowaną, jak należy, i całkiem legalną. Nie mamy żadnych podstaw, żeby odmówić im czyjemuś prawu do religijnego zgromadzenia.

- Religijne zgromadzenie! - obruszyła się Bertha. - On nie wyznaje żadnej religii! Poza tym takie zgromadzenia powinny podnosić na duchu, nie dołować. To blagier, pijawka i bluźnierca. Jest niebezpieczny. - Energicznie pomachała palcem tu przed nosem

Roznina. - Za podżeganie do zamieszek grożą kary; a on wywołał dziś rozruchy.

- Niestety, Bertho - twoje własne jasnowidzenie oczyszcza Pontisa z tego zarzutu.

Borys starał się promieniować spokojem, choć wiedział, że to na nic: Bertha, wspaniała jasnowidzka nie „odbierała” nic; mówiła coraz głośniej, a nigdy nie słynęła z taktu.

- Skąd ma włókna, komisarzu! Nie wmówisz mi, że nie używa ich w zbrodniczym celu!

Borys stracił cierpliwość i wysłał wezwanie do Saszy, który pomagał teleempatom panować na tłumem.

- Jeśli o to idzie, sprawdzimy i wystawimy nakaz zatrzymania.

- To ja widziałem Szarlatana, Bertho - wtrącił się do sporu Auer, łypiąc wściekle na małą kobietkę. - Nic ci do tego!

Pojawił się Sasza i zręcznie wydłużył milczenie Berthy na tyle, że zdołał ją odholować na drugi koniec modułu.

- Czyżby jakiś nie zarejestrowany produkował te włókna dla Szarlatana! - spytał cicho Auer Borysa.

- Wszystko możliwe - odparł zmartwiony Roznin. - To jedyny sposób, by wpadły w łapy takich fanatyków jak Pontis Prosit. - Owa lepka substancja była najnowszym wynalazkiem OPP; wytwarzano ją ze specjalnie zmienionych związków chemicznych, pozwalających uzyskać szybko schnące, kurczliwe włókienka; cała sprawa była ściśle tajna, a same formuły i proces produkcji tak skomplikowane, że nie sądzono, iż można by je skopiować. - Gdzieś tam musi się kryć

naprawdę tęga głowa. - Borys, w przeciwieństwie do swych poprzedników na tym stanowisku, nie uważał nie zarejestrowanych Talentów za zboczeńców, lecz za błędzące i niezdyscyplinowane osoby, które należało sprowadzić na właściwą drogę i nakłonić do pożytecznej działalności. - Forensic twierdzi, że te ich lepkie włókna są cholernie podobne do naszych. Bardziej toksyczne, niestety, ale za to na szczęście mniej trwałe. Auer, masz dobre wyczucie w sprawach technicznych. Czuwaj dla nas, dobrze? Zawiadom o najlżejszym „ukłuciu”. Musimy jak najszybciej złapać tego typka. Wszystko mi jedno, jaki Talent powstaje z genów mieszkających tu ludzi, ale powinien być u nas zarejestrowany.

- Coś mi się nie wydaje, żeby Szarlatan mógł sobie pozwolić na wynajęcie takiego bystrzaka. A może to Yassim wynalazł sobie nowego łotrzyka? - spytał cynicznie Auer, wskazując na nagrany film.

- Wyczułeś, że to się jakoś łączy z Yassimem? - Borys spojrzał nań z aprobatą.

Auer potrząsnął głową i wskazał na wciąż wyświetlane nagranie:

- Po prostu sprawdziłem spisy klientów OPP. Na tym zgromadzeniu były wszystkie zbiry Yassima. Więc i on musiał tam być. Ilu wyłapaliście?

- Sporą grupkę, ale nikogo szczególnie ważnego - odparł Borys, a potem skrzywił się i dodał: - Wiesz, że zainstalowano te nowe, niezniszczalne identyfikatory przy wejściach? Wszystkie uszkodzono; może to ludzie Yassima, a może ten nowy Talent. Zrobiono to bardzo sprytnie: kawałek drutu, szpilka do włosów, kawałek folii; nie działa,

ale da się łatwo naprawić. Sprawdziliśmy ID każdego, kto nie zdążył prysnąć po incydencie, lecz niestety nie wiemy, kto i ilu przyszło na zgromadzenie.

Auer znów skinął głową; na swój oschły sposób współczuł komisarzowi:

- Będę o tym pamiętać, komisarzu. Zostaw to mnie.

Borys do szefowej grupy przepytującej kobiety: *Znalazłaś coś, Normo?*

Norma: *Nie; wciąż są podekscytowane. Odbieramy gniew, frustrację, zawiść, niepokój i strapienie, że je zatrzymano - to przede wszystkim matki. Ale możemy wylapać tylko dominujące emocje. Są złe, że zostały wykiwane. I to nie przez tego starego Szarlatana Pontisa Prosita. Cały szkopuł w tym, że żadna nie mówi zbyt dobrze basikiem. Możemy dostać jakiegoś lingwistę? Kogoś, kto zna języki lewentyńskie i azjatyckie? Może Ranjita?*

Borys: *Już go do was wysyłam. Coś jeszcze?*

Norma: *Tak. Dziewięć z tych kobiet zionie ku sobie nienawiścią. Już dwa razy musieliśmy je rozdzielać, bo się drapią, biją i szarpią za włosy. Ktoś tam został wybrany i nie należało się wtrącać. To bez sensu.*

- *Został wybrany?* - Borys powiedział to zarówno telepatycznie, jak i głośno.

- *Komisarzy?*

- *Dziękuję, sierżancie; podsunęłaś mi pomysł!*

I Borys spojrział na ekran - zaczynała się kolejna powtórka filmu z incydentu; przesunął szybko taśmę, a potem zwolnił przesuw, nie spuszczał oczu z ekranu.

- *Masz coś?* - Sasza pochylił się nad ramieniem brata.

Borys: Zakładam, że Szarlatan wylapywał tych ludzi dla kogoś - pewno dla Yassima, bo byli tam jego ludzie - i chcę wiedzieć, co było podstawą wyboru. Większość stanowili mężczyźni, z wyjątkiem tej naszej grupki... o, tu!

Bracia patrzyli na przesuwającą się w zwolnionym tempie taśmę - pasmo włókienek spadło dokładnie w środek grupki kobiet.

- *Nie trafiło w kobietę! Chyba że chodzi o karlicę* - powiedział Sasza, wskazując na drobne dłonie wczepiające się we włókna.

Borys dał powiększenie, wyostrzył obraz. - *Dziecko? W grupce, którą zatrzymaliśmy, nie było żadnego dziecka. Dwadzieścia kobiet. I tyle tu naliczyłem.*

Sasza: Czy któreś szarpią i ciągną?

Borys: Tak, a inne stawiają opór. Norma twierdzi, że są skłócone.

I tu powtórzył dokładnie słowa Normy.

Sasza: No i czują się oszukane. Popatrz! Nóż przecina włókna. I teraz dopiero się zaczyna!

- *Którzy kontrolerzy tłumu byli najbliżej nich?* - zapytał Borys.

Wezwano Cass Cutler i Suzanne Nbembi; wciąż jeszcze były w przywdzianych na tę okazję strojach, Cass zmyła jaskrawy makijaż i zdjęła taniutką biżuterię. Borys cofnął film do owej scenki.

- Dobrze się dzisiaj spisałyście, Cass i Suzanne.

- Niewiele brakowało, komisarzu. - Cass przewróciła wymownie oczami. - Gdyby nie jasnowidze, byłoby źle.

- Czy któraś z was widziała dziecko w centrum tej grupki kobiet?

- Nie - odparła prędko Cass, a potem zmarszczyła brwi. - A przynajmniej nie sądziłam, że ona była z nimi. Zauważyłyśmy ją po raz pierwszy, kiedy usiłowała umknąć Bulbarowi.

- Chciałyśmy interweniować - dodała Suz. - Żadna dziewczynka nie powinna się dostać w łapy tego drania; ale się uwolniła. Wiemy jak.

- Schowała się na chwilę za nami, podążając ku wyjściu. Akurat wtedy zaczęło się całe zajście. Dziwne... - Cass umilkła, zmarszczyła brwi. - COŚ wyczułam, komisarzu, kiedy jej dotknęłam. Osłona twarda jak skała, a to osobliwe u dziecka z liniowca.

- Czy mogła się wydostać z tego tumultu? - I Borys postukał w widoczną na monitorze grupkę.

Cass i Suz posłusznie przyjrzały się scenie. Borys przesunął taśmę i zwolnił film, kiedy ukazały się dłonie - w zwolnionym tempie sprawiało to wrażenie tanecznego gestu, nie szaleńczej szarpaniny: smukłe palce dotykały włókien; potem taśma ruszyła - palce wpiły się w pasmo włókien, błysk noża, bójka kobiet.

- Czy można zobaczyć to miejsce, zanim zaczęły się kotłować? - spytała Cass.

Borys próbował rozmaitych ujęć, ale sufitowe kamery były nakierowane na przewidywane miejsce incydentu i nie pokazywały wyraźnie tego, co Cass chciała dojrzeć.

- Ranjit Youssef melduje się na rozkaz, komisarzu. - Młody oficer z OPP zatrzymał się w pewnej odległości od grupki skupionej przy monitorze.

- Co przyniosły przeszukania mieszkań, poruczniku? - zapytał słuźbiście Borys.

- Liczba nielegalnych dzieci poniżej dziesięciu lat wynosi osiemset trzy, komisarzu, w tym pięć noworodków. Właściwie wszystkie zatrzymane dzieci nie mają dziesięciu lat.

Komisarz OPP nie był zaskoczony, choć liczba ta była wyższa, niż się spodziewano. Oparł się o krawędź biurka i potarł w zadumie podbródek.

Borys: *Osiemset?*

- *I trzy* - dodał Sasza równie ponurym tonem.

Borys: *I wszystkie wydadzą na świat następne niedożywione dzieciaki, które ktoś w taki czy inny sposób wykorzysta. JAK można zlikwidować handel dziećmi, skoro ludzie tak bezmyślnie się kierują archaicznymi nakazami etnicznymi?*

- Czy któreś miały legalne bransolety ID? - spytał głośno Borys.

- Dziewięciolatki, komisarzu, ale jak dotąd żadne ID nie pasuje do zarejestrowanego wzoru genetycznego. Naliczyliśmy o wiele mniej nastolatków i prawie nastolatków, niż powinno być w populacji liniowca.

- Jak zwykle. Ile nielegalnych dzieciaków, nie mających dziesięciu lat, znaleziono w mieszkaniach tych dwudziestu kobiet.

- Trzydzieści dwoje, niektóre zbyt małe, żeby uciekać. Starsze, jak zwykle, ostrzeżono. Zarządzono już blokadę. Z liniowca nie wydostanie się nikt, kto nie ma bransolety ID - powiedział Ranjit. - I to nawet przez zsypy do odpadów.

- A prawda, zsypy do odpadów - powtórzył Borys z westchnieniem pełnym rezygnacji. - I, mam nadzieję, obstawiono również linie dostawcze? Świetnie. - Wystukał coś na klawiaturze i na ekranie ukazał się schemat liniowca G; rysunek okręcał się powoli, ukazując każdy zakątek potężnej wieży. - Poruczniku, Normie Banfield są potrzebne pańskie zdolności lingwistyczne. Jest w sali prób po lewej stronie sceny. Ma pod skrzydłami grupkę kobiet najrozmaitszych narodowości, prawie że nie znających basiku; na dokładkę podzieliły się one na co najmniej dwa stronnictwa i usiłują sobie nawzajem powyrywać włosy.

- Wyrwać włosy? - Cass aż się wyprostowała, na powierzchnię pamięci wypłynęło wspomnienie.

- Coś ci się przypomniało, Cass? - zaciekał się Borys.

- Popracuję nad tym - odparła i rozluźniła się na tyle, na ile pozwalały okoliczności; Suz masowała jej kark, żeby wspomóc przypomnienie.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc porucznik Banfield. - Ranjit zasalutował i wyszedł.

- Sprawdź coś w sali - odezwała się Cass, wstając. - Chyba że jakiś nadgorliwy kretyń już tam wysłał sprzątaczy.

- Dobrze - odparł Borys i wrócił do schematu liniowca, próbując się domyślić, gdzie w tej całej plątanie korytarzy, zakamarków i przejść podziemnych mogli się ukryć zbiegowie. - *Sasza, poleć, żeby zaczęto przeszukiwać kanały. Przerazone dzieciaki mogą wpelznąć w najpaskudniejsze miejsca. Nie chcę, żeby choć jeden nielegalniak wpadł w oślizłe łapy Yassima.*

- Zrobione. - Oczy Saszy zmieniły wyraz, kiedy wydawał polecenia.

- Znalazłam! - zawołała Cass, wracając; wydała triumfalny okrzyk i potrząsnęła znaleziskiem. - Na wszystkie świętości, to musi być kawałek jej skalpu!

Borys ujął dwoma palcami kępkę włosów: matowe, przecięte pasmo włókien tkwiło tuż przy zakrwawionym strzępku skóry. - *Loufan! Dowiedz się wszystkiego o osobie, która to wyrwała z głowy!*

Technik przyklusował do komisarza, obojętnie wziął kępkę włosów i wrócił do swojego kątku.

- *Komisarzu* - odezwał się Ranjit i zamilkł na chwilę, żeby się upewnić, że nie przeszkadza. - *One coś ukrywają.*

Norma: *Raczej kogoś. Kogoś, kto jest dla nich ważny.*

Ranjit: *Uważam, że to jest powód waśni.*

Norma: *Zgadzam się. Czy mogę je przycisnąć?*

Borys: *Zgodnie z przepisami, poruczniku.*

Tu uśmiechnął się do siebie, bo znał pedantyczną prawomyślność Ranjita; poczuł telepatyczne dotknięcie, świadczące, że Sasza słyszał tę

wymianę myśli. Zawarli taką umowę, bo oszczędzało to wiele czasu i zapobiegało powtórkom.

Załatwianie czegokolwiek z nie-Talentami wymaga wyteżonych wysiłków, pomyślał Borys. Ale z drugiej strony, czy naprawdę by chciał, żeby wszyscy mieli paranormalne uzdolnienia?

Może przynajmniej odrobinę, żeby nie było tylu problemów? Lecz to zrodziłoby zawiść - zawiść, że ktoś jest bardziej Utalentowany - i wzmogło swary i uprzedzenia. Nie; lepsza jest mała grupa Talentów trzymanyh w ryzach i wykonujących zadania, do których tamci się nie nadawali. I wszystko ZAREJESTROWANE!

- *Komisarzu?* - Loufan zamilkł na moment. - *Usunąłem włókna, bo przeszkadzały w odczycie, a i tak nie mają znaczenia. To Euroazjatka, u progu dojrzewania. Dobry genotyp, znakomita odporność; zdrowa, aż dziw.* - W tonie Loufana pobrzmiwało zdziwienie. Racje żywnościowe w liniowcu G zawierały wszystko, co potrzeba - lecz jeśli mała była nielegalna, jak podejrzewał Borys, to jakim cudem udało się jej zachować zdrowie? - *No i... jej genotyp nie pasuje do żadnego ID.*

Borys: *Naprawdę sądziłeś, że dopasujesz ID?*

Loufan: *Tak, komisarzu.*

Teraz z kolei zdumiał się Borys.

Loufan: *Mogła być „na ucieczce”, albo porwana.*

Borys: *O.K. Wciągnij jej dane do kartoteki i daj włosy Bercie. Zapytaj - ze swoją nieskazitelną uprzejmością - czy ich widok obudził w niej jakieś wspomnienia.*

- Och, biedactwo! - zakrzyknęła Bertha, wbiegając z impetem. -
Włosy wyrwane z jej głowy! Kto to zrobił, komisarzuniu?!

- Pewno Bulbar. Jeszcze coś?

Bertha przycisnęła kosmyk do bujnej piersi, zamknęła oczy i skoncentrowała się.

- Nic a nic, ale zakodowałam. - Nagle się wykrzywiła ze wstrętem i odrzuciła kosmyk. - Zabierzcie to!

Sasza przechwycił ów „pocisk”.

- Czarne, długie - mruknął. - Pewno któraś z tych, co to nigdy nie obcinają włosów. Zdrowe i o wiele bardziej czyste, niżby się można było spodziewać. Nietrudno będzie znaleźć dziewczynkę ze śladem po świeżo wyrwanym kosmyku.

- Lepiej pokaż to Carmen - rzekł Borys i dodał poufnie: - *Ranjit uważa, że niewiele starszych nielegalniaków wymknęło się ekipom przeczesującym.*

Carmen Stein ułożyła kosmyk na podółku, wygładziła go, długimi paznokciami rozdzieliła splątane włosy. Przesuwała je w palcach przez parę minut, łagodnie wydobywała z nich informacje, gdzie się znajduje ich właścicielka. Carmen zawsze wyglądała tak pogodnie i spokojnie, gdy posługiwała się swoim Talentem „odnajdywacza”. Lecz Sasza lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak intensywnie pracował wówczas jej umysł. Była jedną z najlepszych „odnajdywaczek”, jakie znał; chronił ją więc, jak mógł (bo to przecież ogromnie wyczerpująca praca), i korzystał z jej usług tylko w szczególnych przypadkach.

- Kiedy wydarzył się ów incydent? - spytała Carmen, nie odrywając oczu od kosmyka.

- Jakies sześćdziesiąt dwie minuty temu.

- Ach, to tłumaczy ciemności. Ukrywa się. Nie mogę dostrzec gdzie. Nie ma tam światła. Ciasno.

- Kanał?

- Bardzo możliwe - odparła niepewnie. - Chyba śpi.

- Zmarznięta.

- Nie. - Carmen wzięła to dosłownie. - Nie zmarznięta. Zmęczona. Podała kosmyk Saszy.

- Nie; zatrzymaj to na razie, Carmen. Musimy wiedzieć, kiedy stamtąd wyjdzie.

Kobieta pochyliła się spokojnie, wyjęła spinkę ze stojącego na stoliku jaskrawo emaliowanego pojemniczka i wpięła kosmyk we włosy.

Sasza przekazał Borysowi słowa Carmen.

- *Kanał, hmmm? Tak ich mało w tym liniowcu - zażartował komisarz OPP. - Wykurzamy te dzieciaki zewsząd. NIENAWIDZĘ tego, Sasza, NIENAWIDZĘ.*

Sasza pospiesznie przekazał łagodne, kojące myśli, aby ukoić zamęt w umyśle brata.

- *Cud życia powinien być błogosławieństwem, a nie przekleństwem. CZEMU ludzie są tacy nieodpowiedzialni? Czemu wydają na świat miriady nie chcianych dzieci, a potem je MARNUJĄ?*

- *I nielegalne dzieciaki mają swoje prawa -* odparł Sasza, cytując słowa brata. - *Chociaż tyle zostało najslabszym.*

- *Nielegalniacy są kierowani na stację kosmiczną.* - W „głosie” Borysa brzmiał zawód i smutek.

- *Ale nie jako prosta siła fizyczna. Uczą się WYKONYWAĆ coś o wiele bardziej konstruktywnego, niż ich rodzice kiedykolwiek potrafili. Nie dręcz się już, bracie.*

- *Towarzystwo wzajemnego psychicznego wsparcia?* - rzucił gorzko Borys. - *Przybieram odpowiednią pozę i ideę postraszyć te rozjątrzone samiczki; może wycisnę z nich coś sensownego.*

- *W tym jesteś najlepszy. Aha, gdy znajdziesz chwilkę czasu, posłuchaj wiadomości. Dowiesz się, po co przydusiliśmy cię wezwaniem G i H.*

- *Już z góry gratuluję, bo wyczuwam triumf w twoich myślach, ale będę musiał poczekać na powtórkę wiadomości...* - I Borys wszedł do sali prób, rozmyślając, jak cennym i rzadkim dobrem stał się nagle „czas”.

Roznin wkroczył do sali, przybierając jedną ze swoich oficjalnych, siejących grozę i nakazujących posłuch postaw. Wysoki, przystojny, silny - co dodatkowo podkreślał mundur polowy - wystraszył kobiety na tyle, że na moment zamilkły; nie na długo, rzecz jasna, ale potem pytowały o wiele ciszej.

- *Mam coś, komisarzu* - odezwał się Ranjit. - *Wyrwało się tej młodej, pulchnej kobiecie, czwartej po lewej stronie, tej ze znakiem kasty. „To wszystko przez Tirlę”. Myślę, że „Tirla” to kobiece imię.*

- Niech pan tłumaczy moje słowa, poruczniku - polecił oficjalnie Borys, przechadzając się wyniośle przed grupką kobiet. - Jestem Borys Roznin, komisarz OPP. Gdzie dziewczynka, która była z wami tego wieczora?

Borys bez trudu wyczuł oburzenie, zawiść, gniew, przerażenie; Ranjit tłumaczył jego słowa na rozmaite języki. Kobiety miały dość czasu, żeby się zorientować, iż znalazły się w ciężkich opałach. Niektóre martwiły się o dzieci, zbyt długo już pozostające bez opieki w mieszkaniach. Inne pielęgnowały swoje poczucie żalu. Roznin wychwycił też rozmaite warianty zdania podsłuchanego przez Ranjita, lecz nikt już nie wymienił imienia. „To wszystko JEJ wina”. Zadowolili się bezosobową złośliwością.

- Zapewniam was, że dzieci w waszych domach nie pozostaną bez opieki, dopóki was nie zwolnimy - poinformował je Borys z uprzejmym uśmiechem.

Kiedy każda z grupek językowych pojęła sens owego zdania, zaczęły się zawrozczenia, bicie się w piersi i wyrywanie sobie włosów; posypały się dalsze zarzuty. Roznin świetnie czuł ich furję, rezygnację, zagubienie (w jednym przypadku - ulgę), ale nie rozumiał, co mówią.

Ranjit: *Bilala mówi, że to wszystko JEJ wina, bo się opierała, kiedy lama ją wybrał.* - Porucznik przytrzymał pulchną jędrę ze znaczkiem kasty, która chciała się rzucić na wyniosłą, starszą kobietę z orlim nosem stojącą po przeciwległej stronie pokoju. - *Mówi, że Mirda Khan do tego doprowadziła. Mirda Khan odpowiada, że - o, znów to imię, Tirla - że Tirla nie mogłaby dla nich tłumaczyć, gdyby się znalazła na scenie. I tak niewiele zrobiła, żeby zasłużyć na zapłatę.*

Borys: *Proszę zapytać, która z nich jest matką Tirli, poruczniku.*

Pytanie było na tyle podstawowe, że zrozumiała je większość kobiet. Zamknęły się natychmiast, a nawet wyciszyły na moment mętlik w swoich umysłach. Potem znów zaczęły lamentować. Sprawa prędko się wyjaśniła. Żadna z nich nie była matką Tirli, za to - zgodnie z oczekiwaniami Borysa - w umyśle każdej mignął obraz dziewczynki.

- *Mamy* - oznajmili chórem Norma i Ranjit.

- *Ja też.* - I komisarz OPP wykonał gest mówiący, że kobiety mogą być zatrzymane lub zwolnione, w zależności od tego, co wykaże dochodzenie; a następnie pospieszył do modułu operacyjnego.

W module czekał nań Loufan z przygotowanym już kartonem i pisakiem. Borys położył dłoń na szczupłym ramieniu Azjaty i skoncentrował się na myślowym „obrazie” Tirli. Loufan szybko naszkicował wizerunek - kilkoma precyzyjnymi liniami uchwycił wyraz pełnej napięcia twarzy (większość kobiet zapamiętała ją w chwili paniki, kiedy włókno spadło na dziewczynkę): szeroko rozstawione, duże, nieco skośne, ciemne oczy, wystające kości policzkowe, gęste, spływające faliście włosy, cienki, prosty nosek, małe usta, zdecydowany zarys podbródka, zabawna dziurka w brodzie. Urocza buzia (jeśli pominie się przerażenie); ktoś inteligentny, choć przestraszony; Tirli wyglądała tu na sześć, siedem lat, lecz strzępek myśli starej, tłustej kobiety wskazywał, że była nieco starsza. Kobieta pamiętała ją od ładnych paru lat.

- To ona? - zapytał Loufan, przenosząc szkic na ekran.

Komisarz OPP przyjrzał się uważnie rysunkowi, porównał z wizerunkiem w pamięci dwudziestu kobiet.

- Tak, to ona. Odbij to i rozdaj wszystkim oficerom i Talentom. Coś mi się zdaje, że przyda się nam to dziecko. Ona jest... - Borys starał się określić uzdolnienia Tirli, ale mu się nie udało. - Hmmm, jest „surowym” Talentem i potrzebuje naszej pomocy - zakończył. - *Sasza, czy „natychmiastowe” tłumaczenie brzmi poprawniej niż „jednoczesne”?*

Sasza poszperał w umyśle brata.

- *I tak jest unikatowa, skoro aż dziesięć grup etnicznych najęło ją do tłumaczenia. Przypuszczam, że jej Talent pozwala na łatwe*

przerzucanie się od jednego języka do drugiego. Najpierw ją znajdziemy, a później się dowiemy, kim jest.

24

- Tirla!

Dziewczynka zbudziła się gwałtownie; ze snu wyrwał ją czyjś głos, łagodnie, lecz natarczywie wymawiający jej imię. Nie poruszyła się, nawet nie otworzyła oczu.

- Czyż to nie sprytny, mały diabełek? Zawołaj ją jeszcze raz.

- Nic z tego, Borysie. Teraz ma się na baczności.

To na pewno sen. Tirli często się zdawało, że słyszy, jak matka woła jej imię. To musi być sen, bo nikt nie wie, gdzie się teraz schowała, choć OPP przeszukiwała główne kanały i wysyłała czujki w boczne. W drodze do domu wymknęła się gorliwym poszukiwaczom. Widziała dzieci wypłaszane z kryjówek.

Jej podejrzenia co do zebrania okazały się słuszne. To miał być pretekst do wyłapania nielegalnych dzieciaków i sprawdzenia wszystkich ID. Nikt nigdy nie wiedział, gdzie jest kryjówka Tirli. Nawet w myślach nie wymieniała tego miejsca. I nikt nie powinien jej znaleźć, choćby nie wiadomo jak dokładnie szukał.

Pokrzepiona na duchu Tirla umościła się w ciepłym śpiworze. Nagle gdzieś w pobliżu rozległy się jakieś hałasy, więc zamarła. Posłyszała, jak otwierają się zawsze zamknięte drzwi. Co za niezwykle

dokładne poszukiwania! Nawet ona nie umiała się przedostać do tamtego pomieszczenia, a mimo to je przeszukiwano.

- *Tam jest ciemno. To wszystko, co mogę powiedzieć, Sasza.*

- *Nie trać z nią kontaktu, Carmen. Musi albo zapalić światło, albo wyjść stamtąd.*

Nawet JEGO ludzie nie znaleźli kryjówki Tirli, a przecież mieli w małym palcu wszelkie sztuczki i uniki stosowane w tym światku. Miała szczęście, że Bulbar jej nie schwytał. Był niegodziwy i niebezpieczny. Wciąż pulsowało to miejsce na głowie, z którego wyrwała włosy. Natarła je odkażaczem. Bulbar mógł nasaczyć te włókna jakąś zarazą; parszywy, stary drań.

No i nie załatwiła mu sprawy. Nie „wyprała” szmalu. Ale jak się mógł spodziewać, że jej się to uda, skoro i on, i wszyscy kupcy w ogóle mieli fart, że uciekli z pułapki! Lecz ON nie uznawał żadnych wymówek. Co za niefart, że lama-szaman ją wybrał! Na którą z kobiet tak naprawdę polował? I dlaczego? Tirła nie zdołała tego pojąć. Żadna z nich nie była ani ładna, ani młoda, ani fertyczna - nie z takimi mężami!

Hałasy towarzyszące poszukiwaniom powoli cichły; Tirła ostrożnie sięgnęła po dzbanek z wodą i po żywność, które przechowywała tu na takie właśnie okazje. Żuła suchą strawę i odgłosy żucia odbijały się okropnym hałasem w jej głowie. Słyszała, że istnieje ultraczułe urządzenie, które potrafi wyłapać oddech w promieniu pięciu kilometrów - ale generatory i klimatyzacja powodowały tyle hałasu, że powinno to zamaskować odgłosy żucia, a ona była naprawdę głodna.

Tirla zaspokoila głód i pragnienie, potem wśliznęła się głębiej w śpiwór i znów zasnęła.

- Odpocznij, Carmen - odezwał się Sasza. - Ona i tak nie wyjdzie przed nocą. A może i wtedy nie.

Carmen pomasowała sobie delikatnie skronie i westchnęła:

- Masz rację. Odpocznę. Ona jest wyjątkowa, prawda, Sasza?

- Tak sądzimy, choć właściwie nie wiemy, na czym to polega.

- To piękny, jasny umysł. - Carmen spojrzała na Roznina z lekkim zdumieniem. - Jak dzwoneczek. Kiedy śpi. Gdy się budzi, staje się ostrożna i przezorna. Mogę dotknąć jej umysłu, lecz nie umiem go odczytać. A przez tę ciemność nawet nie potrafię cię do niej poprowadzić.

- W końcu wyjdzie.

Wzrok Carmen mówił, że Sasza Roznin mógł się tym razem mylić. Uśmiechnął się do niej i mrugnął, po czym wrócił do siebie.

* * *

- Przejrzeliśmy wszystko, co mamy, o ludziach, których Szarlatan wyłapał dla Yassima - oznajmił Borys, układając płachtę wydruku na biurku. - I nie znaleźliśmy wspólnego wyznacznika, Sasza. To przede wszystkim fizyczni pracujący akurat tyle, żeby nie podpaść Urzędowi Pracy Przymusowej; na koncie mają wyłącznie niewielkie

wykroczenia. Żaden nie jest notowany w związku z hazardem czy złodziejstwem.

Sasza uśmiechnął się chytrze i poczuł, jak brat puka do jego umysłu, ale nie opuścił osłony. On mógł się tak „zamknąć” przed Borysem, natomiast brat przed nim - nie.

- Za tobą trzydzieści trudnych godzin, więc ci powiem. Wszyscy byli ojcami.

- Co? - Borys aż się zaczerwienił.

- Pontis znalazł dojście do danych o mieszkańcach liniowca. To było takie proste, że początkowo to przeoczyliśmy. Bertha „wyczuwa” kobiety i dzieci. Auer - ciemniejszą stronę życia.

- Niekiedy nie dostrzegamy tego, co najprostsze. - Borys podrapał się po głowie. - Więc Szarlatan wybierał ojców, i to najprawdopodobniej z małymi dziećmi, a dziewczynka była na okrasę?

- Tak mi się zdaje. O niej wciąż jeszcze nic nie wiemy - dorzucił Sasza, świadom, o co zapyta brat. - Carmen się z nią sprzegła, lecz mała jest ostrożna i nie ruszyła się ze swojej kryjówki.

- Wystraszona?

- Nie, co dość dziwne. Coś mi się zdaje, że i przedtem starała się nie rzucać w oczy. Przecież jest nielegalna i na dodatek nieomal nastoletnia.

- To by każdemu wyostrzyło zmysły.

- Jak ci idzie ze sprawą Yassima?

- Oceniamy, że złowił przynajmniej dziewiętnaścioro dzieci, może troszkę więcej - skrzywił się Borys. - Z liniowca G zebraliśmy ośmuset troje nielegalniaków. Jeżeli prawdą jest to, co przypuszcza Harv - że każda z ewentualnych matek rodziła co rok - to brakuje nam jakiejś czterdziestki dzieciaków. Osiemnaścioro z nich znaleźliśmy w podziemnych magazynach, ale zablokowały wejście. Pracujemy nad tym. - Borys potrząsnął głową. - W schronisku na pewno byłoby im lepiej.

- A w kosmosie? - spytał cierpko Sasza.

- I w kosmosie mają więcej szans niż tu, w liniowcu.

- Wtedy nie mogłyby mieć dzieci. - Sasza nigdy nie pochwalał prawa nakazującego sterylizację nielegalniaków.

- To nie ja ustanawiam prawa, bracie. - Borys uniósł ręce w geście pełnym rezygnacji. - Ja tylko pilnuję, żeby je stosowano. - Pochylił się i wystukał nowy program. - W porządku. Teraz musimy złapać Yassima w jego norze i ocalić dziewiętnaścioro lub więcej dzieci.

* * *

- Ona się ruszyła, Sasza. - W głosie Carmen brzmiał i niepokój, i triumf.

- O tej porze dnia? - Roznin spojrział na zegarek.

- W liniowcu będą tłumy tych, co wracają z pracy.

- Trzymaj się tak blisko niej, jak tylko zdołasz.

- To bardzo trudne, Sasza. Zupełnie, jakby nie „postrzegala” tego, na co patrzy. Nie mogę znaleźć żadnego punktu zaczepienia, wiem tylko, że wokół małej są ludzie. Chwileczkę! Zatrzymała się. To na nic. Widzę jedynie masy standardowej odzieży. Nadal jest w tłumie.

- Jestem w kontakcie z naszymi na głównych poziomach G, Carmen. Po prostu podaj nam kierunek. Jakikolwiek.

Sasza do Cass i Suz: *Uważajcie na naszą zwierzynę!*

* * *

Ku swojej uldze Tirla najpierw spotkała Mirde Khan. Mirda przeżywała jeszcze całą tę sprawę; jej czarne oczy płonęły oburzeniem i cwaniacką złośliwością - to nie ona ucierpiała z rąk UZP, jej łono już od dawna nie wydawało owoców. Była jednak na tyle przyzwoita, że uzalała się nad swoimi przyjaciółkami - straciły nie tylko dzieci, ale i nadzieję na urodzenie kolejnych.

- Zobaczają, jak jest ciężko tym z nas, co nie mają dzieciaków na sprzedaż.

- To po to Yassim tam był? Żeby kupować dzieci?

- A po cóż by innego? - Mirda wymownie wzruszyła ramionami. - Duchowe sprawy nic go nie obchodzą.

- Dostał wszystkich? - przeraziła się Tirla; hmm, dobry łup wprawi go w świetny humor i łatwiej jej będzie załatwić sprawę „nie wypranego” szmalu.

- Nie, to ONI złapali większość. Yassim nie dopadł wielu, ale za to za darmo! - Mirda była oburzona. - Zmartwionym matkom i ojcom nic nie zapłacono! Dzieciaki biegły do niego, żeby nie wpaść w łapy OPP. Biegły! Żadnej zapłaty, żadnej umowy! Już się nie odważy przyjść do G! - Tu Mirda wpiła krzepkie palce w ramię Tirli. - CO mówił lama-szaman? Nie przetłumaczyłaś nam. I na domiar wszystkiego byłaś taka bezczelna, że zerwałaś pasmo, które cię wybrało. Zyskałaś przez to dozgonną nienawiść Bilali i Pilau; bo odrzuciłaś jego wybór.

- Wybór? - Dziewczynce udało się wyrwać. - Jestem nikim, czemu miałby mnie wybierać? Po prostu nie trafił. Powiedz Bilali, że uważam, iż to w nią celował i nie trafił. Co do jego słów, to nic nie straciłaś. Ten cały lama-szaman bluzgał jakimiś głupawymi sylabami. Żadnego konkretnego słowa w jakimkolwiek języku. Nawet w swoim umyśle nie używał prawdziwych słów. Nie miał takiego zamiaru. To oszust i kanciarz, a nie szaman. To wszystko zmontował UZP, żeby przeczesać liniowiec G.

- Jak to możliwe? - Mirda była wstrząśnięta. - Nie, to niemożliwe. Przecież przyszli tam ci wszyscy handlarze, a niektórzy mieli towar, który nie powinien wpaść w łapy OPP. No i był tam Yassim ze wszystkimi swoimi zbirami. ONI by wiedzieli. Może i pasmo było dla Bilali, jak twierdzisz. Ona też tak sądzi, sama rozumiesz, czuje się godna takiego wyboru. Kobieta, która co rok rodzi mężowi dzieciaka. A teraz oni jej to zabrali, zabili dumę jej mężczyzny. Będzie to wypominał Bilali do końca jej dni.

Mirda biła się w piersi, a Tirla wykorzystała ten moment, żeby się dyskretnie oddalić.

A więc Yassim dostał dzieciaki z G i nie zapłacił za nie. Ona ma jego szmal, którego nie zdołała „wyprać”; lepiej będzie, gdy to odda. Jeżeli ma tyle dzieci, to zostawi ją w spokoju. Niedobrze, że Bilala jej nienawidzi. Szkoda, że nie zapytała Mirdy, czy i inne klientki też. Tirla MUSIAŁA być w dobrych stosunkach ze wszystkimi w liniowcu G. Bo była nielegalna. Bilala i Pilau mogą być wystarczająco zawzięte, żeby ją wydać, z zemsty za swoje utracone dzieci. Chyba że...

Chyba że Tirla zdobędzie forszę za dzieciaki, które wpadły w szpony Yassima. Wiedziała, gdzie przetrzymuje taki towar. Teraz zależy, kogo dostał.

Tirla skręciła w boczne przejście, rozejrzała się, czy nikt nie patrzy i pociągnęła kratę zamykającą kanał. Krata ani drgnęła - założono nowe śruby. Dziewczynka sprawdziła, czy nie było tam jakichś „oczu” lub kabli - ale nie; to był bardzo mały otwór, mogło się wtedy wśliznąć tylko malutkie albo chudziutkie dziecko. Wyjęła wibrujące ostrze, które kiedyś dostała za jakąś usługę, i wykręciła dwie śruby. Wpełzła w ciemny kanał.

* * *

- *I to akurat wtedy, kiedy coś dostrzegłam.* - Carmen była zrozpaczona. - *A przynajmniej tak mi się zdawało. Znowu weszła w*

ciemności. Nie, chwileczkę, Sasza, jest jakieś światło. Znalazła się w jakimś zatłoczonym tunelu.

Sasza: Korzysta z tych cholernych przejść podziemnych. Jeśli tak dalej pójdzie, to przez cały rok będę miał na monitorze schemat G.

Carmen: Ale za to jak dobrze poznasz „brzuch” mieszkalnego liniowca!

Sasza: Wielkie dzięki. Nie spuszczaaj z oka naszego kredka.

Carmen: Czemu nie przyczepiliście jej pluskwy?

Sasza: Gdy tylko ją zlokalizujesz, na pewno to zrobimy.

Carmen: Obrączkujący „odnajdywacze”! Chwileczkę, Sasza, coś mi się zdaje, że ona wychodzi poza G.

Sasza: Jakim cudem?

Carmen: Jest w metrze. Czerwone światło. Tylko towarowe tunele są oświetlone na czerwono, prawda?

Sasza: O Boziuniu! W którym kierunku poszła?

- Sasza, tu Cass. Dopiero co widziano, jak Mirda Khan rozmawia z naszą zwierzyną. Khan twierdzi, że mała jej uciekła. Już się rozpędziłam, żeby w to wierzyć.

Sasza: O czym rozmawiały?

Cass: O zebraniu, Szarlatanie, Yassimie. Khan wpadła w panikę i gada od rzeczy. Jest przerażona; bije od niej poczucie winy, niepokój, ale przede wszystkim strach - głównie o nią samą, ociupinkę o Tirlę.

Sasza: Borys, nasza zwierzyna może podążać na jedno z przemysłowych terytoriów Yassima. Postaw w stan pogotowia swój nadzór.

Sasza Roznin siedział w swoim gabinecie w Centrum Parapsychologicznym; opanowało go dręczące poczucie zawodu i zniechęcenia, jakie spadało jedynie na nieliczne Talenty. Łatwiej było dopaść zatwardziałego kryminalistę niż jednego podlotka, który na dokładkę wyglądał na połowę swoich lat. I po co, u licha, ta mała laźła na terytorium Yassima? Lepiej by wpełzła do tej swojej najtajniejszej kryjówki. Saszę dręczyły wspomnienia o wiwisekcjonowanych dziecięcych ciałkach.

Barczenka wpadła we wściekłość, kiedy ją poinformowano, że przez tydzień będzie pozbawiona najsilniejszych kinetyków; tyle czasu miało zająć łagodzenie skutków monsunowych powodzi. Najpierw krzyczała, że to bunt, potem - że jakiś okropny kant; w końcu usadził Ludmiłę jej własny zarząd stacji kosmicznej, przypominając, że Talenty mają niezbywalne prawo do pomagania w razie wielkich kataklizmów, a powódź w Bangladeszu z całą pewnością do takowych należała; zaś pilot był ochotnikiem, który nie pełnił wtedy służby, a *Erasmus* wrócił na Drugą bez szwanku, jak tylko Woomera pozwoliła na start.

Dzięki wyteżonym wysiłkom przy wzmacnianiu grobli i przemysłnemu manipulowaniu zaporami i sztucznymi zbiornikami dolna część Bangladeszu, od Bogry aż do morza, nie zamieniła się w ogromną lagunę. Mimo to trzeba było ewakuować całe miasta, a niezbędne zaopatrzenie dostarczano w przeraźliwie trudnych - nawet dla kinetyków - warunkach. Częściowo opanowane wody i tak zalały Chittagong i miasta na wybrzeżu, lecz nie była to tak katastrofalna powódź, jak przepowiadali jasnowidze. Talent po raz kolejny zminimalizował skutki żywiołu.

Następnego dnia Peter Reidinger spał do późna; Don Usenik zbadał go potem i nie stwierdził, żeby tak intensywne wykorzystanie gestaltu zaszkodziło jego zdrowiu. Za to nie było najmniejszych

wątpliwości, że ów wyczyn bardzo chłopca zmienił: nie „płynął” i nie usiłował chodzić - stapał pysznie jak paw, z dumnie uniesioną głową i nieco wyniosłym uśmiezkiem.

- Jak to mówią? Władza na ogół uderza do głowy, a im większa władza, tym większe „bąbelki”? - spytał Rhyssę Sasza, rozjątrzony strapieniem o zagubioną Tirlę. - Jest dziś taki z siebie zadowolony, że trudno to znieść.

- Nie przesadzaj, Sasza! - parsknęła Dorotea. - Ma prawo się puszyć. To normalna reakcja, zwłaszcza dla czternastolatka, który do tej pory co najwyżej zmieniał mrugnięciem oka kanały w Tri-D lub naciskał językiem przycisk. Uratowanie całego kraju każdemu by uderzyło do głowy. Wysondowałam Petera przy śniadanku, kiedy był jeszcze śpiący, i nie znalazłam w jego umyśle ani śladu zepsucia. - Uśmiechnęła się. - Większy generator, więcej bohaterskich wyczynów i mnóstwo samozadowolenia.

- Rozchmurz się, Sasza, misiaczku. - Rhyssa uśmiechnęła się doń pokrzepiająco. - Już zapomniłeś, co ty i Borys wyprawialiście w tym wieku?

- Telepata nigdy nie wpadnie w takie tarapaty jak kinetyk - odburknął Sasza, rozmyślając ponuro o dziewczynce błędzącej w czerwono oświetlonych tunelach dostawczych; jaki ona miała Talent?

- Peter jest bardzo rozsądny - stwierdziła Rhyssa. - Jest wrażliwy i mądry. Musimy się zastanowić, JAK go po tym cudzie przywołać do okrutnej rzeczywistości.

- Zwykle pomaga odwrócenie uwagi - wtrąciła z błyskiem w oku Dorotea. - Często stosowałam tę sztuczkę wobec moich chłopaków. - Zmarszczyła nos i westchnęła. - Zbyt często.

- Ciężko będzie odwrócić uwagę Petera od wyczynu z *Erasmusem* - zauważył ponuro Roznin.

Johnny Greene: *Rhyssa, wzywaliście G i H. Czy to miało coś wspólnego z popisowym lądowaniem i startem ERASMUSA?*

W tej samej chwili zadzwonił jeden z telefonów na biurku Rhyssy i Sasza, który siedział najbliżej, podniósł słuchawkę.

- Dave? Nie, Rhyssa akurat „rozmawia” telepatycznie. O co chodzi? - Słuchał przez chwilę, potem odłożył słuchawkę; minę miał jeszcze bardziej ponurą niż przedtem.

Rhyssa: *Johnny, to ogromnie skomplikowane.*

Sasza: *To jeszcze nie wszystko, skarbie. Dave też ma dla nas złe wieści. Ludmiła głosi, że splamiliśmy nasze nieśmiertelne dusze i z premedytacją sfalszowaliśmy rejestr.*

Johnny: *Vernon ma pełno interwencji z NASA, od kierownictwa Drugiej, z Ministerstwa Spraw Kosmosu...*

Rhyssa, twardo: *Przypomnij Vernonowi, czym się zajmują kinetycy na subkontynencie indyjskim. Sasza, powiedz Dave'owi, żeby podkreślał, iż - pomimo przeciwności - Talenty wywiązały się z obowiązku pomocy w razie katastrofy. A wy obaj stawcie się tu jak najszybciej. Zwłaszcza ty, Greene.*

Zaś do Dorotei powiedziała:

- Coś mi się zdaje, że to nagle Peterowe poczucie wyższości zostanie wystawione na ciężką próbę.

Włączył się żalonym głosem Borys: *Pełnomocnik do spraw energii też się domaga wyjaśnień na temat G i H, które spowodowało ubiegłej nocy zaciemnienie i ogołociło jego zapasy mocy. Zarząd miasta również żąda odpowiedzi. Wiesz coś o tym, Sasza?*

Sasza, wściekle: *Nie!*

Wsiewołod Giebrowski, nagląco: *Barczenka cię dopadnie, Rhyssa! I nic nie mogę zrobić, żeby temu zapobiec. Powiedziałem Ludmile o G i H. Jej teleempaci wyjaśnili, że to sygnał alarmowy Talentów, który nie wymaga szczegółowych tłumaczeń. Nie akceptuje tego.*

Rhyssa: *Powiedz Ludmile ode mnie, że i ona ma mnóstwo tajemnic, których mi nie zdradza; na przykład nagrody za przedterminowe zakończenie czy kary za zwłokę. Ja jej nie wypytyję; niech i ona nie wypytuje mnie.*

Wsiewołod: *Ostrzegam cię, że ona na to nie pójdzie.*

Dorotea, pocieszająco: *Arnolda Vaden nie widzi żadnych niepomyślnych wydarzeń.*

Rhyssa: *Po co ją w to wciągnęłaś?*

Dorotea: *Bo uważam, że przyda się nam każda pocieszająca wiadomość.*

Sasza: *W tym samym helikopterze co Johnny lecą Dave Lehardt, Gordie Havers i dwie szyszki z NASA.*

Rhyssa przypomniła sobie jak wyglądał Peter przepelniony zasłużonym zadowoleniem, kiedy tak wspaniale rozwiązał sprawę *Erasmusa*. Jęknęła:

- On ma tylko czternaście lat.

Carmen: *Sasza, wiem, gdzie ona jest.*

Sasza wyprysnął jak teleportowany: *Powodzenia!*

Rhyssa: *Nawzajem!*

- Peter jest o wiele dojrzały niż większość czternastolatków, z którymi miałam do czynienia - zamyśliła się Dorotea. - Dotyczy to i ciebie. - Tu posłała Rhyssie napominające spojrzenie. - I ma wszystkie instynkty prawdziwego Talentu.

Tirla nie lubiła korzystać z tuneli dostawczych. Czerwone światło przygnębiało. Ale tylko tędy - tunelem dla pociągów zaopatrujących zautomatyzowane nadrzeczne zakłady - mogła się dostać do kryjówki, w której Yassim przetrzymywał zdobycz. Musiała skorzystać ze składu jadącego do przemysłowego kompleksu J; potem pomaszeruje do właściwej bocznicy. Takie martwe, nie myślące rzeczy jak pociągi nie budziły w Tirli żadnych obaw. W przeciwieństwie do żywych, bezmyślnych zbirów Yassima.

Prawie całą godzinę czekała - ze sto metrów od czerwono-czarnego wylotu tunelu G - zanim pojawił się pociąg J. Musiał zwolnić, zbliżając się do rozjazdu, toteż taka zwinna osóbką jak Tirla bez kłopotu dostała się na pierwszy segment składu i uchwyciła listwy. Rozpłaszczyła się na dachu; była tak drobna, że pomiędzy nią a stropem tunelu został kilkucentymetrowy prześwit. Dziewczynka silniej zacisnęła dłonie, pociąg nabrał szybkości. Owiewał ją cuchnący wiatr, paskudna mieszanina zapachu przegrzanego metalu, smaru i kwaśnej woni elektryczności; odwróciła twarz w dół, żeby się odeń uwolnić.

W końcu pociąg J zwolnił przy wtórze pisku hamulców i skręcił w lewo ku peronom rozładunkowym, a Tirla przygotowała się do zeskoku. Musiała wyładować na maszynerii wyładowczej, która otwierała wagony i wyciągała przeznaczone tu towary. Dziewczynka

zeskoczyła lekko i sprawnie, jak zawsze przedtem, i pobiegła wążutką dróżką obok pochylni i ruchomych ramp, które zaczęły rozładunek.

Kiedy dotarła do pierwszego zakrętu wąskiego tunelu i kiedy zniknęły resztki czerwonego światła, zapaliła latarkę; jak to dobrze, że w zeszłym tygodniu udało się jej zwędzić nowe baterie! Oświetlając sobie drogę, Tirla podążała naprzód w bardzo niewygodnej pozycji, nieomal w przysiadzie; wreszcie rozboleły ją mięśnie pleców i nóg. Opadła na kolana i przez chwilę odpoczywała.

Yassim przetrzymywał swój towar na tyłach zautomatyzowanej fabryki, za ścianą z beczek. Tirla, kierowana potężnym instynktem samozachowawczym, zbadała kiedyś tę komórkę. Hałas źle zestrojonych maszyn zagłuszał każdy krzyk. Nabywcy widzieli z bliska przetrzymywane tu dzieciaki, więc trzeba było o nie dbać. Tirla nie powinna mieć kłopotów z wyłączeniem archaicznego skanera. W stropie był luk wentylacyjny.

Dzieci były tu już prawie dwa dni. Pewno zdążyły odpocząć i spodobało im się tutaj - warunki były o całe niebo lepsze niż w mieszkalnych klitkach. Może nie będą chciały stąd odejść. Tirla żałowała, że nie wie, kogo zgarnął Yassim - łatwiej by jej było wymyślić, jak je poruszyć. Hmmm, już dość długo korzystały z jego gościnności; czas je zabrać i zmusić go, żeby zapłacił ich rodzicom.

Dziewczynka dotarła do celu; poluzowała odpowiednie druty staroświeckiego skanera - „śnieg” zasłoni obraz. Wysunęła się z wylotu szybu wentylacyjnego i zawisła u sufitu, co powitał podekscytowany zgiełk wielu głosów.

- Hej, wy tam! Zamknijcie się! - zakomenderowała Tirla w basiku i powtórzyła to dla tych, którzy wolniej tłumaczyli lub których trzeba było uspokoić. - Yusbi, przyciągnij materac, żebym mogła zeskoczyć. Przecież to wysoko.

Gdy znalazła się na dole, rozejrzała się szybko dookoła. Yassim musiał się naprawdę cieszyć - dwadzieścia cztery wspaniałe dzieci do sprzedania. Dostrzegła resztki niedawnego posiłku - przynajmniej strażnicy tak szybko tu nie zajrzą, choćby i „śnieg” zasnuł ekrany. Ale to również znaczyło, że więźniowie nie będą zbyt skorzy do porzucenia tego miejsca. O, na każde łóżko przypadało tylko dwoje dzieci. Wszystkie miały nowe ciuchy, a dziewczynki były wypacykowane jak ich matki.

- Czy Yassim już kogoś zabrał? - spytała Tirla nagłoco, drżącym głosem; oczy otworzyła szeroko, jakby ze strachu. - Dotarłam tu tak szybko, jak tylko mogłam! - dodała, dając im odczuć, że może nie zdążyła na czas.

- Cooo? - Yushiemu dobrze szło wykonywanie poleceń, ale nie myślenie.

- Zabrali moją siostrę. - Wymalowaną twarzyczkę małej Mirmalar zalały łzy. - Przed godziną ją zabrali. A miała takie śliczne ciuszki... pomarańczowe i brązowe, i złote, i nowe kolczyki...

- Och, Mirmalar, tak mi przykro. Robiłam, co w mojej mocy, żeby tu zdążyć na czas.

Tirla nie żałowała współczucia płaczącej siedmiolatce; wyczuła, że pozostałych zaczyna ogarniać panika - jeszcze nigdy nie była tak

wściekła na Yassima: nawet dla dziesięciolatków byłoby za wcześnie, a co dopiero dla siemio- i ośmioletnich DZIECI! Jakimż to zbrodźcom dostarczał ofiary?

- O co ci chodzi? - spytał agresywnie Tombi, najstarszy syn Bilali; gryzł batonik - sądząc po smugach na buzi, zjadł ich już sporo.

- Musimy stąd wiać - oznajmiła Tirla; puściła Mirmalar, obdarzając dziewczuskę pokrzepiającym klepnięciem. - Cuchnie tu.

- Wcale nie - odparł Tombi, odruchowo patrząc ku „kącikowi”.

- Wzięli już Rainę; wy też jesteście w porządnym tarapatach. Wyciągnę was stąd. Teraz, zaraz. Zanim nadejdzie więcej złych facetów. Wy, dziewczyny, wiecie, co mam na myśli. - Tu wyciągnęła ku nim sztywny palec; Tombi i Dick parsknęli. - I was to czeka, chłopaki, a jesteście za mali, żeby to wytrzymać.

Tombi przestał gryźć baton i spojrzał lękliwie na drzwi.

- Pewno, że dobrze was karmią. Brzuch was rozboli od tych słodczy. - Odsunęła resztki posiłku. - Płacz nic wam tu nie pomoże. Moglibyście sobie płakać do woli i tak nikt by tego nie usłyszał. Zrobiam z wami, co zechcą, i tyle. Matki wam przecież mówiły. Wiecie, czego się strzec.

Tirla świadomie straszyla dzieci, najmłodsze zaczynały pochlipywać. Nie chciała, żeby je sparaliżował strach.

- Yushi, Dick, Tombi, pomóżcie mi przesunąć łóżka. Zrobimy z nich stopnie. Tam wyżej jest dość miejsca.

- Ja nigdzie nie idę - zbuntował się Tombi.

Był wyższy i cięższy od Tirli, ale tak mocno go kopnęła w czułe miejsce, że aż się zgiął w pół.

- Idziesz, idziesz. Twoja matka mnie po ciebie przysłała. - Dziewczynka wiedziała, jak bardzo Tombi bał się Bilali. - Na pewno pójdiesz. Rusz się! I przestańcie beczeć, bo płacz nic nie pomoże. Musicie mieć siłę, żeby się tam wdrapać i potem maszerować.

W tym momencie Tirła uświadomiła sobie ogrom zadania: przemieszczenie dwudziestu czworga przestraszonych i dość opornych dzieci. Pozwoliła sobie tylko na chwilę słabości. Jakoś musiała tego dokonać, bo w przeciwnym razie pozostawało jej opuścić liniowiec G, a tego by nie chciała. Liniowiec G był jej domem: wyrobiła tu sobie pozycję, miała swoje interesy, była bezpieczna. Hmmm, dość bezpieczna, jeżeli się przyczai na jakiś czas.

Dziewczynka zapędziła wszystkie dzieci do szybu wentylacyjnego, zburzyła schodki z łóżek - nikt nie zwróci uwagi na bałagan - i założyła z powrotem osłonową kratę. Ktoś mógłby pomyśleć, że więźniowie byli tak mali, iż zdołali się przecisnąć przez kratę; ale gdzie by się podziała cała dwudziestka czwórka?

Tirła szła przodem; pozostałych tak ustawiła, żeby więksi trzymali za ręce młodszych. Nakazała, by Tombi zamykał pochód - niech i on za coś odpowiada - a Yushiego ustawiła pośrodku. On zawsze wypełnia polecenia.

Widok czerwono oświetlonej rampy wyładowniczej wcale Tirli nie pocieszył; wiedziała, że nie wszystkie dzieciaki zdołałyby się dostać na

dachy wagonów. Mogliby, rzecz jasna, pójść torami aż do G, ale to było bardzo, bardzo daleko no i co jakiś czas zagrażałyby im pędzące składy.

Hmmm, a może by im się udało cofnąć o jedną stację, do I, i schować w tym przemysłowym kompleksie? Byłoby to bezpieczniejsze niż pozostanie w J. A może nie? Może powinna zabrać tylko starszych, którym groziło większe niebezpieczeństwo? Nie, wszyscy byli zagrożeni: tych pozostawionych zmuszono by, żeby zdradzili, kto wyprowadził resztę. A gdyby tak schowała najmłodszych w bezpiecznym miejscu... i wróciła po pomoc? Ojciec Mirmalar uwielbiał swoje córki. Uczyni wszystko, żeby ocalić tę, która została. A stary Yushiego był jednym z najsilniejszych facetów w liniowcu G.

Drganie szyn uprzedziło Tirlę, że zbliżał się pociąg. Jak szybko się zorientują, czy jedzie do J?

- Schowajcie się w tunelach! Prędko! Stańcie na krawędzi! - poleciała i zajęła się Mirmalar, bo miała była bliska płaczu.

- W towarowych pociągach nigdy nikogo nie ma - odezwał się Tombi.

- Taaa, a niby jak ludzie Yassima podróżują tam i z powrotem? W wywrotce zmieści się i tuzin ludzi.

To uciszyło Tombiego i sprawiło, że jeszcze bardziej stracił w oczach reszty chłopców. Tirla popchnęła go ku tunelowi i pociągnęła za sobą Mirmalar.

Szczęk metalu świadczył o tym, że od północy skierowano ku J kolejny pociąg towarowy. Tirla nie sądziła, że to tak szybko nastąpi. Nigdy jej się nie uda załadować nań dzieciaków, nawet gdyby jechał w

odpowiednim kierunku i mógł ich zawieźć do domu. Chyba że będzie w nim wywrotka.

Jakoś dziwnie to wszystko wyglądało - dziewczynka zorientowała się, że na platformie nie ma żadnego towaru przeznaczonego dla nadjeżdżającego pociągu. Po cóż więc tu jechał? Czyżby Yassim miał kogoś w głównej nastawni? Czyżby wiedział, że opróżniła klatkę?

Pociąg składał się z pięciu wagonów. Dwa z nich wyglądały jak puste wywrotki. Tirla, nie zastanowiwszy się nad aż tak szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wciągnęła Mirmalar na platformę.

- Prędko. Długo tu nie postoi. Wszyscy muszą wsiąść.

Kiedy pociąg stanął, wszyscy byli na pomoście. Żadne z dzieci nie zdołało ująć przed gazem usypiającym, który je nagle otoczył. Upadły jak zwiędłe kwiaty na pokryty plastykiem pomost wyładunkowy.

- Przecież to jeszcze dziecko - powiedział Sasza, kiedy wraz z Carmen układał na kocu obiekt ich tak intensywnych poszukiwań. - Chryste, jakaż drobniutka.

Carmen uśmiechnęła się i odwróciła na bok głowę śpiącego dziecka, żeby zobaczyć, skąd wyrwano pukiel włosów. Niemal dotknęła ranki, ale się powstrzymała.

- Sasza, przecież to sama skóra i kości. Musimy ją podkarmić.

Roznin zmarszczył brwi i rozejrzał się, patrząc, jak reszta ekipy zajmuje się pozostałymi dziećmi.

- Może nie, Carmen. Borys i ja mamy co do niej przecucia.

- I ja również. - Tu Carmen posłała Saszy jeden ze swoich najbardziej tajemniczych uśmiechów.

Borys: Złapaliście ją?

- Tak, kochany braciszku; ją i całą resztę. Przyprowadziła ich tu sporo. Musiała wiedzieć, gdzie są. - I głośno dodał: - Ciekawe skąd?

Borys aż zaklął. Wraz z Saszą szedł tropem podawanym przez Carmen; kiedy Tirla popędzała dzieciaki, oni organizowali ekipę, wiedząc, że Yassim ma „sprawy” w przemysłowym J.

Borys: Co jej strzeliło do głowy?

Sasza: A gdybyśmy tak poszukali, gdzie je trzymał?

Borys: I co nam teraz z tego przyjdzie? Raczej już nie skorzysta z „odtajnionej” kryjówki.

Sasza: *Owszem, jeżeli będzie myślał, że dzieciaki uciekły własnym przemysłem.*

Borys, z ożywieniem: *Dasz radę tak to wyreżyserować?*

Sasza: *Spróbuję.*

Borys: *Gdyby ci się udało, mielibyśmy kolejne „oko” na Yassima. DLACZEGO ona to zrobiła?*

- Obudźmy Tirlę - powiedział do Carmen Sasza, sięgając po tlen.
- Jeśli nam pokaże, gdzie były dzieciaki, to coś zyskamy z tej całej operacji.

- Już zyskaliśmy. Znaleźliśmy więcej, niż się spodziewaliśmy, czyż nie?

- I tak, i nie. Pomóż mi, Carmen. W grę wchodzi o wiele więcej niż ta cenna dziewczuszka.

Obudzona Tirla przeszła natychmiast do defensywy; czujna, opanowana, strzelała wokół ciemnymi oczami: zauważyła i nieprzytomne dzieci, i medyka zalepiającego specjalnym środkiem otarcia i zadrapania. Carmen podała jej odżywczy napój, upiwszy przedtem porządny łyk z kubka.

Sasza próbował delikatnie wysondować umysł dziewczynki, ale wyczuł tylko nieznośne pragnienie. Nieufnie pociągnęła malutki łyczek i pottrzymała w ustach, zanim przełknęła. Błyszczące, ciemne oczy patrzyły wyzywająco na Roznina. Swobodnie rozsiadł się obok niej, otoczył rękami kolana i oparł się o ścianę.

- Tirla. - Drgnęła ze zdumienia. - O, jesteś bardzo dobrze znana w G. A odwagę, z jaką uwolniłaś dzieciaki, docenią nie tylko ich rodzice.

- Jak mnie tu z nimi znalazłeś? - Popatrzyła na niego i na Carmen, dostrzegła kosmyk swoich włosów, które tamta wciąż miała przypięte jak talizman; ręka dziewczynki odruchowo dotknęła strupka na głowie; chude ramionka zwisły bezwładnie, ale umysł niczego nie zdradził. - Słyszałam o takich ludziach. Znaleźliście mnie, bo macie moje włosy.

- To nie czary, Tirlo - powiedziała łagodnie Carmen i oddała małej kosmyk włosów. - Mam Talent, dzięki któremu mogę odnajdywać zaginionych ludzi i zagubione rzeczy.

- Wcale nie zaginęłam.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się z aprobatą Sasza. - Ale znalazłaś to, co zaginęło z liniowca G.

- Nie zapłacił za nie.

- Więc gdy zapłaci, to będzie mógł je zabrać? - Carmen zapało dech.

- No pewnie. Ich rodzice żyją z przydziałów. Potrzebują forsy, bo tylko za wolniaki mogą kupić coś ekstra.

Sasza był świadom, że pozorna nieczułość Tirli dotknęła Carmen, która się tego po małej nie spodziewała.

- I pogodzi cię to z twoimi klientkami, dość wściekłymi, że tak niespodziewanie opuściłaś zgromadzenie - dodał uprzejmie.

Tirła kiwnęła głową, nie spuszczając zeń oczu.

- Są nielegalne, prawda?

- Pewnie, więc nie twoja broszka, co się z nimi stanie. - Tirła obojętnie wzruszyła ramionami.

- O nie - wtrąciła zasmucona Carmen. - Żyją. Mają prawa!

- Nielegalniaki nie mają praw. - Dziewczynka rzuciła na nią okiem i znów wbiła wzrok w Saszę.

- Tylko ich narodziny były nielegalne, Tirlo - rzekł Roznin. - Żyją. Mają prawo do mieszkania, pożywienia, odzieży, nauki i do wykonywania użytecznych zajęć. Nie mają jedynie prawa do posiadania potomstwa... - Już zamierzał jej to przystępnie wytłumaczyć, kiedy spostrzegł, że świetnie to rozumie; była dojrzała ponad swój wiek i otrzaskana z życiem w liniowcach: nie była taką romantyczką jak Carmen. - Za to na pewno nie zasłużyły na to, co szykował dla nich Yassim. - Tu Sasza wyczuł ukłucie strachu, błysk nienawiści; ciemne oczy Tirli stwardniały. - Ty też nie przepadasz za Yassimem.

I znów obojętne wzruszenie ramionami.

- Czy pomożesz nam go unieszkodliwić?

Mała i przedtem była czujna, ale Saszy się zdawało, że teraz aż się zwinęła w sobie.

- Ty nie jesteś z OPP. Czemu chcesz nabruździć Yassimowi?

- Racja, nie jestem z OPP, ale mam z nimi konszachty. Zwłaszcza przeciwko takim typom jak Yassim.

- Taki jak Yassim to się wykupi za każdym razem, gdy go OPP capnie - parsknęła Tirla. - Ma wpływowych przyjaciół. OPP nie da mu rady.

- A chciałabyś, żeby dała?

Zastanawiała się przez chwilę, potem obdarzyła go jasnym spojrzeniem:

- Zawsze będą tacy jak Yassim, ale świetnie bym sobie bez NIEGO radziła.

Sasza wiele by dał za to, by móc wysondować jej umysł, wyczytać tę odpowiedź. Tirla była przebieglejsza, niż się mogli spodziewać. Siedziała przed nim, skrzyżowawszy nogi, całkiem spokojna, czujna i... ubijała interes, zupełnie tak, jakby w każdej chwili mogła wstać i odejść.

- I ja się chcę pozbyć Yassima, Tirlo. Pomożesz mi?

- A co będę z tego mieć? - Cień uśmiechu musnął oczy i usta dziewczynki.

Carmen aż sapnęła ze zdumienia. Sasza posłał jej kojące myśli, przekonywał, żeby mu pozwoliła po swojemu załatwić tę sprawę. Pstryknął palcami i powachlował się nowiutkimi wolniakami.

- Skąd je wzięłeś? - Oczy Tirli rozszerzyło zdumienie i oburzenie.

Sasza rzadko wykorzystywał swoje kinetyczne uzdolnienia, lecz ta sztuczka zawsze robiła wrażenie.

- Pomożesz mi, to będą twoje. Ale musimy się spieszyć, by Yassim nie odkrył wcześniej, że jego ptaszki wyfrunęły.

Zerkała na wolniaki. Mimochodem podrapała się po żebrach. Sasza uśmiechnął się w duchu: wiedział, że sprawdzała, czy nie zabrał jej ukrytego szmalu. Z precyzją komputerowego analizatora rozważała jego ofertę.

- Jest jeszcze sprawa twojej legalności, Tirlo - dodał łagodnie. Borys, dając bratu telepatycznego szturchańca: *Nooo, braciszku, nie mamy czasu na przyjacielskie przekomarzanki.*

Sasza: *Wprost przeciwnie, braciszku; mamy tyle czasu, ile trzeba. To mocna osobowość i przebiegła osóbka. Nie będę jej przynaglał.*

Borys: *No, to finiszuj.*

- Jestem jedynym dzieckiem mojej matki. - Tirla posłała Saszy promienny uśmiech.

- Ale nie jesteś jej legalnie zarejestrowanym potomkiem.

- Skąd wiesz?

- To nam powiedziało. - Sasza dotknął kosmyka włosów dziewczynki. - Ale to drobnostka i łatwo można temu zaradzić.

- Drobnostka? - Oczy dziewczynki zwięzły się, uśmiechnęła się cynicznie. - Naprawdę musisz mieć chody w OPP - namyślała się, patrząc z ukosa na Carmen. - I wolniaki też dostanę? - spytała niewinnym głosem.

Sasza z trudem powściągnął uśmiech. Ofiarował małej najcenniejszą nagrodę - legalność, a mimo to swędziały ją paluszki i do pieniędzy. Nie dlatego, że oferował sporą sumkę (nie takiemu dziecku, które chowała ulica!); po prostu owa kwota zapewniłaby jej przez kilka tygodni dodatkowe zaopatrzenie.

- Jeżeli zaraz wyruszymy!

Tirla splunęła w prawą dłoń i wyciągnęła ją ku Saszy. Bez wahania zaakceptował ten archaiczny zwyczaj. Uścisk drobnej dłoni był zadziwiająco silny. Dotknięcie ręki Tirli - fizyczny kontakt ze świadomą siebie, pełną energii indywidualnością - wywołał w Saszy osobliwy wstrząs, początek wizji, która rozwiała się zbyt szybko, by Roznin zdołał ją zarejestrować.

Borys, zauważywszy to: *Co ona ci zrobiła?*

Sasza: *Sam dobrze nie wiem, braciszku. Musimy z nią bardzo, bardzo ostrożnie postępować. Gdy wrócimy, chcę dostać dla Tirli specjalne ID. Słyszysz?*

- *Słyszę i jestem posłuszny!* - odparł żartobliwie Borys, a Sasza z ulgą przyjął zgodę brata. - *Dotrzymaj umowy, ale chcę mieć tę dzikuskę pod kontrolą.*

Przyklepano zawarcie umowy. Tirła podniosła się zwinnie. Głowa dziewczynki ledwo dosięgała do paska Roznina. Mała zadarła łepetynę, przyjrzała się Saszy taksująco.

- No to jak unieszkodlimy Yassima?

- Czy możesz mnie zaprowadzić tam, gdzie przetrzymywał dzieci? - Potaknęła, więc mówił dalej: - Chcemy tak wszystko urządzić, żeby myślał, iż same uciekły.

- Musiałam je postraszyć, żeby się ruszyły - parsknęła pogardliwie Tirła. - Co ja im naopowiadałam! Ale to przecież prawda.

- A jeśli Yassim się dowie, że wszystkie były potulne? Powinno to tak wyglądać, jakby się wyłamały. Jakby jeden ze strażników niedbale zaniknął wejście.

- Hmm, tak, mogłoby tak być - odparła po chwili zastanowienia.

- Dopiero co dostały jedzenie. Będziesz się musiał czołgać. - Obrzuciła go przebiegłym, rozbawionym spojrzeniem.

- Tym tunelem?

Kiwnęła głową, potem popatrzyła przez ramię na dzieci i po raz pierwszy okazała lęk:

- Co się z nimi stanie?

- Będą spać, dopóki nie wrócimy - odparł. - Ruszajmy.

Wprowadziła go do tunelu - rzeczywiście musiał się czołgać; zastanawiał się, jak sobie poradziła podczas pierwszej „wycieczki”, dopóki nie zauważył małego krążka światła. Tirla łaskawie szła w takim tempie, żeby mógł za nią nadążyć. Miał teraz czas, aby porozmyślać o tym zadziwiającym, nie oszlifowanym, nowym Talencie. Mogła nie być teleempatką lub też była zbyt ostrożna, żeby opuścić osłonę, która tak świetnie ją chroniła przez całe dotychczasowe życie; ale nie ulegało wątpliwości, że miała spory Talent.

U wylotu tunelu Tirla się zatrzymała i odwróciła ku Saszy:

- Nie przeciągniesz się tym szybem co ja. Gdybyś umiał otworzyć te drzwi dozoru, to byśmy się łatwiej dostali tam, gdzie ON trzymał dzieciaki.

Sasza odpiął „wytrych” od paska i otworzył zamek. Uchylił ostrożnie drzwi, słysząc zdumione sapnięcie dziewczynki. Nasłuchiwał - na innym poziomie niż Tirla, która klęczała w szparze. Nasilenie i rodzaj hałasu były typowe dla zautomatyzowanej fabryki. Sasza nie „dosłyszał” nic, co by wskazywało na obecność ludzi; ale to dziewczynka pierwsza wśliznęła się do środka. Uchylił drzwi na tyle, żeby móc wejść i zamknął je ostrożnie.

Tirla szła pewnie naprzód, choć pomieszczenie rozjaśniały jedynie nieliczne zielone kontrolki pracujących maszyn. Sasza minęłyby fałszywą ścianę, lecz dziewczynka podeszła do przejścia i oświetliła zamek latarką. Zerknęła pytająco na Roznina.

- Elektroniczny? - szepnął, a ona potaknęła.

Znów otworzył drzwi, które odsłoniły opuszczoną komorę, przewrócone łóżko, puste opakowania po żywności. Zamknęła drzwi i spojrzała karcąco na Saszę - był taki nieostrożny.

- Którędy ich wyprowadziłaś?

Wskazała na kratownicę w suficie.

- Dobra robota.

Sasza ustawił porządnie piętrowe łóżko i przy okazji przymocował maleńką „pluskwę” do ściany, przy której stało. Potem rozejrzał się wokoło. Wyczuł rozmaite rzeczy, nie wszystkie wyraźnie.

- Sądzę, Tirlo, że ty lepiej upozorujesz ucieczkę. Niech wygląda na to, że dziecko tego dokonało.

- Żadne z nich by się na to nie zdobyło! - wydeła pogardliwie górną wargę.

- Zgoda. Ale dla Yassima tak to powinno wyglądać.

Tirla przymknęła oczy i rozmyślała nad tym. Sasza czekał cierpliwie, żałując, że nie ma dostępu do jej umysłu i nie może śledzić jej myśli.

- O.K. - rzekła wreszcie i podeszła do leżącej w kącie kupki ubrań; darła je, sprawnie wyszukując słabszy szew czy obrębek. - Bili się... - Ściągnęła materace z dwóch niższych łóżek, brudne koce z wyższych; zebrała w koszulę trochę pojemników i resztek jedzenia, kopnęła prowizoryczny stolik. - Teraz uchylimy drzwi na tyle, żeby dziecko mogło się przecisnąć i zostawimy ślady. Wyjdź, ja ustawię

drzwi. Idź w tamtą stronę i rozrzucaj te resztki. Ja pójde tędy. Spotkamy się przy głównym wejściu.

Zrobił, jak poleciła, i spotkali się znowu w szeleszczącym i dzwoniącym mroku automatycznej fabryki.

- Zamknąć je? - Sasza przytrzymał drzwi.

- Tak.

- No to jak Yassim się dowie, którędy się wydostali?

- Nie ma ich tutaj, prawda? Drzwi do klatki są otwarte. - Dostrzegł, jak wzruszyła ramionami i wyczuł złośliwy uśmiezek. - A niby czemu miałabym mu ułatwiać sprawę?

Zanim wrócili na peron rozładunkowy, mięśnie Saszy zaczęły protestować przeciwko tak bezczelnemu ich wykorzystywaniu. Ekipa załadowała już dzieciaki do wagonów i peron był zavalony towarem do odbioru.

- W sam czas, Sasza - odezwał się szef grupy. - Za dwie minuty podjedzie tu pociąg. Nie powinniśmy zakłócać programu.

- Moje wolniaki. - Tirla szarpała energicznie jego rękaw.

Podał jej pieniądze i drugą ręką chwycił za nadgarstek:

- A teraz bez sztuczek. Jest wiele spraw, które możemy razem załatwić. Pogadamy o tym w G.

Sasza nie wiedział, czy złapał Tirle, bo osłupiała ze zdumienia, czy też dlatego, że sama tego chciała. Ale weszła przed nim do wagonu, a on starał się tak miarkować siłę chwytu, żeby nie połamać kruchych kości.

- Ruszaj! - polecił maszyniście i przyspieszenie rzuciło nim o ścianę.

- Zabierasz nas wszystkich do G? - spytała obojętnym tonem.

- Przecież tego właśnie chciałaś, prawda? Żeby dzieciaki wróciły do G.

- Dotrzymałam umowy. - W głosie Tirli pojawiła się nieprzyjazna nutka.

- I ja dotrzymam. W G. A potem znów ubijemy interes.

Dziewczynka zamilkła, rozmyślając nad jego słowami.

Peter usiłował się skupić na meteorologicznych doniesieniach Tri-D o najnowszych kapryсах pogody; wyglądało na to, że miały ogólnoswiatowy zasięg, przy czym najbardziej dotknęły Bangladesz. Trudno mu się było skoncentrować, skoro czuł, że „coś” wisi w powietrzu. Był pewien, że nic złego nie zrobił - wprost przeciwnie, dokonał czegoś nadzwyczajnego, z czego czuł się dumny. I trudno, żeby było inaczej. Wyczuwał jednak niepokój Rhyssy, Dorotei i Saszy. Nie powinien był prosić Dorotei o mocniejszy generator. Ledwo wyraził tę prośbę, a już wiedział, że przyszła nie w porę. Przecież udowodnił, czego może dokonać, kiedy potężniejsza energia wzmacnia jego kształt; no i 4,5 wydawał mu się teraz dziecinną zabawką.

Dziecinna zabawka! Peter uśmiechnął się do siebie i dał 4,5 lekki prztyczek - generator zagrał posłusznie. Zupełnie jak pies. I kogo oszukiwał? Przecież był tylko czternastolatkiem. Nabral już właściwej Talentom samodyscypliny i dość dużo się o nich dowiedział, więc zdawał sobie sprawę, że przeholował. Dopóki się nie nauczysz chodzić, nie wdrapiasz się na szczyt. Rhyssa, Sasza i Dorotea wspierali go przez cały czas, kiedy się zajmował Erasmusem; trwali przy nim, gotowi mu pomóc i zapobiec „wypaleniu się” jego możliwości. No i udało mu się. Ale może dlatego się udało, że byli przy nim, gotowi go chronić? Przemyśl to sobie, chłopaczku, i nie pusz się tak. Jest całe mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie potrafisz zrobić.

Peter nalał sobie kolejną szklanekę soku pomarańczowego i zaniósł ją do salonu; spiker mówił akurat, że znowu - z powodu złej pogody - nie mogły wystartować na Drugą promy dostawcze. Na ekranie widniały cztery promy uwięzione w kratownicach i czekające na warunki dogodne do startu; miały zawieźć materiały, bez których nie da się w terminie ukończyć Światowego Projektu.

Talenty też w tym pomagają, pomyślał Peter z dreszczykiem kastowej dumy. Zaczął właśnie rozmyślać nad tym, jakiej mocy generatora by potrzebował, żeby bezpiecznie podnieść prom w taką pogodę, kiedy w programie przerzucono się nagle na powodzie w Bangladeszu. Ani razu nie pokazano Talentów przy pracy, chociaż sfilmowano krzątające się ekipy medyczne i ratownicze. Nie było ani słówka o tym, dlaczego *Erasmus* tak pięknie wylądował w Dakce. Wprawdzie Peter wcale się nie spodziewał, że o nim wspomną. Ale powinni powiedzieć, że Talenty ryzykowały życie w tych strasznych monsunowych nawałnicach. Dość dobrze pokazano, co ZROBIŁY, lecz mimo wszystko nie było to fair wobec nich.

Rhyssa i Dorotea bez przerwy dawały do zrozumienia, że nie należy zbyt kłuć ludzi w oczy Talentem. Ludzie nie lubili odmieńców. Talent musi zawsze być dyskretny. Dowiodło tego spojrzenie, jakim go obrzuciła Mama! Peter się skrzywił. Teraz bała się go jego własna Mama. Kiedy był zupełnie bezradny, to go odwiedzała, tuliła, całowała i zawsze mu coś przyniosła: a to klip o jego ulubionej drużynie piłkarskiej, a to swoje specjalne ciasteczka, a to kilka kwiatów. Zaś teraz wcale nie chciała go uścisnąć, siedziała sztywno na

krześle i starała się nań nie patrzeć; a on tak chciał jej pokazać, co mu umożliwiał - Talent.

Kiedy Mama tu była, Peter podwajał wysiłki, by wyglądało, że normalnie chodzi i przenosi przedmioty; nie chciał, żeby się wystraszyła. Tak często opowiadała przedtem, że się modli, by zobaczyć, jak Peter staje na nogi i zaczyna chodzić. A teraz w ogóle nań nie spoglądała. Nigdy nie opowiadała o jego drużynie baseballowej. Nie żeby jeszcze kiedyś miał zagrać... I Peter się uśmiechnął, wspominając, jakie to rzuty potrafił odbić, jak szybko przebiegał bazy. Może mógłby teraz rzucać piłkę, zawsze chciał to robić... To by był rzut! Choćby użył jedynie 4,5!

Ale takie pospolite rozrywki już nie dla niego, nieprawdaż? Jeśli ktoś może żonglować promem jak piłką, to go takie zwyczajne zabawy nie zadowolą.

Peter napił się soku pomarańczowego. Noo, nie wszystkie zwykłe sprawy. Niektóre z tych najzwyczajniejszych, codziennych czynności - jak nalanie sobie soku, kiedy miał na to ochotę - były o wiele ważniejsze niż wyczyny z *Erasmusem*.

Odesłał pustą szklanę do kuchni, opłukał ją i ustawił dnem do góry na suszarce.

Powinieneś zachować właściwą perspektywę. Najistotniejsza była swoboda w czynieniu rzeczy drobnych i możliwość czynienia ważniejszych. Ale to takie, kurczę, wspaniałe - mieć Talent i moc zrobić coś, czego nikt inny nie potrafi... pomagać, kiedy trzeba.

Tri-D pokazywała wody potulnie odpływające od miasteczka i okolicznych pól. Mogło się wydawać, że to dzieło worków z piachem i grobli, ale Peter potrafił już rozpoznawać cechy kinetycznej ingerencji. Zastanawiał się, który Talent tego dokonał. Rick Hobson? Pan Baden? Gdyby miał dostęp do generatora, też by to potrafił. Postanowił się nauczyć, czego tylko zdoła, o kontrolowaniu wód powodziowych. Następnym razem i on będzie gotów do pomocy: 4,5 był przenośny, prawda?

Rhyssa: *Peter, czy mógłbyś przyjść do mojego gabinetu?*

- Jasne!

„Pociągnął łyk” z generatora i śmignął ku drzwiom frontowym, do wnętrza, trochę zwolnił na schodach; stanął dopiero w wysłanym dywanem korytarzu prowadzącym do gabinetu Rhyssy. To pestka!

- *Koniec zabawy.*

Rhyssa stała przed drzwiami do swego gabinetu, uśmiechała się.

- Nie mamy dziś dla ciebie żadnej góry do przeniesienia; ale w powietrzu wiszą kłopoty, skarbie, w powietrzu wiszą kłopoty.

Peter aż się zachwiał, ale zaraz to skorygował.

- *Kłopoty? Czemu? Przecież nie zrobiliśmy nic ZŁEGO!*

Dotknięcie Rhyssy, jak zwykle, uspokoiło chłopca. Dorotea była wspaniała: traktowała go tak, jakby był jednym z jej wnuków, co mu ułatwiało wiele spraw. Ale Rhyssa to co innego: miała tak głęboki umysł; to wcale nie znaczy, że Peter naruszył prawo myślowej tajemnicy - po prostu wyczuwał głębię i czystość jej myśli. I była najpiękniejszą kobietą, jaką do tej pory widział, czy to w Tri-D czy w

rzeczywistości. I była taka DOBRA! Taka promienna i jasna. Sprawiała, że czuł się silny i zdrowy.

- Ciut ciut przeholowaliśmy z tym czynieniem dobra - powiedziała Rhyssa. - No i nie byliśmy tak przezorni, jak by należało.

Przestraszony chłopak odruchowo spróbował zajrzeć w jej myśli, żeby się dowiedzieć, co też uczynili.

- *Peter!*

- Przepraszam.

Rhyssa, gwałtowniej niż Peter kiedykolwiek „słyszał”: *Niech szlag trafi tę Barczenkę!*

- Czy i ja miałem to usłyszeć? - zmieszał się chłopak.

- Tak. Niech szlag trafi Barczenkę! - powiedziała głośno Rhyssa, zapędzając Petera do pokoju i zamykając drzwi.

Chłopak stanął, wyczuwając napięcie. Wzburzona Dorotea wygładzała wyimaginowane załamania na spodniach. Naprawdę musiało być źle. Odskoczył w bok, świadom, że Rhyssa o mało nań nie wpadła.

Dorotea: *Wspaniale, Peter!*

- To narada wojenna, Peter - rzekła Rhyssa, sadowiąc się w swoim fotelu przy wielkim oknie i dając chłopakowi znak, żeby i on usiadł.

Podfrunął do wygodnego siedziska, automatycznie dopasowującego się do ciała.

- Pamiętaj, jak bardzo my wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. - Gest Rhyssy podkreślił, że ma na myśli całe Centrum. - Nadałeś

Talentowi nowy wymiar. - Uśmiechnęła się doń szelmowsko. - I przypomniałeś dyrektorowi tego Centrum, że nie należy spoczywać na laurach.

Peter, nie naruszając etykiety, mógł słyszeć to, czego głośno nie powiedziała. Talent był bardzo szczęśliwy, nie-Talenty - wprost przeciwnie.

Dorotea: *Nie-Talenty zawsze się przeciwstawiły nowemu Talentowi, o ile nie przygotowaliśmy ich na jego pojawienie się. Tym razem dotyczy to ciebie!*

Rhyssa: *Dobru zawsze towarzyszy zło!*

Chłopak wyczuł podtekst tej uwagi i przypomniał sobie swoje zachowanie.

Dorotea: *Musimy pomyśleć, jak ulepszyć nasze testy wykrywające!* - Odchrząknęła poważnie i mrugnęła do Petera.

Chłopak pomyślał, bardzo skrycie, że nieuchronnie nadciąga coś bardzo złego, ale że go kochają i są zeń dumni - tylko to się dlań liczyło.

- Jeżeli twoim najgorętszym życzeniem jest mieć do dyspozycji największy generator na Ziemi... - tu Rhyssa uśmiechnęła się do chłopaka z owym błyskiem w oku przeznaczonym wyłącznie dla niego, a Peter się zaczerwienił i nie odrywał oczu od swoich kościstych kolan (nie o to pytał Dorotce) - ...to połowa przemysłu na „dole” i w kosmosie marzy o tym, żebyś korzystał z ich generatorów; ich i tylko ich.

Kosmos? Mógłby się dostać w kosmos? Zdumiony Peter uniósł głowę i wpatrzył się w Rhyssę. Nie o to jej chodziło.

- Skąd się o mnie dowiedzieli?

Nagle poczuł się zupełnie bezbronny. Ojciec zawsze opowiadał o zarządcach, że wyżywiają każdego na śmierć, że nie traktują robotników jak ludzi, lecz jak trybiki w olbrzymiej maszynie.

- Nie wiedzą, że to byłeś TY - odezwała się Dorotea.

- I w tym cała rzecz - wtrąciła Rhyssa.

- Dlaczego? - spytał Peter, rozmyślając o WIELKICH generatorach.

- Bo masz dopiero czternaście lat - powiedziała Dorotea. - Właśnie zaczynasz poznawać moc i zakres swojego Talentu i przedwczesne ujawnienie...

- ...mogłoby mi zaszkodzić - dokończył za nią Peter; ale w skrytości ducha myślał, że gdyby miał odpowiednie źródło mocy, to zdołałby podnieść dowolny ciężar i nic by mu się nie stało. - Ale przecież wyszedłem z tego bez szwanku...

- W niczym to nie umniejsza twoich zasług, Peter, lecz wiedz, że tamtej nocy bardzo dokładnie cię monitorowaliśmy - wpadła mu w słowo Rhyssa. - To, co oni dla ciebie szykują, to zupełnie inna para kaloszy. Jako dyrektor Centrum muszę podkreślić, że żadne Centrum nigdy się nie godziło na zatrudnianie uczniów - nawet na pół etatu! - dopóki nie ukończyli przynajmniej osiemnastu lat.

- Nawet mnie... - Dorotea wskazała na siebie wdzięcznym ruchem - ...nie pozwalano na wiele, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat! - Skrzywiła się. - Kiedy byłam mała, traktowałam jak zabawę odgadywanie, kto z obecnych może mnie usłyszeć... Ludzie, którzy sądzą, że mogliby mieć Talent. - Posłała Peterowi wizję samej siebie

jako pięcioletniego, ładnie ubranego dziecka (i teraz zachowała ślady ówczesnej urody i wdzięku) chodzącego po zatłoczonych salonach Centrum.

- Przecież udowodniłem, na co mnie stać - powiedział chłopak. - I tylko ja mogłem posadzić *Erasmusa*.

- Tu nie chodzi o dobry czy zły uczynek, Peter. - Rhyssa pochyliła się ku niemu ze smutkiem. - Ani też o moralny obowiązek zmniejszania cierpienia i łagodzenia skutków katastrofy. - Tu otworzyła umysł, żeby chłopak mógł się bezpośrednio zapoznać ze sprawą.

Peter oczywiście wiedział, że Centra Parapsychologiczne musiały wysłać najlepszych kinetyków na Drugą, żeby można było w terminie ukończyć budowę Stacji. Nie zdawał sobie sprawy z wszystkich podtekstów tak pieczołowicie obmyślonej propagandowej wizji Drugiej; a już zupełnie nie miał pojęcia o machinacjach Ludmiły Barczenki, która wymusiła zgodę Centrów i bezlitośnie wykorzystywała kinetyków do działań mających ocalić jej renomę. Wściekł się, kiedy zobaczył, jak ta ohydna baba, Barczenka, groziła jego Rhyssie najrozmaitszymi przykrościami - a przecież było dlań jasne, że to ta Barczenka pokpiła sprawę. A on, Peter, stanowił część tych kłopotów. Nie, teraz chodziło TYLKO o niego - Barczenka zamierzała go dołączyć do swojej ekipy Talentów.

- A ja myślałem, że praca na Stacji to najwspanialsza rzecz, jaka się może przytrafić! To nie w porządku.

- Tak, Peter, to nie fair - odparła Rhyssa. - Lecz Talenty uważają, że ukończenie Stacji jest o wiele ważniejsze niż wszelkie osobiste

względy. Terminowe ukończenie Stacji to punkt honoru Ludmiły. I nie to mam jej za złe, a metody, jakimi do tego dąży. Dzięki Drugiej ludzkość postąpi wielki krok ku gwiazdom. I nie przejmuj się zbytnio wstydliwymi sekretami. Tak się składa, że nigdy w historii postęp nie przebiegał bezproblemowo...

- Czyli nie bez skazywania ludzi na śmierć w kosmosie, bo ich ratowanie zburzyłoby harmonogram? - Peter był przerażony.

- To już zostało rozwiązane - przypomniała mu Dorotea.

- Przez Talenty. A teraz jej się zdaje, że może mnie siłą zwerbować? - Chłopak był tak podekscytowany, że „pływał” ponad fotelem.

Dorotea, prozaicznie: *Dryfujesz, koteczku.*

Peter, siadając: *Nie będę pracować dla kogoś takiego jak ona. I nawet mnie o to nie proście!*

- Oczywiście, że nie - zapewniła go Rhyssa. - Ale najpierw... - i tu się doń uśmiechnęła, oczy jej błysnęły - ...musimy im udowodnić, kim jesteś! Tak się staraliśmy, żeby cię nie ujawniać, dopóki nie zdobędziesz większej kontroli nad...

- *I jakież jeszcze potrzebuję kontroli, skoro potrafię przenieść prom w dowolne miejsce na Ziemi?*

- Peter!

Głos Rhyssy zabrzmiał szorstko, ale chłopak wiedział, że rozbawiło ją jego oburzenie, że była dumna z jego wyczynu i że się troszczyła o jego przyszłość. Uspokoił się.

- Dzięki. Ostrzeżono nas, że grozi nam wizyta osób wysokiej rangi i o wielkim prestiżu. Chciałyśmy cię ostrzec, bo to ty jesteś owym kotem, którego musimy wypuścić z worka.

- Powiedziałabym raczej, że Peter jest kotem wśród gołębi - parsknęła sarkastycznie Dorotea.

- Gołębi? Prędzej wojowniczych jastrzębi - poprawiła ją Rhyssa; w tym samym momencie usłyszeli, choć gabinet był ekranowany przed telepatycznymi ingerencjami, warkot wielkiego helikoptera lądującego za Domem Hennera. - Peter, nie pozwól się wyprowadzić z równowagi. Będzie tu trochę urażonych uczuć i zranionej dumy. Po prostu nie zwracaj na to wszystko uwagi!

Jednakże Peter nie mógł nie wyczuć wyraźnego, choć powściąganego lęku. Martwiły się. O NIEGO!

Z interkomu rozległ się głos Ragnarara; miał dziś służbę, a dwadzieścia lat pracy w Centrum uodporniło go na wysokie rangi i wielkie prestiże:

- Rhyssso, jakieś typy chcą się z tobą zobaczyć. Mam ich wpuścić?

- Tak, Ragnarze. Czekam na nich.

Z głośnika rozległo się Ragnarowe „hmmm” i Peter dostrzegł delikatny uśmiezek Rhyssy. Zauważył też, że nerwowo bawi się pisakiem. Dorotea jeszcze bardziej się wyprostowała i przybrała pozę nie tylko imponującą, ale i... królewską.

Rozległo się uprzejme stukanie do drzwi i Rhyssa nacisnęła guzik otwierający je. Peter się zorientował, że mężczyzna, który wszedł jako pierwszy, był telepatą i przesyłał Rhyssie przeznaczone tylko dla niej

ostrzeżenia. Drugi - bardzo wysoki, chudy, typ uczonego - spojrzał wprost na chłopaka i skinął głową. WIEDZIAŁ, kim był Peter, chociaż chłopak go nie znał. Ów mężczyzna również był telepatą.

Za to Peter znał trzeciego z nich - Dave'a Lehardta; Dave natychmiast podszedł do biurka Rhyssy i stanął na wprost pozostałych. Jasno dał do zrozumienia, po czyjej jest stronie. Wymienił z Rhyssą spojrzenie i niemal niedostrzegalnie skinął głową. Rhyssa uśmiechała się teraz leciutko i Peter czuł, że jest zadowolona z obecności Dave'a. Ale przecież Dave Lehardt nie był Talentem - chłopak wiedział o tym i zdumiały go takie dowody zażyłości. Dorotea mówiła, że Dave był rzecznikiem prasowym Centrum i Talentów.

Następnych sześciu mężczyzn było najwyraźniej ważnymi osobistościami; czterech z nich nosiło mundury, a tylko jeden był Talentem. Właśnie on sprawiał wrażenie zdenerwowanego i wciąż patrzył to na Rhyssę, to na Dorotę. Na ostatku wszedł ktoś, kto przyprawił Petera o dreszcze. Ten typ gapił się na Rhyssę w taki sposób, że chłopak zaczął się zastanawiać, czy to aby nie jeden z tych zboczeńców, przed którymi matka go ostrzegała.

Rhyssa wskazywała im miejsca, a Peter wylapywał nazwiska: Vernon Altenbach, minister spraw kosmosu; generał Szewczenko, rosyjski oficer, oficjalny rzecznik Drugiej - agresja tryskała zeń nawet poprzez ekrany, jakimi się osłonił; teleempata Andriej Gruszkow - chłopakowi zrobiło się go żal: musiał być wierny generałowi, choć czuł przez skórę, że zdradza w ten sposób Talent. Byli tam również dwaj oficerowie NASA - generał i pułkownik. A tym zboczeńcem okazał się

światowej sławy specjalista od Węzłów Josephsona i na dokładkę malezyjski książe, który tak wspaniale programował ruch powietrzny i kosmiczny. Peter wcale nie poczuł doń większej sympatii, gdy się dowiedział, że to taki geniusz; po co się gapił na Rhyssę takimi maślanymi ślepiami! Ten, który wszedł pierwszy, to był pułkownik Johnny Greene; chłopak obserwował z pełnym szacunku zachwytem, jak najslawniejszy pilot z początku Projektu Drugiej siada obok niego, Petera Reidingera. I sympatycznie się doń uśmiecha. Pułkownik Greene był jedynym, który się uśmiechał. Nawet sędzia Havers miał namaszczone minę.

- Nie zamierzam zaprzeczać, że zdaję sobie sprawę z celu waszej wizyty. Czy mam wywołać rejestr Wschodniego Centrum, żebyście mogli sprawdzić spisy? - zapytała spokojnie Rhyssa i dotknęła klawiatury.

Peter patrzył na nią pełen dumy. Nawet się uśmiechała. A ten zboczeniec wciąż się w nią wgapiał.

Rosyjski generał odchrząknął i rzekł:

- Już go przejrzeliśmy, madame. Uważamy, że nie podała pani wszystkich kinetyków. - Odwrócił głowę, żeby widzieć twarz swojego teleempaty.

- Andriej może pana zapewnić, że nasza deklaracja jest kompletna i uczciwa. Nie mamy nic do ukrycia. Żaden Talent nie ma.

- Andriej zapewnił mnie również, madame - ciągnął z namaszczeniem generał - że żaden kinetyk nie potrafiłby bezpiecznie posadzić *Erasmusa*... nawet tych dwudziestu dwóch, którzy byli na

pokładzie... ani... - tu zrobił dramatyczną pauzę - ...ani pomóc mu w starcie z lądowiska w Dakce przy takiej pogodzie - wyrzucił z siebie to oskarżenie i zdawało się, że teraz powoli uchodzi zeń para.

- To byłem ja - odezwał się Peter. - To znaczy ja to zrobiłem.

Chłopak chciał, żeby to się już skończyło i żeby ten obleśny facet wyniósł się z pokoju JEGO Rhyssy.

Zapanowała pełna zdumienia cisza, o wiele gorsza niż krzykliwe zaprzeczenia. Potem pułkownik Greene zaczął chichotać, a Dave Lehardt wybuchnął śmiechem i mrugnął z aprobatą do Petera. Pozostali goście absolutnie nie wyglądali na rozbawionych.

- A czy możesz mi powiedzieć, młodzieńcze - spytał Vernon Altenbach (chłopak wiedział, że Vernon mu nie uwierzył) - jakim sposobem dokonałeś takiego wyczynu?

Rhyssa, roześmianym „głosem”: *Trzymaj się faktów, mały, trzymaj się faktów.*

- Nooo, *Erasmus* potrzebował pomocy przy lądowaniu w Dakce, bo kinetycy musieli się tam znaleźć, żeby osłabić skutki katastrofy. Więc Rhyssa wezwała G i H, to mayday Talentów, i mogłem skorzystać z generatorów Wschodniej Stacji Zasilania - wyjaśnił Peter.

Chłopak zachowywał poważną minę, ale w duchu bawił się niedowiarstwem słuchaczy, to znaczy nie-Talentów. Rosyjski teleempata był pełen podziwu i Peter aż się wyprostował z dumy.

Dorotea: *Dobrze powiedziane, Peter!*

Gordon Havers: *Mówienie prawdy to najlepsza taktyka.*

Johnny Greene: *Lepiej w to uwierz, bo oni nie wierzą!* - I poklepał kolano chłopca.

- Przypuszczam więc, że masz Talent kinetyczny? - ciągnął Vernon.

- Tak, proszę pana. Szkolę się, by zostać kinetykiem, ale nie idzie mi to tak dobrze, jakbym chciał, bo wszyscy, którzy by mogli mnie uczyć, są na Stacji.

Rhyssa: *Nie rozwódź się nad tym za bardzo, Peter.*

Johnny: *Bzdura. Zasłużyli na taką szpilę.*

- Jakie szkolenie już przeszedłeś? - dociekał generał.

- Rhyssa i Dorotea robią, co w ich mocy, ale to telepatki...

Rhyssa, sucho: *Wielkie dzięki!*

- ...najpierw pomagał mi Rick Hobson, lecz zdążyliśmy przerobić tylko początki, a potem go siłą zwerbowano na Stację...

- Talenty NIE były siłą werbowane - sprzeciwił się zdecydowanie generał Szewczenko. - Z własnej woli pomagają w realizacji wielkiego Planu.

- Jeżeli nie dano im wyboru, to znaczy, że zostali zmuszeni - parsknął pogardliwie Peter.

- I sądzisz, że uwierzymy, iż taki wąły chłopaczek manipulował *Erasmusem*?! - zakrzyknął książę Phanibal Shimaz; poderwał się z fotela, stanął przed Peterem i zaczął mu wygrażać palcem. - Ja, Phanibal Shimaz, książę Zachodniej Malezji, wiem, że to niemożliwe! Powiedz nam prawdę, mały! - Postarał się, żeby owo „mały” zabrzmiało obraźliwie.

- On mówi prawdę - oznajmił Johnny Greene, wstając i patrząc z góry na niższego odeń księcia.

Rhyssa i Dave Lehardt też się poderwali, gniewnymi okrzykami punktując niestosowne zachowanie się Phanibala.

- Andriej potwierdza, że on nie kłamie - rzekł ostro generał Szewczenko. - Pan nadużywa swej władzy, książę.

- I mogę to udowodnić. - Peter spojrzał wściekle na lego tam księcia; fakt, że tamten potrafił wyczyniać z Węzłami Josephsona i regulacją transportu to, czego nikt inny nie potrafił, nie dawał mu żadnej przewagi nad Talentem; i na dokładkę ten typ był tchórzem, bo nosił metalowy kask: już to było obelżywe. - Patrzcie! - I chłopak uniósł prawą rękę, wskazując nią za okno.

Podniesienie helikoptera do poziomu okna Rhyssy i utrzymanie go tam, żeby wszyscy mogli zobaczyć, właściwie nie sprawiło chłopcu trudności - skorzystał z zasilania urządzeń Centrum. Widzieli, jak wielkie śmigło obraca się leniwie w powiewie wywołanym wznoszeniem się maszyny.

- Obchodź się z nim ostrożnie, Peter - pouczył go słodko Johnny Greene, jeden z niewielu, których setnie bawiła ta sytuacja. - To własność państwowa.

- Zawsze jestem ostrożny, pułkowniku Greene - odparł chłopak, upojony swoimi możliwościami.

Żałował, że nie może sobie pozwolić na jeszcze bardziej przekonującą demonstrację swojego kinetycznego Talentu. Dorotea

patrzyła nań znacząco, z miną co-za-dużo-to-nie-zdrowo. Łagodnie posadził helikopter na ziemi.

- Ile masz lat, Peter? - spytał chłopca pułkownik Greene, zupełnie jakby byli sami w pokoju.

- Ósmego września skończyłem czternaście.

- I teraz poruszasz się tylko dzięki swojemu Talentowi? - spytał pułkownik, a wyraz jego oczu powiedział Peterowi, że Greene WIE, jak bardzo jest on upośledzony. - I mnie zaledwie tyle... - tu palce Johnny'ego odmierzyły dwucentymetrową szczelinę - ...dzieliło od paraplegii po locie dwudziestym drugim.

W tym momencie chłopak zdał sobie sprawę, że pułkownik Greene jest po ich stronie i że stara się wyraźnie uświadomić wszystkim, jak wielkim Talentem dysponuje Peter.

- Świetnie się nauczyłem kompensacji - odparł chłopiec, a oczy pułkownika pouczyły go, że to była właściwa odpowiedź. - Rick Hobson bardzo mi w tym pomógł. Akurat mieliśmy przejść do trudniejszych rzeczy, kiedy musiał polecieć na Drugą.

- Więc to ty byłeś „szkieletową załogą” Rhyssy? Ty i tylko ty? - pułkownik Greene zaśmiał się krótko i spojrział na ministra spraw kosmosu.

- Już nie jestem takim szkieletem, jak kiedyś. - Peter wyciągnął ręce i nogi i przyjrzał się im beznamiętnie. - I jeszcze nabiorę trochę mięśni. Muszę je powoli wzmacniać, wie pan, no i to trochę trwa.

- Sądzę, że to wystarczy, panowie. - Pułkownik Greene wstał. - Rozwijanie mięśni, każdego „mięśni”, wymaga czasu i należy to czynić powoli, żeby uzyskać jak najlepsze efekty.

- Chwileczkę, chwileczkę. - Książę Phanibal ocknął się ze zdumienia i z szoku, jakiego doznał. - To nie jest odpowiedź, jakiej oczekiwałem. Ukryliście przed światem Talent kinetyczny o wielkich możliwościach. On może zająć miejsce tych z Bangladeszu... - Tu książę przechylił się poprzez biurko Rhyssy i Peter zobaczył, jak JEGO Rhyssa cofa się, odsuwa odeń.

Chłopak nie wytrzymał. Kinetycznie odciągnął księcia od Rhyssy; twarz Phanibala stężała w grymasie zdumienia. Drzwi się otwarły i zatrzasnęły energicznie za Shimazem.

- Peter! - Rhyssa nie zdołała ukryć ani ulgi, ani konsternacji, w jakie ją wprawiła owa kurtuazja.

- On nie miał prawa ci grozić, Rhyssso! Najmniejszego prawa!

Dorotea: *Brawo, Peter! Chociaż bym cię do tego nie nakłaniała.*

- Słuchaj no, młodzieńcze. - Szewczenko postąpił krok ku chłopcu i stanął zdumiony, bo nie mógł iść dalej.

- Dość, Peter - rzekła surowo Rhyssa. - *Skarbie, to było bardzo sprytne, choć może i zrobiłeś to odruchowo.* ** Wizja Rhyssy powstrzymującej śmiech.** - Generał już nie będzie cię straszył. Wydaje mi się, generale, że Peter mimo woli ujawnił jeszcze jeden powód, dla którego Centrum korzysta z jego umiejętności wyłącznie w chwilach największego zagrożenia. Czternastolatek nie zawsze, w

przeciwieństwie do dojrzszych osób, potrafi się opanować i zachować maniery.

- Żądam, żeby chłopiec natychmiast przeprosił jego wysokość księcia Phanibala.

- Może pan żądać, czego pan zechce, generale - odparła szorstko Rhyssa. - Choć nie rozumiem, dlaczego w naszym spotkaniu brał udział zarządca transportu, nawet i księżę. Wstrętny typek!

- Nalegała na to inżynier Barczenka - wtrącił Vernon Altenbach, próbując załagodzić sytuację.

- A ja nalegam, żeby w przyszłości był wyłączony ze wszystkich spotkań z udziałem Centrum czy moim.

Peter: *To gnojek!*

Johnny i Gordon Havers, jednocześnie: *Gdzie go wpakowałeś?*

Peter: *Jest w helikopterze i nie może odpiąć pasów.* - Chłopak nie zdołał powściągnąć uśmiechu. - *Nie pozwolę mu na to.*

Johnny: *Podдай się, Winsockie, podдай się!*

Dorotea: *A już myślałam, że nikt z tego pokolenia nie zna owej starej pieśni.*

- Cóż, panowie. Sądzę, że - ku własnej satysfakcji - przekonaliście się, iż wcale nie ukrywaliśmy tego Talentu przed Stacją, a po prostu chroniliśmy Petera. Przykro mi, że na próżno odbyliście tak długą podróż - rzekła Rhyssa, wychodząc zza biurka i ściskając dłoń Andriejowi Gruszkowowi. - Kiedy chłopak będzie w pełni wyszkolony, a my lepiej poznamy jego możliwości, to, rzecz jasna,

wszyscy ewentualni pracodawcy uzyskają możliwość złożenia Peterowi ofert.

Vernon Altenbach wyprowadził niezadowolonego rosyjskiego generała, towarzyszył im pułkownik z NASA i teleempata. Reszta się ociągała, czekając, aż tamci wsiądą do windy.

- Pani Owen - zaczął generał. - Czy to możliwe, biorąc pod uwagę dowody wspaniałych zdolności chłopca... czy mógłby... od czasu do czasu... Mamy właśnie poważne kłopoty...

- Jakiego rodzaju? - spytała Rhyssa niezbyt zachęcającym tonem.

- Warunki pogodowe sprawiły, że harmonogram dostaw NASA utknął w martwym punkcie...

Peter wyprysnął ze swojego fotela, zatrzymał się pomiędzy Rhyssa a generałem.

- *Rhyssso, zastanów się nad tym, proszę! Praca dla NASA to nie to samo, co praca dla Barczenki, prawda? Ale to prawie tak fajne, jakbym był w kosmosie.*

Całą siłą swego umysłu błagał, żeby to rozważyła. Czuł, że twardo postanowiła nie pozwolić na tak wczesne eksploataowanie jego Talentu.

Johnny: *Warto się nad tym zastanowić, Rhyssso, choć nie będziemy cię zmuszać. Jeśli się nie zgodzisz, odejdziemy bez protestów. Ale bardzo by mnie dołowało - tak osobiście, jak i profesjonalnie - gadanie Barczenki, że Amerykanie nie wypełniają warunków umowy.*

Kiwnął Rhyssie głową i uśmiechnął się kwaśno.

Peter wyczuł, że Rhyssa zaczyna mięknąć.

Dorotea: *Potraktuj to jako odmianę w szkoleniu, Rhyso.*

Rhyssa: *Otóż to! Przecież on dopiero się zaczął szkolić!*

Johnny: *Masówka daje wprawę, a już na pewno obniża poziom samozachwytu.*

Peter nic z tego nie rozumiał, ale wyczuł, że Dorotea jeszcze bardziej jest za. I że Rhyssa poważnie się zastanawia...

- Posłuchaj - odezwał się na głos Johnny. - To ma tak duże znaczenie, że Vernon wzięłby sobie na kilka tygodni innego „goryla”. Znam wszystkie dane techniczne, z którymi Peter musi się zaznajomić, jeśli ma wynosić promy aż do stratosfery. Kurczę, i mnie to przyprawia o dreszczyk - znów w kosmosie, choćby i za cudzym pośrednictwem. Poza tym, jeżeli Peter pracowałby dla NASA, to Barczenka nie mogłaby opowiadać, że Talenty przeszkadzają w terminowym ukończeniu Drugiej.

- Wiem, że to wygląda tak, jakbyśmy to właśnie my zawsze szli na kompromis - włączył się do rozmowy Gordon Havers. - Lecz jeżeli zapewnimy jej nieoczekiwanie dostawę niezbędnych materiałów, to wsadzimy jej kij w szprychy.

- Powinnaś pojechać z Peterem, Rhyso. Taki długotrwały wysiłek już nie dla mnie - odezwała się Dorotea. - Sasza może cię zastąpić, jak tylko zażegna kryzys w liniowcu G, a ty się bardziej przydasz małemu niż ktokolwiek inny. Któreś z nas musi go monitorować w trakcie gestaltów. Peterze Reidinger, widzę, jak się palisz do wyjazdu. Czy naprawdę tego chcesz? Czy będziesz postępował jak dojrzały Talent?

Chłopak zdołał spleść swoje palce z palcami Rhyssy.

- Będę. I zrobię dokładnie to, co mi polecą. Przyrzekam! Już się dużo nauczyłem.

- Decyduj, Rhyss - powiedział Johnny.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jakiś wybór - stwierdziła Rhyssa i Peter przytulił się do niej; pragnął, żeby się nie czuła pokonana; spojrzała na chłopca, położyła mu dłoń na głowie i czule się do niego uśmiechnęła. - Wcale się nie czuję pokonana, skarbie. Po prostu okropnie nie lubię być w przymusowej sytuacji.

- Pomyśl o opcjach, które skasowałeś - rzekł z nutką złośliwości w głosie Johnny i wskazał znacząco ku niebu.

- No to mamy przewagę nad Barczenką - uśmiechnął się Gordie.

- A ty dbaj o to, żeby nigdzie nie wspomniano o Peterze - powiedziała surowo Rhyssa do Dave'a Lehardta.

- Czyli twoja „szkieletowa załoga” znowu wkracza do akcji? - zapytał Dave, udając, że odparowuje cios.

- Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie głosu Pana! - zaśpiewał Johnny Greene, wyczyniając skomplikowane łamańce.

Tirlę zafascynowała aura otaczająca blondyna. Nie miała zbyt często do czynienia z Talentami - tak ich nazywali ludzie - więc ukradkiem zrobiła znak odczyniający urok. Dość często słyszała, jak mieszkańcy liniowców szeptali o Nich z czcią i lękiem, lecz nie wierzyła nawet w połowę tego, co Im przypisywano: odnajdywanie ludzi i rzeczy, widzenie ludzkich dusz, odczytywanie sekretów, przepowiadanie przyszłości, przenoszenie gór...

Dziewczynka rzuciła nań okiem; potem oparła głowę o wyściełaną ścianę, przymknęła powieki i dopiero wtedy odważyła się na dokładniejszą obserwację. Zauważyła grę twarzy, zupełnie, jakby się z kimś sprzeczał w myślach. Gniewnie zaciął zęby, zacisnął wargi. Powinien być zadowolony z tego, czego mu się dziś udało dokonać, pomyślała Tirla. Drgnęła, kiedy się nagle uśmiechnął. Przebiegły uśmieszek. Poruszył brwiami. Czyżby zwyciężył w owej cichej dyskusji? Dziwny człowiek, chociaż wyglądał tak samo jak inni.

Nie był z OPP, a przecież w pewien sposób był; nie miała pojęcia, gdzie go wpasować, ani jakim cudem zjawił się w samą porę ze swoją ekipą na boczniczy J. Dokładnie wtedy, kiedy sobie uświadomiła, jak trudno będzie namówić przerażone dzieciuchy - takie jak Tombi - żeby wsiadły do składu idącego z powrotem do G. Gdyby nie ten człowiek, to na pewno by ich (i ją też) złapały zbiry Yassima. Wzdrygnęła się.

Tak więc ocalono ich przed Yassimem. Ale nie przed władzami. Tirla wolała nie mieć do czynienia z kimkolwiek z władz. Ustanowiły za dużo wzajemnie się wykluczających praw, przepisów i głupich zakazów, które aż się prosiły, żeby je obchodzić lub łamać. Niezbyt wierzyła, że ten człowiek zdoła jej załatwić ID, choćby i był w tak dobrych układach z OPP, jak na to wyglądało. Trzeba przyznać, że taka możliwość oszołomiła ją na chwilę; wąski, plastikowy pasek zaczął miarowo uderzać w nadgarstek dziewczynki. Co tam! Miała czyste wolniaki - o wiele więcej, niż ich potrzebowała - za „wyprany” szmal Yassima. Sporo zyskała na tej sprawie. Krótco się zastanawiała nad tymi „gorącymi pieniędzmi”, ale doszła do wniosku, że lepiej mu się nie rzucać w oczy, skoro się rozglądał za dziećmi. Może OPP go nie złapie, to całkiem prawdopodobne. Hmm, właściwie mogłaby spokojnie przetrzymać tę forszę przez jakiś czas i dyskretnie ją wymienić, zwłaszcza gdyby Yassim został na parę miesięcy wyłączony z obiegu. To był najlepszy z jej dotychczasowych interesów.

Mimo to Tirla czuła się nieswojo. Tkwiła w zamkniętym wagonie towarowym i nie miała pojęcia, dokąd jadą, chociaż liczyła rozjazdy. Przecież mógł ją zostawić w schronisku razem z tamtymi. Któżby jej uwierzył, że zawarła jakiś układ z tym mężczyzną? Pociąg zaczął zwalniać i Tirla z napięciem czekała na wjazd na bocznice. Jechali do G. Pocieszyło ją to i jednocześnie zaniepokoiło.

- Gdzie jesteśmy?

Sasza otworzył oczy; dziewczynka spostrzegła, że są jasnoniebieskie, o dziwnym odcieniu. Skrzyły się rozbawieniem.

- Przecież wiesz, że w G. Zwrócimy dzieci zrozpaczonym rodzicom. To dla ciebie ważne, Tirlo, prawda? Żeby Bilala, Zawieta, Pilau, a przede wszystkim Mirda Khan i Mama Bobczik, wiedziały, że pomogłaś odnaleźć ich zaginione dzieciaki.

Skąd mógł to wiedzieć? Ile wiedział o niej samej? Czemu się z nią drażnił? Prawdziwy bystrzak z niego. W co grał? Nie wszystkie jego działania miały związek z tym draniem Yassimem.

Dziewczynka nie dała się pociągnąć za język; może to tylko jego domysły. OPP nigdy nie zaniedbywała nadzorowania zgromadzeń, nawet takich głupawych mityngów z lamą-szamanem. Może jej klientki miały swój „cień” - chociaż niby po co ktoś by śledził takie głupie baby - chyba że chodziło o handel dziećmi. Tak czy tak, żadna z nich nie poszła tam, żeby sprzedać bachora (bo jeszcze były za małe). Zwabiło je „przesłanie” i „zbawienie”. A przecież ten Sasza zidentyfikował jej klientki. Wiedział, że najważniejsze były Mirda Khan i Mama Bobczik. Tirła wreszcie znalazła odpowiedź.

- Opłaca się być dobrym sąsiadem.

- Och, dziś na pewno byłaś dobrą sąsiadką, Tirlo. I wspaniałą obywatelką!

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się, ukazując równe, białe zęby. To byłby całkiem sympatyczny śmiech, pomyślała Tirła, gdyby jej tak nie zaniepokoiło to, że się roześmiał. Lubiła go - za zabawne słówka i silne dłonie - ale wierzyła mu równie mało jak Bulbarowi. Łypnęła nań, kiedy ją nazwał „obywatelką”. Obywatele mieszkali za rzeką, w

pięknych „ulach”, luksusowych wieżach i kompleksach, na tarasach - a nie w liniowcach.

- Ufasz mi, Tirlo? - Już się nie śmiał; jego głos brzmiał łagodnie i prosząco.

- Nie mam powodu.

- A gdybym ci dał taki powód?

Dziewczynka parsknęła pogardliwie. Pociąg zatrzymał nie na stacji i otworzyły się drzwi wagonu. Na peronie stali ludzie mający wynosić uśpione dzieciaki. Smukła kobieta w uniformie OPP rzuciła Saszy wąski, plastikowy pojemniczek.

- A oto i powód, Tirlo. - Roznin pokazał małej bransoletkę ID; skorzystał ze zdumienia dziewczynki i prędko zatrzaskał jej bransoletę na przegubie.

Tirla wpatrywała się w ową bransoletę i starała się pojąć znaczenie faktu, że wreszcie ma legalną tożsamość; docierało do niej stopniowo, że ID jest oznakowane innymi kolorami niż zazwyczaj. Zielony pasek oznaczał, że można podróżować pomiędzy liniowcami - a żółty i czarny?

- Teraz jesteś legalna, Tirlo.

Cztery towarowe dźwigi zjechały na poziom ładunkowy. Na peron wysypała się gromada kobiet i rozległy się głośne lamenty na widok bezwładnych ciał dzieci. Sasza odciągnął Tirlę i Carmen na stronę, a personel OPP ustalał, czyje jest każde uratowane przez dziewczynkę dziecko.

- Co z nimi będzie? - spytała Tirla.

Nie tak to planowała, wyruszając na tę szaleńczą wyprawę. Rodzicom na pewno się nie spodoba, że dzieciaki wpadły w ręce władz. No i nie zarobią, jak zamyślała. Ona sama miała bransoletę ID i więcej kredytów niż kiedykolwiek. I co jej z tego przyjdzie? Przepadła jakaś taka pozycja, którą sobie wywalczyła, utraciła swoje klientki i środki do życia; jej przyszłość była teraz równie czarna, jak przyszłość dzieciaków, które ocaliła przed Yassimem.

Do tego Saszy podszedł wysoki, smukły, przystojny młody mężczyzna w uniformie OPP; zsalutował i zapytał:

- Co pan rozkaże powiedzieć owym kobietom, sir?

- Że ta oto Tirla... - tu Sasza przesunął dziewczynkę przed siebie; jego dłonie łagodnie i lekko spoczęły na ramionach małej - ...wykryła, gdzie Yassim więził dzieci. Prowadziła je do domu, do matek i wtedy się na nie natknęliśmy, bo i my ich szukaliśmy.

Ranjit przekazał to posłanie w odpowiednich językach, głosem, który się wzniosł ponad jękliwe zawodzenia. Tirla, przytrzymywana przez Saszę, wierciła się niespokojnie. Do każdej z grup językowych docierał sens przemowy i kobiety zaczynały szeptać pomiędzy sobą. Kiedy Ranjit skończył, Mirda Khan i Mama Bobczik wysunęły się z groźnymi minami na czoło gromadki. Sasza poczuł, jak sztywnieją szczuplutkie ramionka dziewczynki. Tirla niepostrzeżenie przesunęła rękę za siebie, chowając nowiutkie ID.

- A dzieci? - spytała w basiku Mirda Khan, wojowniczo wysuwając szpiczastą brodę; patrzyła ostro na Tirle, a nie na Ranjita czy Saszę.

- Sprawdziliśmy spisy - rzekł dyplomatycznie skruszonym tonem Sasza. - Urodziły się nielegalnie.

Mirda Khan zmarszczyła brwi, więc Sasza dał Ranjitowi znak, żeby przetłumaczył. Rozległ się histeryczny płacz; matki już teraz oficjalnie nielegalnych dzieci rzucały się na nieprzytomne potomstwo, najwyraźniej zdecydowane zapobiec próbom zabrania malców. Roznin nakazał kontrolerom tłumu, żeby zneutralizowali rozpoczynającą się histerię. Wytłumił swój „odbiór”, lecz nie mógł się zupełnie uodpornić na rozkołysane emocje, które go zewsząd atakowały. A przecież te same kobiety za parę lat sprzedadzą swoje córki i synów.

Sasza: *Borysie, dajmy coś w zamian tym kobietom.*

Borys: *Może prawdę? Że schronisko jest o wiele lepsze od tego, co Yassim planował dla dzieciaków?*

- *Też tak myślę* - odparł Sasza. - *Ale wydaje mi się, że one inaczej to widzą. Jeśli nie chcesz nic dać, to nadszarpnę nasz fundusz na nie przewidziane wydatki.*

Wszystko, pomyślał Sasza, byle tylko ucichły te przyprawiające go o dreszcze zawodzenia. Nie był przyzwyczajony do działania w takim środowisku.

Borys: *Miękniesz, braciszku?*

Sasza: *Nie ma cię tutaj i nie słyszysz tego wszystkiego. I trzeba zadbać o Tirlę.*

Borys: *Ty się nią masz opiekować, prawda?*

Susza: *Nie chciałbym jej narażać. Jej Talent bardzo by się przydał w wielojęzycznych grupach.*

Hałas był przeraźliwy, aura - nadzwyczaj nieprzyjemna dla każdego Talentu, który odznaczał się choć ociupinką empatii. Po twarzy Carmen spływały łzy.

- Ile, Tirlo? - spytał Sasza; odwróciła się, zaskoczona, żeby zobaczyć jego minę. - Jaka suma osuszy ich łzy i wynagrodzi stratę?

Zapłacisz? - W aksamitnych, piwnych oczach błysnęło zdumienie i natychmiast zastąpił je spryt.

- *Ta mała będzie się targować zęb za zęb, braciszku.*

- Za najmłodszych nie musisz dużo dawać. - Tirli wymieniła sumę. - Dodaj dziesięć procent za każdy rok życia i powinno wystarczyć.

- Pięć procent za każdy rok.

- Siedem! - odparowała. - Im są większe, tym więcej trzeba, żeby im napęlić brzuchy.

Sasza splunął w dłoń i wyciągnął ją ku Tirli. Przybiła na zgodę i przysunęła się do Mirdy Khan.

Sasza: *Tłumacz to dla mnie, Ranjit!*

Ranjit: *Mała mówi po arabsku. Opowiada, jak się energicznie targowała w imieniu zbolących matek, i to od chwili, kiedy ich złapaliśmy w tunelu. Tylko dzięki jej staraniom znaleziono sposób, żeby złagodzić żal matek. Ten wysoki twierdzi, że nielegalne dzieciaki mają swoje prawa, a ona mu wierzy. Malcy będą bezpieczniejsi niż przy Yassimie i już choćby za to każda powinna być wdzięczna, bo świetnie wiedzą, co by dzieciaki czekało. Pewno, że szkoda, iż je tracą, no bo niby jak mógłby człowiek przeżyć na samych przydziałach. Same*

widziały, jak się targowała i ustalono cenę. Ta mała jest niesamowita - dodał Ranjit, kiedy Tirla zwróciła się ku następnej grupie kobiet.

- Teraz mówi w urdu, i to tak płynnie, jak przedtem po arabsku.

Oho!

Nastąpiło zamieszanie i z gromadki wyrwała się mała, pulchna niewiasta; sprzeczne uczucia tak wykrzywiały jej twarz, że fałdy policzków niemal skrywały paciorkowate oczka. Sasza rozpoznał ją po znaku kastowym i po kłębowisku mściwych myśli. Gdyby nie interwencja Mirdy Khan i Mamy Bobczik, owa niewiasta byłaby się rzuciła na Tirlę. Roznin skoczył, żeby osłonić małą; klął w duchu, że nie przewidział ataku.

- Ty wstrętna suko! - wrzasnęło w basiku babsko. - Sama też jesteś nielegalna! Ta młoda cizia jest nielegalna! Ona jest nielegalna! - darła się i wyrywała z trzymających ją krzepko dłoni. - Bierzcie ją! Skoro bierzecie mojego Tombiego, to i ją musicie zabrać! Zabierajcie ją! - brzmiała w tym groźba.

- Pewno, że jestem nielegalna, ty tępa, głupia babo; mąż cię będzie tłukł rano, w południe i wieczorem za to, żeś odrzuciła godziwą zapłatę, dzięki której mógłby sobie dobrze podjeść przez jakiś czas - odcięła się energicznie Tirla; Sasza zauważył, że się jej udało schować pod rękawem nowiutkie ID.

Roznin trzymał dziewczynkę za ramię.

- Ona jest nielegalna, kobieto. Pójdzie z nami. Powiedz im to, Ranjit! Umowa, o której mówiła, będzie ważna jeszcze tylko przez trzy

minuty. - Tu spojrział znacząco na swoje chrono. - Potem koniec. Niech matki, które przyjmują ofertę, staną obok swoich dzieci.

Sasza chciał zastopować wrzaski Bilali, więc posłał histeryzującej babie zdecydowany rozkaz zamilknięcia. Padła w ramiona podtrzymujących ją kobiet; bezgłośnie poruszała wargami. Na peronie zapanowała pełna lęku cisza.

Potem szybko sfinalizowano interes i Tirla patrzyła, jak szeleszczące wolniaki przechodziły z ręki do ręki. Nigdy nie widziała takiej ilości pieniędzy krążących jednocześnie i jawnie. Lepiej, że tak to załatwili. Nikt nie będzie mógł twierdzić, że jedni dostali więcej od drugich. Niektóre kobiety zostały na peronie i okazywały szczery żal, kiedy ich dzieci znów wnoszono do czterech początkowych wagonów. Susza pociągnął Tirlę ku ostatniemu wagonowi; Carmen szła z nimi, reszta grupy poszukiwawczej już wsiadła.

Tirla uniosła ramię z bransoletą ID.

- A więc dotrzymałeś słów umowy, lecz nie jej ducha? - spytała dziewczynka, kiedy zamykały się drzwi wagonu; szarpnęła bransoletę.

- Dotrzymałem i słów, i ducha umowy, Tirlo, ale przecież nie możesz wrócić do G, skoro Bilala stała się twoim wrogiem.

- Ach, ona! - parsknęła pogardliwie mała. - Nie znajdzie mnie, jeśli sama tego nie zechce. Nie boję się tej głupiej baby.

- Szczerze mówiąc, to bym się bał, gdybym był tobą - powiedział Sasza. - Na pewno zrobi wszystko, żeby się Yassim dowiedział, jaką rolę odegrałaś w opróżnianiu jego kryjówki.

Tu uwaga skłoniła ją do namysłu, zaś Roznin dalej się nie mógł przedostać poza osłony chroniące umysł Tirli.

- No to po co urządzaliśmy wszystko tak, żeby wyglądało, że sami uciekli? - zapytała z nutką irytacji.

- Bo to był dobry pomysł. Dopóki ci się nie zachciało być dobrą sąsiadką. Nooo... - Sasza wyciągnął do niej dłoń. - Myślę, że znajdę ci na parę dni bezpieczne schronienie u zaprzyjaźnionej osoby. *Dorotea? Nie znalazłabyś trochę czasu dla tego bezdomnego dzieciaka?*

- W schronisku? Razem z nimi? - Tirli popatrzyła na jego rękę, jakby była trędowata.

- Jesteś legalna, zapomniałaś? - przypomniał jej Sasza z uśmiechem. - Teraz możesz iść, gdzie ci się zamarzy. Masz plik wolniaków, ale... - tu uniósł ostrzegawczo rękę - ...wiesz równie dobrze jak ja, że w tej chwili każde „luźne” dziecko w liniowcu znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Yassim musi uzupełnić braki, a Mirda Khan i Mama Bobczik nie zawsze będą w pobliżu, żeby cię ochronić.

- Bronić mnie? - Tirli była i oburzona, i zdumiona.

- A tak, chroniły cię na swój sposób. Nawet jeśli nie capnie cię jakiś ladrone, to zrobi to UZP, bo jesteś małoletnia i powinnaś być w szkole. *Bomba!* - zawołał Sasza do Dorotei. - *Nareszcie pojawiła się jakaś rysa!*

Dorotea: *No to ciągnij to dalej!*

- Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy - oznajmił Roznin.

- Szkoła? Miałabym dostęp do Nauczyciela? - Tirli, słysząc to magiczne słowo, dotknęła drogiego ID.

- Masz prawo do takiej ilości wiedzy, jaką zdołasz upchnąć w łepetynie; ale najpierw musisz zmienić swój statut „bezprzydziałowej małaletniej”. No, wsiadaj. Pociąg jest gotowy do odjazdu, a chciałbym cię zabrać z tego wrogiego otoczenia.

Dziewczynka spojrzała przez ramię na grupkę kobiet wokół Bilali, szepnęła: „Głupia dziwka”, ale się nie opierała popychającemu ją Rozninowi.

- Gdy się już podciągniesz, to będziesz mogła chodzić do prawdziwej szkoły.

- Ja? Do szkoły? - W głosie Tirli pobrzmiwał sceptycyzm, i pogarda.

- Myślę, Tirlo, że masz o wiele więcej Talentu, niż ci się zdaje.

Dorotea; kwaśno: *Nigdy nie umiałeś łagodnie przejść do rzeczy.*

Tirła kucnęła obok Saszy, zwiesiła luźno ręce pomiędzy kolanami, oparła się plecami o ścianę wagonu. Uniosła ku Rozninowi głowę, strząsając z twarzy pasma czarnych włosów; w ciemnych oczach skrzyło się coś, co odczytał jako rozbawienie - pomimo wszystkich swoich telepatycznych umiejętności nie mógł dotrzeć do jego źródeł.

- Talent?

- Tak, Talent - powiedział i usiadł obok niej, a pociąg ruszył ze stacji.

- Nie jestem taka jak TY - stwierdziła ostrożnie, kołysząc się lekko.

- Nie, nie jesteś. Ja nie potrafię mówić do innych ludzi ich językiem tak płynnie jak ty.

Tirla zastanowiła się przez moment, potem wzruszyła ramionami.

- Przecież to wcale nie jest trudne.

- Dla ciebie. Ranjit dobrze się napocił przy tłumaczeniach, a zna sporo języków.

Znów wzruszyła ramionami, Ranjit nic jej nie obchodził.

- Za kilka lat możesz sporo zarobić na tłumaczeniach. - Wyczuł, że to ją zainteresowało. - Dostyć, żeby żyć na szczycie każdego liniowca i nie obawiać się Yassimów tego świata.

- Pracując dla OPP? - Najwyraźniej jej to nie odpowiadało.

- Dla kogoś z takimi zdolnościami do języków są o wicie lepsze możliwości niż OPP. Potrzeba ci trochę nauki.

- Uczyłam się - rzekła buntowniczo i z urazą; a na „och” Saszy dodała: - Korzystałam z ID brata, dopóki je miałam. Uczyłam się.

- *Czy mogłabyś to sprawdzić, Doroteo? Imię brata i ID są w raporcie incydentu.*

- *Znów coś mi mignęło, Sasza - powiedziała Dorotea. - Żeby się przebić przez te osłony, muszę się z nią osobiście spotkać. Domyślam się, że chcesz ją do mnie przywieźć, a ja mam odgrywać słodką, delikatną, nieszkodliwą babcie? Co to był za dzień, chłopcze! Całym sercem zgadzam się na twój plan! Czy złapałeś coś z rozmów na wysokim szczeblu?*

- *Większość!!* - Sasza przesłał Dorotei wizerunek siebie samego, rozradowanego jak zwariowany kibic piłki nożnej.

- *Kiedy się to wszystko uspokoi, Sasza, będziemy musieli dokładnie przeczesać testy próbne.*

W tej samej chwili Roznin poczuł szarpnięcie - to odczepiano cztery pierwsze wagony; miały pojechać do zachodniego schroniska, które przyjmie nielegalne dzieci. Dostrzegł na buzi Tirli obawę, podchwycił ukradkowe, szybkie spojrzenie dziewczynki.

Sasza: *Chyba ją wezmę do siebie.*

Dorotea: *Nonsens. U mnie będzie o wiele stosowniej, choć nie przepadam za urabianiem. Ale i ty nieźle sobie radzisz.*

Była to skąpa i niechętna pochwała.

Sasza uśmiechnął się i usiadł wygodniej.

- Już nie będzie szarpać - powiedział do Tirli. - Przetoczono nas na szlak pasażerski.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Do mojej babci.

- *Wcale nie jestem pewna, czy bym chciała być spokrewniona z takim miodoustym flirciarzem jak ty, Saszo Roznin. Nie masz za grosz zasad moralnych.*

- Może cię przechowa przez parę dni, dopóki nie znajdę dla ciebie odpowiedniej szkoły. To by rozwiązało problem wścibskiego UZP i trzymało Yassima z dala od ciebie. Ale, jak już mówiłem - dodał, bo słowo „szkoła” zlikwidowało na moment osłony umysłu Tirli i dostrzegł lęk, zaskoczenie, pragnienie i chęć wycofania się - masz teraz legalne ID i wolniaki na całe miesiące, poradzisz sobie.

Ich wagon parę razy przetaczano i teraz jechali szybciej i bez wstrząsów. Tirla to zauważyła; zauważyła też, jak się odprężyli pozostali pasażerowie; uśmiechali się i rozmawiali.

- *Dobra szkoła, też coś* - w umyśle Saszy rozległ się zde gustowany „głos” Borysa. - *Już widzę, jak do Fairmont czy Holyoke przyjmują takie coś.*

Sasza: *Trochę wyrozumiałości, braciszku, trochę wyrozumiałości. Jest czysta i zdrowa. A za tym szczelnym ekranowaniem może się kryć umysł geniusza.*

Borys: *Do machlojek!*

Dorotea, twardo: *Pozwól, że SAMI się zajmiemy jedną z nas.*

Borys: *Czyżbym był obcy?*

Dorotea: *Tak, kiedy nosisz tę swoją czapkę OPP!*

Sasza „ujrzał” wycofującego się potulnie brata, trzymającego w dłoni inkryminowane nakrycie głowy. Nikt się nie ważył sprzeciwić Dorotei, gdy była w wojowniczym nastroju. Roznin spojrział na Tirlę - wpatrzona w podłogę, trwała w głębokiej zadumie, choć na pozór zdawała się odprężona. Dotarli wreszcie do spokojnych ziem Wschodniego Centrum Parapsychologicznego, otworzyły się drzwi wagonu; dziewczynka zareagowała zdumieniem i niewiarą. Pozostali członkowie ekipy Saszy wysypywali się na zewnątrz, śmiejąc się i rozprawiając o szczęśliwie zakończonej akcji, a Tirla stała i rozglądała się wokół szeroko otwartymi oczami. Roznin jej nie popędał. Posiadłość starego Darrowa - z wielkimi, starymi bukami, klonami i dębami, z rozległymi trawnikami i ładnymi dwupiętrowymi domami - i

tak była czymś niebywałym we współczesnym Jerhattanie, a komuś z liniowca musiała się wydawać wręcz niesamowita. Dziewczynka wyglądała na przerażoną.

- O, tam mieszka moja babcia - oznajmił Sasza, wskazując na budynek, w którym niegdyś mieszkał ogrodnik. - Widzisz ją? Plewi. *Ależ z ciebie kiepska aktorka, Doroteo. Plewienie?*

Dorotea: *Może i tak; chyba nie oczekiwałeś, że się ubiorę w jakieś łachy, obwieszę bransoletami i wepnę sobie kółko w nos, żeby ona czuła się swojsko. A obrzeża i tak wymagały wyplenienia.*

Sasza: *Jak tam twój artretyzm?*

Dorotea: *Zawsze się poświęcam, koteńku. Aha, zwerbowałam Petera. Trzeba go ściągnąć z wyżyn na ziemię, a to dobra po temu okazja. Chyba jest od niej starszy, ale nie wygląda na swój wiek. Pojawi się przy poczęstunku. Jedzonko to zawsze znakomity wstęp do rozmowy, zwłaszcza dla kogoś, kto ma bliskowschodnich przodków.* Sasza, jaka miła niespodzianka! - Dorotea podniosła się i wyciągnęła doń ramiona. - Pocałuj mnie, ty gburze. *I babcie czasem potrzebują buziaka!*

- Babciu, to jest Tirla... Tunnelle...

Dorotea: *Jaki pomysłowy chłopiec!*

- ...musi się gdzieś zatrzymać na parę dni. Czy to nie będzie dla ciebie zbyt wielki kłopot?

Dorotea uwolniła się z gorących objęć Saszy i wyciągnęła do Tirli ubrudzoną ziemią dłoń. Starsza pani od chwili swych narodzin akceptowała świat z wzajemnością, więc otaczała ją aura

uniemożliwiająca odrzucenie - toteż Tirla wahała się jedynie krótką chwilę, a potem pochwyciła ofiarowaną rękę.

- *Ona ma kosteczki jak ptaszek, Sasza. Jakim cudem zdołała zrobić to wszystko?*

- *To jest Dorotea Horvath, Tirlo. Jej umysł wcale nie jest kruchy, Doroteo.*

- *Właśnie zamierzałam skończyć pracę i coś zjeść oraz wypić. Słońce mocno dziś przypieka. Czy sok już gotów, Peter?! - zawołała Dorotea i gestem nakazała gościom, by poszli przed nią ku małemu domkowi.*

Sasza był zadowolony, że pomyślał o Dorotei, zamiast zabierać Tirlę do imponującego głównego budynku posiadłości. Sądząc po osłupieniu dziewczynki, nawet ten skromny domek przerastał jej dotychczasowe doświadczenia.

- *Sądzę, że chciałabyś się teraz umyć, tak jak i ja - powiedziała łagodnie starsza pani, dotykając ramienia Tirli i wskazując niewielki hol. - Łazienka to drugie drzwi na lewo, kochanie, jest tam mnóstwo ręczników. Peter - dodała, idąc ku małej kuchence - mamy dwoje gości.*

Peter: Jaka ona jest?

Sasza: Przestraszona.

Peter, kwaśno: Znam to uczucie!

Dorotea: Szczelne osłony.

Peter, poważnie: Będę ostrożny.

Dorotea: I nie popisuj się, bo ją przerażisz.

Peter: Cały show na dzisiaj odstawiłem rano.

Zależniona Tirla wróciła do pokoju; ukradkiem dotykała kanap i drewnianych płaszczyzn. Sasza zauważył, że umyła dłonie i ramiona, szyję, twarz i tę część kościstego torsu, którą było widać w wycięciu znoszonego ubrania. Długie, czarne włosy zczesła gładko do tyłu. Roznin pomyślał o ponurej funkcjonalności kwater w liniowcach i dał małej duży punkt za nonszalancję.

- Oto i nasz posiłek - oznajmiła Dorotea, wnosząc wielką tacę rozmaitych pyszności; były tam różne przystawki, małe kanapeczki, owoce i świeże warzywa. - Nie upuść szklanek, Peter!

Na szczęście Tirla stała tyłem do chłopca, który holował kinetycznie cztery duże kubki, bo potrzebował obu rąk, żeby „nieść” spory dzban pomarańczowego soku.

- Potrzyj, a ja naleję - powiedział Peter, podając Tirli szklanice; dzięki temu nie widziała, jak pozostałe trzy lądują na niskim stoliku obok Dorotei i Saszy.

Dorotea: *Peter!*

Peter: *Nic nie zauważyła.*

Kiedy już wszyscy dostali swoją porcję soku, chłopiec usiadł obok Tirli; pociągnął spory haust napoju, otarł usta i okrzykiem wyraził pochwałę smaku.

- Nie zachłyśnij się, Peter - ostrzegła go Dorotea, przysuwając małej tacę z przekąskami. - *Niezwykłe upodobanie do zielonej papryki.*
- Oczy Tirli uśmiechnęły się do zielonych plastrów; wpatrując się w Doroteę, dziewczynka złapała trzy, a nie widząc sprzeciwu - sześć plastrów papryki. - Serowe ptysie są świeże i gorące. - Starsza pani

przysunęła je ku małej. - Nałóż sobie, zanim rzucają się na nie Sasza i Peter.

Tirla upuściła plastry papryki na podolek i posłusznie wzięła ptysia.

Sasza, płaczkliwie: *Mogę sobie zrobić troszkę kawy, Doro?*

Dorotea: *Pij! Cokolwiek. Ona nie ruszy niczego, dopóki my się nie poczęstujemy.*

- Właśnie tego potrzebowałam, Peter. Dokładnie wyschłam na tym słońcu. W tych kanapkach są szparagi. Sasza, wiem, że je lubisz! Peter, nie zjedz wszystkich kanapek z kurczakiem. Inni też mają na nie ochotę - paplała Dorotea, pogryzając serowego ptysia; odłożyła ciastko i ugryzła grzanki z pasztetem. - *No, to skosztowaliśmy wszystkiego, na dowód, że nie ma w tym ani trucizny, ani narkotyków. Ooo, świetnie! Na Boga! Ależ ona jest głodna!*

Tirla zaczęła jeść i pić - pospiesznie gryzła pożywienie i prędko łykała napoje, jakby nie wiedziała, czy najpierw zaspokoić pragnienie czy głód, i jakby się bała, że te pyszności nagle znikną. Troje telepatów wyczuło, jak rozjaśniały się pilnie strzeżone myśli dziewczynki, w miarę jak czyniła spustoszenie w potrawach. Paszteciki rozpływały się w jej ustach, ich smaki mile łechtaly język, od soczystej zielonej papryki poprzez ostry ser do aromatycznego mięsnego nadzienia.

- *Żywność to właściwa przynęta* - stwierdziła Dorotea - *jeśli wziąć pod uwagę, że to biedactwo głodowało przez całe swoje życie.* - Pociągnęła spory łyk soku pomarańczowego. - Mam nadzieję, Peter, że

jest tego jeszcze dużo w kuchni, bo cudownie smakuje. Jak każdy świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, prawda, Tirlo?

- *Sasza!* - odezwał się rozkazująco Borys. - *Twój podrzutek jest w dobrych rękach. Ktoś właśnie porwał jednego z tych jerhattańskich dzieciaków, które nazaczyliśmy przed trzema tygodniami!*

- No cóż, Tirlo, zostawiam cię tutaj - oznajmił Sasza, wstając i otrzepując palce z okruszków. - Znajdziesz tu schronienie na parę dni; no, a Peter ci powie, jak się zapisać do Nauczyciela. Zgoda?

Kiedy Roznin szedł przez trawnik ku głównemu budynkowi, dotarły doń słowa Dorotei: - *Przestała jeść, kiedy odszedłeś, ale obawiam się, skarbie, że taca z jedzonkiem i dzbanek z sokiem pomarańczowym mają teraz dla niej więcej uroku niż ty.*

W głębi duszy Sasza wcale nie był pewny, czy mu się podoba, że musiał ustąpić pierwszeństwa stercie kanapek - nawet w oczach takiej podrastającej chudzinki.

- Długo tu jesteś? - spytała Tirla Petera następnego ranka, kiedy jedli śniadanie w przytulnej, a dla niej zdumiewającej kuchni.

Dorotea przyrządzała jajka, świeże jajka. Dziewczynka nie chciała jej przeszkadzać - bo rondel stał na odkrytym płomieniu - więc szeptała.

- Hmm - odparł uprzejmie chłopiec, jedząc łyżeczką dojrzały melon (Tirla podpatrywała, jak on je; ona by pokroiła melon w cienkie plastry i wygryzła miąższ aż do skórki). - Od kiedy wyszedłem ze szpitala.

- Czemu byłeś w szpitalu?

Szpitala były dla niej czymś strasznym, zawsze starała się unikać medyków i znachorów; sama nigdy nie była chora czy ranna, więc podejrzliwie traktowała „chorych”.

- Ściana się na mnie zawaliła. - Peter obojętnie wzruszył ramieniem.

- Ależ cię musiała poturbować. - Tirla nie słyszała, żeby ktoś wyszedł żywy z takiego wypadku.

- Przez całe miesiące nie mogłem chodzić. Nawet nie mogłem sam jeść. - Oczy chłopca przybrały dziwny wyraz.

- I pozwolili ci żyć? - Tirlę zdumiała taka wspaniałomyślność.

- Jasne. - Peter spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Choć przez jakiś czas nie bardzo chciałem żyć.

Dziewczynka zajęła się melonem, rozmyślając przy okazji nad tym zadziwiającym stwierdzeniem. Melon był pyszny - nie nadpsuty jak większość z tych, które udawało się jej świsnąć. Od czasu do czasu zerkła na Dorotę, żeby się upewnić, czy płomień jest pod kontrolą. Czemu ta kobieta nie korzysta z podgrzewacza, który jest tuż obok? Nie należy igrać z otwartym ogniem - to jedna z pierwszych rzeczy, jakiej się uczyłeś w liniowcu. Ogień to najpewniejszy sposób, żeby OPP się tobą zajęło.

- No to czemu? - spytała Tirla, bo się zorientowała, że Peter czeka na jej reakcję. - To znaczy, czemu żyjesz?

- Rhyssa nauczyła mnie samodzielnie się poruszać.

- Dość dziwnie chodzisz - stwierdziła dziewczynka, która zauważyła owo osobliwe „ślizganie się”; nogi Petera się poruszały, a mimo to nie sprawiał wrażenia, że kroczy.

Chłopiec parsknął, usta miał pełne melona. Przełknął i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To dlatego, że nie chodzę jak wszyscy. Kinetycznie wprawiam się w ruch. - Jego oczy zaśniły psotnie, kiedy Tirla zdradziła swoje zdumienie. - Moje ciało nie może się poruszać. To JA wprawiam je w ruch.

Dziewczynka przestała jeść i gapiła się na niego, dopóki sobie nie przypomniała, że w liniowcu takie uporczywe spojrzenie uchodziło za niegrzeczność.

- Twoje ciało się nie porusza? Przecież jesz. Posługujesz się dłonią i ramieniem... jak ja... - Wyciągnęła rękę.

- Dobry w tym jestem, prawda? - Peter był zachwycony wrażeniem, jakie wywarł na Tirli. - I jeszcze czegoś dokonałem, poruszając... - przerwał, uśmiechnął się troszkę smutno i mówił dalej: - Słyszałem, że i ty masz niezły Talent. To boski numer - odebrać te dzieciaki zboczeńcowi.

- To pestka w porównaniu z tym, czego ty dokonałeś. - Potrząsnęła głową, kwitując swój wyczyn. - Wcale nie mam tego jakiegoś Talentu.

- To ty tak sądzisz - prychnął dobrodusznie Peter. - Rhyssa mówi co innego. Ja jestem dobry w tym, co robię. A ty jesteś bardzo, bardzo dobra w swojej działce. Nie pomniejszaj tego.

Tirla zmieniła temat nieco zakłopotana powagą tonu Petera; chciała wyciągnąć z chłopaka jak najwięcej.

- Mówisz, że Rhyssa ci pomogła? Czy to ta ciemnowłosa, co była tu wieczorem, kiedy Sasza poszedł?

- Tak. Ona jest tu dyrektorem.

- Nie Sasza?

- Sasza jest zastępcą - uśmiechnął się chłopak. - Przejmuje obowiązki, kiedy Rhyssa się kimś zajmuje. Jak mną! Jestem jej „specjalnym projektem”... - przerwał, zamrugał, rzucił szybkie, przeproszające spojrzenie na Doroteę i uśmiechnął się. - Rhyssa ma całe mnóstwo specjalnych zadań, przecież jest dyrektorem. Nie jestem jedyny.

Tirla zauważyła, że policzki chłopca zaróżowiły się na moment. Cóż mogło zakłopotać kogoś takiego jak Peter? Ale Dorotea już

podawała talerze z jajkami na bekonie i namawiała małą na gorącą grzanekę. Dziewczynka najadła się aż po same uszy. Wylewnie dziękowała Dorotei za wysiłek samodzielnego przygotowywania potraw.

- Bardzo to lubię - odparła starsza pani z miłym uśmiechem. - Zwłaszcza lubię gotować dla tych, co jedzą z apetytem. Peter, może byś zabrał Tirlę do „klasy” i wpisał ją. Będziesz musiała najpierw przejść parę testów, kochanie, ale jak już ustalą twój poziom, to wyznaczą ci odpowiednie kursy.

Tirla kiwnęła głową; o wiele bardziej interesował ją teraz sposób, w jaki Peter podniósł się z krzesła; naprawdę się ślizgał, prowadząc ją do „klasy” - dziewczynkę fascynowała dziwaczna płynność ruchów chłopca.

- I ty naprawdę nie chodzisz?

- Ani, ani. To wszystko kineza. Kiedy ta ściana na mnie spadła, to przerwała mi rdzeń kręgowy. Medycyna jeszcze nie potrafi tego naprawiać, ale dzięki kinetyce mogę się poruszać. To lepsze niż być przykutym do wózka - zapewniał ją pogodnie. - O, tu jest twój terminal, a tu słuchawki. Ja też muszę wyrobić godziny z Nauczycielem. Tego się nie da załatwić kineza!

Skrzywił się, a Tirla usiadła we wskazanym fotelu. Wsunęła słuchawki w uszy, a Peter wystukał coś na klawiaturze - i nagle ekran pojaśniał.

- Twój osobisty Nauczyciel wita cię, Tirlo Tunnelle, w tym Programie Edukacyjnym. - Na ekranie widać było klasę, przy biurku

siedziała kobieta o sympatycznej twarzy; Tirla wiedziała, że to tylko program mający zastąpić dawne relacje uczeń-nauczyciel, ale zawsze lubiła Nauczyciela: był to ktoś, komu można zaufać, kto się nie będzie wyśmiewał z pytań czy pomyłek, ktoś, kto pomoże się uczyć. - Sasza Roznin powiedział nam, że już się trochę uczyłaś jako Kail, mieszkaniec liniowca G, kwatera 8732a. Jeżeli się zgodzisz, Tirlo, to sprawdzimy dzisiaj, co zapamiętałaś z tamtych lekcji. Możemy zaczynać? Jeśli chcesz sobie przypomnieć funkcje klawiatury, to naciśnij „H”. Jeżeli jesteś gotowa, to naciśnij „Return” i zaczniemy sprawdzian.

Tirla - z mieszaniną lęku, radości ze spełnienia długo hołubionego marzenia i obawy, że ten cud się nagle skończy - nacisnęła „Return”.

- Sądzę, że Tirla weszła w fazę nadmiernego zafascynowania uczeniem się - zaczęła Dorotea, bębniąc palcami o blat kuchennego stołu. - Nie chce odejść od terminala, chociaż Peter równie usilnie jak ty, Sasza, stara się ją wyciągnąć na dwór. Coś mi się zdaje, że nasze ogrody raczej ją przerażają, niż budzą w niej zachwyty. Jak już wyjdzie, to nie schodzi ze ścieżki i wcale nie korzysta z urządzeń do gier i zabaw. To nic dobrego: sama nauka i żadnych rozrywek.

Don Usenik, który brał udział w tym spotkaniu jako konsultant medyczny, potrząsnął głową, rozbawiony zacierzeniem Dorotei:

- Testy medyczne mówią, że mała cieszy się znakomitym zdrowiem. To zadziwiające, jeśli się weźmie pod uwagę warunki, w jakich dotąd żyła.

- I tak uważam, że to niewskazane, by dziecko w jej wieku starało się w cztery dni opanować materiał z dwóch lat nauki - upierała się Dorotea.

- Wzmoczona chłonność? - zapytała Rhyssa.

- A co na to Peter? - odparowała energicznie starsza pani.

- Peter twierdzi, że jeżeli ona zechce, to na pewno da radę - roześmiała się Rhyssa. - On „słyszy” myślowe komentarze, kiedy Tirla się uczy. Ona ma zadziwiającą pamięć, tak wzrokową jak i słuchową. I raz lub dwa odpowiedziała Peterowi telepatycznie, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Musimy jej uświadomić, jakie ma zdolności - oderwał się sfrustrowany Sasza.

- Na to trzeba czasu, Sasza. - Rhyssa pochyliła się ku niemu nad stołem. - Niczego nie wolno na siłę przyspieszać.

- Borys chciałby setkę takich jak ona. - Sasza zmarszczył brwi.

- Sądziłam, że ty i Borys znaleźliście tego jerhattańskiego dzieciaka - rzekła Rhyssa, czytając jego myśli; wcale jej się nie spodobało to, co tam ujrzała: Borys chciał, żeby Tirla pracowała z Cass.

- O tak, odnaleźliśmy ją i uratowaliśmy - odparł bez satysfakcji Sasza. - I dwie inne też, ale nie złapaliśmy żadnego użytecznego tropu. Jakiś pomniejszy ladronie porozumiewający się telefonicznie... kolejny poręczny nielegalny łącznik. Ślepy zaułek. Dziewczyny nic nam nie potrafiły powiedzieć: uspioło je, zasłonięte oczy, wpakowano w jakiś gładki plastikowy kokon. Odniosły bardzo głęboki uraz.

- Trudno będzie zneutralizować psychologiczne skutki tego uwięzienia - wtrącił Don, marszcząc brwi. - Odciecie bodźców dotykowych: nowy sposób na uspokojenie porwanych. Paskudna sztuczka. - Usenik potrząsnął głową. - Wyjeżdżasz dziś z Peterem, prawda? Czyli to ja i Dorotea mamy wpaść na jakiś błyskotliwy pomysł usprawnienia testów?

- No i ja. - Sasza ocknął się z zamyślenia. - W końcu jestem przecież dyrektorem do spraw szkolenia w tym Centrum. Cały kłopot z kimś takim jak Tirla polega na tym, że ona w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, iż ma Talent. A tak nawiasem mówiąc, jak zamierzacie testować dzieci, które oficjalnie nie istnieją?

- Jakie szkolenie planujesz dla Tirli? - zapytała Rhyssa.

- Szkolenie? - Sasza wzruszył ramionami. - Z taką swobodą czyni to wszystko: dostaje się do ośrodka komunikacji w mózgu dowolnego człowieka i dopasowuje się do języka, którym on mówi. - Roznin rozłożył ręce. - Niby jak mamy to ulepszyć? Ona nie potrafi tego wytłumaczyć. Tak jak i Peter nie umie wyjaśnić, jak robi to, co robi.

- Sama bym się tym zajęła, ale nie cierpię tłumów i nie mogę zbyt dużo chodzić - odezwała się nagle Dorotea. - Lecz ty, Sasza, mógłbyś ją odciągnąć od Nauczyciela na dzisiejsze popołudnie. Jej buty są już do niczego i choć może Tirli dobrze się czuje w przydziałowym łaszku, to wolałabym, żeby się ubrała w coś ładniejszego. O całe niebo ładniejszego.

- Ja? - Sasza spojrzał na Doroteę, potem na Rhyssę i udał, że nie dostrzega rozbawionej miny Dona.

- Ty! - Dorotea wskazała go palcem. - Ona ci ufa!

- Ależ ja nigdy nie kupowałem ubrań dla dziecka.

- Nie wpadaj w panikę - pouczyła go sadystycznie starsza pani. - Jestem przekonana, że Tirli świetnie wie, w czym jej będzie wygodnie, a o to przecież chodzi. Jest jeszcze za młoda, żeby się chciała uwodzicielsko wystroić.

- *Akurat* - pomyślała Rhyssa do Dorotei, która posłała jej nieprzeniknione spojrzenie i nic nie odpowiedziała.

- Zabierz ją do jednego z magazynów - ciągnęła starsza pani. - Niech zobaczy, jak żyje druga część społeczeństwa, ta, do której i ona teraz należy. A potem zaproś ją na coś okropnie niezdrowego i

sycącego. Porozpieszczaj ją trochę. Pokaż jej, że na tym poziomie może mieć z życia coś więcej niż ID i monitor.

- Tirla może coś wiedzieć o innych dzieciakach obdarzonych niezwykłymi zdolnościami - dodała Rhyssa. - Niewiele jej umknęło.

- Na pewno - odparł szczerze Sasza. - Twój helikopter właśnie wylądował, Rhyss. Odprowadzę was.

- Peter! - zawołała Rhyssa. - Dave i Johnny już są gotowi. Spakowałeś się?

Dorotea zachichotała:

- On jest gotów do drogi od chwili, kiedy pomyślałaś o... - przerwała i uśmiechnęła się podstępnie - ...o odmianie.

- Idę! - odkrzyknął chłopak.

Przetransportował swoją walizkę na lądowisko i poszedł do pokoju Tirli.

- Cześć. Ucz się pilnie.

Dziewczynka nacisnęła „Hold” i spojrzała ze zdziwieniem na Petera.

- Wybierasz się gdzieś?

- Rhyssa znalazła mi pracę - uśmiechnął się łobuzersko i mrugnął.

- Pracę? Tobie?

- Jasne, przecież jestem bardzo użyteczny, sama wiesz.

Tirla obdarzyła go długim, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- I co będziesz robił?

- To, w czym jestem dobry.

- A w czym jesteś dobry? - nie kryła swego niedowierzania.

Peter nie mógł pstryknąć palcami, więc mlasnął parę razy językiem.

- Chciałbym ci o tym opowiedzieć, Tirlo. Ale to zawodowy sekret.

- No to mi nie mów. Mam ciekawsze zajęcia niż zgadywanie sekretów! - I określiła się ku monitorowi.

- Nie będzie mnie parę tygodni.

- Baw się dobrze. - Pomachała mu przez ramię, nie odrywając oczu od ekranu.

W zatrzymanym kadrze widniała Nauczycielka z otwartymi ustami i na wpół uniesioną ręką - punktowała akurat jakąś ważną kwestię. Tirlo próbowała wrócić do lekcji; prawdę powiedziawszy, będzie jej brakować Petera, ale oczywiście nie mogła mu tego zdradzić. Tygodnie?

To pierwszy chłopak z odrobiną rozumu, jakiego spotkała w swoim życiu. Wiedziała, że uchodzi za świetnego kinetyka; mówił jej o transferze myśli i o telepatii, co ją trochę zaniepokoiło. W końcu KAŻDY musi mieć jakąś sferę prywatności. No i Peter pomagał jej w rozwiązywaniu trudniejszych zadań zleczanych przez Nauczycielkę. Przynajmniej Sasza tu będzie. Nie chciałyby, żeby i Sasza zniknął na całe tygodnie.

Wkrótce znów przerwano Tirli lekcję - i uczynił to właśnie Sasza.

- Tirlo! Ruszyłaś się choć na krok z tego pokoju?

- Nie - odparła, wystukując odpowiedź na wyświetlone pytanie.

- Wyłącz tę piekielną maszynę, Tirlo! Mamy ciekawsze zajęcie na popołudnie.

- Jakże? - Okręciła się i spojrzała na Saszę.

- Kupimy ci buty i ubrania.

Dziewczynka zerknęła na swoje obuwie - w pęknięciach widać było palce.

- Próbowałam znaleźć dystrybutor odzieży, ale u Dorotei nie ma czegoś takiego.

Sasza nachylił się i wyłączył monitor.

- Hej! - Tirła patrzyła nań ze zdziwieniem, które szybko przerodziło się w niechęć; sięgnęła ku przełącznikowi, ale Roznin złapał jej dłoń.

- Kiedy wrócimy, zaczniesz od tego miejsca. Wstawaj. - I Sasza pociągnął dziewczynkę za rękę. - Tu, w Centrum, nie mamy dystrybutorów odzieży. Zwykle przysyłają nam ubrania, ale tym razem pójdziemy po nie osobiście, bo nie mam pojęcia, który numer butów nosisz i jakie kolory lubisz. Jak już to załatwimy, to zapraszam cię na poczęstunek.

Tirle bardzo to zainteresowało. Jej czarne oczy rozblęły, poderwała się z fotelika.

- A co mi zafundujesz?

- To już będzie zależało od twego wyboru, skarbie - odparł i poprowadził ją do sekcji transportu. - W naszych magazynach jest w czym przebierać - dodał prowokacyjnie.

Jeśli Sasza żywił jakiegokolwiek obawy co do zakupów dla dziecka, to rzeczywistość przerosła jego wszelkie oczekiwania. Tirla musiała się najpierw otrząsnąć z szoku, wywołanego ogromem wybranego przezeń magazynu. Potem przewlokła Roznina przez każdy dział dwunastopiętrowego kompleksu; w trakcie tego wstępnego rozpoznania miała „oczy dookoła głowy”. Wrócili na pierwsze piętro i długo się przyglądała temu, co przyciągnęło jej uwagę za pierwszym razem. Na czwartym piętrze - na szczęście było tu obuwie i odzież dla młodzieży - odpadła podeszwa od jednego z butów Tirli. (Bo się za bardzo rozgrzała przy tej prędkości przemieszczania się małej - opowiadał potem Sasza Dorotei).

Kiedy nadgorliwy nadzorca piętra ruszył ku Tirli w wiadomym zamiarze wyrzucenia przybłądy z tak eleganckiego przybytku, Sasza zatrzymał go.

- Nie robiłbym tego - szepnął, odsłaniając swoje charakterystycznie oznakowane ID. - Ona jest ze mną. Czy to wystarczy, żeby mogła tu kupować?

- Oczywiście, sir. Przepraszam, sir, ale sam pan przyzna, że...

- Właśnie dlatego przyszliśmy po zakupy.

Mężczyzna pospiesznie umknął z pobliża Saszy, oglądając się nań niespokojnie parę razy.

- Chyba nie zamierzałeś rzucić na niego uroku, co Sasza - spytał jakiś rozbawiony głos za plecami Roznina.

Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą Cass Cutler.

- Gdybym to potrafił, to bym rzucił na Tirlę czar szybkiej decyzji. Przemknęliśmy jak wiatr przez wszystkie poziomy tego magazynu, a teraz ona szykuje się do następnej rundy!

Cass rozbawiło jego zaniepokojenie.

- A oni wysłali cię samego z twoją protegowaną? - Znów się roześmiała. - Jakie to nieuprzejme z ich strony!

- To podobno ma być obopólnie kształcące.

Tirla wróciła i wczepiła się w dłoń Saszy, przyglądając się Cass zwięzonymi, nieprzeniknionymi oczami.

- Pamiętam cię - stwierdziła Cass. - Odbiłaś się ode mnie i mojej partnerki w liniowcu G. I zniszczyłaś machlojki Szarlatana. Moje gratulacje!

- Jesteś z jego paczki? - Dziewczynka kiwnęła głową ku Saszy.

Cass ponownie się roześmiała, gardłowo, szczerze. Roznin poczuł, jak rozluźniają się palce Tirli.

- Nie całkiem, mała. Jesteśmy po tej samej stronie, ale ja jestem kontrolerem tłumu, z OPP. Wy jesteście Talentami.

- Panowanie nad tłumem też wymaga Talentu - odparła wspaniałomyślnie Tirla. - Peter mi powiedział. - Rozejrzała się z niesmakiem dokoła: - Nie ma tu dziś zbyt dużych tłumów.

- Mam dzisiaj wolne - powiedziała Cass. - Widzę, że i ty także. Czy znalazłaś coś, co ci się spodobało?

- *Pomożesz mi, Cass? Zgódź się, proszę!* - błagał Sasza. - *Mam okropne przeczucie, że ten dzieciak obleci jeszcze raz cały magazyn, zanim cokolwiek przymierzy!*

- Nie obraż się za tę uwagę, Tirlo, ale myślę, że wygodniej będzie ci się chodzić w całych butach. Trzeba to od razu załatwić. Co ci wpadło w oko?

Sasza, pełen ulgi, poszedł za Cass i Tirlą do działu z obuwem. Po godzinie - kiedy to dwóch dręczonych sprzedawców musiało zastąpić mechanicznego przymierzacza - udało się dobrać buty na małe, wąskie, delikatne stopki dziewczynki; miękkie, purpurowe skórzane buty: jedyne, jakie pasowały.

- *Kompletnie nieodpowiednie dla dziecka* - stwierdziła Cass. - *Ale przynajmniej pasują.*

- *I szalenie jej się podobają!* - Sasza widział, jak promienieje buzia Tirli, drepcącej od jednego lustra do drugiego.

- Panie Roznin - rzekł znużony główny sprzedawca, kiedy z kasy wysunął się kwit. - Pańska... pańska młoda towarzyszka ma drobną stopkę, na którą bardzo trudno dobrać obuwie. Czy mogę panu polecić tę firmę? Wykonuje wspaniałe buty na zamówienie.

Sasza czytał w nim jak w otwartej książce; to, co tamten przemilczał, brzmiało: „A nam to więcej nie zagrozi!” Lecz z wdzięcznością przyjął od sprzedawcy kartę, którą będzie można wprowadzić do domowego „zamawiacza” Dorotei.

Przy każdym kolejnym sprawunku Roznin błogosławił Cass; najwyraźniej sprawiało jej przyjemność oglądanie, przymierzanie, omawianie fasonu, koloru i rozmiaru - czyli to wszystko, co jego nudziło.

- Sasza, ona nie rozumie, że można mieć nieograniczone sumy do wydania - rzekła w pewnej chwili Cass. - Ale musisz przyznać, że świetnie się orientuje, w czym jej dobrze.

Tirla przymierzała jednoczęściowy strój, tak odmienny od przydziałowego łaska, jak diamenty od kryształu górskiego. Był jasnobłękitny, z purpurowymi akcentami przy szwach, kieszeniach i zapięciach. Kiedy dziewczynka stwierdziła, że ów strój podoba się i jej, i Saszy - bo to na jego ocenę zawsze czekała - to nie chciała już nic innego i Roznin z Cass musieli się solidnie namęczyć, żeby ją skłonić do kupienia następnych ciuszków.

- Po co mi inne? Mam buty, a ten materiał jest bardzo wytrzymały. Wystarczy mi na wiele tygodni. Nawet gdybym znów musiała skakać do pociągów. - Oczy Tirli błysnęły figlarnie ku Saszy.

Rozbawiło go jej zuchwalstwo.

- Do twarzy ci w tym, Tirlo, bez dwóch zdań. Ale nawet Nauczycielce się znudzi widzieć cię stale w tym samym stroju.

- Przecież ona mnie NIE widzi. - Dziewczynka spojrzała nań twardo.

- Ona nie, ale ja cię widzę i Dorotea, i Sirikit, i Budworth, i Don, no i Peter, i Rhyssa. Chyba zauważyłaś, że nigdy nie chodzą w tym samym stroju przez dwa dni z rzędu.

- O, oni mają mnóstwo ubrań. Dorotea ma pełne szafy. - W głosie Tirli nie było zawiści, co najwyżej leciutki ton krytyki: jakby uważała, że to niewłaściwe, iż ludzie mają aż tyle strojów.

- Trzeba mieć kilka na zmianę - wtrąciła Cass. - Ja też mam - dodała zachęcająco, bo Tirla (z rękami w kieszeniach, przygarbiona) odwróciła od nich oczy.

- To nie z twoich wolniaków, Tirlo - zaczął Sasza, którego nagle olśniło, o co małej chodzi. - Dorotea i Rhyssa chcą, żebyś była odpowiednio ubrana, bo przecież jesteś Talentem. Już nie jesteś nielegalna, pamiętaj. - Wskazał na jej ID.

- Oooo! - Buzia dziewczynki się rozjaśniła, Tirla nowym okiem zerknęła na swoje ID. - To dlatego ci sprzedawcy byli dla mnie tacy mili?

- Otóż to - rzekła sucho Cass. - W takich magazynach jak ten każdy rozpoznaje ów szczególny wzór.

- Naprawdę? - Tirla okręciła bransoletę na kruchym przegubie; ułożyła ją tak, żeby była dobrze widoczna. - Ile mogę kupić na podstawie tego?

Sasza sprytnie zmienił jęk rozpaczony w pokasywanie, bo Cass celnie stuknęła go łokciem pod żebro.

- Przekonajmy się, dobrze, mała? - rzuciła pogodnie Cass i wyciągnęła do niej rękę.

Tirla dość ochoczo chwyciła tę dłoń, lecz drugą ręką natychmiast capnęła dłoń Roznina i pociągnęła oboje ku stelażowi ze spodniami w jaskrawych kolorach.

Nie była tak rozrzutna, jak się Sasza obawiał, lecz stanęło na tym, że miała odmienny strój na każdy dzień tygodnia. Wtedy Roznin zrealizował swoją obietnicę poczęstunku i poprosił Cass, żeby się do

nich przyłączyła i towarzyszyła im do Staroświeckiego Salonu Wyrobów Cukierniczych i Przepysznych Deserów.

Tirla pochłonęła trzy obfite porcje czegoś, co wzbudziło w Saszy obrzydzenie.

Cass: *Pozwól jej się tym nacieszyć, Sasza. Przecież do tej pory tylko słyszała o lodach.*

Sasza: *A jeśli jej to zaszkodzi? Dorotea obedrze mnie żywcem ze skóry.*

Cass: *Ten dzieciak ma żelazne zdrowie, skoro tak długo wyżył w podklasio. No i sam zobacz, ile jej to sprawia przyjemności.*

Sasza, z jękiem: *Zaraz mnie zemdli!*

Właśnie wtedy Tirla dostrzegła, że w salonie były inne dziewczynki i chłopcy, więc - machinalnie wymachując łyżeczką - zaczęła się im przyglądać.

Ta blondynka powinna nosić jasne kolory. Lepiej by wyglądała w pastelowych odcieniach. A ten tam, czemu nosi tak obcisłe spodnie? Jeszcze sobie zaszkodzi. O, ten czerwony ciuch dobrze by wyglądał na mnie. Może znajdę coś podobnego, jeśli Sasza znów zechce wydać trochę forsy.

Sasza spojrział ukradkiem na Cass, a ona przewróciła oczami.

Sasza: *Głośny i wyraźny strumień myśli. Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że nadaje?*

Cass, pospiesznie kończąc swoją porcję: *Mało prawdopodobne. Ta mała przez całe swoje życie musiała się mieć na baczności. Szczerze*

mówiąc, Sasza, uważam za ogromny dowód zaufania to, że tak poluzowała przy nas osłony swojego umysłu.

Sasza: Dobry znak.

Z pozorną obojętnością obserwował Tirlę i słuchał jej wnikliwych i zwięzłych uwag na temat wyglądu, stylu, ubrań, manier i klasy obecnych w salonie osób, uwag, które przepływały przez bystry i pełen zaniepokojenia umysł dziewczynki.

Cass podniosła się w końcu niechętnie i oświadczyła, że musi wracać do Centrum, bo ma wieczorne zajęcia. Tirla wydawała się zawiedziona, że kończy się ich spotkanie we troje.

- Gdybyś potrzebowała kiedyś towarzystwa na następną rundkę po magazynach, mała...

- To są i INNE? - Tu Tirla spojrzała oskarżycielsko na Saszę.

- Tysiące - pouczyła ją Cass z uśmiechem, w którym nie było ani odrobiny skruchy. - Ale i tak możesz obejść tylko jeden z nich na raz, bo inaczej wszystko ci się pokręci i nie będziesz wiedzieć, co gdzie widziałas i za jaką cenę. Wiem coś o tym!

Tirla uznała słuszność tej uwagi i - trzymając Saszę za rękę - z zadowoleniem wróciła do ich pojazdu i do Centrum.

Zanim dotarli do Dorotei, przysłano ich zakupy - czekały na nich, równiutko poukładane.

- Jak uroczo dobrane! - wykrzyknęła Dorotea na widok strojów Tirli. - Wykupiłeś cały magazyn, Sasza?

- Daj jej jeszcze trochę czasu, a na pewno to zrobi. Cass niebacznie ją poinformowała, że są tysiące takich miejsc, jak Grafton, więc może nam zabraknąć funduszy na płacenie rachunków małej.

- A zatem po kolacji mogę się spodziewać rewii mody, Tirlo? - roześmiała się Dorotea.

- Rewii? Czemu? Każdego dnia, przez cały tydzień, założę coś nowego i wtedy zobaczysz - odparła dziewczynka. - Co jest na kolację? Pysznie pachnie!

- Masz jeszcze apetyt po tym wszystkim, co zjadłaś? - zdziwił się Sasza.

- To była funda. Nie dostanę kolacji po fundzie?

- Oczywiście, że dostaniesz - uspokoiła ją Dorotea, piorunując spojrzeniem Roznina.

- *Gdybyś widziała te trzy wielkie, lepkie, obrzydliwe paskudztwa, które pochłonęła niecałe pół godziny temu... Lepiej nie dawaj jej zbyt dużo na kolację - ostrzegł Sasza.*

- Umyj ręce, Tirlo, i już ci podaję kolację. Zostajesz, Sasza?

- Nie, dziękuję, ale nie - udało mu się zachować grzeczny ton głosu. - *Peter miał rację, ona jest telepatką. Ale nie wie o tym.*

Dorotea: *Hmmm. Widzisz, czegoś się od niej dzisiaj nauczyłaś. A czego ona się nauczyła od ciebie?*

- Jak wydawać pieniądze - odparł cierpko Sasza i wyszedł.

Jeśli oficjalni obserwatorzy startów nawet i zauważyli chłopca, siedzącego na uboczu w górnym pomieszczeniu kontrolnym, to pewno uznali go za dzieciaka, któremu z racji młodego wieku pozwolono się wszystkiemu przyglądać. Mężczyźni z całą pewnością dostrzegli siedzącą obok malca kobietę - bardzo piękną, z niezwykle, srebrzystym pasmem w ciemnych włosach. Nie spuszczała chłopca z oka. Równie uważnie strzegł go wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w polowym mundurze z pułkownikowskim orłem. Nie zwracali na nikogo uwagi, więc i inni tylko przelotnie rzucali na nich okiem. To, co najważniejsze, działo się na zewnątrz, przy wysokich, masywnych kratownicach, gdzie huraganowe wichry szarpały płomień buchający z silników. Ostatnio wszystkie starty były niebezpieczne - pogoda dezorganizowała cały transport powietrzny, a szczególnie groźne stały się pierwsze minuty wznoszenia się promu.

W ekranowanym pomieszczeniu rozległo się odliczanie - przy „ośmiu” obserwatorzy starali się zająć jak najdogodniejsze miejsce przy wąskich oknach, pragnąc zobaczyć zapłon i start. Ukradkowo krzyżowano palce na szczęście, bo to miał być trzynasty lot. Chociaż, oczywiście, nikt nie był przesądny.

- Zapłon! - w wypowiedającym to głosie za każdym razem brzmiała nutka triumfu.

Nikt z obecnych nie słyszał, że w chwili gdy silniki promu zaczynały grzmieć pełną mocą, rozległ się inny dźwięk - narastający pomruk generatorów. Cichy szum, który rósł do momentu, kiedy zaczynał się unosić prom, jeden z tych nowych, wspaniałych, klasy Rigel. Początkowo wznoszenie się było niemal niedostrzegalne, potem zrywała się ostatnia więź ze startowym rusztowaniem. Wszyscy wstrzymywali oddech. Lecz prom - na przekór wyjącemu wichrowi i ulewnemu deszczowi - wzbijał się w górę sponad betonowego placu i nawet na centymetr nie zbaczał z optymalnej trajektorii. Wznosił się coraz szybciej i nagle „ptak” zniknął w szaroburych, niskich, kłębiących się chmurach - jeszcze przez chwilę widać było ogień silników.

Wszystkie oczy kierowały się natychmiast ku nowo zainstalowanym monitorom na podczerwień, na których śledzono nie zakłócony lot promu poprzez atmosferę, bezpieczne wychodzenie ponad turbulencje - stąd miał już blisko do Drugiej, niecierpliwie czekającej na przewożony ładunek.

- Pilot przejął stery - powiedział Peter Reidinger, otwierając oczy.

Chłopiec spojrzał najpierw na Rhyssę, a ona skinęła głową i uśmiechnęła się doń uspokajająco; puściła dłoń Petera. Lubił, kiedy w takich chwilach trzymała go za rękę, choć nie czuł jej dotknięcia.

- Twoje stery, Crosbie - oznajmił kontroler i westchnął z ulgą. - Świetny start, Peter. Pracujesz jak marzenie. Zapisz to wszystko dla nauki.

- I tak się dzieje - przypomniał mu z uśmiechem Johnny Greene.

- Wie pan, co mam na myśli, pułkowniku. - Jason Murphy dotknął jego dłoni.

- On się z tobą droczy - stwierdził Peter, spoglądając na monitor.

Właściwie chłopiec nie musiał tego robić - wznoszenie się promu tętniło w jego żyłach, mrowiło prądem przebiegającym po kościach. Czuł je całym sobą.

- Bardzo ekonomiczny start, Peter - oznajmił Johnny, oglądając wydruk na kontrolce generatora. - To trzeci z kolei na tym poziomie gestaltu. Sądzę, że możemy już określić niektóre parametry korzystania z mocy przy startach w złych warunkach... choć dalej nie mam pojęcia, jak ty to robisz. - Tu chrząknął z niezadowoleniem.

Były pilot miał nadzieję, że nauczy się od Petera sprzęgania się z generatorami, jeżeli będzie dokładnie śledził pracę umysłu chłopca podczas startu. Johnny miał jedynie utajony Talent kinetyczny - lecz on i Rhyssa zdecydowali, że to lepiej; „rasowy” kinetyk mógłby się nie dopasować do metod chłopaka.

- Może się za bardzo starasz, J.G. - zasugerował Peter. - Otworzyłem się, na ile tylko mogłem...

- Wiem, mały. Na przestrzał. Po prostu jestem zbyt niezdarny, żeby przejść przez otwarte drzwi. Coś mi się zdaje, że potrzebny do tego wyszkolony kinetyk.

- Zapłon drugiego członu! - oznajmił kontroler, patrząc na wskaźniki. - Poooszedł! Dobra robota, Peter. Naprawdę.

- Rusz się, Peter, czas na naukę pływania - popędził chłopca Johnny. - Musisz mieć dobrą kondycję, żeby wypuszczać te ptaki.

- Nie mógłbym zostać, żeby się upewnić, czy bezpiecznie zacumuje? - Peter za nic by się nie przyznał, nawet w najgłębszym zakamarku swego umysłu, że bezpośrednio po starcie nie miał siły, aby się podnieść z fotela; potrzebował paru chwil na odzyskanie energii i korzystał z każdego pretekstu, by je zyskać.

- Z ptakiem wszystko O.K. - zapewnił go Jase.

- Czekaj, jeśli chcesz. - J.G. z powrotem usiadł. Peter się zastanawiał, czy pułkownik Greene zwąchał, w czym rzecz; nigdy nie dał tego po sobie poznać, jeżeli tak było.

Obserwatorzy zaczęli powoli wychodzić ze znajdującej się poniżej galerii - przygarbieni, w nieprzemakalnych ubraniach, walczący z silnym wichrem. Jason mrugnął i włączył interkom.

- Tylko postępowi w technologii kosmicznej, senatorze, zawdzięczamy fakt, że możemy wysyłać promy niezależnie od pogody.

- Gdybym dostał pięć centów za każdą przymusową przerwę, stary, to bym mógł zafundować drinki wszystkim z bazy. Ile nas kosztuje ta nowa technologia?

Kongresman wymienił cyfrę trzy razy wyższą niż w kontrakcie Petera. I prawie o sto procent większą niż cena generatora.

Chłopak uśmiechał się od ucha do ucha, serdecznie rozbawiony owym podsłuchiwaniami. Był przerażony tym, ile kosztuje „duży” generator (choć J.G. go zapewnił, że to betka w porównaniu z innymi wydatkami dla Canaveral) i nie mógł uwierzyć w to, co mu zapewniał kontrakt za tak krótką pracę. No i jeszcze dochodziły premie za każdy

pomyślny start. Natomiast ogromnie mu się spodobała sugestia Rhyssy, że Centrum podwyższy „pensję” wysyłąną jego rodzicom.

Talenty zwykle nie były zatrudniane, dopóki nie ukończyły osiemnastu lat, ale uznano, że - ze względu na okoliczności i niezwykle zdolności Petera - tym razem można, na krótko, odstąpić od tej zasady. Vernon wyjaśnił Centrum, że jeśli technologia jest kosztowna, to na pewno zostanie uznana za wydajniejszą od czegoś tańszego. Różnica pomiędzy prawdziwymi a fikcyjnymi kosztami wpływała na Fundusz Badawczy Centrum.

Altenbach i tak się musiał natrudzić, żeby przekonać personel Canaveral do „nowej technologii”; i to mimo że generał Halloway i pułkownik Straub entuzjastycznie popierali ów pomysł. O Peterze nie wspomiano; mówiło się tylko o generatorze i jego osobliwym oprzyrządowaniu. Podczas pierwszego sprawdzianu „nowej technologii” Peter i Rhyssa byli ukryci za ekranem. Chłopak przeniósł kinetycznie prom z Canaveral do Eglin Field, pomimo wichury o sile osiem i chmur na pułapie stu metrów. Posadził „ptaka” dokładnie na znaku namalowanym na pasie - żeby zademonstrować precyzję „nowej technologii”. Wówczas pozwolono mu przenieść prom z ładunkiem na orbitę, skąd mogły go ściągnąć statki z Drugiej. I znów zadecydowała precyzja chłopca - do tej pory tak wiele promów zbaczało z kursu, że drastycznie ograniczono loty.

Dwa dni później niechętnie udzielono zgody na właściwy start promu. Nie zanosilo się na poprawę okropnej pogody, a dostawy były opóźnione o całe tygodnie. Peter był troszkę niespokojny owego

pierwszego ranka i prom wznosił się w tak zadziwiającym tempie, że kontrolerzy podejrzewali brak zapłonu i chcieli przerwać lot. Chłopak, przy telepatycznym wsparciu Johnny'ego, zredukował swą moc i lot trwał. Słyszano, jak pilot potem opowiadał, że w pierwszych chwilach lotu instrumenty wskazywały 11 g przyspieszenia i że wpadł w panikę, iż nie zdoła uruchomić katapulty; tak się bał, że o mało nie narobił w spodnie.

„Nowa technologia” nabierała precyzji z każdym kolejnym startem i NASA odetchnęła z ulgą - teraz już można było w terminie dostarczyć zaopatrzenie na Drugą.

Johnny i Rhyssa obserwowali wyraz skupionej twarzy Petera, który śledził lot promu. Jason Murphy podał im kawę i czekali, aż chłopiec będzie gotów.

- O.K. - rzekł w końcu Peter; ekran pokazywał prom w pobliżu doku, a on sam zregenerował siły. - „Nowa technologia” jest gotowa do lekcji pływania.

Nabrał na tyle sił, żeby swobodnie się podnieść z fotela i pomachać na pożegnanie Jasonowi w drodze do wyjścia.

Potrzeba było czterech startów, żeby Jason, kontroler startów promów, oswoił się z „nową technologią” i rolę, jaką w tym odgrywał Peter; ale w końcu polubił chłopaka i zrezygnował z domyślania się, jak też mały robi to, co robił.

- Załóż płaszcz przeciwdeszczowy, Peter - powiedział Johnny.

Chłopak wiedział, że może kinetycznie chronić się przed deszczem, ale potrafił już się powstrzymać przed takimi popisami.

Posłusznie opatulił się płaszczem. Wszyscy troje zanurkowali do czekającego na nich samochodu.

Rhyssa i Peter byli już dwa tygodnie na Florydzie, kiedy Borys zdecydował się na jedną ze swych nielicznych wizyt w Centrum; chciał uzmysłwić Saszy, że tajni agenci sądzili, iż sprzedano kolejne dzieciaki. Agenci zauważyli, że w liniowcach A, B i C wydawano mnóstwo wolniaków. Cass i Suz zostały więc wysłane do liniowca E. Obie kobiety odwiedzały wszystkie liniowce Jersey, więc ich mieszkańcy je znali. Cass dzięki ciąży była jeszcze mniej podejrzana, a obecność Suz tłumaczyła swoim złym zdrowiem. Jak dotąd nie miały jeszcze o czym meldować. Obie kobiety, kiedy tylko mogły, wczepiały znakujące pasemko we włosy napotykanym dzieci.

Podobne ekipy „znakowały” dzieci z liniowców w całym Jerhattanie. Skanerzy pracowali całą dobę, wypatrując, kiedy taki „znak” pojawi się w nieodpowiednim miejscu.

- Sam wiesz, braciszku, że dysponujemy tylko takimi namiastkami. Obecność teleempaty nie zapobiegnie porywaniu dzieci - oznajmił Borys.

Sasza siedział w gabinecie Rhyssy i załatwiał rutynowe sprawy administracyjne; zostawił na chwilę ustalanie nowych metod testujących. Borys stał przy oknie i patrzył na pełne spokoju otoczenie.

- Nie, nie, nie i nie - odparł Sasza, nie odrywając oczu od monitora; wykonał gwałtowny gest, odwrócił się i spojrzał twardo na brata. - W żadnym razie nie pozwolę, żeby Tirla posłużyła za przynętę!

- Ależ ona się tam urodziła - tłumaczył Borys. - Umie właściwie odczytywać pogłoski krążące w liniowcu; żaden z naszych tego nie potrafi.

- I tobie się zdaje, że ja - Sasza stuknął palcem w swoją pierś - wystawię ją na takie ryzyko?

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby Tirli coś groziło - ciągnął Borys, spacerując po pokoju. - Moglibyśmy ją dołączyć do Cass i Suz, obwiesić najnowszymi czujnikami. Ona zna liniowce, mówi każdym narzeczem, jest bystra, potrafi obserwować i...

- Ma dwanaście lat i nie będzie twoją przynętą! - ryknął Sasza, nawet nie usiłując powściągnąć oburzenia i furii.

- Ten dzieciak nigdy nie miał dwunastu lat! - Borys spojrzał na brata ze zdumieniem. - I niby dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać w sprawie porwań dzieci jedyne go atutu, jaki się nam udało zdobyć? Ona ma unikalny Talent, naturalny kamuflaż i żyłkę do takich rzeczy. Sam wiesz, jak sobie świetnie radziła w liniowcu G.

- Liniowiec G to już przeszłość. Nie pozwolę, by znów tak ryzykowała!

- Nigdy jej nic nie groziło. Chyba że z twojej strony! - Borys łypnął wściekle na brata. - Poza tym to pomysł Cass. Myślę, że coś w tym jest. Jedno jest pewne, braciszku: będziemy tracić dzieci dopóki nie odkryjemy, kto kieruje tym nikczemnym handlem. A wśród tych dzieci też mogą być Talenty.

- Przekraczasz wszelkie granice, Borysie. Zostaw Tirlę w spokoju. Są inne sposoby, etyczne i techniczne, za pomocą których można rozwiązać problemy OPP.

- Gdybym miał ludzi, żeby tak to załatwić, Sasza, to bym tak uczynił - odparł Borys; jego twarz spurpurowiała od powstrzymanego gniewu, wywołanego uporem bliźniaka.

- No to wykorzystaj jako przynęty dzieci z liniowca G. Z radością przyjmą taką szansę wydostania się ze schroniska!

- A wiesz, to niezły pomysł. - Borys obdarzył brata przeciągłym spojrzeniem. - Przyjrzę się im.

I z tymi słowy wyszedł z pokoju.

Owe trzy tygodnie na Florydzie - pomimo pracy - były dla Rhyssy, Johnny'ego Greene'a i Petera nieomal wakacjami. Wysłanie trzynastu lub osiemnastu promów towarowych zajmowało chłopcu co najwyżej dwie do trzech godzin dziennie.

Kiedy Johnny Greene zaczął wyjaśniać Peterowi mechanikę wznoszenia się, trajektorie, wprowadzanie na orbitę i inne sprawy związane z obecną pracą chłopaka - oboje z Rhyssą odkryli przeraźliwe braki w jego edukacji. Przez dziewięć miesięcy od wypadku nie pobierał żadnych nauk! Natychmiast zaangażowano korepetytora-teleempatę.

Alan Eton prędko się połapał, że Peter, jak każdy chłopak, lekceważy gramatykę, ortografię i składnię; za to słownictwo techniczne opanował lepiej niż rówieśnicy. Z matematyki był na poziomie pierwszego roku studiów i wykazywał sporą znajomość niektórych dziedzin fizyki. Wzorował się na pułkowniku, stąd postępy w obu tych naukach. Johnny Greene namawiał chłopca, żeby - pomimo swych kinetycznych zdolności - lepiej się przyłożył do angielskiego i komputerów. Peter rozumiał niektóre teorie chemiczne i biologiczne - zwłaszcza te, które jakoś się wiązały z jego wypadkiem - ale nigdy nie robił żadnych doświadczeń. Ustalono program kształcenia i zaczęły się regularne lekcje; Alan sprytnie naprowadzał chłopca na samodzielne i pozaprogramowe doksztalcanie się we wszystkim, co Petera

interesowało, a tymczasem uzupełniał największe braki. Stopień uniwersytecki - magisterski lub wyższy - był poza zasięgiem Petera Reidingera: musiał się zadowolić skromniejszą karierą; jednak, żeby w pełni rozwinąć swój Talent, powinien zdobyć ogólną orientację w wielu dziedzinach wiedzy. Peter zastanawiał się czasem, z trudem wkuwając zadany materiał, jak też sobie radzi Tirla. I jakie szkolenie Sasza jej zaaplikował.

Fizjoterapia nadal była niezbędna; lecz - bez krępującej „uprząży” - Peter bez przeszkód wykonywał ćwiczenia. Czynił to z nabożeństwem, bo przez cały czas miał nadzieję, że nabierze trochę mięśni.

- Zdarzało się niekiedy - powiedział fizjoterapeuta Rhyssie i Johnny'emu - że udawało się pobudzić nawet bardzo uszkodzoną tkankę nerwową. Tego powinniśmy pragnąć dla Petera. Żeby mógł normalnie chodzić i czuć.

- Jakie ma szanse? - spytała Rhyssa.

- Któż to wie? - Fizjoterapeuta wzruszył ramionami. - Kinetyczne ćwiczenia na pewno mu nie zaszkodzą. Poprawią napięcie mięśni i płynność ruchów. Jeśli mam być szczery, to nigdy bym nie zgadł, że chodzi kinetycznie, kiedy się pierwszy raz zjawił w sali ćwiczeń.

Peter uwielbiał pływanie. Woda go podtrzymywała i udawanie, że pływa, wymagało minimalnego wysiłku. Początkowo zbyt energicznie młócił nogami i rękami, więc woda zalewała mu nos; jednak szybko znalazł złoty środek. Potrafił także nurkować - skakał z trampoliny, zawisał na chwilę w powietrzu, kiedy zmieniał kierunek

lotu i czysto wchodził w wodę. W trakcie ich pobytu nie było zbyt wiele słońca, ale „środki zastępcze” nadały skórze chłopca kolor opalenizny. I Rhyssie także.

- Bardzo ci był potrzebny ten wypoczynek - stwierdził pewnego dnia Johnny, kiedy wylegiwali się na leżakach i obserwowali Petera, radośnie chlapiącego się w basenie.

- Też tak sędzę - odparła Rhyssa z głębokim westchnieniem. - Te ostatnie miesiące były zupełnie zwariowane. - Znów westchnęła. - Jednak taki już jest los dyrektora Centrum, a mimo wszystkich wad tego stanowiska nie chciałabym być nikim innym.

- Czy zamierzasz kiedykolwiek wyjść za mąż i mieć dzieci? - spytał najobojętniej w świecie Johnny.

- O co ci chodzi, Johnny? - Uniosła brew, ostrzegając, że jeżeli nie będzie z nią szczery, to wyrwie tę informację wprost z jego umysłu.

- O nic specjalnego - uśmiechnął się zawadiacko. - Po prostu Dave Lehardt właśnie się tu zjawił. - Reakcja Rhyssy sprawiła, że uśmiech J.G. stał się jeszcze szerszy. - Ach tak! Więc nie jesteś odporna na jego urok!

Rhyssa zdołała się roześmiać, choć nie mogła powstrzymać rumieńca zadowolenia z owej nowiny.

- Skąd wiesz, że tu jest? Jeśli ja go nie „słyszę”, to i ty nie możesz.

- Widziałem, jak wysiadał z samochodu. Idzie tutaj. - Trudno jej było znieść błysk w oku Johnny’ego.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, którzy razem pracują - powiedziała i usłyszała telepatyczne *ha-ha* J.G., bo Dave Lehardt wszedł właśnie na pływalnię.

Johnny zachichotał jeszcze raz, kiedy spojrzenie Dave'a zatrzymało się ociupinkę dłużej na Rhyssie, zanim przywitał się z pozostałymi.

- Witaj, „szkieletowa załogo”! - zawołał Dave do Petera, który wisiał jednym ramieniem na poręczy schodków basenu. - Wyciągnąć cię stamtąd?

- Lepiej wyjdź, Peter - odezwała się Rhyssa. - Masz sine usta i gęsią skórkę. Cześć, Dave.

Johnny, tylko do Rhyssy: *Bylibyście wspaniałą parą: jego piękność i twoja inteligencja!*

Rhyssa: ****Wizja, jak ściga Johnny'ego, trzymając w garści wielkie polano z wyciętym napisem NARZĘDZIE KARY****

Johnny: *Dorotea też tak uważa.*

Rhyssa: *Pozwólcie mi samej nad tym pomyśleć, chłopaki.*

Johnny: *Dave ci na pewno pozwoli, bo nie może cię „przeczytać”.*
To zresztą jedyny minus. On za tobą szaleje.

- Dzisiejszy start był wspaniały, Peter - oznajmił Dave Lehardt, wyciągając chłopca z wody i zrecznie opatulając go wielkim ręcznikiem.

- Za każdym razem jest lepszy - odezwał się Johnny; zaczepił swoją sztuczną stopę o wolny leżak i przyciągnął go w pobliże siebie i Rhyssy.

Rhyssa: *Strzeż się, Johnny. Mam swojego własnego „goryla” i jak się będziesz źle zachowywał, to mu powiem, żeby cię przytopił.*

Johnny: ***On sam jako święta niewinność** Mnieeee? To ty się paskudnie zachowujesz... zwłaszcza, że mi grozisz wrzuceniem do tego ohydneho basenu, co by spowodowało zwarcie w moich cybernetycznych kończynach. Czy wiesz, jak działa na nie słona woda? **Gwałtowny wstrząs, lecące we wszystkie strony kawałki i części sztucznej ręki i nogi.***

- Do każdego z trzech ostatnich startów wykorzystał prawie jednakową porcję mocy - powiedziała Rhyssa do nowo przybyłego.

Dave Lehardt „poskładał” swoją długą postać, usiadł na leżaku i uśmiechnął się do Rhyssy. Czy jej się tylko zdawało, czy istotnie patrzył na nią cieplej niż na innych? Niech go licho za to, że nie ma Talentu! Niech go licho za tę wrodzoną, nieprzeniknioną osłonę umysłu! Nie miała żadnej wskazówki, jak postąpić - tylko ten wyraz błękitnych oczu, w których by chciała zatonać. Nic dziwnego, że pomiędzy nie-Talentami tak często się wszystko psuło. A jednak...

- NASA jest zachwycona tą nową metodą sterowania i naprowadzania na kurs - mówił Dave; wyglądał na bardzo zadowolonego - I cieszę się, że mogą to zaliczyć do kategorii: „niezbędne dalsze badania”. Z Drugiej nadeszły naglące prośby o więcej szczegółów na temat owego supertajnego G i H, bo ewentualnie by to u siebie wykorzystali.

- I? - zainteresował się Johnny, rozciągnięty swobodnie na leżaku; oczy zmrużył jak szparki.

- Generał Halloway robi, co może, opowiada o próbnym założeniu, o konieczności dokładnego przetestowania, że to w żadnym przypadku nie jest pewna i sprawdzona metoda...

- Ja jestem „sprawdzona metoda” - stwierdził zrzędlawie Peter, „nadlatując” jak duch: długi ręcznik (starał się go nie zamoczyć w kałużach wokół basenu) zasłaniał stopy szczękającego zębami chłopca.

- Chodź no tutaj! - przywołała go Rhyssa, robiąc mu miejsce na swoim leżaku; byłaby spadła, lecz Dave prędko temu zapobiegł, podtrzymując ją kolanami i rękami: jego dotyk wywołał w niej falę ciepła; usadowiła Petera obok siebie. - Miałeś się dziś piętnaście minut wygrzewać na „słońcu”, prawda?

- Wiesz co, Peter - wtrącił się Dave, nadal podtrzymujący Rhyssę.
- Chyba będę musiał zmienić twoją ksywkę. Już wcale nie przypominasz szkieletu.

- To zasługa słońca Florydy - uśmiechnął się doń chłopak.

Peter w końcu przemógł zazdrość o tego faceta: trudno być zazdrosnym o mężczyznę, którego się lubi, który stawia poczęstunki w najlepszych lokalach. Johnny i Rhyssa często rozmawiali (kiedy Dave'a nie było w pobliżu) o tym, że on musi mieć jakiś Talent, tylko że nie można tego wykryć. Potem Johnny rozwodził się nad traumatycznym przełamaniem i psychicznymi oporami, a Rhyssa odpowiadała, że miło jest znać kogoś, kto nas zawsze może zadziwić.

- Jeśli zobaczysz słońce, to daj mi znać, co? - skrzywił się Dave; w trakcie owych trzech tygodni deszcz tylko na chwilę przestał padać. - Kiedyż wreszcie wynajdziecie jakiś pogodowy Talent?

- Dopiero co sprawiliśmy jeden cud - odcięła się Rhyssa. - Daj nam chociaż trzy dni!

- Bóg odpoczywał zaledwie jeden dzień - rzekł głębokim głosem Dave, przybierając nabożną minę.

- Trzy tygodnie, trzy miesiące, trzy lata, trzy dziesięciolecia - wtrącił grobowym głosem Johnny. - Nawet nie potrafię podpatrzeć metody Pete'a, choć się nad tym pocę od tygodni.

- Pete - odezwał się Dave. - Jak byś opisał to, co robisz? Równie dobrze mógłbym pytać źródło o to, jak bije rzucił scenicznym szeptem do Rhyssy.

Peter się roześmiał. Dave zawsze żartował. Więc chłopak udał, że rozmyśla nad pytaniem - zmarszczył brwi i tarł brodę, jak czasem Johnny.

- To tak jakbym myślał o tym, co chcę zrobić... że trzeba unieść prom... i podczepiam się pod generatory, zwiększam ich obroty... a potem... - wzruszył chudymi ramionami - ...potem wypuszczam prom.

- Jak kamień z katapulty? - spytał Dave.

- Coś w tym rodzaju.

- Nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

- Bo sam dobrze nie wiem. Trzeba to zrobić, no to robię.

Rhyssa położyła ostrzegawczo dłoń na kolanie Dave'a, bo wyczuła, jak chłopak się strapił, że nie potrafi tego dokładnie wyjaśnić. Ręka Dave'a natychmiast nakryła jej dłoń. Johnny uśmiechnął się do Rhyssy ponad Peterem.

- Jest wiele działań - zaczęła pospiesznie Rhyssa - które wykonujemy zupełnie odruchowo. Na przykład oddychanie. Przecież nie włączasz świadomości do wszystkich faz wdychania i wydychania powietrza: to się dzieje odruchowo. Albo sięganie po szklanę. Przecież nie mówisz ręce, na jaką odległość ma się wyciągnąć, ani palcom, że mają uchwycić szklanę, ani ramieniu, że ma podnieść ów niewielki ciężar. Dzieje się to prawie bez udziału świadomości. Peter działa na zasadzie takich właśnie podstawowych, niezależnych od woli odruchów i dlatego na razie nie umie opisać poszczególnych faz. Jak tylko Lance Baden wróci ze Stacji, to na pewno poczynimy postępy w rozumieniu tego, co dla „szkieletowej załogi” - jest równie proste jak oddychanie.

- To wcale nie jest aż takie łatwe - odezwał się Peter.

- Nie rań uczuć „szkieletowej załogi” - oburzył się żartobliwie Johnny. - Bo zastrajkuje!

- Nie przy takim kontrakcie! - odparowała żywo Rhyssa.

- Wróćmy jeszcze do tego, co mówiłeś, Pete - podjął z namysłem Johnny. - Że coś ma być zrobione, więc to robisz. Naprawdę nie myślisz, JAK to wykonać? Po prostu robisz to, co trzeba?

- Dokładnie tak samo jak ty - jeśli wolno mi to przypomnieć - kiedy posadziłeś ciężko uszkodzony prom w swoim dwudziestym pierwszym locie - wtrącił Dave. - Eksperci do tej pory nie wiedzą, jakim cudem ci się to udało!

- Ja też nie mam pojęcia - uśmiechnął się Johnny. - Przepraszam, Pete.

- Posłużyłeś się kinezą? - spytał chłopiec.

- Nic innego by nam nie pomogło: mieliśmy rozerwane jedno skrzydło i oderwaną część ogonową. Uznano, że to był nagły wybuch Talentu, obudzonego silną wolą przeżycia.

- Co w was uderzyło? - Peter już dawno chciał o to zapytać, ale dotąd nie było po temu okazji, no i wątpił, czy pułkownikowi sprawiłoby przyjemność przypominanie sobie, jak stracił rękę i nogę.

- Jacyś przekłęci, niedoszkoleni głupcy, wyczyniający akrobacje na torze lotu. - I Johnny puścił wspaniałą, jędrną wiązanekę (tak telepatycznie, jak i słownie), a oczy Petera zaokrągliły się z podziwu dla tak kwiecistego języka. - Na swoje szczęście nie przeżyli, więc nie mogli odpowiadać za swoje błazeństwa ani przede mną, ani przed prawem.

- Och! - Chłopcem wstrząsnęła nieoczekiwana, gorzka zawziętość Johnna.

- Nie wykąpiesz się, Dave? - Rhyssa chciała i zmienić temat, i uwolnić dłoń, zanim jej ramię całkiem zdrętwieje.

- I tak będziesz mnie musiała ścierpieć przez parę dni - odparł Dave. - Bez pomocy „szkieletowej załogi” lotnisko będzie zablokowane.

Lehardt wstał i, pogwizdując skoczną melodyjkę, ruszył przez kałuże ku przebieralni.

Johnny westchnął i znów się wyciągnął na leżaku, podkładając dłonie pod głowę. Rhyssa zauważyła, że skóra na sztucznym ramieniu wyglądała dość naturalnie, tylko że się nie opalała. Za to Peter

zbrązowiał i wyglądał jak każdy zdrowy, choć kościsty chłopak w jego wieku. Zasypiał teraz o wiele bardziej zmęczony poranną działalnością, niż się przyznawał. Rhyssa uśmiechnęła się czule do chłopca, wstała z leżaka i przeniosła się na ten opuszczony przez Dave'a. Spojrzała na zegarek. Peter miał jeszcze dziesięć minut. Ułożyła się na miękkim materacu.

- Rany BOSKIE!

Poderwała się, słysząc okrzyk Dave'a i bezsilnie patrzyła, jak się przewracał, pośliznąwszy się w kałuży wody; jego długie ciało waliło się prosto na okafelkowane naroże basenu - to się mogło źle skończyć. Nagle przygasły światła, a Lehardt wylądował miękko obok basenu - bez jednego zadrażnienia czy potłuczenia, choć dość wstrząśnięty.

- Jak, u diabła...?

- Mój Boże! - zawołał Johnny Greene. - Ty to zrobiłeś, Pete? - zapytał i odpowiedziało mu leciutkie pochrapywanie. - Mój BOŻE! To ja! To ja! TO JA!

Wołał coraz głośniej i wpatrywał się w Rhyssę ze zdumieniem i radością. Ona zaś uśmiechała się do niego coraz szerzej.

- To twoje dzieło - zapewniła go. - Johnny znów w akcji!

- *Sasza!*

Roznin nie mógł zignorować wezwania Dorotei, choć przyszło w zupełnie nieodpowiednim momencie. Uniósł rękę, dając znak Budworthowi i Sirikit, że nastąpi krótka przerwa w rozmowie.

Dorotea, z irytacją: *Skoro jej pokazałeś, jak wykorzystywać bransoletę ID do kupowania różnych różności, to może byś ją teraz nauczył oszczędności i planowania wydatków. I utrzymywania porządku w pokoju! Cały, aż pod sufit, jest zapchany „okazjami”.*

Sasza: Gdzie teraz jest?

Dorotea, u kresu cierpliwości: Ogląda dzisiejsze lekcje i przymierza łąszki!

- Bud, przeleć jeszcze raz te etniczne grupy. Przynajmniej mamy statystyczne wyliczenie, ile było psionicznych Talentów w każdym pokoleniu od czasów Darrowa i op Owena. Rozbijmy to na poszczególne Talenty: jasnowidze, „odnajdywacze”, przyciągacze, kinetycy, telepaci, teleempaci.

Budworth obojętnie wzruszył ramionami i zaczął pisać program.

- Dalej NIE rozumiem - odezwała się miękkim, śpiewnym głosem Sirikit. - Jak ma to nam ułatwić wyszukiwanie Talentów w liniowcach?

- Gdzie widać dym, tam musi być jedno lub dwa ogniska - odparł zagadkowo Sasza i poszedł sobie.

Owa wycieczka po zakupy sprzed trzech tygodni odkryła przed Tirlą nową rozrywkę, której się poświęcała niemal z taką pasją, jak nauce. Doroteę to początkowo bawiło. „To inna namiętność - nabywanie. Przejdzie jej”, mówiła.

Cass towarzyszyła dziewczynce w dwóch kolejnych wyprawach i nauczyła ją korzystać z metra; bawiło ją obserwowanie, jak Tirla wślizguje się do najekskluzywniejszych sklepów i butików. Kiedy mała zaczęła kupować samodzielnie, dwa razy zatrzymali ją nadgorliwi sprzedawcy; ale trzeba przyznać, że spokojnie czekała, aż ktoś - czyli Sasza - zjawi się i potwierdzi jej prawa do bransolety ID i do obciążania konta Centrum. To wcale nie znaczy, że coś kupowała każdego popołudnia, które spędzała w magazynach. Sasza gorzko żałował, że Cass ujawniła Tirli, ile jest sklepów w Jerhattanie. W liniowcu był tylko jeden.

Dziewczynka nieodmiennie kończyła owe popołudnia w Staroświeckim Salonie. Kiedy oznajmiła, że zamierza spróbować każdej pozycji z pięciostronicowej karty łakoci, Dorotea jedynie się roześmiała.

- Może dzięki temu wreszcie choć troszkę przytyje! Poza tym i tak zawsze zjada kolację - orzekła starsza pani. - Chciałabym, żeby się trochę zaokrągliła. Co też sobie myślą sprzedawcy, skoro ona wciąż wygląda jak na wpół zagłodzona?

Kiedy Sasza pojawił się na jej wezwanie, Dorotea stała w salonie i surowo wskazała w kierunku pokoju Tirli. Roznin zapukał w drzwi i radosne nucenie małej natychmiast umilkło.

- Kto tam? - lęk zawsze się pojawiał w głosie dziewczynki, kiedy ją nachodzono zniemacka; gdyby się wreszcie przestawiła na telepatię (a Sasza był pewien, że ona ma takie zdolności), to by „wiedziała” bez pytania.

- Sasza!

- Chwileczkę!

Rozninowi zdawało się przez chwilę, że pochwycił zabłąkaną, bojaźliwą myśl, ale oto drzwi zaczęły się stopniowo otwierać - stopniowo, bo Tirla musiała najpierw poprzesuwać rozmaite rzeczy, aby zrobić przejście dla Saszy.

Roznin rozejrzał się wokół i jęknął.

- Tirlo! Co się stało z dzieckiem, które trzeba było zmuszać, żeby sobie kupiło więcej niż jeden łaszek?! - powiedział na głos to, co mu najpierw przemknęło przez myśl, choć nie był to raczej najlepszy sposób podejścia do całej sprawy.

Dorotea, z oburzeniem: *Nietaktowny zarzut!*

- Przecież mi powiedziałeś, że mogę robić zakupy, kiedy tylko zechcę - zdziwiła się Tirla. - Popatrz, co zdobyłam dzisiaj. - Uniosła ku Saszy parę sandałków na sztyletowatych obcasach, z paskami ozdobionymi klejnotami. - Pasują. Kosztowały grosze, bo leżały w sklepie latami; no więc dostałam je prawie za darmo. Prawda, że są ładne? Chcesz zobaczyć, jak w nich wyglądam? Jestem dużo wyższa.

- Pewno tak, Tirlo, ale prawdę powiedziawszy, nie są to buty dla dziewczynki w twoim wieku.

- Pasują! - powtórzyła, jakby to było najważniejsze.

- Tirlo! Czyżbym nie miał gdzie usiąść? To właśnie tak denerwuje Dorotę. Przecież wiesz, w jakim porządku utrzymuje cały dom.

Dorotea: *Otóż to. Zwal wszystko na mnie.*

- ...Talenty mogą mieć to, co jest im potrzebne oraz to, czego chcą, ale w granicach rozsądku - podkreślił te słowa. - I to jest obowiązująca norma. Lecz to... - tu Sasza machnął zamasyście ręką, wyrzucając przy okazji za drzwi wieszak z mnóstwem strojów: wieszak się wywrócił, a stroje dołączyły do całej sterty barwnych bluz, leżących na podłodze obok drzwi. - Ale to przekracza wszelkie granice!

Tirla spojrzała na niego; z jej buzi nic nie można było wyczytać, lecz Sasza wyczuł tak głęboki ból i rozczarowanie, że natychmiast zmiękł.

- Chyba nie będzie można tego odesłać. Wszystko przymierzałam.

- Odesłanie tego niczego nie załatwi, Chip - nazwał ją pieszczotliwym przydomkiem, wymyślonym przez Cass.

Dorotea: *Od tego trzeba zacząć!*

- Musisz się nauczyć kupować mądrze. Część tych rzeczy... - Sasza wskazał na koronkową, zwiewną bieliznę, zbyt wymyślną nawet dla dwudziestolatki - ...można spakować i schować...

Dorotea, kwaśno: *Gdzie?*

- W piwnicy. - Roznin zaczął zbierać inne nieodpowiednie łauszki. - I rozgardiasz zaraz się zmniejszy. - Przy okazji odsłonił pagórek butów we wszelkich kolorach; oszołomiła go ich różnorodność;

wszystkie były na tyle małe, żeby dobrze pasować na drobną stopkę dziewczynki.

Dorotea: *Kompleks Kopciuszka.*

Sasza: *Do pary, każdy jeden z nich.*

Dorotea: *No to jak mogą być do pary?*

- Tylko pięć par butów, Tirlo, nie więcej - zawyrokował Roznin i spostrzegł, jak się nadała. - Pięć par. I dziesięć rozmaitych ubiorów w szafie. Lecz ani jeden z tych... - Podniósł szmaragdowozieloną suknię balową, przepięknie zdobioną haftem ze srebrzystych i zielonych perełek: bardzo stylowa toaleta, w kolorze niezmiernie odpowiednim dla Tirli (ale dopiero wtedy, gdy dojdzie do dwudziestki! no, przynajmniej do osiemnastki); smakowi i wyczuciu fasonu Tirli nie można było nic zarzucić. - Sprowadzę trochę kufrów, żebyś miała gdzie to wszystko schować. Wtedy usiadziemy i ułożymy budżet.

- Budżet? Tak jak dla miast i projektów? - zdumiona Tirli przestała się dąsać.

- Tak. Centrum ma swój budżet, ja mam i Peter...

Dorotea: *Wszyscy święci mają budżet!*

- To już nie będę mogła robić sprawunków?

Sasza nie był nieczuły na jej zboląły głosik i smutną minę.

- Chodź po sklepach, ile chcesz. Zajrzyj do każdego cholernego magazynu na Manhattanie, Long Island i Jersey Shore. Ale niczego nie kupuj. Po prostu oglądaj, żeby nasycić oczy.

- Już nigdy nie będę mogła nic kupić?

Dorotea, nucąc nostalgiczną skrzypcową melodię: *La da da, da da da dah!*

Sasza: *Dobrze, dobrze, a jak ty byś pohamowała dzieciaka, który nic do tej pory nie miał, a nagle może mieć wszystko?*

Dorotea: *Mniej więcej tak, jak ty. Tylko nie daj się skruszyć łezkom w tych wielkich czarnych oczach!*

Sasza wyczuł w głosie Dorotei ton, który go zaintrygował.

- Nie, Chip, to nie znaczy, że nigdy nic nie kupisz. Po prostu nie tak dużo i nie tak często, i nie to, czego właściwie nie potrzebujesz.

Tirla przysiadła na skraju ledwie widocznego łóżka.

- Ale samej źle się ogląda wystawy. Ktoś musi ze mną chodzić. Gdzie Cass? Ona to uwielbia.

- Cass jest w akcji.

Dziewczynka uniosła ku niemu głowę; już nie wyglądała na zawiedzioną i zmieszaną dwunastolatkę:

- Porwali następne dzieciaki?

- Jeszcze nie - skłamał. - I chcemy, żeby tak zostało.

- Cass jest w liniowcu? - rozjaśniła się dziewczynka.

Sasza potaknął.

Dorotea: *Tylko jej przypadkiem nie zdradź gdzie, bo gotowa wytropić Cass.*

- Czemu mi nie pozwalasz z nią pracować? Mogłabym udawać jej dziecko i...

- NIE!

Zaprotestował tak gwałtownie, że Tirla aż się cofnęła. Znów wyglądała na głęboko urażoną i zdezorientowaną, i młodziej niż na swój wiek.

- Przepraszam, Chip. - Sasza zwichrzył gładko uczesane, czyste i lśniące włosy małej, chciał jej wynagrodzić swój brak taktu. - Zrób sobie małą przerwę. Nie złapaliśmy jeszcze Yassima, a jeżeli on cię wypatrzy, to zwinie cię tak prędko, że nikt z nas nie zdoła temu zaradzić.

Dorotea: *Ona wciąż się boi Yassima!*

Fakt, bała się, i to tak bardzo, że Sasza wziął ją w ramiona i ukołysał.

- Yassim cię w Centrum nie dopadnie. Jesteś tutaj bezpieczna. Chciałbym, żebyś bezpiecznie dorosła i wykorzystywała swój rzadki Talent... do zarobienia tylu pieniędzy, byś mogła płacić za swoje zakupy. - Próbował obrócić wszystko w żart; poczuł, jak Tirla sztywnieje. - Nie, nie twoimi wolniakami! - Musiał się roześmiać; mała czarownica: jej skarb był zbyt cenny, żeby go naruszać! - Pomyśl sobie, ile byś straciła, gdybyś wydawała własne fundusze. Zastanów się nad tym, kiedy znów będziesz chciała coś kupić. Udawaj, że wydajesz WŁASNE pieniądze.

- MOICH bym nie wydawała - wymruczała Tirla z twarzą wtuloną w pierś Saszy.

Smukłe, drobne ciało dziewczynki spoczywało ufnie w ramionach Saszy; pozwolił sobie na pieścizotliwe pogłaskanie włosów małej i na delectowanie się jej bliskością. Dlaczego właśnie Tirla? Jak

to się stało, że - spośród wszystkich kobiet na świecie - właśnie taka zabiedzona znajda, przedwcześnie dojrzała i otrzaskana z życiem, zajęła pierwsze miejsce w jego sercu? Pewno by nawet nie zrozumiała, ile dlań znaczy. Była o wiele za młoda, żeby zwracać uwagę na takie sprawy. A jednak... odnosiła się do niego zupełnie inaczej niż do pozostałych. Przytulił ją mocniej, a potem odsunął od siebie najłagodniej, jak potrafił. Pewnego dnia, za jakieś osiem, dziewięć lat...

Dorotea tym razem nie wygłosiła żadnej uwagi. Ku zdumieniu Saszy Tirla zaczęła posłusznie składać swoje rzeczy, równiutko i pieczołowicie. Przyglądał się temu przez chwilę, a następnie - wypatrując, gdzie może postawić swoje wielkie stopy na zasłanej łaszkami podłodze - poszedł przygotować kufry.

Jak tylko Dave Lehardt wszedł do kuchni, gdzie Rhyssa zmywała naczynia po uroczystym posiłku, dziewczyna natychmiast się domyśliła, że oto nadeszła TA chwila. Przez ostatnich kilka miesięcy bliskiej współpracy nauczyła się subtelnych znaków „mowy ciała” Dave’a. Serce dziewczyny przyspieszyło swój rytm; starała się nie porzbić półmisków i nie wypuszczać wszystkiego z rąk - zbyt by się tym zdradziła. I na dokładkę nie mogła wyczytać z jego umysłu żadnych pomocnych wskazówek. Może właśnie dlatego Dave Lehardt wydawał się Rhyssie o wiele bardziej romantyczny niż którykolwiek z Talentów.

Dave podszedł wprost do Rhyssy, więc musiała na niego spojrzeć.

- Kiedy się przestaje z wami, Talentami, to najtrudniej jest wypatrzeć taki moment, kiedy inni nie słuchają - zaczął, w błękitnych oczach malowała się determinacja; wyjął rondel z dłoni Rhyssy i włożył z powrotem do pianistej wody; położył obie ręce na ramionach dziewczyny i powoli, lecz zdecydowanie odwrócił ją ku sobie. - Pete i Johnny są tak zajęci omawianiem mojej wywrotki, że nie powinni się zainteresować niczym innym.

Dave przyciągnął Rhyssę ku sobie.

Johnny: *Tylko się nie waz udawać skromnisi!*

Rhyssa: *Precz z mojego umysłu, Johnny.*

Peter: *Oooo, akurat gdy zaczęło być interesująco. I jak ja się mam nauczyć tego wszystkiego!*

Rhyssa: *Wyłączcie się! Obydwaj! I niech no tylko poczuję najdelikatniejsze muśnięcie waszej myśli...*

Johnny: *Coś mi się zdaje, że ona mówi poważnie!*

Peter: *Na pewno!*

W umyśle dziewczyny zapanowała głucha cisza.

- Wcale nie są aż tacy zaabsorbowani - powiedziała Dave'owi.

- Mówiono mi i ostrzegano mnie, tak wprost jak i pośrednio, że nie mam prawa prosić kobiety z twoim Talentem i uzdolnieniami, żeby została żoną faceta, w którym nie ma ani krzty czegoś takiego.

Gniew zapłonął w głębi umysłu Rhyssy. Zastanawiała się, kto się starał powstrzymać tego wspaniałego, troskliwego mężczyznę, który tak wiele zrobił dla wszystkich Talentów. Pragnęła, żeby dalej mówił owe cudownie romantyczne słówka i zachęcająco uniosła ku niemu głowę. A gdyby umilkł i spróbował ją pocałować? Zadrzała.

- Ale uważam, że decyzja należy do ciebie, no i do mnie. Tak mnie otumaniał, że nie potrafię jasno myśleć, kiedy jesteś w tym samym pokoju co ja; a gdy cię nie ma, to myślę tylko o tobie. Rhyssy Owen, czy zgodzisz się wyjść za mnie?

- Dlaczego dopiero teraz o to pytasz? - odparła, oplatając ramionami szyję Dave'a i uśmiechając się do niego.

Radość emanowała z całej postaci Dave'a; mocno przytulił Rhyssę i pocałował z takim mistrzostwem, jakby czytał w jej umyśle.

Peter i Rhyssa wrócili triumfalnie tego samego dnia, kiedy Cass Cutler doniosła Borysowi, że trzech Lewantyńczy i dwaj Hiszpanie z liniowca E są podejrzanie bardziej zamożni, niż powinni być. Borys postanowił, że nie będzie zakłócał szczęśliwego powrotu takimi wieściami i nawet Saszy o tym nie poinformował.

Dorotea i Tirla zachwyciły się, jak wspaniale wygląda Peter, opalony i zdrowy; stwierdziły, że się porusza z większą swobodą; Rhyssa słuchała tego z osobliwie łagodnym uśmiechem. Dave Lehardt musiał zostać na Florydzie i zakończyć swoją publicystyczną kampanię; przygotowywał pole dla pułkownika Johnny'ego Greene'a, który miał przejąć zadania „szkieletowej załogi”.

Peter z kolei zauważył elegancję Tirli i zdumiał się, że dziewczynka sama kupuje w magazynach.

- Pierwszy raz poszedł ze mną Sasza...

Dorotea, bezpośrednio do Rhyssy: *I powiedział: „Sezamie, otwórz się!”*, a po tygodniu pokój Tirli przypominał bazar.

Sasza: *Słyszałem! Daj spokój.*

Rhyssa: *Sama wybrała ten strój?*

Dorotea: *Zawsze sama wszystko wybiera, nawet takie łaszki, których dwunastoletnia dziewczynka JESZCZE nie potrzebuje.*

Rhyssa: *Ma dobry gust... przynajmniej w tym, co teraz założyła.*

Dorotea: *W ogóle ma dobry gust. Choć może odrobinę zbyt wyrafinowany.*

Starsza pani zorientowała się, że Sasza aż kipi gniewem i zmieniła temat.

Peter i Tirla wyśliznęli się z pokoju.

- Jak to się stało, że pozwolili ci samej chodzić do magazynów? - spytał chłopak, zazdrosny o swobodę dziewczynki; jemu nigdzie nie pozwalali pójść samemu.

Tirla wzruszyła ramionami.

- Och, próbowali mi tłumaczyć, jakie to niebezpieczne - zachichotała. - Zupełnie jakbym się nie potrafiła zatroszczyć o siebie w każdym liniowcu. Zwłaszcza w takim grzeczniutkim jak te tutaj, w Jerhattanie.

- I wychodzisz, kiedy zechcesz?

- Niemal każdego dnia. - Potrząsnęła głową. - Byłeś kiedyś w Staroświeckim Salonie Przepysznych Deserów?

- Ja? - Peter stuknął dłonią w pierś i skrzywił się; wciąż jeszcze nie potrafił tak dobrze kontrolować pomniejszych mięśni, żeby się posługiwać kciukiem czy palcem; poczuł się skrzywdzony, z wielu powodów. - O, słyszałem o tym Salonie - udał obojętność, lecz szybko z tego zrezygnował. - To naprawdę takie pyszne?

- Pyszne? - odezwała się z entuzjazmem Tirla. - To boskie. Nigdy byś nie uwierzył, co tam podają. Najbardziej - tu zacytowała zdanie z menu - „szałowe, najrozkoszniejsze cukiernicze wspaniałości, jakie

kiedykolwiek widziałeś”. - Wyczuła pragnienie Petera i świadomie je pobudziła: - Wszystkie smaki lodów, jakie tylko sobie zamarysz...

- I tak po prostu idziesz?

- Pewno. Czemu nie? To tylko cztery przystanki metrem. - Wskazała kciukiem ku salonowi, skąd dochodziły głosy dorosłych. - Kto nas będzie szukał przez najbliższe pół godziny? - Zauważyła wahanie chłopca i dorzuciła prowokacyjnie: - Są zajęci. Wrócimy, zanim się zorientują, że nas nie ma!

To sprawiło, że Peter się zdecydował, chociaż wiedział, że jego sprawność fizyczna jest zupełnie inna niż Tirli. Poza tym dziewczynka była od niego młodsza - więc skoro ona mogła wychodzić, to i on też.

Wyszli z domu bocznymi drzwiami. Tirli kroczyła obok Petera, zachwycona jego towarzystwem. Fajnie będzie mu pokazać, jak świetnie sobie radzi.

Peter czuł, jak bardzo Tirla się cieszy z tego, że może go zabrać w miejsce dobrze jej znane, a dla niego zupełnie nowe. Uśmiechał się więc tylko, kiedy wsiedli do metra na peronie Centrum. Inne Talenty jadące w tym wagoniku uśmiechnęły się do dwójki dzieciaków i telepatycznie przesłały Peterowi gratulacje i pozdrowienia; chłopak już się nauczył zachowywać skromnie w szerszym gronie, nawet wśród innych Talentów.

Tirla szczegółowo opisywała swoją ulubioną „cukierniczą wspaniałość”: cztery rodzaje lodów, cztery rodzaje polewy, cztery rodzaje orzechów i wiśni, kokos i wielobarwne wiórki.

- Matka mnie kiedyś zabrała do takiego lokalu - odezwał się Peter. - O, dawno temu. W moje dziesiąte urodziny. Za to moja siostra dużo chodzi. Mama mówi, że ona przez to ma często pryszczki.

- Pryszczki?

- Krosty. Wypryski na twarzy.

- Och. - Tirla nie załapała; Peter wyobraził sobie wysypkę na jej twarzy. - Och! To o to chodzi!

Ukradkiem przesunęła dłonią po buzi, a chłopiec się roześmiał.

- Wcale nie musisz dostać wyprysków, Tirlo. Trzymają nas na zdrowej diecie - pocieszył ją. - Nie jemy tego, co subbie.

- Jak było na Florydzie? - spytała dziewczynka.

Peter nierzadko bywał świadkiem, jak Dave Lehardt taktownie odpowiada na trudne pytania i sporo się od niego nauczył. Więc opowiedział o równinach i palmach, o piachu, o pysznym jedzeniu, o basenie i „opalających łózkach”; Tirla wydawała się zadowolona z tego, że on i Rhyssa byli na wakacjach.

Jak tylko wysiedli na właściwej stacji, dziewczynka objęła prowadzenie i szybko pomknęła w górę po schodach, zapominając o inwalidztwie Petera. Był obok, kiedy się zatrzymała.

- Wakacje dobrze ci zrobiły - orzekła i pognęła dalej. - O, widzisz... tam jest Staroświecki Salon, zaraz jak się wchodzi do magazynu.

Żadne z dzieci nie zauważyło, że były bacznie obserwowane przez dwóch mężczyzn, którzy wysiedli z eleganckiej, prywatnej „pchełki”, stojącej na lądowisku dla helikopterów. Niższy mężczyzna wyjął z kieszeni jakiś mały, czarny przyrząd i skierował go ku Tirli i Peterowi.

- Cóż za zdumiewająca nieostrożność! Żadnego z nich nie oznakowano! Chcę, żeby ich złapano! Zwłaszcza tego obmierzłego małego chłopaczka! I żadnych pomyłek, żadnych wymówek. Z chłopakiem nie powinniście mieć większych kłopotów, lecz zadbajcie, żeby ona nie zdążyła narobić alarmu. Zajmij się tym, jak tylko zwołasz ludzi. Czy jasno się wyraziłem?

- Tak, sir.

Peter zdążył krzyknąć tylko raz - więcej w tym było oburzenia niż trwogi. Potem zapanowała złowieszcza cisza, pomimo wysiłków Rhyssy, by nawiązać kontakt. Dziewczyna nie marnowała więc czasu na próżne wysiłki, lecz „nadała” w najszerszym możliwym paśmie:

- *Alarm! Do wszystkich Talentów i całego personelu OPP! Prawdopodobnie porwano Petera Reidingera. Mogło to nastąpić w pobliżu Staroświeckiego Salonu. Była z nim Tirla.*

- *Tirla!* - wybuch Saszy był niemal tak donośny, jak „głos” Rhyssy.

- *Przyjąłem!* - rozległ się niski, uspokajający „głos” Borysa. - *Wszystkie jednostki znajdujące się na tamtym obszarze mają rozpocząć poszukiwania. Zdjęcia dzieci przekazano faksem do wszystkich pojazdów. Natychmiast rozpoczynam przesłuchania wszystkich świadków. Ta sprawa ma NAJWYŻSZY priorytet.*

- *To priorytet G i H!* - dodał z gorzkim zapamiętaniem Sasza. - *Sirikit, co Budworth ma na skanerze znaków?* - Długie, pełne zdumienia milczenie. - *O mój Boże. Przecież nigdy nie oznakowałem Tirli. Rhyssy?*

- *Ja Petera też nie* - odparła z przerażeniem. - *Jak mogliśmy być tak GŁUPI?!*

- *Nie byliście* - odezwała się pocieszająco Dorotea. - *Ich bransolety ID można o wiele łatwiej wytropić niż znakowane dziecko.*

Cała ta wymiana myśli odbywała się podczas biegu Rhyssy, Saszy i Dorotei do pomieszczenia kontrolnego; znajdujące się tam urządzenia powinny wskazać, gdzie znajdują się dzieci.

Budworth siedział przed właściwym ekranem, ale twarz miał zalaną łzami:

- Rozcięli im bransolety. Skaner pokazuje, że leżą w kanale ściekowym magazynowego lądowiska.

- O mój Boże! - Sasza niemal załkał, lecz zdołał się opanować. - *Przyjedź tutaj, Carmen. Wy też, Bertho i Auerze. Jest jakaś szansa, Doroteo, że dotrzesz do Tirli?*

- Jeśli ty nie możesz, to ja tym bardziej - odparła z niewymownym smutkiem.

- Nic nie słyszać, nic, absolutnie nic - szeptała drżącym głosem Rhyssa. - A zawsze „słyszałam” myśli Petera.

- Nie „słyszałybyś”, gdyby był uśpiony, kochanie - odezwała się Dorotea. - To jedyny przypadek, kiedy by nie mógł ani „słyszeć”, ani „odpowiadać”. - I osobiście do Sirikit: - *Zadzwoń do Dave'a Lehardta, żeby natychmiast tu przyjechał.*

Sirikit dyskretnie wykonała polecenie.

- Nooo, braciszku! Jak opieszale twoi się zabierają do roboty! - Sasza niespokojnie chodził po pokoju.

Musieli czekać jeszcze pięć przeraźliwie długich minut, zanim Borys się z nimi skontaktował.

- *Dzieciaki siedziały same. Tirli jest tutaj dobrze znana. Przedstawiła swojego przyjaciela, Petera, kelnerce, która ją*

najczęściej obsługiwała. Owa kelnerka widziała, jak wychodzili. Zauważyła, jak wsiadali do małej „pchełki” z emblematem Centrum Talentów. Było tam czterech mężczyzn, lecz nie widziała ich twarzy. Nie dostrzegła nic niezwykłego, chyba tylko to, że chłopiec zabawnie szedł i że w pewnej chwili pomagał mu jeden z mężczyzn. Nie, nie zauważyła rejestracji. Mam APB na małych „pchełkach” z emblematami Talentów, w Jerhattanie, może to coś da, jeśli wasze skanery wykryły ich bransolety.

Sasza: Bransolety zdjęto. Leżą w kanale obok magazynu.

Borys: Pewno od tego zaczęli. Macie coś na skanerach znakowania?

Rhyssa, z trudem: Ani Peter, ani Tirla nie byli oznakowani.

Borys, z wściekłością: A czemuż to nie byli?! Na wszystkie świętości! Dwoje najważniejszych Talentów?! Przepędzacie wszystkich na prawo i lewo, każecie znakować tepe bachory subbie i rozpieszczone potomstwo z „rojów”, a nie oznakowaliście Petera i Tirli?!

Cisza, jaka nastąpiła po tym wybuchu, była bardziej wymowna niż to, co mógłby jeszcze dodać.

Rhyssa zaczęła płakać; Dorotea starała się ją pocieszyć telepatycznie, przytuliła dziewczynę.

Borys, już spokojniej: No trudno, stało się. Musimy przyjąć, że porywacze zastosowali te same metody, co ostatnio. Tylko to by tłumaczyło kompletną telepatyczną „ciszę”. Uśpili dzieciaki. Wpakują je w te gładziutki kokony i gdzieś ukryją. Przepraszam, Rhyssu. Za bardzo jestem wściekły, żeby się bawić w dyplomację. Włączyłeś do

akcji Carmen, Sasza? Wszyscy moi „odnajdywacze” nad tym pracują. Jakoś ich odzujemy. To są sprytni dzieciaki. Jak tylko się obudzą, to pomogą nam się odnaleźć.

Suz i Cass jeszcze bardziej podkopały morale Talentów, donosząc, że z każdego kompleksu mieszkalnego sprzedano lub po prostu porwano ponad trzydzieścioro dzieci. Ranjit, który działał w kompleksie mieszkalnym W, też raportował wzmożoną działalność handlową. Taka zuchwałość i zasięg operacji przekraczały wszelkie przewidywania OPP i Talentów. Wszystko się wydarzyło tak nagle, jednocześnie i gładko, że kompletnie zaskoczyło i OPP, i Centrum.

- Sercem jestem z Rhyssa i pozostałymi Talentami. To nie do wiary, że dwoje takich wartościowych młodych ludzi także padło ofiarą tych nikczemników - powiedziała Borysowi Teresa Aiello, zarządca miasta, a on przekazał jej słowa Saszy i Rhyssie. - Ta sprawa ma najwyższy priorytet i wszystkie środki miasta są do waszej dyspozycji, Borysie i Rhyso. Nie będziemy szczędzić wysiłków. Czy jest coś, co ja osobiście mogłabym uczynić? Może zaoferować nagrodę? Albo nietykalność w zamian za informacje?

- Pogoń swoich ludzi, żeby pomyśleli, gdzie można ukryć tak wiele dzieciaków - rzekł Borys do Teresy Aiello. - Wszyscy moi ludzie nadzorują transport. Dzieci nie wywieziono poza Jerhattan. Kazałem zatrzymać wszystkie pociągi towarowe i zbadano każdy kontener, otwierając te o podejrzanych rozmiarach. Muszą gdzieś tu być. Na razie.

- Zaczniemy wszystko sprawdzać, Borysie: opuszczone składy, stare budowle, podziemne magazyny - zapewniła go twardo Teresa Aiello.

Borys Roznin wcale nie rzucił wszystkich swoich ludzi do kontroli transportu; co najmniej jedna trzecia wylapywała każdego ladrone czy sassina, jakiego wypatrzyli w sklepie czy fabryce. OPP mogła mieć szczęście i wydobyć jakąś konkretną informację z przestraszonego subbie.

- Peter żyje, prawda? - spytał Budworth; tak bardzo chciał, żeby go o tym zapewnili, iż zapomniał o wszelkiej delikatności; Peter był jego najserdeczniejszym przyjacielem.

- Żyje. To nie jest cisza śmierci - odparła Rhyssa i głos jej zadrzał przy ostatnim słowie. - Po prostu jest nieprzytomny.

- Jeszcze nic, Carmen? - zapytał Sasza „odnajdywaczkę”, która siedziała, gładząc pukiel włosów Tirli; nie potrafiła spojrzeć w oczy Rozninowi, więc tylko z wolna potrząsnęła głową.

- Boże miłosierny! Jak mogliśmy być tak zarozumiali, aby sądzić, że same bransolety ID ochronią dzieciaki! - wybuchnął Sasza, chodząc nerwowo po resztkę wolnej przestrzeni. - CZEMU, u licha, NIE pomyśleliśmy, żeby je oznakować?! - Zwinął dłoń w pięść i uderzał o drugą. - Same Talenty tu siedzą. - Niemal pogardliwym gestem wskazał ludzi skupionych przy monitorach lub pospiesznie wczytujących programy w główną sieć.

- Gdzież oni mogą być? Niełatwo ukryć takie mnóstwo ciał. Nie mogli ich przecież lotem błyskawicy przenieść do... - nie zdołał znaleźć

odpowiedniego słowa i skrzywił się - ...dokądkolwiek. Borys prawie natychmiast zlecił nadzór transportu. Cholera, metro i drogi transportowe były pod obserwacją od incydentu w G.

- *Uspokój się, Sasza, Rhyssa i tak czuje się wystarczająco winna...*
- ostrzegła go Dorotea.

Sasza: *A myślisz, że ja się nie czuję winny za to, iż nie oznakowałem Tirli, że ją zachęcałem do wycieczek do tego przeklętego magazynu? I do tego cholernego Staroświeckiego Salonu? - Jego „głos” wprost ociekał ironią. - Byłaby o całe niebo bezpieczniejsza, gdybym pozwolił Borysowi użyć jej jako przynęty!*

Dorotea: *Przestań się zadrećzać i samooskarżać, Sasza. Tirła od tygodni bezpiecznie chodziła i do magazynu, i do Salonu. Nie umiem zrozumieć, czemu TYM razem ta podróż ukazała się tak niebezpieczna.*

Rhyssa: *Peter tak ciężko pracował. Wydawało się, że to całkiem niewinny wyskok.*

Dorotea, pokrzepiająco: *Usłyszemy ich. Usłyszemy. Jeszcze chwileczka i na pewno usłyszemy.*

Umysł starszej pani niespokojnie poszukiwał śladu Tirli. Była pewna, że po blisko pięciu tygodniach spędzonych razem z małą bez trudu rozpozna jej świadomość.

- **ŻEBY WIELBŁĄDZIE ŁAJNO ZATKAŁO WSZYSTKIE OTWORY WASZYCH CIAŁ! ŻEBY WASZE BRZUCHY ZAWSZE BYŁY PEŁNE RZYGOWIN! ŻEBY WAM JĘZYK ZGNIŁ, ŻEBY WYPADŁY, A DZIAŚŁA SIĘ POKRYŁY CZYRAKAMI! ŻEBY**

WAM ZGNIŁA WĄTROBA, PEŁCZERZ WYSECHŁ, A GRUCZOŁY USCHŁY I ZROPIAŁY!

- Wielki Boże! - Dorotea aż się poderwała. - Słyszeliście to wszyscy? Było wystarczająco głośne.

- Peter nie zna takiego języka. - Rhyssa się leciuteńko uśmiechnęła.

- Ale Tirla pewno zna - odparł uśmiechnięty od ucha do ucha Sasza. - Pikantne, prawda? Kurczę, gdzie ona się podziała? Już jej nie słyszę.

- Za to ja słyszę i zapewniam cię, że jest w świetnej formie - stwierdziła Dorotea. - Żadne z was jej teraz nie słyszy? Wspaniale nadaje, jeśli tylko zechce.

Starsza pani uniosła rękę, nasłuchiwała w napięciu.

- *Tirlo, tu Dorotea, czy mnie słyszysz?* - Jej „głos” był spokojny i kojący.

Tirla: Dorotea? Gdzie jesteś?

Dorotea: To raczej ty mi powiedz, gdzie jesteś. Słyszycie ją teraz?

Potrząsnęli głowami; tylko ona miała kontakt z dziewczynką. Poczwała lekkie, zdecydowane dotknięcie ich umysłów - przysłuchiwali się.

Tirla, wściekle: To ty mi powiedz. Nic nie widzę. Nic nie czuję. Mogę tylko wąchać, a cuchnie tu gorzej niż w fabrycznym ścieku. Nie potraficie mnie wytropić?

- *Nie, Tirlo; nie potrafimy. Zdjęli wam bransolety jeszcze w magazynie, z którego was porwali. Czy Peter jest koło ciebie?*

Dorotea powtarzała wszystko na głos, żeby inni w pokoju słyszeli. Sasza gestem pokazał Carmen, by przy niej usiadła, lecz Carmen tylko potrząsała głową, sygnalizując, że nadal nie umie „znaleźć” Tirli.

- Pamiętasz, co się wydarzyło?

Starsza pani wyraźnie wyczuwała niezadowolenie dziewczynki.

- Nic nie pamiętam. Skończyliśmy zajadać najnowszą pyszność, którą dopiero co dopisali do menu. Peter zapłacił. Powiedział, że tym razem on stawia, bo był na wakacjach. Wyszliśmy z salonu i szliśmy w stronę metra, kiedy nagle coś mi zakryło twarz i już nic więcej nie pamiętam. Jakieś paskudztwo. Obrzydliwy słodkawy zapaszek. Jakim cudem mogę nagle z tobą rozmawiać?

- Czasem to konieczne, Tirlo. - Dorotea postarała się, żeby jej „głos” wyrażał zadowolenie i aprobatę.

Tirli: Chciałaś, żebym się odezwała? Czy ja chciałam, żebyś mnie usłyszała? Peter? Peter, odpowiedz!

Dorotea wychwyciła sprzeczne uczucia w pytaniu małej, ale nie był to zły znak.

- Dzisiaj porwano nie tylko ciebie i Petera. Cass i Suz doniosły, że z E porwano sporą grupkę. Znakomicie zorganizowana sprawa. Dlatego ważne jest i pomocne wszystko, co nam powiesz, Tirlo. Wszystko, nawet największa błażostka.

- Peter mi nie odpowiada. Może się jeszcze nie obudził. W żołądku mi się przewraca. Nie powinnam była jeść tej pyszności. Peter? Peeeeeeter!!

Dorotea, łagodnie: *Nie wpadaj w panikę, Tirlo. Jeśli was jednocześnie uspio, to Peter wkrótce się obudzi. Bardzo nam ulżyło, gdy się odezwałaś, uwierz mi.*

Tirla, trochę zdziwiona: *Wierzę. Nie możesz kłamać w swoim umyśle, prawda?*

- *I ty mnie nie możesz okłamać* - odparła Dorotea, zdecydowanymi gestami nakazując Saszy i Rhyssie, żeby nie próbowali wsączać pytań w jej myśli. „Głos” dziewczynki był wyraźny, ale nie tak mocny jak w pierwszym porywie oburzenia. Bała się ryzykować, że straci z nią kontakt. - *Powiedz mi teraz, co tylko zdołasz, o swoim otoczeniu.*

- *Cuchnie!*

- *Już to wiemy. Czym? Poza, oczywiście, odchodami przerażonych dzieci. Co słyszysz?*

Tirla, z niesmakiem: *Beczą.*

- *I to jest pewna wskazówka, Tirlo. Czy zdołasz odróżnić jeden płacz od drugiego i ocenić, ile dzieci tam jest?*

Dorotea czuła skupienie dziewczynki i nie przeszkadzała jej.

Tirla: *Myślę, że tu jest sporo dzieciaków: mnóstwo płaczów i jęków i ktoś nawet ma czkawkę. Wszędzie dokoła, z każdej strony, nade mną, ale nie poniżej. Czemu tak nas związali i zasłonili nam oczy? Większość dzieciaków i tak by nie próbowała uciekać.*

Dorotea: *Yassim stracił wszystkie dzieci z G, prawda? Myślę, że przez to, niestety, zmienili metody działania. Teraz stosują dezorientację i pozbawianie bodźców czuciowych, żeby wymusić*

posłuszeństwo dzieci, jak już je z tego wyciągną. Ty się nie boisz, prawda?

Tirla, szczerze: *Nie podoba mi się to, ale się nie boję. Jestem wściekła.* - Jej „głos” nabierał mocy. - *Straciłam lekcję matematyki.*

Dorotea roześmiała się z ulgą. Rozzłoszczona Tirla będzie o wiele pożyteczniejsza niż przestraszona. Sasza też parsknął z ulgą, zelżało napięcie Rhyssy.

- *Złość się dalej, Tirlo. Gniew może być pożyteczny. Chciałabym, żebyś spróbowała uspokoić dzieci. Niech ci powiedzą, jak się nazywają i skąd są. Uderzono nie tylko w liniowiec R. Sądzymy, że porwano ze setkę.*

- *Razem ze mną i z Peterem?*

- *Więc sto dwoje. Peter nie jest taki silny jak ty, Tirlo.* - Dorotea uniosła brew na stłumiony protest Rhyssy: - *Ona jest silna. I w takich okolicznościach o wiele lepiej potrafi o siebie zadbać.*

- *A co mi pomoże siłą, skoro nic nie widzę i jestem opakowana jak paczka? Hej, wy tam! Zamknijcie się! Przestańcie biadolić, głupi Lewantyńczycy!* - Tirla zaczęła mówić w językach, których Dorotea nie rozumiała. - *Wolą beczkę za swoimi mamami! Mamami, które ich sprzedały!* - Dziewczynka wróciła do basiku. - *Ze sześcioro jest z E, siedmioro z W i dwoje z C. Ależ beczką! Żadne z nich nie jest Peterem.*

Dorotea: *Zapytaj, jak się nazywają.*

Tirli udało się podać imiona dziesięciorga z piętnaściorga otaczających ją dzieci. Natychmiast przekazano je Borysowi.

- *Gdzie też jest Peter?* - szepnęła miękko Rhyssa.

Kiedy koncentrowała się na rozmowie Dorotei, do niespokojnej grupki dołączył Dave Lehardt. Splótł swoje palce z palcami dziewczyny i ten fizyczny kontakt bardziej ją pokrzepił niż pocieszające przekazy otaczających ją telepatów.

- Popytaj Tirlę o zapachy - ponaglił Doroteę Sasza. - Może to da nam JAKĄŚ wskazówkę, gdzie jest.

Tirla: *Hmmm, pachnie metalem. I czuję jakąś pleśniowo-gnilną woń, nie wiem, co to. Jeszcze jeden zapach, którego nie znam, oleisty. Tkwią w czymś... chyba w plastikowej piance. Każdy palec w oddzielnym rowku. Przywiązali mnie w pasie, poprzez pierś, za kostki i przeguby. Gdybym była krótsza, to bym się udusiła. Z tyłu jest szpara, przez którą mogę siusiać i kupkać. Ciągnie stamtąd chłód. Chyba jestem blisko podłogi. Mam nadzieję, że nie ma dzieciaków nade mną. Źle by było, gdyby to na mnie spadało! Och, przestańcie biadolić! Nikt was nie krzywdzi!* - Wrzasnęła te zdania w innych dialektach.

- O, to zaczyna na nią działać - odezwała się ponuro Dorotea. - *Jestem z tobą, Tirlo. Są tutaj wszyscy: Sasza, Rhyssa, Borys, Sirikit, Budworth, Dave, choć może ich nie słyszysz. Wyciągniemy cię stamtąd, obiecuję.*

Tirla: *Pospieszcie się, proszę. Jak będę musiała słuchać tych płaczów i jęków, to wystrzele w kosmos. A co z kobietą, która przypięła sobie moje włosy? Czemu nie zapytacie jej, gdzie jestem?*

- *Carmen jest z nami i przypomina ci, że musisz być w oświetlonym miejscu, żeby cię mogła „zobaczyć”! Pamiętasz o tym? To*

dlatego nie mogła cię znaleźć w liniowcu, bo siedziałaś w ciemnościach.

Tirla: Tu jest jeszcze ciemniej, niż było tam. Co będzie, jeśli w ogóle nie zapalą światła? - W głosie dziewczynki po raz pierwszy pojawił się strach, a nie oburzenie i gniew.

- Może to dla ciebie żadna pociecha, Tirlo, lecz oni chcą, żebyście byli w dobrej kondycji. Muszą was nakarmić i umyć.

Tirla: Taaak? A kiedy? W przyszłym tygodniu?

- Porwali was koło trzeciej. Teraz jest dziesiąta trzydzieści. Wkrótce muszą was nakarmić i napoić.

Tirla: Masz rację. To żadna pociecha. Doroteo, nie przestawaj do mnie mówić, dobrze? Nieważne co. Tylko mów.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Tirlo. - I Dorotea przesłała dziewczynce fanfary oraz swój głęboki dworski dyg. Podziękowaniem był radosny chichot. - Może zajmiemy się matematyką, którą opuściłaś?

Tirla: W głowie?

Dorotea: Zapisz to na tablicy mojego umysłu. Zapamiętam dla ciebie.

- A przy okazji wzrosną telepatyczne zdolności małej - powiedziała ze szczerym uśmiechem Rhyssa. - Jesteś niepoprawna, Dorotea.

- Ale świetna w tym, co robię - odparła z uciechą starsza pani.

- Rhyssa? Rhyssa?

Rhyssa wstrzymała oddech z niedowierzaniem, przestraszona słabością „głosu” Petera. Dave otoczył ją ramieniem i podtrzymał, a ona gestem uciszyła wszystkich, żeby nic nie zagłuszyło słabego głosiku chłopca.

- *Tak, Peter. Nasłuchiwałam, kiedy się odezwiesz.*

Peter: *Nic nie widzę. Nic nie czuję. Uśpili mnie. Mam mdłości.*

Rhyssa, z opanowaniem, choć mocno uchwyciła dłonie Dave’a: *Spokojnie, Peter. Przypomnij sobie nasze ćwiczenia. Wycisz mdłości.*

Peter: *Jeszcze nigdy nie było tak ciężko, Rhyssso.*

W jego głosie brzmiała rozpacz. Rhyssa świetnie wiedziała, jak bardzo nie znosił środków usypiających. Większość z nich fatalnie na niego działała. Będzie potrzebował sporo czasu - a wątpiła, by go mieli - żeby się pozbyć dezorientacji i mdłości i znów móc korzystać z kinezy.

Rhyssa: *Skup się, Peter, tak jak to robiłeś w szpitalu. Zogniskuj na tym myśli, nie zwracaj uwagi na to, co cię otacza.*

Peter: *Są tu inne dzieciaki. Niektóre bardzo wystraszone.*

Rhyssa: *Zawołaj Tirlę. Ona gdzieś tam jest! Może bardzo blisko.*

Dorotea, nagłaco: *Peter się obudził, Tirlo. Zawołaj go.*

Dzieci nie słyszały swoich głosów.

- Boże! Co z nas za Talenty, skoro nasze dzieciaki są w niebezpieczeństwie, a my nic nie możemy zrobić - wściekał się Sasza.

Tirla, równie rozczarowana jak Roznin: *Doroteo, czemu Peter się po prostu nie wyśliznie z kokonu?* - I z niesmakiem: *Przecież jest kinetykiem!*

Dorotea wyjaśniła jej, jak źle wpływa narkoza na Petera i Tirla zaśmiała się krótko.

- *Czyli znów wszystko na mojej głowie. Nie zapomnij rozwiązań moich równań, Doroteo, dobrze?*

Dorotea: *Co chcesz zrobić, Tirlo? Tirla: Wydostać się z tej trumny.*

- *Jak?*

Tirla: *Przy unieruchamianiu mnie zrobili jeden błąd. Przejęli mi palce w dół, a nie w górę. Wtedy nie mogłabym niczego dotknąć. Może uda mi się na tyle porozrywać plastik, że uwolnię ręce.*

Dorotea wyczuła w myślach dziewczynki wysiłek, wyteżony wysiłek i ukłucia bólu.

- *Uda jej się?* - spytała Saszę.

- *Brat mówił, że dzieciaki znalezione na Manhattanie tkwiły w piankowatych, plastikowych kokonach; unieruchomione, zakneblowane, z zasłoniętymi oczami. Harv orzekł, że to wszystko po to, żeby złamać ich opór - skrzywił się Roznin.*

Borys, podekscytowany: *Nawiązaliście kontakt z Peterem i Tirlą?*

- *Tylko kontakt, braciszku. Obydwoje tkwią w kokonie. Ten środek usypiający źle podziałał na Petera. - Sasza znów się skrzywił, odzwierciedlając zdenerwowanie Borysa. - Potrzebuje trochę czasu, żeby się z tego otrząsnąć i móc działać.*

Borys: *A mamy czas? Siedzą mi na karku wszyscy zastępcy zarządcy miasta i ona sama też, i poganiają. Parę innych dzieciaków również było legalnych.*

Rhyssa skoncentrowała się na wzmocnieniu więzi z Peterem; pomagała mu rozproszyć resztki narkozy, hamujące kinetyczne zdolności chłopca. Wyraz jej twarzy ukazywał jego rozpacz i poczucie zawodu oraz bezsilności; mocniej oparła się o Dave'a.

- *Nareszcie!* - Dorotea usłyszała triumfalny okrzyk Tirli i uniosła rękę, powtarzając go. - *Wypruwacze wielbłądzich flaków! Nędzni zjadacze łajna! Potomkowie zdechłych węży! Padalce! Obrzydliwe robole!*

- *Wielkie nieba! Ostro. Skaleczyłaś się, Tirlo?* - spytała Dorotea, wyczuwając ból.

Tirła: *Nieważne. Wydostałam się z kokona. Jest tu dziewiętnaścioro tak „opakowanych” dzieciaków, niektóre z nich wciąż śpią. Petera tu nie ma. Powiedz Carmen, żeby sobie nie łamała głowy nad szukaniem mnie. Tu jest tak czarno, jak na dnie szybu windy. Fuuuuj. Pośliznęłam się na jakimś świństwie. Ufff! Dotarłam do ściany. Pfuj. Jest piaszczysta i oślizgła. Zbyt gładka i zimna jak na metal. A, jakiś otwór. Okno. Zastłonięte plastykiem. Nie mogę oderwać ani kawałeczka. Słuchaj, chcę czegoś spróbować* - ciągnęła dziewczynka. - *Zawsze zapominają o sufitach. Czuję idący stamtąd prąd powietrza.* - Milczała dłuższą chwilę, choć Dorotea była świadoma wyęźonego wysiłku małej. - *Przecież nic ci nie robię. Służysz mi jako stopień. Nie, nie wypuszczę cię, bekso. Nie miałabym z ciebie żadnego pożytku. Przestań biadolić.* - Znów cisza; Dorotea powiedziała pozostałym o kolejnej fazie wyęźonego wysiłku i mimowolnych jękach bólu.

Tirla: *No i miałam rację. Sufitowy wywietrznik. Teraz ociupinkę widzę. Zgadnijcie, gdzie jestem? Na stacji przetokowej. Całe rzędy i rzędy starych wagonów. Wygląda, jakby tu stały od lat. Niedaleko, po prawej, widać trochę światła. Zza czegoś, chyba okno albo drzwi. Świta wam, gdzie mogę być?*

Z chwilą gdy dziewczynka wspomniała o stacji przetokowej, jej opis przekazywano wszystkim zainteresowanym.

Tirla: *Idę po dachach wagonów w stronę światła. Nikogo nie słyszę, zresztą nikt nie byłby taki głupi, żeby się tu szwendać po ciemku.*

- *Tirlo, powiedz nam, w ilu wagonach są dzieci* - przynagliła ją Dorotea.

Tirla: *Peter! Odezwij się! Peter! To ja, Tirla! Odpowiedz mi! Kurczę! Ciut, a byłabym spadła z dachu. Są śliskie i wilgotne. Tu wszędzie jest wilgoć!*

- Sprawdzić dworce koło rzeki i koło morza. Nad cieśniną - rzekł Sasza, miotając się przed monitorami i obserwując ekrany.

Peter, radośnie: *Tirla!*

Dziewczynka przekazała to Dorotei, a ona pozostałym; Talenty poczuły wielką ulgę. Rhyssa klapnęła na fotel, który podsunął jej Dave. Zaraz potem Lehardt podał jej drinka i nakazał gestem, żeby natychmiast to wypić.

Tirla: *A więc tutaj cię wpakowali, hmm? Zsunęłam się akurat obok ciebie. Zaraz cię uwolnię. Przepraszam, to nie będzie przyjemne.*

Peter: *Ojej! Ale tu ciemno! Hej, nie pozdzieraj mi skóry z nadgarstków! Ale jesteś brutalna!*

Tirla: *Tylko opalenizna zeszła. Jesteś wolny. Noo! Tylko mi nie mdlej! Połóż się. Rozluźnij. Odpocznij. Lepiej odpocznij jeszcze trochę.*

- Dorotea wyczuwała w głosie dziewczynki nerwowość, ale nie powiedziała o tym Rhyssie. - *Teraz się tu trochę rozejrzę, Peter* - podjęła Tirla. - *A ty uruchom tę swoją kinezę, bo nie ma mowy, żebym cię sama stąd wyciągnęła.*

Peter: *Zaraz będę O.K., Tirlo. Zaraz będę O.K. Ale... ale wróc.*

Tirla: *Ooo, coś leci! Wielka zabawka. Kosztowna! Bez świateł!* - Długa chwila ciszy. - *Był za blisko.*

- *Spytaj, czy widziała numer; może jakiś napis* - poganiał Dorotea Sasza. - *Niech go opisze.*

Tirla: *Powiedziałabym, że to metalicznoblękitny strumieniowiec, dwunastomiejskowy, bez świateł, ale dostrzegłam... 3, kreska i PZR... tak mi się zdaje. Może to było B, lecz Z i R na pewno.*

Dorotea powtórzyła to i Sasza skoczył na równe nogi.

- PZR! Ależ mamy fart! - Uderzył się prawą dłonią w czoło, żeby się choć trochę wyciszyć. - Budworth, połącz się z Berthą i Auerem, i sprawdź, czy im nie mignęło coś z Szarlatanem.

- Szarlatan? - odezwały się jednocześnie Rhyssa i Dorotea, sięgając do jego umysłu po potwierdzenie, lecz Roznin właśnie rozmawiał „na prywatnej linii” z Borysem.

- Borys sprawdza rejestracje - powiedział na głos Sasza, skupiony i pełen zapachu. - Doroteo, powiedz Tirli, że jest cudowna.

Tirla, ze zdziwieniem: *I to wam wystarczyło? Oooo. Leci następny, z innego kierunku. Też bez świateł. Zobaczą, co mi się uda wykryć.*

Dorotea, pospiesznie: *Tirlo, nie ryzykuj, bo cię znajdą. Rhyssa mówi, żebyś lepiej została z Peterem.*

Tirla, pogodnie: *Peter jest O.K. Pracuje nad sobą. Sprawdzę, co to przyleciało!*

- *TIRLA!* - Samowola małej oszołomiła Doroteę. - *Tirla!* - Starsza pani wyciągnęła ręce ku Rhyssie: - *Ta mała wiedźma mnie wyłączyła! Niech no tylko ten dzieciak wpadnie mi w ręce! Co za zuchwałość!*

Rhyssa też się zdenerwowała: *Zatrzymaj ją Peter!*

Peter, z urazą: *Wcale nie potrzebuję goryla, Rhyssu. Naprawdę. Potrzebuję po prostu trochę czasu, żeby dojść do siebie. Poza tym i tak nikt by jej nie powstrzymał.*

- Wspaniały dzieciak - oznajmił Sasza, twardo broniąc swojej protegowanej; on i Rhyssa na moment się „zwarli” umysłami; dalej mówił już łagodniejszym tonem: - Zdaję sobie sprawę, Rhyssu, że narkoza zablokowała umiejętności Petera. Lecz jeśli Tirli uda się wypatrzeć rejestrację drugiego pojazdu, to może złapiemy nie tylko wielbego Pontisa Prosita, który już dawno na to zasłużył.

- Czy Borys potwierdził, że to on jest właścicielem tamtego strumieniowca? - spytała Rhyssa, zaledwie troszkę ułagodzona.

- Zarejestrowany na Pontisa Prosita, ksywa Szarlatan - uśmiechnął się Sasza. - Pełny numer: YRPP/2403/PZR; adres nadrzeczny, bardziej wielkopański niż kapłański. Borys wysyła tam

nadzór i rezerwowe ekipy. Chciałbym, żeby Centrum natychmiast skrzyknęło Talenty! - Dość długo czekał na zgodę Rhyssy, wreszcie dał znak Budworthowi, żeby ten nacisnął alarm. - Ruszemy, jak tylko ich zlokalizujemy.

- Ani Bertha, ani Auer nic dla nas nie mają - odezwała się Sirikit.

- Dziwne - zmarszczyła brwi Rhyssa. - Coś powinno być.

- A mnie się to wydaje pocieszające - stwierdził Sasza, zapinając „bojowy” pas i sięgając po obezwładniającą broń. - Przynajmniej Szarlatan nic nie nabroi w najbliższej przyszłości, a więc mamy szansę złapać go *in flagrante delicto*. Doroteo, czy masz kontakt z Tirlą?

Starsza pani z urazą wydeła usta i potrzęsnęła głową.

- Ta wstrętna, mała paskudnica! - powiedziała z odrobiną niechętnego podziwu.

- Mam! - krzyknęła znienacka Carmen, zerwała się z fotela i podbiegła do terminala z planami miasta; wystukała koordynaty i na ekranie pojawiło się Południowe Wybrzeże. - Zobaczyłam znów Tirlę. Nie może być dwóch tak podobnych sytuacji. Kieruje się ku starej kolejowej nastawni. Widzę to. Odrobina światła wydostaje się z okna na peron. Rdzewieje tam całe mnóstwo starych wagonów, setki. O, tu! - Wskazała na zaznaczony na planie obszar. - Tu są torowiska. Akry torowisk. Przystarzałe pociągi czekają na przetopienie.

Rhyssa, Dave, Sasza, Dorotea i Budworth spojrzeli na widoczny na ekranie powiększony fragment planu.

- Nie mogli znaleźć lepszego miejsca, żeby ukryć przerażone dzieciaki - rzekła powoli Dorotea. - *Tirla! Odpowiedz! Już wiemy, gdzie jesteś!*

Nie uzyskała odpowiedzi; Sasza spojrzał przeciągle na Rhyssę, a potem wybiegł z pomieszczenia kontrolnego wraz z Dave'em Lehardtem. Pospiesznie kłusowali ku schodom prowadzącym na lądowisko, gdzie czekały ekipy Talentów.

Oczy Tirli przyzwyczały się do mroku; otaczała ją ni to mgła, ni to ciemność; na całej linii horyzontu widać było czerwonopomarańczową łunę Jerhattanu. Czerniały zarysy górnych poziomów liniowców, którym noc przydała majestatu. Na najwyższych piętrach - gdzie były anteny i wyloty szybów - błyskały światła ostrzegawcze dla samolotów. Dziewczynka szła ostrożnie po wąziutkiej, płaskiej „ścieżce” na dachach wagonów. Jeśli się pośliznie, to nie będzie się miała czego uchwycić na jajowatych bokach. „Ścieżka” była ubłocona i śliska. Tirła kierowała się ku wąskiemu pasemku światła błyszczącego w ciemnej bryle budynku.

Dziewczynka bezpiecznie minęła pięć wagonów (w tym dwa z płaczącymi i jęczącymi dziećmi), kiedy poczuła, że Dorotea próbuje się z nią skontaktować.

- Zostaw mnie. Muszę się skupić.

Zakłęła cichutko, bo się pośliznęła, przechodząc z jednego wagonu na drugi: chwila paniki; poczekała, aż serce przestanie walić - bała się, że ją usłyszeli. Wyczulony słuch Tirli wychwycił dochodzące z budynku przytłumione glosy. Wagony stały wzdłuż długiego peronu i dziewczynka rozważała, czyby się nie ześliznąć z dachu i nie podejść na tyle blisko, żeby podsłuchać, o czym mówią.

Rozmowy - to bezwartościowa sieczka; rejestracja - to niezbity dowód. Tirła czołgała się naprzód, świadoma czynionego przez siebie

hałasu, coraz bardziej wysuszonych ust, coraz bardziej bolących i z każdą minutą sztywniejszych palców.

Ciemność nagle się rozjaśniła - koło słabiej widocznego błękitnego strumieniowca stał kosztowny, śnieżnobiały sportowy pojazd; wyraźnie widziała oznakowanie. Oba strumieniowce ustawiono na skrzyżowaniu torów, oczyszczonym z wagonów.

Tirla: *Peter, znalazłam drugi. Wyraźnie jak w dzień widzę numer: CD-08-MAL. Oba stoją obok siebie. Peter?*

Peter: *Słyszałem. Powiedziałem im. Wracaj do mnie. Są na ciebie wściekli, że „wylaczyłaś” Doroteę. Będziesz ją musiała przeprosić. - Chłopak był zły.*

- *Przeprosić? Dlaczego?* - Tirlę tak to zaskoczyło, że byłaby się ześliznęła ze stukiem z wagonu. - *No i co narobiłeś!*

Rozpłaszczyła się, jak mogła, bo z otwartych drzwi buchnął strumień światła, wydobywając z mroku peron i wypukły bok wagonu, na którym dopiero co była.

- *Mówię ci, że coś słyszałem!* - powiedział mężczyzna, którego sylwetka zarysowała się w drzwiach.

Wyjrzał na zewnątrz i Tirla wyraźnie zobaczyła scenę poza nim: dwóch mężczyzn; jeden trzymał krótką laskę i leniwie uderzał nią o but.

- *Zamknij drzwi, idioto!* - Drzwi zamknęły się gwałtownie, a potem uchyliły. - *...obejrzyj. Górze, z boków, pod spodem i w środku. Tylko nie spaskudź znowu, głupku. Bo zawisniesz.*

Drzwi znów się zamknęły. Dziewczynka zmartwiała, rozpoznając głos. Słyszała kroki ladrone, skrzypiące na piachu zaścielającym peron. Słyszała, jak otwiera drzwi jednego z wagonów i zagląda do środka. Szedł peronem, klnąc z cicha, pochylał się, żeby poświecić pod spód. Teraz było „w górę” i Tirla wołała nie ryzykować. Ledwo zdążyła - czerwone światełko latarki padło tam, gdzie przed sekundą leżała. Z zapartym oddechem czekała, czy ladrone zauważy odcisk jej sylwetki.

Patrzyła, jak ostrożnie otwiera drzwi i starała się jak najwięcej dostrzec. Ten z laską stał najbliżej drzwi, więc wyraźnie zobaczyła jego okrutną i wyniosłą twarz, haczykowany nos i cienkie, wyskubane brwi. I stół ze stertami kredytów, które liczyli dwaj inni mężczyźni (wolniaki, sądząc po wielkości). Jeden z liczących wydał się jej znajomy, ale nie zdążyła go zidentyfikować, bo zafascynowała ją twarz tamtego. Odwrócił głowę, leniwie uderzając laską o czarny but; dostrzegła błysk złota na trzonku. Tak, miał okrutną twarz, i pożądlivą. Nagle dotarło do Tirli, co znaczy owa sterta wolniaków.

Tirla: Doroteo! Właśnie się rozliczają! Wolniakami. Więcej tego, niż kiedykolwiek widziałam!

Dorotea, ostro: Nie waż się mnie znów „wylaczać”.

Nie było wątpliwości, że jest zła i nie pochwała tego. Tirla była skonsternowana i zdziwiona: czyż nie robiła tego, co było im potrzebne? I jak taka słodka starsza pani może być dla niej nagle ostra i nieprzyjemna?

Tirla: *Jeśli wy, zwariowane Talenty, nie ruszycie swoich tyłków, to wszystko spaprzecie i już nigdy nie będę chciała mieć z wami do czynienia!*

Dorotea, bez skruchy, lecz z niepokojem: *Pomóż teraz Peterowi!*

Tirla świetnie wiedziała, że Peter potrzebuje pomocy. I pozostałe dzieciaki też. Ruszyła z powrotem najszybciej, jak umiała. Rozliczyli się, więc mogą lada chwila wysłać trochę dzieciaków. Musi wydostać Petera. I uwolnić tylu pozostałych, ilu zdoła. Jeśli się rozbiegną i pochowają, to tamci stracą całą noc, zanim je wyłapią. To znaczy, o ile powstrzyma te bachory od mazania się na wystarczająco długi czas.

Dziewczynka pośliznęła się i tym razem nie zdołała odzyskać równowagi, zjechała po upačkanym boku wagonu i wylądowała na kamieniach i żużlu, boleśnie kalecząc stopę. Poszła dalej, pomstując na swoją niezdarność i mając nadzieję, że już się zdążyła na tyle od nich oddalić, by nie usłyszeli hałasu. Teraz mogła iść szybciej, i to pomimo bólu w stopie; klęła sukinsynów, którzy zdjęli jej piękne, purpurowe buty kupione podczas pierwszego wypadu do magazynu.

W pierwszym i drugim wagonie płacz przeszedł w pochlipywanie. Tirla się skrzywiła. Ile miała czasu, żeby wydostać Petera? Czy chłopak da już radę wykorzystać ten swój specjalny Talent?

- *Tak, już mogę* - odezwał się Peter i wychynął z ciemności pomiędzy wagonami; dotknął dłoni dziewczynki. - *I dokładnie wiem, co zrobić. Chodź.*

Poprowadził ją wzdłuż toru do miejsca, gdzie omal nie wpadła na dużą dźwignię.

- *Przetoczmy je.* - Roześmiał się cichutko. - *To pójdzie szybciej niż uwalnianie każdego dzieciaka po kolei. Są ich całe setki.*

Usłyszeli przytłumiony warkot i zobaczyli, jak biały strumieniowiec wynurza się powoli spoza budynku.

Peter: *Chodź, muszę się dostać do transformatora albo nic z tego nie wyjdzie! Potrzebuję gestaltu, żeby to się udało. Wiesz, jak rozczepić wagony?*

Wiedza, „jak to zrobić”, pojawiła się nagle w umyśle Tirli i dziewczynka aż się zachwiała, zdumiona tak bezpardonowym wtargnięciem.

- *No to wróć i odczep ostatni wagon z dziećmiakami. Zostań tam i ostrzeż mnie, gdyby ktoś nadchodził.*

- *Z góry?* - spytała ochryple, wskazując niebo.

- *Nie, oni!* - Peter pokazał na budynek.

- *Kiedy nadejdzie jakaś pomoc?* - szepnęła jadowicie; nie chciała rozmawiać telepatycznie, skoro był tuż obok. - *Stopa mnie boli!*

- *Wkrótce!* - syknął Peter i lekko ją popchnął, żeby już poszła. - *Spróbuj chodzić jak ja!*

Tirla - zła, ponieważ bolała ją stopa i dłonie, i dlatego, że nie rozumiała, jakim cudem Peter dokona tego, czego chciał dokonać - usłuchała poleceń, bo inaczej nie mogła. Wagony stojące tu od lat na pewno narobią okropnego hałasu. Peter był głupi! Dziewczynka się

spieszyła, bo strumieniowiec jeszcze tu był, więc granie jego silników powinno choć trochę zagłuszyć szczęk wagonów.

Ostatni wagon z dziećmi rozpoznała po dochodzących zeń lamentach; szarpała się z bolcem zakłajstrowanym zapieczonym olejem i brudem.

- *Peter, to...* - Bolec nagle się obluzował, Tirla się zachwiała i oparła o wagon. - *Dzięki!* - Lament stał się głośniejszy. - *Zamknijcie się, głupie matoly! Robię, co mogę, żeby ocalić wasze bebechy i waszą cnotę.*

Uderzyła pięścią o bok wagonu, aż zaboląło; ale warto było, bo głośny lament zmienił się w ciche pochlipywanie. Ukoilo to irytację Tirli.

Dziewczynka nerwowo obserwowała powolne wznoszenie się strumieniowca. Pilot musiał bardzo uważać, żeby się w tych ciemnościach nie zaplątać w przewody zwieszające się wokół budynku. Gdybyż Peter zdołał poruszyć... Udało się! Usłyszała pisk, stukot i szczęk - to zaczęły się opornie kręcić koła, tak długo unieruchomione. Usiadła na sprzęgu i obserwowała budynek, wypatrując znaku, czy ktoś tam usłyszał hałas. Lecz budynek był ze dwieście metrów dalej, a strumieniowiec wibrował i szumiał.

Tirla zerknęła na zarysy miasta; bardzo pragnęła dostrzec w powietrzu jakiś ruch, wskazujący, że nadchodzi pomoc. Jakie te Talenty powolne. Jak „szybko” jest szybko? Jej wagon szarpał, ale przesuwał się naprzód, stukając i skrzypiąc. Ciemny budynek, z którego sączyła się smuga światła, wolniutko się oddalał. Poczwała, jak

wagon podskoczył na zwrotnicy, skręcił w prawo; trochę jej ulżyło. Gdyby tak wyrzwał ladrona i zobaczył, że brakuje połowy pociągu...

Wagon mijał transformator i Tirla dostrzegła bladą twarz Petera; nic też nie zagłuszało buczenia. Co ten chłopak robił? Zeskoczyła ze sprzęgu i skrzywiła się z bólu, kiedy skaleczoną stopą uderzyła w kamienie i żużel. Wagony jechały pustym torem, dalej i dalej od niebezpieczeństwa.

- Nie możesz zostawić pustych szyn. Domyślą się...

Dziewczynka ostrzegawczo położyła dłoń na ramieniu Petera i już jej nie cofnęła. Czuła, jak chłopiec drży z wysiłku, drży coraz bardziej. Drżenie udzieliło się i jej; drżenie i to, co przepływało przez ciało Petera.

- Staram się. Narkoza mnie otumaniała i ciężko mi uzyskać gestalt. Pomóż mi.

- Gestalt? - zająknęła się na obcym słowie Tirla, lecz Peter przekazał wyjaśnienie do jej umysłu.

Zanim dziewczynka zdążyła zapytać, jak właściwie ma mu pomóc, już to czyniła. Prąd przepływał przez jej ciało, tak samo jak wtedy gdy dotknęła gołego przewodu. Ale to nie było takie bolesne jak tamten wstrząs. Było... czym właściwie było?...

Tym razem protest metalu przerażająco głośno brzmiał w nieruchomym powietrzu. Biały strumieniowiec zniknął w kłębiącej się mgle. Tirla czuła się zarazem mocniejsza i słabsza; oburącz wpiła się w ramiona Petera: chciała mu pomóc uzyskać gestalt i sama potrzebowała jego wsparcia. Wyczuła nagle ruch za plecami - prześlizgiwał się obok

nich wagon za wagonem, stuku stuk, stuku stuk. O wiele za głośno. Naraz owe wagony łomotnęły w te w pobliżu peronu. Rozległy się krzyki i mężczyźni wypadli, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Gadaj! Uwolniłaś tamte dzieciaki? - spytał Szarlatan, z nosem tuż przy twarzy Tirli.

Dziewczynka marzyła, żeby się jeszcze trochę nachylił, bo wtedy mogłaby go ugryźć. Chyba by ją otruła oślizły, chamowaty, złośliwy drań.

Niestety, dopadli ich dwaj najszybsi ladroni, zanim zdążyła ukryć Petera. Brutalnie zawlekli dzieci do budynku przed oblicze rozeźlonego Szarlatana; był taki wściekły, że w kącikach ust zebrała mu się piana. Krzyczącą z rozpaczycy Tirle postawiono przed rozgniewanym mężczyzną, a Peter z jękiem osunął się na podłogę.

- Nikogo więcej nie widzieliśmy - rzekł niespokojnie jeden z ladroni. - W wagonach nie było śladu bachorów czy tych tam kokonów.

- Gadaj, gdzie są dzieciaki! - powtórzył Szarlatan w jednym z najpowszechniejszych dialektów lewentyńskich i mocno ścisnął opuchnięte palce Tirli. - Uwolniłaś je?

Dziewczynka nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu i próbowała wyrwać dłoń z jego garści. Tak bolało, że nawet nie mogła wymyślić żadnego przekleństwa na tego typu. Puścił ją, ale porwał ze stołu laskę i zaczął bić Tirle po plecach.

- Hej, szefie, towar! Nie zepsuj towaru!

- Gadaj, gdzie się podziały dzieci! - zapytał w najpospolitszym azjatyckim języku.

Łzy zalały policzki dziewczynki, rozejrzała się gorączkowo po pokoju, jakby szukała pomocy. Potem odpowiedziała mu w jednym z najmniej znanych narzeczy, jakich się nauczyła; błagała żałośnie:

- Nie bij mnie! Nie rozumiem, co mówisz! Nie bij mnie!

- Niech to...! - zaryczał Szarlatan i odwrócił się ku zbirom. - Co powiedziała? Czy któryś z was ją rozumie? Tylko tego mi trzeba! Durny bachor! Noo?!

Mężczyźni wruszali ramionami i coś mruczeli, żaden nie zrozumiał.

Dorotea, krzepiąco: *Już prawie tam jesteśmy, Tirlo. Mamy stację na noktowizorze.*

- Gdzie... - Szarlatan zamaszyście gestykulował; cała ta pantomima zupełnie nie przypominała gładkiego kaznodziei i Tirła omal się nie roześmiała, choć kłuł ją laską, podkreślając tym swoje słowa. - Gdzie... jest... reszta? Czy nikt nie potrafi z nią pogadać? Ocućcie tamtego. Nie możemy marnować czasu. Ten przeklęty jego wysokość przyśle transport. Musimy mieć gotowy towar. Całe miesiące przygotowań, wszystko idzie jak z płatka, mamy forszę... GDZIE JEST RESZTA?!

Ladrone oblał Petera wodą, lecz chłopak nawet nie jęknął i Tirła patrzyła nań z niepokojem. Był okropnie blady. A wyglądał zupełnie nieźle, zanim ich znów złapano. Może to dlatego, że za bardzo się zmęczył, poruszając ciężkie wagony... Zachłysnęła się, bo laska trafiła

w pręgę po wcześniejszym uderzeniu. Próbowwała się cofnąć, lecz przytrzymały ją krzepkie łapy. Kopnęła ostro w tył, urażając obolałą stopę, ale typ miał ciężkie buty, więc jeszcze bardziej się poraniła.

Wystraszymy ją porządnie - rzekł Szarlatan.

Tirlę rzucono twarzą w dół na twardego stół, gdzie niedawno widziała sterty wolniaków. Brutalne, twarde łapy unieruchomiły przeguby i kostki. Nagle straszliwy ból przeszył jej zmaltretowaną stopę. Wrzasnęła; targnęła nią druga fala przeraźliwego bólu - znów wrzasnęła i zemdlała po raz pierwszy w życiu.

I nie widziała, jak gwałtownie odepchnięty Szarlatan rozpląszczył się na ścianie. Nie widziała, jak do pokoju wdarli się Sasza, Rhyssa, Dave Lehardt i zespoły Talentów. I ominęły ją inne ekscytujące wydarzenia, które by jej sprawiły olbrzymią satysfakcję.

- Komisarzu - odezwał się Ranjit. - To dyplomatyczna rejestracja...

- Guzik mnie to obchodzi, poruczniku - odrzekł komisarz OPP. - Prawo i przestrzeganie porządku publicznego obowiązują z góry na dół i z dołu do góry! Albo przywileje zastąpią prawa! - Na wielkiej mapie zmierzył odległość od stacji na Południowym Wybrzeżu do nadrzecznego budynku. - Niech nasz najlepszy pilot śledzi tego dyplomata. I chcę, żeby obstawiono cały ten „ul” : nie tylko winde szczytowego apartamentu i mieszkania służby, lecz cały kompleks. Wszystkie wejścia obstaw empatami. Powiedz im, żeby lokalizowali każdą silniejszą emocję, a może tego być sporo. Sam wiesz, że „ulowcy” nie cierpią, kiedy się narusza ich prywatność - zakończył i odwrócił się ku drugiemu adiutantowi: - Połącz się z zarządcą miasta, Berry, i powiedz jej, że to drażliwa sprawa. Nie wyjaw wszystkiego, po prostu chcę, żeby była zorientowana i poparła nas w starciu z korpusem dyplomatycznym. Zawiadom sąd i zdobądź mi cztery... nie, pięć „Johnów Doe” i nakaz rewizji. I módlmy się, żeby się Saszy udało.

Borys założył bluzę, na której pyszniły się galony i naszywki - gala niezbędna przy tej misji. Przypasał szablę. Dał znak Ranjitowi i pozostałym adiutantom, żeby poszli za nim na mieszczące się na dachu lądowisko. Strumieniowce i helikoptery krążyły po zwykłych trasach; załogi poinstruowano, że mają zachować ostrożność.

- *Sasza!* - Roznin połączył się z bratem natychmiast po starcie helikoptera.

- *Już prawie jesteśmy na miejscu, braciszku. Przelot zawsze zabiera trochę czasu. Drugi ptaszek nie odleciał... co się, u diabła, dzieje? Później się z tobą połączę.*

Więź z Saszą gwałtownie się przerwała; Borys klął cicho, a jego pojazd mknął ku celowi. Brak kontaktu się przedłużał i komisarz trochę się zaniepokoił. Czy brat na pewno zrobił, co należało? Czy wysłał wojsko z zespołami Centrum? Jeśli ci handlarze dzieci z dworca coś zwąchali, to całą operację diabli wezmą.

- *Mój Boże, Borys!* - zagrzemiał nagle Sasza. - *Jeśli pozwolisz się wymigać temu obleśnemu sukinsynowi Shimazowi, tej wysokości, temu księciu, temu zarządcy programu czy jak mu tam, to ci obiecuję, że Talenty się nim zajmą ex officio!** [*ex officio* - z urzędu.]

Komisarz OPP jeszcze nigdy nie słyszał takiej mściwości w głosie brata.

Borys: *Co się stało?*

Sasza: *Czcigodny archidiakon Pontis Prosit zaaplikował Tirli bastonadę.** [bastonada - bicie w pięty; czasem unieruchamiano stopę skazańca w drewnianym klocek.] *Peter ma zapaść!*

Borys: *Szarlatan nie wysłał żadnej wiadomości?*

Gdyby to uczynił, mogli stracić najważniejszego przestępcę.

Sasza, pieniąc się z wściekłości: *Nie! Przecież przesłuchiwał małą dziewczynkę! Przyszpil tego drugiego sukinsyna, dobrze? Bo jeśli*

nie, to - na wszystkie świętości - ja to zrobię. Sam, osobiście, bez niczyjej pomocy, drogi bracie z OPP.

Borys: OPP jest w drodze, Sasza. Opanuj się trochę. Masz pozostałe dzieciaki? Mamy jakikolwiek dowód na współudział tamtego?

Sasza, sarkastycznie: Sądzę, że zakrwawiona stopa Tirli to tylko naruszenie nietykalności osobistej. Ale wpadł nam w ręce neseser wyladowany o wiele za dużą ilością wolniaków, przygotowanych do zdeponowania, i numer konta - założę się, że należy do wielebnego.

Borys: To powinno wystarczyć, żeby skazać Szarlatana. Lecz czy mamy coś, żeby dopaść tego... jak go nazwałś?

Sasza: Shimaz, księżę Phanibal Shimaz, jak się okazuje mistrz nie tylko w Węzłach Josephsona. Szarlatan puścił farbę. Jego wysokość działa na szerokiej niwie: zatrudnia dzieci do łuskania ryżu i w kopalniach, zajmuje się dziecięcą prostytutką i wreszcie ma dziecięcą farmę, gdzie trzyma najzdrowsze z nich jako dawców narządów do przeszczepów.

Borys, zawzięcie: Daj mi coś, co go powiąże z tą stacją! Co go przyszpili!

Przebyli już spory odcinek trasy, kiedy łącznościowiec zaanonsował połączenie z zarządcą Aiello. Na pokładowym monitorze ukazała się Teresa w urzędowym uniformie. Obok stał jej przyboczny, Jak, który - pomimo całej swojej empatii - potrafił się czasami czepiać szczegółów.

- Masz bezsporny dowód, Roznin?

- Mamy dowód na powiązania sprzeczne z wszelką dyplomatyczną działalnością - odparł twardo Borys.

- Czyją? Przecież nie ambasadora? - Teresa Aiello była bliska załamania.

- Nie chodzi nam o jego ekscelencję, więc Jak może odetchnąć. Za to osoby z jego korpusu i pojazd ambasady zostały rozpoznane i były śledzone od miejsca przestępstwa. Bez trudu udowodnimy współudział. Jest tam D.A.? Szepnij dobrą nowinę w ucho starego draba. Talenty zniszczyły siatkę porywaczy. - To ostatnie przyznał z niechęcią, bo stale współzawodniczył z bratem, choć obaj się do tego nie przyznawali.

Budowlę celnie nazwano „ulem”. Na dolnych poziomach mieściły się składy, urządzenia techniczne i mieszkania pracowników obsługi. Na wyższych piętrach, górujących nad sąsiednimi blokami, zamontowano wielkie plastikowo-szklane panele: tak źródło energii słonecznej, jak i widomy znak bogactwa. Każdy apartament szczycił się wspaniałym ogrodem i rozległym widokiem. Rdzeń „ula” stanowiło atrium, gdzie rosły rzadkie krzewy i drzewa. Najbardziej ekskluzywne i najkosztowniejsze były, rzecz jasna, apartamenty na samym wierzchołku... Całe jedno piętro przeznaczono na prywatny ogród, baseny i place gier, lądowisko oraz wszelkie inne udogodnienia, mające zapewnić mieszkańcom najwyższy komfort.

- *Czy wszystko już gotowe, Ranjit?* - spytał Borys przez nadajnik w hełmie.

- *Właśnie zamknęliśmy pierścień, sir. Nikt niepostrzeżenie nie wejdzie ani nie wyjdzie.*

- Komisarzu - odezwał się pilot Borysa. - Nadlatuje podejrzany pojazd.

Lśniący biały strumieniowiec usiadł na dachu „ula”, pasażerowie wysiedli.

- Trzej mężczyźni!

- Sam to widzę. Zabezpiecz go, jak tylko się znajdzie w hangarze. Spróbuj coś wyciągnąć z pilota. Zabierz dziennik pokładowy i wszelkie inne zapiski. A teraz... - Borys nic zdołał zatrzeć nutki satysfakcji w głosie - ...bierzemy tego sukinsyna!

Pilot OPP wysadził ich na dachu „ula” i Borys Roznin wraz ze swymi ludźmi ruszył ku wejściu do położonego najwyżej apartamentu. Odźwierny, widząc służbowe uniformy komisarza OPP i jego adiutantów, pospiesznie otworzył drzwi. Skłonił się przy tym z respektem i niepokojem.

- Co robisz, ty głupcze? Nie oczekuję żadnych gości! - wykrzyknął mężczyzna stojący w głębi wspaniałego, wyłożonego białym marmurem westybulu; służący pomagał mu zdjąć elegancki płaszcz z niebieskiego zamszu; towarzysz mężczyzny sam się pozbywał wierzchniego okrycia. - Natychmiast ich wyproś.

- Nic z tego, książę Phanibalu - odezwał się Borys, wysuwając się naprzód i telepatycznie nakazując Ranjitowi, by wezwał posiłki.

Towarzysz księcia z zadziwiającą prędkością wybiegł przez jedne z najbliższych drzwi, a zdrętwiały odźwierny przyglądał się całej scenie z rozdziawionymi ustami.

- Czy jego ekscelencja jest w domu? - zapytał Roznin, zachowując uprzejmą formę pomimo przepelniającego go gniewu.

Odźwierny skwapliwie potaknął, zanim Phanibal zdążył mu nakazać, żeby milczał.

- Jak śmiesz, kimkolwiek jesteś, wchodzić bez zaproszenia do rezydencji dyplomaty? - odezwał się z wyniosłą i dufną miną książę Phanibal; - nie raczył dostrzec porucznika stojącego przy boku Borysa i ludzi znajdujących się tuż przy drzwiach.

- Jestem Borys Roznin, komisarz do spraw prawa i porządku publicznego w Jerhattanie! - A do przerażonego, trzęsącego się odźwiernego rzekł: - Przekaż jego ekscelencji usilne prośby o wybaczenie za najście i o natychmiastową audiencję w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Służący zignorował groźby i zakazy Phanibala, otworzył ukryte drzwi i zniknął. W tym samym momencie otworzyły się wszystkie pozostałe drzwi w westybulu i z wojskową precyzją weszli postawni mężczyźni: najwidoczniej strażnicy wezwani przez płochliwego towarzysza księcia. Trzech z nich natychmiast oskrzydliło Shimaza; mieli czarne szaty i turbany, pasy nabijane srebrem i sztylety dokładnie takiej długości, na jaką pozwalały przepisy.

Borys nie musiał patrzeć za siebie, żeby wiedzieć, iż ludzie z OPP (każdy przepisowo uzbrojony) przewyższają liczebnością straż

ambasady i są gotowi do sforsowania wejścia. Odczekał chwilę, aby dotarło to do księcia.

- Sądzę, że teraz czekamy już tylko na pojawienie się jego ekscelencji - oznajmił Roznin ze srogim, nieprzyjemnym uśmiechem i, czyniąc świadomie afront osobie książęcej krwi, rozsiadł się na najbliższej ozdobnej ławie.

- Czy nie pojmujesz, jakie reperkusje może mieć owo nie usprawiedliwione wtargnięcie... - zaczął władczy tonem książę Phanibal. - Jestem nie tylko księciem z domu panującego, ale i naczelnym programu Drugiej. Powiniennem najbliższym promem wrócić na Stację.

- Dlatego właśnie ja, komisarz OPP, pofatygowałem się tutaj, żeby osobiście wszystko wyjaśnić ambasadorowi - odparł Borys. - *Czy to ten facet, który się tak narzucał Rhyssie? Może zdołamy wysondować jego umysł, jeśli się obaj za to weźmiemy. Nie będzie to sądownie dopuszczalny dowód, bo wymuszony, ale może zdobędziemy jakieś wskazówki. Ma szczelnie ekranowany umysł, nawet jak na księcia. Został precyzyjnie uwarunkowany, bardzo bym chciał wiedzieć, gdzie tego dokonano. Nie, nie złamiemy tych osłon, nie łamiąc przy tym prawa.*

Kącik ust Phanibala zadrgał w przelotnym uśmiechu, oczy się przymknęły, kryjąc błysk zadowolenia, że nie dopuścił do telepatycznej ingerencji. Odruchowo uniósł lewą dłoń i zacisnął palce, jakby na jakimś przedmiocie. Potem rozwarł je z irytacją i powoli położył dłoń na piersi; uśmiech stał się wyraźniejszy.

- Czyżbyś gdzieś zostawił swoją małą laseczkę? - Borys usłyszał własny głos; Sasza tu był! - *Oszczędność czasu i wysiłku, co, braciszku?*

Sasza, z wściekłością: *Tą laseczką zrobiono ze stopki Tirli siekany kotlet!*

- Ja... co? - Książę Phanibal zeszywniał ze zdumienia.

- Laseczkę, którą z lubością wszędzie zabierasz, bo chyba nie masz żadnych... zwierząt - ciągnął Borys/Sasza. - Tę z rączką z kości słoniowej i z raczej... niecodziennymi, filigranowymi zdobieniami.

- Przed osobą twego pokroju nie muszę się tłumaczyć z tego, co mam, a czego nie mam - odparł książę Phanibal; ustawił się bokiem do Borysa i bardzo uniósł brodę, eksponując profil, zapewne uchodzący za przystojny.

W tym momencie pojawił się ambasador odziany w ciemno purpurową, aksamitną szatę we wspaniałe, złociste wzory. Rzucił zdziwione spojrzenie na dumnie upozowanego kwiecica, potem na ekipę przy drzwiach i dał strażnikom znak, żeby się wycofali. Borys Roznin wstał i podszedł do Malezyjczyka.

- Zechce pan wybaczyć, ekscelencjo - rzekł w swoim imieniu, choć wiedział, że Sasza chciwie słucha - iż ze względu na powagę sytuacji pogwałciłem etykietę. Ten człowiek ... - wskazał na stojącego z boku księcia - ...wraz z jeszcze jedną osobą jest zamieszany w działalność niegodną nawet najskromniejszego pracownika pańskiej ambasady. Jestem zmuszony prosić, by polecił pan księciu i jego towarzyszowi, żeby udali się wraz ze mną do głównej kwatery OPP.

- O cóż mógłby zostać oskarżony książę Phanibal? - zapytał wyniośle ambasador.

- Zarzuty są naprawdę poważne, wasza ekscelencjo: chodzi o handel porwanymi małoletnimi, których następnie zmuszano do niewolniczej pracy i prostytucji oraz wykorzystywano jako dawców narządów.

- Czy jest pan w stanie dowieść tak haniebnego przestępstwa? - Ambasador jeszcze bardziej się wyprostował, choć ludziom z OPP zdawało się, że wcale nie był zbyt zaskoczony.

- Tak, wasza ekscelencjo. - Borys ze smutkiem skinął głową; ambasador był wspaniałym starszym panem, szkoda, że dotknął go taki skandal. - Są świadkowie - Borys /Sasza potwierdził odpowiedź brata - i to Talenty.

- To już przekracza wszelkie granice - parsknął z niedowierzaniem książę, nie tracąc kontenansu. - Odpraw tych kłamców, wuju.

Sasza: Spryciarz z tego facia.

Borys: Ani nie mrugnął i z niczym się nie zdradził.

Sasza: Czyżby sądził, że wszystkie Talenty są dorosłymi ludźmi?

Borys: Tirla JEST w oficjalnym rejestrze?

Sasza: To nie obejrzałeś bransolety ID, którą jej wydałeś przed sześcioma tygodniami? I są jeszcze czterej ladroni, śpiewający ze strachu przed wysłaniem w kosmos; potwierdzili wszystko, co wyciągnęliśmy z Szarlatana - a jego nie trzeba było zbyt naciskać, kiedy odzyskał przytomność. Przyznał, że prowadzili nielegalne

interesy. Mamy wszystko, co trzeba, żeby przyszpilić księcia i tego jego sekretarza. Pontis wrócił po okresie medytacji w religijnych instytucjach Dalekiego Wschodu? Akurat! Planował całą tę aferę przy poparciu księcia Phanibala. - Sasza prychnął z taką pogardą, że Borys się uśmiechnął.

Ambasador spojrzął przez ramię na księcia:

- Nie odprawię ich, bratanku. Talenty nie są zdolne do krzywoprzysięstwa. - Patrzył przez chwilę z uwagą na Borysa, a potem skinął na Phanibala: - Pójdiesz z nimi.

- Przecież nie mogę zostać aresztowany jak zwykły przestępca...

- Istotnie, bratanku, nie jesteś zwykłym przestępcą; immunitet dyplomatyczny nie chroni pederastów - oznajmił starzec głosem wypranym z wszelkiej emocji.

- Nie możesz pozwolić, aby tak znieważano nasze nazwisko - rzekł książę; jego zachowanie zmieniło się nagle: uderzał pięściami w uda, ledwo hamując gniew i frustrację. - Mój ojciec się o tym dowie. Zobaczysz! Wpadniesz w niełaskę! Nigdy nie będziesz mógł wrócić do domu! Twoje dzieci i dzieci twoich dzieci zostaną rzucone psom...

Ambasador Malezji, nie zwracając najmniejszej uwagi na Phanibala, wyszedł przez najbliższe drzwi i zamknął je za sobą. Strażnicy przesunęli się, blokując każde wyjście; książę został pozbawiony oficjalnej ochrony.

- *Komisarzy?* - odezwał się Ranjit. - *Aresztowaliśmy pilota, mamy dzienniki pokładowe strumieniowca, księgę hangaru i zatrzymaliśmy towarzysza księcia podczas próby ucieczki.*

- Zechce pan pójść z nami... - zaczął oficjalnie Borys, wskazując ku schodom na lądowisko.

Książę poderwał się nagle, z twarzą wykrzywioną wściekłością i runął w przejście odsłonięte przez Borysa. Ranjit wykazał refleks i spokojnie podstawił Phanibalowi nogę.

Dopiero trzem funkcjonariuszom udało się poskromić szalejącego Shimaza.

- I tak oto, pomimo apeli bolejącego ojca i protestów Ludmiły Barczenki, że księżę MUSI być na wolności do czasu ukończenia Stacji - opowiadał Tirli Sasza, siedząc na skraju łóżka dziewczynki w domu Dorotei - ten sukinsyn spędzi resztę życia na ciężkich robotach na Księżycu.

- A Szarlatan? - Oczy Tirli zapłonęły takim gniewem i nienawiścią, że Sasza aż się spłoszył.

- Och, dzięki wydaniu współwinnych mógł sobie wybrać zajęcie - uśmiechnął się Sasza. - Zdecydował się na stanowisko technika urządzeń sanitarnych na Dużej Stacji. Nie całkiem wykopany w kosmos, ale prawie, prawie...

- Ile dzieciaków było nielegalnych? - spytała dziewczynka, kiedy już dostatecznie długo ponapawała się losem Pontisa.

Tirla i Peter byli w sądzie, żeby złożyć zeznania, lecz nie słyszeli wyroku. Dziewczynka wciąż jeszcze nie mogła zbyt mocno obciążać poranionej stopy, a nie potrafiła lewitować jak chłopak, choć ten cierpliwie uczył ją kinezy. Peter utrzymywał, że był nieprzytomny, gdy jakaś siła cisnęła Szarlatanem przez pokój tuż przed pojawieniem się wybawców.

- Osiemdziesiąt siedem - odparł szorstko Sasza.

- W schroniskach, hmmm? - westchnęła przeciągle Tirla.

- Lepiej pomyśl, przed czym ty i Peter je ocaliliście. Miałaś tego przedsmak.

- I nie będzie więcej sprzedawania ani porwań?

Sasza potrząsnął głową.

Wszyscy w Centrum martwili się apatią, jaka ogarnęła Tirlę po rozprawie. Dziewczynka posłusznie ćwiczyła z fizjoterapeutami, żeby przywrócić pełną sprawność kontuzjowanej stopie; uszkodzenia były o wiele poważniejsze, niż się początkowo zdawało. Starła się również rozwijać swoje telepatyczne zdolności - lecz Peter i Dorotea byli jedynymi osobami, które „słyszała” bez względu na odległość; Saszę „słyszała” tylko wtedy, gdy dzieliło ich do stu metrów. Testy wykazały, że Tirla odznacza się zdumiewającą empatią; i to właśnie było źródłem jej zadziwiających wyczynów lingwistycznych.

Dziewczynka z zapałem realizowała swój program edukacyjny; dobierała sobie wykłady z najrozmaitszych dziedzin, w tym i takie - jak uważała Dorotea - które jeszcze były dla niej za trudne. Wyniki uzyskane przez Tirlę udowodniły, że była o wiele dojrzsza, niż się spodziewano. Nie cieszyła jej swoboda, jaką dawało Centrum; nie bawiła się z innymi dziećmi, choć one wciąż starały się ją rozruszać. Nawet nie chciała się wybrać po zakupy z Saszą czy Cass. Ożywiała się dopiero w towarzystwie Petera, ale on (wraz z Rhyssą) poświęcał wiele czasu swojemu wysoce specjalistycznemu szkoleniu. Niby to wróciła do zdrowia po porwaniu, lecz tak podupadła na duchu, że Dorotea nalegała na odwiedziny Saszy.

- Jak się znakuje dzieciaki? - spytała Tirla Roznina.

- Słuchaj, Chip. - Dotknął delikatnie jej kolana; wciąż mu się wydawała bardzo krucha, choć nieco przytyła, a jej oczy były jasne (o wiele za jasne, myślał czasami). - Nie zdołasz uratować wszystkich nielegalnych. No i na razie zażegnaliśmy niebezpieczeństwo.

- Ale zboczone zachcianki pozostały - odparła z zadumą. - Jak u tego ohydneho księcia. - Twarz dziewczynki przybrała niemal równie złośliwy wyraz, jak oblicze mężczyzny, o którym myślała. - Trudno oznakować dzieci? Cass i Suz mówiły, że znakowały je w liniowcu E. Czy już tak ulepszono „znak”, że starcza na długo?

- Wiem, że biologicznie masz dwanaście lat, lecz mówisz jak pięćdziesięciolatka - zirytował się Sasza.

Uniosła ku niemu głowę i patrzyła nań lekko przymrużonymi oczami, z uśmiechem.

- Bo tyle mam w liniowcu. Chybabyś nie chciał drugiego takiego szwindlu, jak z tym kaznodzieją, co? No i, jak mówi twój brat, nawet nielegalne dzieciaki mają swoje prawa! Wiem, że Cass urodziła dziecko, więc teraz tak szybko się nie podejmie żadnej tajnej misji. Ale założę się o mój ostatni kredyt...

- ...wszystkie należą teraz do Centrum, pamiętasz? - drażnił się z nią Sasza i dostrzegł w oku dziewczynki przebiegły błysk; a więc Dorotea miała rację, że mała ukryła parę wolniaków: trudno się pozbyć starych nawyków.

- A Centrum musi mi dać wszystko, co zechcę...

- W granicach rozsądku...

- Cóż, będę rozsądna. Jestem dobra w językach, ale tutaj nie mogę tego szlifować. - Wskazała na gazony za oknem. - A Nauczycielka mówi, że nie znam jeszcze wszystkich języków świata. Ubijmy interes, Sasza. - Spojrzała nań „po kupiecku”, jak zaczął nazywać tę jej minkę. - Oznakuję dzieciaki we wszystkich liniowcach Jerhattanu. Oznakuję, lecz ich nie wydam - uśmiechnęła się niewesoło. - Jeśli się trafią jakieś afery i mnie się o to oskarży, to stracę... jak wy to nazywacie?... wiarygodność? Widzisz, nauczyłam się trochę zasad. Na pewno poznam, kiedy „coś” się zacznie szykować i powiadomię was. Bardzo się wam to przyda, prawda? Będę lepszą wtyczką niż ci szpicle z OPP od twojego brata! - Rozbawiło to Tirlę, stała się bardziej ożywiona. - Zawsze wiedziałam, kto jest z OPP, a nawet kto jest Talentem.

Nie było żadnych wątpliwości, że lubi Saszę, lecz w towarzystwie Borysa zawsze czuła się nieswojo, choć usiłował być przymilny. Sasza uznał, że to wrodzony brak zaufania do OPP; nie chciał, żeby dziewczynka poróżniła się z jego bliźniakiem.

- Naprawdę nie chcesz tu zostać z Doroteą i rozwijać swojego Talentu?

Tirla potrząsnęła przecząco głową i skrzywiła się:

- To nie dlatego, że nie lubię Dorotei. Jest wspaniała. Po prostu... nie czuję się tutaj swobodnie. - Powiodła spojrzeniem po czyściutkim pokoju. - Jestem bachorem z liniowca. Mój Talent, jak wy to nazywacie - samokrytycznie zmarszczyła nosek - najlepiej działa w liniowcu.

Oczy dziewczynki błyszczały.

- Nie możesz przez całe życie mieszkać w liniowcu - oznajmiła Dorotea, wchodząc do pokoju, minę miała zmartwioną; promieniowała czułością, zaufaniem i pokrzepieniem.

- Czemu nie? - Tirla uniosła dłonie w geście pełnym irytacji.

- Rzeczywiście, czemu nie? - powtórzył Sasza.

- Cass i Suz, kiedy wykonują zadanie, mieszkają na wysokich piętrach liniowca. Chciałabym mieć mieszkanie na, powiedzmy, poziomie 19: ładny widok i mało smogu. - Uśmiechnęła się zuchwale. - A gdyby tak twój braciszek przypadkiem nie podsłuchiwał, to go zapytaj, czy bym się bardziej nie przydała w liniowcu.

Sasza się roześmiał.

- *Braciszku? Słyszałeś?*

Borys: Mała paskuda! Nigdy nie wiesz, jaki ci numer wykręci! Można wykazać, że jest wprost wspaniałym obserwatorem i „zaworem bezpieczeństwa”. W liniowcu G jest teraz o wiele więcej sprzeczek i sporów niż wtedy, kiedy ona tam mieszkała. Przydałaby mi się taka Tirla we wszystkich wielkich liniowcach. Jeśli Rhyssa nie ma nic przeciwko temu...

Dorotea: *Ja mam!*

Borys: Przykro mi, Doroteo, ale Tirla jest zarejestrowanym Talentem, i to tak istotnym, że nie może „leżeć odłogiem”, dopóki nie osiągnie pełnoletności. I nie ma takiego przepisu, który by stanowił, że MUSI mieszkać w Centrum aż do osiemnastych urodzin. Skoro byłaby szczęśliwsza w liniowcu, to niech tam zamieszka. Może by tak z Lessudem i jego rodziną na Wyspie K? Chodziłaby do szkoły i przy

okazji miałyby otwarte oczy i uszy, dla dobra ogółu. Zlikwidowaliśmy zakazane interesiki w Jerhattanie, więc, logicznie rzecz biorąc, Long Island jest teraz kolejnym „zbiornikiem” do łowienia nielegalnych dzieciaków. Moglibyśmy tam posiać tak wiarygodnego obserwatora jak Tirla.

- Słyszałaś coś z tego, Tirlo? - spytał z uśmiechem Sasza; siedział tuż obok niej, więc wyczuł, jak bardzo się koncentrowała na nieskutecznym niestety „słuchaniu”.

Potrząsnęła przecząco głową i westchnęła ze smutkiem, spoglądając przepaszająco na Dorotę; starsza pani tyle się nad nią napracowała!

- Brat pyta, czy chciałabyś mieszkać na Long Island, dopóki nie dorośniesz.

- Na Long Island? - Ożywiła się natychmiast Tirla, usiadła prościutko; jej czarne oczy lśniły, policzki zaróżowiły się leciutko, na ustach ukazał się pełen nadziei uśmiech. - To będzie życie w wielkim stylu!

EPILOG

Trzy miesiące później

- *Rhysso?*

Przepraszający, lecz zdecydowany „głos” zbudził Rhysę z głębokiego snu; jednego z tych snów, kiedy to trudno zmusić ciało do posłuszeństwa, choć umysł już się ocknął. Leżała bezwładnie w łóżku; udało się jej otworzyć jedno oko i zerknąć na zegar. Usłyszała, jak Dave podśpiewuje w łazience. Znow zasnęła. Nie wiedziała, co się z nią dzieje od kilku tygodni: nie mogła się wyspać.

- *Rhysso!* - „Głos” był bardziej nagły; rozpoznała go w końcu.

- *Tak, Madlyn? O co chodzi?*

W tonie tamtej brzmiał i niepokój, i zaczepka.

- *Czyżbym cię obudziła? A myślałam, że czas ziemski mam w małym palcu!*

- *Zasnęłam. O co chodzi?*

- *O NIA!* - Niesmak, frustracja, gniew, rozpacz, zawarte w owym zaimku, ostrzegły Rhysę, o kogo chodzi. - *Znow zaczęła swoje. Rozpowiada, że my, Talenty, NIE wykonujemy naszej roboty! Wyciągnęliśmy ją z bajzlu, a ona ma czelność NAS oskarżać o wszystko, co się jej nie udaje!*

- *O co idzie tym razem?*

Rhyssa podciągnęła się na poduszkach i sięgnęła po termos z kawą. Kolejna elegancka i cywilizowana fantazja pana Lehardta. Zaczęła nalewać kawę do filizanki, lecz zrezygnowała. Zemdliło ją od tego zapachu.

- *Został tylko jeden ważny ładunek do przetransportowania na Drugą* - powiedziała Madlyn. - *Ale tu nie dotarł, bo Johnny oznajmił, że go jeszcze nie wysła.*

- *NIE wysła?* - Z umysłu Rhyssy ulotniły się ostatnie resztki snu. Co też tym razem wymyślił pułkownik Greene? - *A ona tego oczywiście koniecznie potrzebuje, żeby zakończyć montaż?*

- *Absolutnie! To reszta aparatury i kontrolki. Wiem, że to delikatne oprzyrządowanie i trzeba się z tym ostrożnie obchodzić. Został jeszcze tydzień do terminu ukończenia prac. Wtedy wszyscy wrócimy na Ziemię!* - W „głosie” Madlyn zabrzmiała szczerza ulga. - *Więc chcielibyśmy wiedzieć, DLACZEGO wstrzymano dostawę. Sama rozumiesz, że to i nas tu zatrzymuje.*

- *Wiem. Wyjaśnię to, Madlyn. Naprawdę.*

Dave wiedział, że Rhyssa się obudziła, więc głośniej podśpiewywał. Nie był telepatą, ale wykazywał siódmy zmysł we wszystkim, co jej dotyczyło. Uśmiechnęła się do siebie i postanowiła wyjaśnić sprawę owej dostawy. Ósma trzydzieści - już można niepokoić pułkownika Greene’a w jego florydzkim mateczniku.

- *Zadzwoń do mnie, Johnny!*

Był za daleko, żeby z nią telepatycznie rozmawiać, ale to wezwanie powinno bez trudu doń dotrzeć. Rhyssa patrzyła na telefon i odliczała. Zadzwoił po dziesięciu sekundach.

- Życzyła sobie pani ze mną rozmawiać, pani Lehardt?

- Istotnie, pułkowniku Greene. Jakiż to numer wykręcasz naszej biednej, drogiej Ludmile?

- Tylko taki, na który zasługuje, kwiatuszku - zachichotał złośliwie Johnny. - Wymusiła nasze, Talentów, zatrudnienie, bo chciała mieć pewność, że skończy na czas, więc skończy na czas. Ani sekundy wcześniej, ani sekundy później. A co?

- A, rozumiem - roześmiała się Rhyssa. - I wyliczyłeś wszystko co do minuty.

- Razem z Lance'em wyliczyliśmy czas potrzebny do zamontowania tej aparatury i ułożyliśmy harmonogram dla niezbędnych do tego kinetyków. Dokładnie wiemy, ile to potrwa. Pewno Lance zapomniał wtajemniczyć Madlyn. Przykro mi, że tak to przyjęła, ale to i tak w jej stylu. Ułagodź ją jakoś, Rhys, dobrze? Załatwimy to po NASZEMU!

- Zgadzam się. Ani godziny wcześniej, ani godziny później.

Odwiesiła słuchawkę. Wszedł Dave, biodra miał owinięte ręcznikiem.

- Próbowałem cię zbudzić, Rhys - rzekł ze skruchą. - Ale ty po prostu nie chcesz rano wstawać.

- Bezwstydnie przyznam, że uwielbiam być z tobą w łóżku, Dave, lecz obudzona, a nie śpiąca jak kamień. - Uniosła ramiona i zaczęła się

przeciągać; nagle przestała: - Co jest z tą kawą? Mdli mnie od jej zapachu.

Dave usiadł na brzegu łóżka i z uśmiechem spojrzał na żonę. W błękitnych oczach tańczyły iskierki.

- Jeszcze się nie domyśliłaś? - zapytał, patrząc znacząco na jej brzuch.

- Myślałam... przecież nie jestem chora... - zaczęła Rhyssa, której coś zaświtało - ...tylko śpiąca! Och, Dave, czyżbym była w ciąży?

- Rozważ tę możliwość, mądra kobieto! - Wstał, zrzucił ręcznik i zaczął się ubierać; bardzo lubiła mu się przyglądać, bez względu na to, co robił, zaś intymność owej codziennej czynności była dla niej czymś szczególnym. - Przecież staram się o to już od paru miesięcy!

Rhyssa, poruszona taką możliwością, zaczęła rozmyślać o swoim ciele; delikatnie położyła dłonie na brzuchu...

- Och, Dave! Naprawdę jestem w ciąży! Naprawdę!

- No to ostatnia się o tym dowiedziałaś - uśmiechnął się szeroko. - Dorotea wie.

- I nic mi nie powiedziała?! - Rhyssa aż się wyprostowała, zaskoczona i urażona, że tak długo pozostawiono ją w niewiedzy... i to Dorotea!

- Hmm, do pewnych rzeczy lepiej dojść samemu - zawyrokował Dave z uśmiechem i pochylił się, żeby czule pocałować żonę. - Wprost promieniejesz. Wszyscy to zauważyli. I uprzejmie czekają na oficjalny komunikat. - Zwichrzył jej splątane po spaniu włosy, przesunął palcami po srebrzystym paśmie.

Rhyssa westchnęła, a potem zapytała:

- Czy Sasza wie?

Dave zaniechał wkładania bluzy, wysunął głowę z fałdów i spojrzał na żonę z wielkim zaniepokojeniem:

- Sasza? Wiem, że jesteście blisko, ale...

- Hmm - zaczęła Rhyssa i umilkła; oto jedna z niedogodności braku Talentu Dave'a; czasami musiała mu coś wyjaśniać szczegółowiej niż Talentowi. - No cóż, Sasza musi czekać, a wcale mu się to nie podoba.

- Czekać? - Dave wciągnął bluzę. - Na co?

- Żeby Tirla dorosła, oczywiście - odparła Rhyssa, zabierając się do wstawania z łóżka; czuła się dziwnie niespokojna o to nowe życie: zupełnie niepotrzebnie, bo było świetnie zagnieżdżone.

- Na Tirlę? - Dave wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - To on na nią leci? Stary erotoman!

- Wcale nie taki stary i na pewno nie erotoman, jeśli chodzi o Tirlę. Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Nigdy nie żywił takich uczuć do żadnej kobiety. - Rhyssa pozwoliła sobie na „wszechwiedzący” uśmiezek. - Lecz Tirla to jego przeznaczenie i on o tym wie. Po prostu musi kilka lat poczekać.

- Ona nawet nie...

- Tirla ma dwanaście lat, a zbliża się do dwustu - nieco szorstko odparła Rhyssa; dziewczynka miała interesującą osobowość, powinno im być dobrze ze sobą, Saszy i jej; to nie do wiary, że w trakcie swojego dyrektorowania znalazła dwa tak odmienne Talenty: jeden makro,

który mógł przemieszczać światy, i drugi mikro, łamiący bariery językowe. - Południowcy dojrzewają o wiele szybciej niż my z północy czy z zachodu. Za cztery lata spokojnie będzie mogła wyjść za Saszę.

- To już postanowione? - sceptycznie spytał Dave.

- Sasza miał wizję i to ku swojemu największemu zdumieniu - uśmiechnęła się Rhyssa. - Kiedy ich zobaczysz razem, zwróć uwagę, jak Tirla na niego patrzy. Ta młoda dama jest bardzo zaborcza, jeśli on wchodzi w grę. I będzie dlań o wiele odpowiedniejsza niż Madlyn.

- Ich dzieci będą Talentami?

- To wielce prawdopodobne - uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Dave milczał. Nigdy nie ukrywał przed żoną swoich uczuć. Odchrząknął i spytał dziarsko:

- A nasze? Kiedy będzie wiadomo?

Rhyssa uśmiechnęła się pokrzepiająco do ukochanego mężczyzny i skinęła głową.

- Wszystko gra.

- Taka jesteś pewna?

Objęła go za szyję, przytuliła doń swój ciężarny brzuch i przyciągnęła głowę męża, żeby go pocałować.

- Jestem. Właśnie mi o tym powiedział.